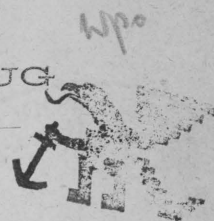


NR 6125 / DWA TYGODNIE

ADAM PŁUG



Officyalista

POWIEŚĆ.

Geprüft
wpo. Oflog II E
15

TOM III.

WŁASNOŚĆ FUNDUSZU OŚWIECENIA

WARSZAWA.
Nakład i druk S. Lewentala
Nowy-Swiat № 41.



CZYTELNIA KSIĄŻEK

Дозволено Цензурою.

Варшава, 29 Января 1896 года.

1206125/III
DWA TYGODNIE

OFFICYALISTA.

TOM III.

NA BRUKU.

6/23/11
DWA TYGODNI

Geprüft
Oflag II E
15



ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Na bruku! pojmujecie całą okropność tego wyrażenia, wy, coście nigdy nie zaznali takiej pozycyi, co macie własny swój dach nad głową, a pod nim choćby skromny dostatek, choćby tylko mierność pocziwą, choćby nawet ubóstwo z ciężkim trudem i znojem, ale przynajmniej tyle bezpieczeństwa na przyszłość, że z biedną swą rodziną nie będziecie się tulać, nie będziecie *cudzych kątów wycierać*, i krwawo zarobionego dobytku w tém tulaćwie marnować? Pojmujecie stan ten okropny, w którym człek, mając i zdrowe ręce, i szczerą chęć do pracy, pracy znaleźć nie może, i dzień po dniu, na chleb powszedni i na opłacenie przytułku, wyzuwając się z dawnych zapasów, wyprzedając się ze wszystkiego, ze sprzętów i odzieży, a nawet i z najmilszych pamiątek, z rozpaczą musi myśleć o chwili, kiedy już i sprzedawać nie będzie czego, kiedy przyjdzie nareszcie się chyba pod ko-

ściołem z żoną i dziećmi i o jałmużnę prosić! O straszne, oplakane to położenie! Jest to próba ogniowa, którą nie każdy zdoła przebyć po chrześcijańsku i wynieść z niej oczyszczoną duszę, jak szczerze złoto. Wielu upada, wielu marnieje w poniewierce ostatniej! Jedni z głębi już toni ratują się podłością, drudzy jeszcze na brzegu chwytają się oburącz jakiejkolwiek podpory, choćby pręgierza wzgardy, inni wreszcie zawczasu, zapobiegając smutnej ostateczności, *myslą o sobie*, i dla karyery, dla chleba, o czei i sumieniu zapominają. Nie brak nawet i takich, co bezecne swe czyny starają się usprawiedliwić tém właśnie *zapobieganiem* i mają się w swój hańbie za prawdziwe ofiary, za wzory zaparcia się i poświęcenia! Biedni! nie wiedzą, a może wiedzieć nie chcą, że się przez podłość do poświęceń nie idzie, i że nieodbitą cechą ofiary przedewszystkiem *czystość* być musi!

W takiej-to smutnej pozycji znaleźli się Widzey, Łypińscy i Kurezyccy, co się razem w Raczkach zebrali, a z nich najnieszczęśliwsi byli Kurezyccy. Widzki miał bowiem jeszcze srebra i klejnoty żonine, mógł się spodziewać dziesiątego grosza choćby w połowie, był wreszcie officyalistą niepospolitym, dość już głośnym w sąsiedztwie, a więc nie potrzebował zbyt się troskać o jutro; żal mu było służby straconej, ale więcej z moralnych niż materyalnych pobudek, i gdyby nie płacz i skargi pani Amelii, toby z sercem swobodnym i z obliczem wesołym bruk miasteczkowy zbi-

jał. — Łypiński też rozpaczać nie miał powodu; sam jeden był na świecie, nawykł żyć, jak *anachoreta*, po żniwach od prezesa dostał pięćdziesiąt rubli, drugie tyle uzyskał ze sprzedaży sprzętów i koni, mógł się więc nazwać panem całą gębą; miał wprowadzić obowiązki względem synowca, któremu po trzydzieści rubli co rok wypłacał, ale te obowiązki rychło już się kończyły, bo synowiec był w piątój klasie i za rok się spodziewał dostać korrepetycye. A nieborak Kurezycki, z żoną i aż pięciorgiem dzieci, pozbawiony dachu i chleba, miał się nad czém gorzko zamyślić i czego się zasmucić! I on wprowadzić ugratyfikowany był pięćdziesięciu rublami, ale te w rękę się nawet nie zagrzały, bo je natychmiast na legitymację nieszczęsną wydał. I on miałby co sprzedać, i sprzedał też nie mało rozmaitych rupieci, na które długie lata pracował, a które oddał żydom za bezcen; ale grosz tak zdobyty trzeba było obrócić na najęcie jakiejś chatynki i paszę dla chudoby, bo mu konie były potrzebne do wycieczek *za służbą* i na zarobki, a z krowami Kurezycka nie chciała się rozstać do końca, bo je sama wychodowała, bo je zwała *mamkami* swoich biednych dzieciaków; bo tak jedne, jak drugie, sprzedać łatwo, ale nie łatwo kupić, choć się i zdarzy jakaś nowa posada! Co do dzieci, wprowadzić dwóch synów prezes, jak wiemy, na naukę był oddał; ale któż mógł zaręczyć, azali jasna pani swoim gniewem i ich nie dotknie? a zresztą, w takich warunkach dosyć było i trojga!

Zaiste, ciężka była pozycja! a jednakże pocziwiec ani razu nie sarknął, ani się nie zachmurzył na jedną chwilę, i nawet mimo gderań swój polowicy, ze wszystkich trzech wygnańców najmniej stracił dobrej fantazyi, najweseliej wyglądał. Bo się Widzki często zasępiał, patrząc na odnowione cierpienia swojej żony, myśląc o Stasiu, Helence i Sławockim, a niekiedy i o Kluczarskim; Łypiński i na służbie, jakżeśmy już dawniej widzieli, zwykle kwaśną miał minę, a teraz, wyrugowany z chaty, do której tak był nawykł, w której, od sprzętów do najmniejszych drobnostek, wszystko miało swe miejsce raz na zawsze wskazane, oderwany od swych nawyków, zwichnięty w trybie życia, jeszcze bardziej stetryczał, choć i nie miał czém się kłopotać, bo przy swym fundusiku, dostawszy od proboszcza jedną celkę w klasztorze i strawę z jego stołu bezpłatnie, niby za jakąś posługę przy kościele, mógłby się i bez służby obéjść do końca życia.

Kurczycki najął sobie lichą lepiankę o jednej tylko izbie z kuchnią i ze spiżarnią, z oborą i stajenką, i w niej się ulokował z rodziną i z całym swym dobytkiem. A choć go po dawnemu żona zwała *niedbajło*, on przecież tak pracował, tak gorliwie zabiegał, iż ledwie nie literalnie krwawym oblewał się znojem. Na parobka ich nie starczyło, bo musieli koniecznie przyjąć jakąś kobietę, bez której-by się Kurczycka w żaden sposób obéjść nie mogła, potrze-

bując i krów doglądać, i dziatwę opierać i oszywać, i jeść warzyć, i naczynia zmywać, i w izbie utrzymywać porządek. Zatem biedny *niedbajło* sam sobie był woźnicą i stróżem; sam nietylko swe szkapy czyścił, karmił i poił, nietylko gnój ze stajni wyrzucał, nietylko sypiał przy koniach, strzegąc ich od złodzieja, ale i drwa sam rąbał, i podwórko zamiatł, i dla krów paszę przywoził, i przy tém jeszcze zarabiał, najmując się z furmanką do transportu kamieni, których proboszcz potrzebował na mur cmentarny. Widząc to, pani Kurczycka nieraz się łzami zalewała ukradkiem, nieraz swemu *niedbajle* głowę o to suszyła, aby dziewczkę odprawił, a natomiast najął parobka, dowodząc, że mężczyzna potrzebniejszy im w domu; ale napróżno! *niedbajło*, zwykle miększy od wosku, tu był twardy jak skała! śmiał się, żartował, sypał conceptami, jak z worka, na perory *mamo-czki* swojej, ale się nie dał poruszyć. Więc pocziwa babina, żeby mu w gorliwości dorównać, żeby nie mieć sobie do wyrzucenia, że ona razem z dziewczką mniej od niego się trudzi, i nie nie przysparza swą pracą, od świtu do późnej nocy zwiwała się po gospodarstwie, jak ta mucha w ukropie, i nad tém tylko przemyśliwała, jakiby znaleźć zarobek? Tysiącej przychodziło projektów, jeden od drugiego świetniejszych, ale trudnych do wykonania, bo się za domem do roboty nająć nie mogła, a takich znów zatrudnień, które-by w domu odbywać się dały dla

zysku, było bardzo niewiele. Po usilnych staraniach tyle tylko wskórała, że znalazła sobie przedziwo, a dzieciakom pierze do darcia, co jedno z drugiem przynosiło jój na dzień około piętnastu kopiejek. Niewiele to, zaprawdę, ale i z tego jakże była szczęśliwą! Przy nabiale te kopiejki były podstawą bytu całej rodziny; dawały jój chleb, kartofle, sól i krupy; bo konie zarabiała tylko na siebie, i na służącą, a niewielki zapasik, zebrany z wyprzedazy tych sprzętów, z którymi nie warto było się wozic, należało oszczędzać, jak to mówią, na złą godzinę, lub na kosztą przenosin, jak się służba znów trafi, i na zagospodarowanie się nowe, tyle jedynie z niego używszy, co na komorne, na opał i na paszę dla krów było potrzeba.

Utrzymać się sześciorgu, choćby i przy nabiale, za piętnaście kopiejek na dzień, było wcale nie łatwe, mimo całej zabiegliwości gospodareczej Kurezyckiej; to też nieraz tak się trafiało, że biedna dziatwa z płaczem odchodziła od stołu, lichą i zbyt oszczędną strawą głodu zaspokoic nie zdolna. Ojciec, nie mogąc obojętnie na to spoglądać, rad byłby, jak pelikan, krwią własną swe *kurczeta* nakarmić, i na prawdę tak robił: karmił je własnem zdrowiem i siłą, bo skoro tylko widział, że na misie jadła nie wiele, to zazwyczaj udawał, choć mu od głodu wewnętrzności się zwijały, albo że apetytu nie ma, albo że go już Widzey poczęstowali śniadankiem, a potem,

biedaczysko ukradkiem brał kawałek chleba czerstwego i, posoliwszy, z wodą go łykał gdzieś w kącie. Nadto porzucił fajkę, do której był znałogowany, i wyrzekł się kieliszka wódki przed obiadem, który przy ciężkiej pracy byłby mu bardzo potrzebny, by za kopiejkę tak oszczędzoną drogim swoim *kurczętom* kupić czasem kołacza, albo kasek kielbasy. Wprawdzie z *mamoczką* swoją o jedno i o drugie musiał stoczyć silną utarczkę, i wyszedłby pobity, gdyby się nie ratował podstępem; zmuszony do palenia i picia, kurzył tylko podówczas, kiedy nań żona patrzyła, i to najpośledniejszy tytoń, pomieszany z liściem wiśniowym, a przed jedzeniem z fantazją najlepszą łykał wodę z czareczki, udając ten gęsi trunek za prawdziwą gorzałkę, i barylkę nim napełnioną trzymając pod własnym kluczem. — Ach! bo on tak kochał tę biedną dziatwę, tak się nad nią litował! serce mu się krajało, kiedy, wróciwszy od roboty wieczorem, zastawał wszystko troje, tak samo jak porzucił, skulone na ławeczce nad tém nieszczęsném pierzem, które od rana do wieczora skubać musiały, i tęskno wyglądające przez okno na zielone podwórko, na którymby rade poigrać. Patrząc na ich wynędzniałe, blade, smutne twarzyczki, nieraz łzę gorzką musiał otrzeć z powieki, a kiedy się trafiło, że matka wydała się z domu, żeby odnieść przedziwo, to im natychmiast rekreacyę wyprawiał, pozwalając biegać w dziedzińcu, a sam natomiast brał się do darcia pie-

rza, które pod miarą wydzielane było każdemu, i często sprowadzało ostre ciągi na opieszalych.

Tak to żyli na braku biedni nasi Kurczycey! Sądzę, że nikt im losu-by nie pozazdrościł, a jednak oni z nim się zgodzić umieli i dziękowali zań Bogu. Wprawdzie jejmość czasami chciałaby się trochę poskarżyć, ale mąż ją zaraz ostrzegał: nie grzesz, *mamoczko* moja! zdrowiśmy, zdrowa chudoba, mamy jakiś zarobek: czegoż więc ci trzeba?! Nie wyzywajże Pana Boga, żeby gorzej nie było. — I był jakby prorokiem, bo Pan Bóg jeszcze cięższe próby im zesłał. Koń zakulał, Kurczycka skaleczyła palec u ręki, i tak przez cały tydzień on kamieni dowozić a ona prząść nie mogła. — Za co nas Pan Bóg karze? — zapłakała wtedy nieboga. A on na to ze zgrozą: — Co ty, *mamoczko*, gadasz? koń zakulał, palec zabolął, to już ci kara Boga? a gdyby wszystka chudoba wyzdychała? gdyby dziecko umarło?! gdybyśmy sami zaniemogli obłożnie? — Kobieta z przerażeniem chwyciła się za głowę. — A widzisz? strach? nie prawdaż? No to cierpmyż i ofiarujmy się Bogu, a kiedyś i w nasze okno zajrzy jasne słońeczko. — I uśmiechał się biedak tak słodko, tak mu twarz się przytém rozpromieniała, jak gdyby już na prawdę słoneczny promyk szczęścia mu świecił. Więc i jęj żał łagodniał, i ona z rezygnacją pochylała czoło pokorne i ze skrucą biła się w piersi, wołając: bądź wola Twoja!

Wehodzimy w te drobnostki, które się może komu i nudnemi wydadzą, bo pragniemy dać poznać tym dziedzicom szanownym, co to nieraz tak lekkomyślnie, tak skwapliwie, za łada pobudką, łada kaprysem, łada złym humorem, *wyrzucają* officyalistów swoich, jakie-to życie nie jednemu przez to gotują, gdy sami, *dzieci szczęścia* pieszczone, nieraz uważają za największą niedolę brak dobrego kucharza, obiad późno podany, albo konieczność odmówienia sobie jakiegoś zbytku; pragniemy opamiętać tych nieszczęsnych szaleńców, co się raczej gotowi sponiewierać i spodlić, niżli z odwagą wziąć na barki krzyżyk nawet niewielki, przebyć próbę nawet łagodną; pragniemy im przypomnieć, że dziś takich Kurczyckich, co osiąść musieli *na bruku*, nie mało jest na świecie. Lecz to morały, a morały nudzą publiczność, pragnącą tylko się bawić... dajmy więc temu pokój.

Nie jednemu zapewne może dziwném się wydać, że Widzki Kurczyckiego nie poratował, że o nim ksiądz Anastazy zapomniał. Bynajmniej! Widzki dlatego właśnie do Raczek go namówił, żeby mu dopomagać w potrzebie, i zaraz, po urządzeniu się w domu, chciał znów zabrać do siebie obie jego dzieweczki na chleb i na naukę, a wikary po prostu pchał mu gwałtem pieniądze w rękę; ale on podziękował obudwom, nie chcąc za nie przyjąć ofiary. Uczyc się, to i owszem — powiadał — jeśli łaska,

niechaj panna Helena wyznaczy im godziny, w których mają przychodzić, a całym sercem za to wdzięczni będziemy; ale Bóg by nas karał, gdybyśmy tę szarańczę nasyłali na pańską strawę, kiedy, sami siedząc na bruku, dobrze się z każdym groszem liczyć musicie! — Darmo mu pan Zygmunt przekładał, że przy pięciu osobach dwie się mogą łatwo pożywić bez przymnożenia kosztu; darmo zaklinał się na wszystko, że ma jeszcze o co ręce zaczepić: Kurczycki nie dał sobie wyperswadować i uparł się przy swoim. A więc na tém stało, że dziewczęta tylko na lekeye do Helenki przychodzić będą; ale pani Kurczycka, bez której tę umowę zawarto, dowiedziawszy się o niéj, o mało że nie wybiła swego *niedbały!* — Co! — wołała — my tu oboje ze skóry będziemy wylazić, żeby karmić te darmozjady, a one mają próżnować! A zaś! dosyć już téj nauki! już czytają, piszą, rachują, już umieją katechizm, umieją Pana Boga chwalić, czegoż więcéj potrzeba? Czy chcesz, żeby im od wielkiego rozumu we łbie się przewróciło, jak, nie przymierzając, pannom Nehresznym, co po dniach całych przy gitarze trele wywodzią, albo czytają jakieś romanse, gdy pan ojciec i pani matka jakby jakim księżniczkom służyć im tylko muszą. O nie! u mnie tego nie będzie! nie doczekają! Do pracy się zrodziły, do biedy: to niechże się uczą pracy i biedy! jeść muszą, to niech same na chleb zarabiają; niechaj drą pierze, póki się

do wrzeciona i do igły nie wprawiają; niechaj mi garnki szorują i chatę zamiatają, bo taka ma być ich dola!

I nie było z nią rady! ani mąż, ani pan Zygmunt, ani ksiądz Anastazy nie mogli jéj uprosić, żeby choć parę godzin pozwoliła dzieciom codziennie u Helenki przepędzić! — Nie! — mówiła — para tych godzin cały im dzień zepsuje; powróciwszy do chaty i do swego ubóstwa, tęsknić będą do dworku i do jego rozkoszy. — Więc Helenka na inny wzięła się sposób, o czém niżej powiemy, bo wprzód potrzeba nam wyjaśnić, jak się Kurczycki księdzu wikaremu wyprosił. Kiedy raz go żegnając, uczuł w ręku paczkę assygnat, upuścił ją na ziemię, i jak oparzony odskoczył, z rumieńcem na poczewie obliczu, ze łzami w oczach.

— A czyż się to godzi, ojcze dobrodzieju? — zawołał, starając się uśmiechnąć, żeby swą protestacyę osłodzić — czyż ja niedołęga, czy żebrak, abym miał brać jałmużnę? Mam chudobę, mam zdrowe ręce, mam nawet grosz w zapasie, toż mogę, *mamoczko moja*, dać sobie jakąś radę.

— Ot tobie masz! — krzyknął staruch, w dłonie klasnąwszy — zwaryowałeś człowiecze? jaka jałmużna, mości dobrodziejstwo? to tylko pomoc przyjazna, pożyczka! Miejże rozum, nie dziwacz!

— Na cóż ja mam pożyczać, kiedy mogę zarobić?

— Ależ na tych zarobkach, mości dobrodziejstwo, jak nie kozła wywrócisz!

— No, to wtedy sierotom dopomożesz, ojeze kochany.

— Więc nie bierzesz?

— Nie biorę.

— Czekajże, mości dobrodziejstwo, naślę ja na ciebie Widzkiego.

— I owszem, księżu dobrodzieju! — zaśmiał się biedak — on mię jeszcze pochwali; on-że sam od nikogo nie chciał przyjąć pomocy, i wołał z obywatela officyalistą zostać, niż na ludzką zejść łaskę.

— Tędy droga? — zawołał zaskoczony starzec. — To ty się na niego zapatrujesz, od niego się uczysz? To on mi tego piwa nawarzył! Jaż jemu zmyję kapitułę! — I żwawo się ku drzwiom obrócił, nie podniosłszy z ziemi pieniędzy; lecz Kurczycki je schwycił, dognął go na podwórku, ucałował mu ręce, i gwałtem assygnaty w nie wcisnął.

Ksiądz Anastazy do Widzkiego ruszył ze skargą. Pan Zygmunt ucieszył się serdecznie tą szlachetną ambicią biednego officyalisty, i skrycie powinszował sobie wpływu dobrego; lecz razem zafrasował się na myśl, że bez pomocy nieborak może się na śmierć zamęczyć. — Ha! — rzekł nareszcie — niema innój z nim rady, jak tylko dać mu jakiś zarobek mnię ciężki a zyskowniejszy od téj zwózki kamieni.

— No, dobrze, ja mu znajdę, mości dobrodziej-

stwo, zarobek! ale niechże tylko nie przyjmie?! A ty, Zygmutu, poradź coś z dzieciakami.

— Poradzimy, ojeze kochany!

I poradził istotnie. Helenka codziennie po parę godzin przepędzała w chacie Kurczyckich, i gdy dzieci pierze skubały, ona im opowiadała tymczasem różne rzeczy ciekawe, bądź z historyi świeckiej lub świętej, bądź z nauki moralnej, rozwijając ich umysł i kształcąc serce. A że czasem dziewczątka tak się zasłuchiwały, że, otwartszy oczy i usta, siedziały nieruchome, z piórkiem w palcach na wpół rozdartém, zapomniawszy o niém zupełnie; więc ona, chcąc przekonać ich matkę, że tą swoją gawędką nie im w pracy nie szkodzi, sama też brała w niej udział, i szarpała pierze z niemi do wspólni.

Śliczny to był obrazek, gdy ta wdzięczna istota, w całej pełni kraszy dziewięcjej, z piękném licem, takim jakimś świetlaném, ożywioném oczyma tak dziwnie promienistemi, że się zdawało, iż jej skronie naprawdę otoczone były nimbem cudownym, — zasiadłszy na ławeczce, naprzeciw dziatwy, w ubożniejszej, ale schludnej izdebce, pełnej świętych obrazów, strojnych w wieńce i palmy, ze dzbanuszkim pierza przed sobą, migocząc bieluchnemi palcami, szybko się zwiwającemi przy poziomej robocie, uśmiechnięta, choć smętna, a taka miłościwa, taka jakaś pokorna, przy całym dostojęństwie i blasku, głosem dźwięcznym a słodkim, któregooby, słów nawet nie

rozumiejąc, można było słuchać z zachwytem, wykladała w sposób najprzystępniejszy wielkie prawdy ewangeliczne, lub kreśliła wspaniałe historyczne obrazy małym swoim słuchaczkom, co, jakby zaczarowane, chwilami w nią patrzyły jak w tęczę; od której, jakby barwy odbite, żywo się zmieniające uczucia malowały się na ich bladych, wyrazistych twarzyczkach.

Kureczyka, jeśli mogła w tę porę zasiąść do swęj kądzieli, to na równi z dziećmi swojemi dawała się pociągać urokowi słowa i lica téj nie zrównanej mistrzyni, i nieraz nie wysnuwszy do samej ziemi, o wrzecionie zapomniła, bezwładna, zasluchana i zapatrzona, ze łzą rzewnej wdzięczności, spływającą cicho po twarzy.

— Balamucisz nas, droga panienko — rzekła raz niby z wyrzutem — i dzieciśka się gapią, i ja, Boże odpuść, siedzę jak urzeczona!... Z niemiż to jeszcze pół biedy, bo ślicznemi rączkami dobrze im dopomogasz; ale któż za mnie naprzędzie?

— O, i ja prząść umiem! niech mi pani tylko pozwoli! — zawołała Helenka, podbiegając do niéj z uśmiechem, i w lot chwytając rozigrane wrzeciono.

— Bodaj tak! — zaśmiała się babina, ustępując z prząsnicy. — Biedna moja kądziółka!... ale mniejsza tam o nią! baw się, droga pannusiu!

Helenka, wdzięcznie płonąc, usiadła, zwinęła nie wysnutą, i z ręcznie zakrećwszy wrzeciono, w mgnie-

niu oka wyciągnęła nową, długą, równą, gładziuchną nitkę, jak gdyby prządka najdoskonalsza. Dzieci, które, rzuciwszy swoje garnuszki z pierzem, otoczyły ją w koło, patrząc z wielkiem zaciekawieniem na to jéj dziwne dla nich zajęcie, zaklaskały w dłonie ze śmiechem i okrzykiem radośnym, a Kureczyka, co także spoglądała na to z trwożnym niedowierzaniem, przypadła jéj do kolan, odebrała wrzeciono, i wzięwszy ją za rękę, zawołała, całując palce jéj zrózowiałe od trudu:

— Dosyć już, dosyć, złota moja panienko! szkoda drogiéj téj rączki do takiéj prostéj pracy, i to Bóg wie dla kogo! Ależ nitka! jak jedwab! Kto panienkę tak prząść nauczył? — ciągnęła dalej, pieszczując nie w palcach i oglądając ją pilnie. — O nie! ja jéj tu nie zostawię! schowam ją w Złotym Ołtarzyku, żeby na Boże Ciało użyć jéj do wianuszków święconych. Ja i pierza tego z domu nie puszcze! Wolę czystego puchu na to miejsce położyć, a sobie je zostawić na poduszkę do trumny.

I urwała nie od wrzeciona, i zwinęła sobie na palec.

— Panno Heleno! duszko! serce! — zawołały dziewczątka — i dla nas jeszcze po niteczce choć jednéj do wianuszków święconych.

— Jeszcze czego! — krzyknęła matka — nie dosyć, że nad pierzem się trzodzi! miałyby dla was delikatne swoje paluszki krajać przedziwom!

i tak tylko co krew z nich nie tryśnie! Do roboty, smarkacze!

Lecz Helenka, krasna jak róża, spoglądała na nią z takim słodkim uśmiechem, z takim miłym wyrazem prośby, że w momencie ją rozbroiła i bez przeszkody jeszcze kilka nici uprzedła. Dzieci tymczasem, u nóg jej przykleknawszy na ziemi, z zachwyceniem, radosnym wzrokiem goniły za furczącym wrzecionem, a matka ich, złożywшы dłonie jak do pacierza, stała przed nią w milczeniu, i z uśmiechem rzewnym na twarzy, patrzyła w nią, jakby w obraz cudowny.

— Dłużej już nie pozwolę! — zawoła po chwili, bez ceremonii odbierając prząsnicę. A dzieci pochwyciwszy wrzeciono, dalejże swoją nitkę rozwijać.

— Ani się ważyć! — krzyknęła matka. — Ja wam sama wydzielę! Niech mi tylko Pan Bóg odpuści, że cudze przedziwo kradnę, z twojej łaski, droga panienko! Trzeba będzie się przyznać; niechaj mi za to coś z zapłaty wytrąca, bo i niteczki cudzej na sumieniu mieć nie chcę. No! no, macie już macie! i dosyć tego balamuctwa! do roboty, próżniaki!

Dzieci, uszczęśliwione, dostawszy po niteczce, ucałowały ręce Helenki, i znowu się wzięły do pierza i do słuchania nauki, a Kurczycka do przędzy.

Niekiedy wśród takiego zajęcia trafiało się i Kurczykiemu zajrzeć do swojej chaty. Wtedy zazwy-

czaj, posłyszawszy z pode drzwi wdzięczny głosik Helenki, wkradał się po cichutku do izby i czasem niepostrzeżony, wstrzymawszy się u progu, chwilę słuchał i patrzył, skrzyżowawszy ręce na piersiach, zachwycony owym obrazkiem, któryśmy już wyżej odmalowali, a serce mu wzbierało uwielbieniem, szczęściem i chlubą, i lzy słodkie były do oczu.

— Pani moja najmiłsza! — mówił nieraz poczciwiec — czémże my wywdzięczymy się tobie za takie dobrodziejstwo! i czémże zasłużyliśmy na nie u Boga! Wierzyliśmy-ci wprawdzie, że Bóg zawsze był z nami, że Aniołowie Jego opiekowali się nami; ale nigdy jeszcze widomie żaden z nich nie zstępował do naszej chaty, a dziś go oglądamy w tobie codziennie! Możeż być większe szczęście, większe błogosławieństwo dla nas?!

I nie przesadzał bynajmniej, bo Helenka na prawdę była Aniołem Bożym dla tej biednej rodziny. Ubożuchna lepianka, o zrębach pochyłonych, w ziemie zapadłych, z okienkami mgławemi, smutna, prawie ponura, z tém trojgiem głodnych, wciąż nad pracą skulonych dzieci, z zafrasowaną ich matką, z bolejącym wewnątrz choć pozornie wesółym ojcem, skoro się tylko ona pojawiła w jej progach, natychmiast przybierała postać zupełnie odmienną. Zdawało się, że blaski wnet ją oblewały słoneczne, że ją wiosenne, wonią kwiatów przesiąkłe, napełniało powietrze, że w niej raptem się budził szczebiot pta-

szat wesoly; rumieniły się blade lica dziecinne, uśmiechały się usta, promieniały oczęta, i okrzyki radośne wyrывały się z piersi; rozchmurzała się twarz ich matki stroskanéj, łagodniał głos jéj cierpki, dobrotliwiało serce, a ojciec zapominał, że jest bieda na świecie.

Potrzebaż mówić, jak ci prostaczkowie pocziwi miłowali za to swego anioła, jak go błogosławili i rodzice, i dzieci?! A jednakże Kurczycka, mimo całej czci i miłości, jakie dla Helenki czuła w swoim sercu, nie mogła się powściągnąć, aby i z nią się trochę nie posprzeczać. Rzecz poszła o to, że Helenka zazwyczaj, idąc na pogadankę z dziećmi, brała z sobą pełną torebkę bądź owoców, bądź ciastek, któremi je udarowywała. Ma się rozumieć, że dzieci to uszczęśliwiała, ale dla matki, dumnej w swoim ubóstwie, było upokorzeniem bolesnym. Długo z sobą walczyła i skrycie tylko się gryzła, a nareszcie postanowiła koniec temu położyć. Rzekła więc raz, przemocą porwawszy ją za rękę i całując z wielkim uczuciem:

— Nie gniewaj się, złota panienko, za to, co mam powiedzieć! Bóg świadkiem, że twą dobroć umiem ocenić, ale proszę pokornie, żebyś moim bachorom nie nosiła przysmaków! Gębę tém tylko sobie psują i na zimne kartofle się krzywιά, a co najgorsza, nawykają do datków, uczą się ludziom patrzeć w ręce, uczą się interesowności, ot rozpaskudzają

się po prostu; bo biorąc od panienki dobrodziejstwo największe, bo i rozum, i cnotę, zapominają o niem zupełnie, a cieszą się tylko z łakoci, za łakocię kochają.

Żywy szkartat oblał lica Helenki i lzy jéj zakreśliły się w oczach; przypomniała sobie płacz swojej matki, do którego ją pobudziły niegdyś dary księdza Anastazego, i zrozumiała tę szlachetną drażliwość.

— Przepraszam drogą panią! — rzekła, spuszczać oczy, — Bóg widzi, że nie chciałam państwa obrażać! nie przypuszczałam, żeby was miało to krzywdzić, iż dzieciom jakąś fraszkę na gościniec przyniosę. Przykro mi niewymownie, ale gdy pani każeś, to muszę być posłuszną.

I lzy zawisły na jéj rzęsach.

— Pani moja! królowo moja! — zawołała Kurczycka, sama blizka już płaczu, przypadłszy jéj do kolan i całując je z uniesieniem — Rób już sobie co zechcesz, tylko nie płacz tak, proszę, i nie rozżalaj się na mnie! Przebacz głupiej prostaczce! To nie obraza, nie wzgarda, tylko obawa, żeby się moje dzieciśka nie popsuly... Ot wiesz co, droga panienko, gdy tobie taką przykrość to robi, to niechajże tak będzie: niech te przysmaki będą dzieciom tylko nagrodą; składaj je w moje ręce, a ja już sama, jak mi cały dzień spędzą grzecznie, pracowicie, posłusznie, wieczorem udaruję każde w twojem imieniu. Czy zgoda?

— i spojrzała jój w oczy z tkliwym wyrazem prośby i chęci prześląganania.

— Zgoda, zgoda! — zawołała Helenka — i dziękuję pani serdecznie.

— Dziękuję?! — rzekła rzewnie Kurezycka. — Panienska mi dziękujesz?! Boże mój miłosierny!... toż chyba... I nie skończyła, westchnęła tylko głęboko, potrzęsała głową i lzy otarła z oczu.

Druga utarczka, lecz nie tyle już dla Helenki bolesna, była z powodu prośby jój, aby Kurezycecy wraz ze swojemi dziećmi co niedziela i święto u jój rodziców na obiedzie bywali.

— Nie mamy tu żadnych stosunków — tłómaczyło się dziewczę serdecznie — i mieć ich nie możemy, a tęskno nam do ludzi, zwłaszcza pocziwych. Przytém Ignas i Józia, co się tak pokochały z córeczkami pani, raz wraz do nich się proszą; kiedy więc pani nie radabyś ich codziennie widzieć u siebie, żeby tu w pracy nie przeszkadzały, to pozwólże, bodaj raz w tygodniu, im się wspólnie u nas pobawić.

— Ej, kochana pannuniu! — rzekła na to Kurezycka — biedakom nie do zabawy! na co się mają bałamucić? niechaj lepiej pracują. Niechaj cały tydzień będą wspominały, nudząc się i wzdychając do drugieję. My zaś, prostacy, nie możemy być dla was owarzystwem stosowném; wstyd wam tylko zrobi-my, i sami wstydzicie się będziemy.

— Wszakże mąż pani bywał u nas w Arbuzówce dość często?

— To co innego! bywał on i w pałacu po służbie.

— Ale u nas w gościnie.

— No, toż i teraz bywa u państwa.

— Tak, ale niechże i pani zrobi nam tę przyjemność.

— Gdzie tam mnie do gościnie! ja nie mam nawet czym grzbiotu okryć do kościoła, a przytém z kimże chatę zostawię?

Lecz Helenka umiała prosić i przekonywać; jak zaczęła przymilać się Kurezyckieję, jak zaczęła ją całować a ścisnąć, tak i postawiła wreszcie na swoim. Kurezycecy każdéj niedzieli i święta wprost ze mszy udawali się zawsze do Widzkich. Sama najczęściej zaraz po obiedzie wracała do chaty, gdzie jój obecność nieodbitie była potrzebna, a niedbajło z działkami przesiadywał aż do wieczora, to gawędząc z panem Zygmuntem, to w warcaby grając z Łypińskim, gdy *kurczęta* jego tymczasem, pod opieką Helenki, z Ignasiem i Józią się bawiły. Niedziele więc te były najprawdziwszemi uroczystościami dla sere małych Kurezyckich. Miała rację ich matka, powiadając Helence, że cały tydzień będą jedną wspominać, aby tęsknić do drugieję; wszelakoż nie bałamucilo to ich bynajmniej, owszem, stało się nową podniętą do tém gorliwszéj pracy, do tém większéj grzeczności i posłuszeństwa; bo dość było zagrozić

tylko, że nie pójdą do Widzkich, aby wszystko wymóć na nich natychmiast. — Kurezycka zrazu nie bardzo chętnie ulegała prośbie Helenki; poczeiwa i rozsądna, ale biedna, prosta sobie szlachcianka, bała się większego świata i względem wyższej sfery miała uprzedzenia cokolwiek. Helenka ją wprawdzie podbiła anielską swą dobrocią, oczarowała darciem pierza i przędzą; ale pani sędzina i pani Zygmuntowa zbyt wielkimi paniami się jój wydały. Przy drugich odwiedzinach jednakże musiała swoje zdanie odmienić; bo, jak wiemy, pani sędzina miała dar ujmowania sobie serc ludzkich zawsze, a synowa jój, mimo swojej fanaberyjki, w gruncie była dobrą i li-tościwą, dumną zaś tylko względem dumnych, lub takich, wobec których mogłaby się czuć upokorzona skutkiem zmiany swojego losu; więc dla pani Kurezyckiej umiała być, tém czulszą i tém szczerzej uprzejmą, że ona właśnie nastrezczała jój sposobność praktykowania, tak jój niegdyś miłej, protekcyi, że wobec niej występowała w roli jakby klientki, a to tak słodko, gdy człek może sobie powiedzieć: — jest przecież ktoś na świecie, komu, mimo własnej swój biedy, zdołam łaskę wyświadczyć, kogo, sam smutny, zdołam jeszcze pocieszyć, sam bezdomny — przytulić.

Tak tedy, jak widzimy, Widzey poradzili z Kurezyckimi, co tylko mogli, bez obrażenia ich szlachetnej ambicji; ale co zrobił książdż Anastazy? O! i on

także poradził! Raz, a było to właśnie w tę porę, kiedy nasza biedna *szlachta brukowa* znajdowała się w najkrytyczniejszej pozycyi, kiedy on wozic, a ona prząść nie mogła, jakoś nazajutrz po rozmowie ich z tego powodu, którąśmy przytoczyli, Kurezycki był u pana Zygmuta, gdy nadjechał zacny wikary, czegoś bardzo zafrasowany. Gdy go witano z okrzykami wielkiej radości, dziękując za odwiedziny, on rzekł, machnąwszy ręką:

— Wyperswadujecie sobie, mości dobrodziejstwo! nie czułość, tylko kłopot tutaj mię przyprowadził.

— Cóż to za kłopot? — spytał pan Zygmunt.

— Kłopot, mości dobrodziejstwo, i to nie mały! Kilka lat temu, będąc w ciężkiej chorobie, zrobiłem sobie *votum*, że jak przyjdę do zdrowia, to na pożytek ludziom i na chwałę Bogu wydam książkę do na-bożeństwa. — Pomaluczku, w wolnych godzinach, to z własnego serca, to z dawniejszych modlitewników, ułożyłem, mości dobrodziejstwo, zbiorzek dość spory, i wcale sobie niczego. Trzeba już-by go posłać do cenzury duchownej i do druku; ale cóż, mości dobrodziejstwo, kiedy nie mam nikogo, co-by mi go przepisał! Czy nie znasz ty, Zygmunce, tu w miasteczku jakiego kopisty? zapłaciłbym, mości dobrodziejstwo, choćby po trzydzieści kopiejek za arkusz.

Zygmunt nań spojrział domyślnie i rzekł niby zakłopotany:

— Doprawdy nie wiem, czy się tu znajdzie taki! Chyba-by może Łypiński.

— Ale gdzie tam, moiści dobrodziejstwo! musisz-że przecie wiedzieć, że on przy kościele dziś służy, i żeby, jak powiada, nie jeść "darmo chleba, uwziął się wszystkie ściany, i gzymsy, i sklepienia, i ołtarze, i konfesyonały poobmiatać z pyłów odwiecznych, nadto zaś, wieczorami ciągle wierci tabakę, którą myśli handlować; stąd więc *primo*: cierpi na oczy, a *secundo*: tak strudził rękę, że dziś, moiści dobrodziejstwo, pisząc, bazgrze jak kura.

— A prawda, — rzecze na to pan Zygmunt, — zauważyłem ostatnim razem, że mu się ręka trzęsie, a oczy czerwone, jak u królika.

— Otóż to, moiści dobrodziejstwo! Jakże chcesz, żeby on pisał?

— A pan, czybyś nie zechciał téj przysługi księdzu wyświadczyć? — zagadnął nagle Widzki, zwracając się do Kurezyckiego.

— Bardzo chętnie — odparł Kurezycki mocno się zapłoniwszy; — koń mi zakulał, przyjdzie z tydzień posiedzieć, założywszy ręce; jeżeli więc, *mamoczko moja*, za tydzień można przepisać...

— A mój że ty łaskawco! — wykrzyknął ksiądz uradowany, chwytając go w objęcia, — oto-żes mi, moiści dobrodziejstwo, kamień zdjął z serca! A niech-że ci Pan Bóg zapłaci!... Tylko-ż, powiedz otwar-

cie, czy trzydzieści kopiejek za arkusz nie uważasz za mało?

Kurezycki jeszcze się mocniej zapłonił. — A ojcie dobrodzieju! — rzekł z wyrzutem serdecznym, — czyż ja za taką pracę, i to jeszcze od ciebie, mogę żądać zapłaty?

— Tak?! no to upadam do nóg! ja daremszczyzny nie potrzebuję; bo kiedy, moiści dobrodziejstwo, waćpan jesteś hardy, to i ja hardy. Ale tego nie spodziewałem się od ciebie, żebyś mi nie chciał w mym kłopotcie dopomódz.

— Ależ ja chcę, i owszem.

— Nie chcesz! nie chcesz! tylko udajesz! wiesz, moiści dobrodziejstwo, że ja bez zapłaty nie przyjmę, i dlatego-to niby darmo się ofiarujesz.

— A niechże mię ksiądz dobrodziej nie krzywdzi takim posądzeniem niesłuszném! — protestował Kurezycki prawie ze łzami.

— Czemuż to pan nie chcesz zapłaty? — zagadnął go pan Zygmunt. — Miałoby to panu ubliżać? Wszakże się pracy nie wstydzisz? wszakże kamienie wozisz za pieniądze?

— Kiedy-ż bo, *mamoczko moja*, to co innego! — odrzekł zbiedzony Kurezycki. — Ja tego dobrze wytłumaczyć nie umiem; tylko czuję, co już mówiłem, że za taka robotę, i to jeszcze od księdza dobrodzieja, nie godzi się przyjąć zapłaty.

— Et, bredzisz, moiści dobrodziejstwo! żyjesz

z pracy, a jak ci za nią płacić nie będą, to zginiesz z głodu. — Tak, czy owak pracujesz, wszystko to jedno. Dajesz swój czas, dajesz trud, więc za jedno i drugie należy ci się nagroda, bo na świecie nie darmo. I ja też darmo swojej książki nie oddam, i jak ją, mości dobrodziejstwo, ogłoszę, to się dobrze obłowię. Ale, jak widzę, niema tu co z waćpanem gadać! jak nie chcesz, to cię gwałtem nie zmuszę. Bywajcie-ż mi zdrowi! udam się do proboszcza, może on mi kogo nastreczy.

I niby nadąsany, zabierał się do wyjścia. Kurczycki się w głowę podrapał. — Ha! — rzekł z ciężkiem westchnieniem, — kiedy tak, to cóż robić? jak ksiądz dobrodziej ma na mnie się gniewać, to już wolę zgodzić się na zapłatę, choć Bóg widzi, jak mi to ciężko.

— A, tak! pisać dla mnie, starego przyjaciela, to ciężko; a wozic, mości dobrodziejstwo, kamienie dla tutejszego proboszcza, to lekko! Bóg z waćpanem! ja się nie gniewam, a gwałtu ci robić nie myślę: może znajdę kogo innego.

— Ależ ja proszę! — zawołał przestraszony Kurczycki, chwytając go za rękę, — ja proszę, jak o łaskę!

— Dziwny człowiek! — rzekł starzec, zżymnawszy ramionami. — I chce, i nie chce! i za łaskę to sobie liczy, że mnie łaskę prawdziwą zrobi! Więc już zgoda stanowczo?

— Zgoda! zgoda! ojeze kochany!

Więc wikary wybiegł do bryczki i przyniósł grubą plikę papieru, mogącą liczyć najmniej ze sześćdziesiąt arkuszy; a stąd się nowa zawiązała utarczka, bo Kurczycki, spostrzegłszy, że nim konia wyleczy, nie będzie mógł téj roboty skończyć, mocno się zafrasował, i nie mało znów zadał trudu i księdzu, i Zygmuntowi, zanim mu wyperswadowali, aby przestał kamienie wozic i już całkiem piórem się zajął. Kiedy wreszcie, wzięwszy rękopism, ruszył do swojej chaty, ksiądz aż ręce zatarł z radości.

— A chwałaż Bogu, że go tak zręcznie wprowadził w pole! a już myślałem, mości dobrodziejstwo, że mi się wcale nie uda. Strasznie ambitny, ale pocziwy z kośćcami! dałby Bóg więcej takich!

Pan Zygmunt uściskał go serdecznie. — Niechże ci, ojeze kochany — rzekł z wzruszeniem głębiem, — Bóg nagrodzi twoją pocziwość!

— Niech mi przynajmniej me szalbierstwo przebaczy! — odparł starzec ze śmiechem. — Czy myślisz, mości dobrodziejstwo, że na prawdę chcę wydać książkę? Gdzie tam! jest to czysta mistyfikacja! Musiałem cały tydzień przepisywać różne modlitwy, i *dławidudę* swego, i zakrystyana wprzągłem do pracy, żeby jakkolwiek sporządzić ten manuskrypt! Ale cóż miałem robić? trzeba-ż było człowieka ratować! Muszę jeszcze i do jejmości trafić, mości dobrodziejstwo, przez kogoś, żeby z parę tuzinów szkarpetek do

roboty przyjęła; więcej to jój przyniesie, niż przedza. Tak więc Kurezycki, dzięki podstępowi księdza Anastazego, nieco wolniej odetchnął, a gdy jeszcze i jego żona od kogoś, niby całkiem nieznanego, szkarpetki do roboty dostała, to się oboje dosyć na dziękować Bogu nie mogli za cudowną Jego opiekę, i w przyszłość spoglądali z dobrą otuchą, choć mijały tygodnie, a pomimo starań księdza Anastazego i księdza proboszcza z Raczek, nie trafiła się żadna posada, — z czego, mówiąc nawiasem, Widzki bardzo się cieszył; bo w tej próbie poznawszy całą wartość moralną swego niegdyś kolegi, o tém tylko marzył, aby kiedyś, znalazłszy nową służbę dla siebie (a liczył już na coś lepszego, niż to, co miał u Sadłowieckich), przyjąć go za pomocnika, albo przynajmniej w jednym z sobą skarbie umieścić.

Długo jednak i panu Zygmuntowi szło wcale nie pomyśli. Już nie jeździł wprawdzie za służbą, bo ksiądz wikary przyrzekł mu najuroczyściej, że sam go ulokuje porządnie; ale chociaż za ten starzec rad byłby mu nieba przychylić, choć całą okolicę dobrze zrekognoskował, bądź przez listy, bądź osobiście; nie wszelakoż nie mógł upatrzeć, co by uznał za odpowiednie dla ulubieńca swego. Z tém wszystkiém nie tracili otuchy: owszem, mieli ją nawet bardzo wielką, bo zaraz po wydaleniu się Widzkiego z Arbuzówki, zgłosił się doń listownie p. pełnomocnik z Gruszek, ofiarując mu cały klucz w zarząd

z pensją pięciuset rubli, pod tym jednym warunkiem, aby swoją rodzinę pozostawił w miasteczku i raz tylko na miesiąc do niej się dowiadywał, w niedzielę. Potém pan z Kobylina bardzo dyplomatycznie wyprawił doń parlamentarza w osobie tego doktora, co go był leczył na nogę. Chciał tylko, aby Widzki, pychę z serca zrzuciwszy, raz jeszcze o służbę go poprosił, a przyrzekał ze swojej strony o urazie całkiem zapomnieć, i jako już znanemu ze zdolności i uczciwości, oddać w zawiadywanie cztery piękne folwarki. Pan Zygmunt nie miał wcale ochoty z żadnym z nich wchodzić w układy; bardzo się jednak z propozycyją ucieszył, widząc w nich jasny dowód, jak już piękną zyskał opinię, kiedy takie figury same się do niego zgłaszać poczęły. Ale na tém jeszcze nie koniec. — Prawie w tym samym czasie pan marszałek z Grzybiniec, sam we własnej osobie, zjawił się u niego w Raczkach, prosząc go, jak o łaskę, aby włość jego całą pod swoją administracyę przyjął. Ofiarował mu za to aż dwadzieścia procentów od dochodu, byleby go tylko obronił od owego rządcy tyrańca — od całej kliki mniejszych officyalistów, którzy, jak wiemy, panowali i nad nim, i nad jego majątkiem, i od których dotychczas uwolnić się nie zdołał. Ofiara ta na pozór była bardzo pożądana, bo dwadzieścia procentów mogłoby przynieść ze trzy tysiące rubli; ale i tę pan Zygmunt wołał raczej odrzucić, niżli szturmem sobie stanowisko zdobywać i naraz za-

prowadzić kilka procesów, — że nie już nie powiemy o tradycyjalnym nieładzie w dobrach pana marszałka i o jego manii budowniczej, z któremi nie łatwo mażnaby było poradzić.

Pan marszałek mocno się zmartwił rekużą, ale wizytą swoją serdecznie się ucieszył — wizytą, powiadamy, bo mimo interesu, odwiedziny te wizytą były prawdziwą. Pan marszałek wybrał się na nią bardzo elegancko, koczykiem, co stał prawie niektknięty od czasu, jak w nim przywiózł do domu ostatniego harbuza, czwórka szpaków w leje zaprzężonych, z Petrykiem za lokaja, wyfraczony, *wyelegantowany* i w wysokim cylindrze. Wszystko to wprawdzie wyglądało arcy-oryginalnie, tak, jak rezydencya jego, jeśli ją pamiętamy; koczyk wiedeński, niegdyś bardzo kosztowny i mało używany, miał przecież w pudle dziurę wybitą, fartuch na wpół urwany, i materace pogryzione przez mole, a zamiast dyszla jakiś drag, ledwie co ociosany, ze sztelwagą od prostej bryczki. Przy krakowskich chomontach były lejce z surowca i postronki ze sznurów; z czwórki koni, choć jednę maści, każdy był innego wzrostu i składu, nadto zaś jeden ślepy, drugi kulawy; — furman, przy liberyjnym płaszczu, zmiętym straszliwie, miał słomiany kapelusz, a Petryk, przy kozackiej swój kurtce i szarawarach, — zamiast butów, — stare pańskie lakierki; sam pan wreszcie do fraka z wysmienitego sukna, choć nie ostatniej mody, przywdział

inexprimable z szaraczku i rękawiczki łosiowe: — wszelakoż mimo te niedostatki, a raczej przez nie właściwie, znać było dobre chęci pana marszałka, który się zadomowiwszy i zapomniawszy o wykwin-tach światowych, tym razem, jak mógł, tak się sztukował, żeby wobec pana Widzkiego grzecznie i etykietalnie wystąpić.

Przyjęty z gościnnością uprzejmą, zwłaszcza przez panią Zygmuntoję, której pańska próżnośćka polechtana była widocznie ta atteneją pana marszałka, pan Grzybiniecki w domu brukowego szlacheica godzin ze trzy spędził bardzo wesoło, nie mogąc się dosyć nagadać, nie tylko z panem Zygmuntem, ale i z kobietami, a szczególnie z Helenką. Do téj się ciągle obracał, coraz to nowszych dobierając przedmiotów, jakimi-by w rozmowie zdołał ją zainteresować, a rychło się poznawszy na jej wyższym polorze i odgadłszy jej gusta, bawił ją artystyczno-literacką gawędką, wspomnienia z lat młodości przelatając wiadomostkami czerpanymi z polskich dzienników, które z przyjemnością czytywał. Wiele też mówił i o piękności okolic podolskich. Znał je i kochał serdecznie, i z niewymowną lubością kreślił obrazy malowniczych okolic Dniestrzańskiego porzecza, unosząc się nad widokami Kamieńca, Czarnokoziniec, Kuźelowej, Krzyweżyka, Mińkowiec, i wielu innych prześlicznych miejscowości.

Śluchano go z wielkim zajęciem, przebacząc

mu ciągle *Panbrodzieju*, bardzo częsty śmiech głośny i długie epizody architektoniczne, od których się nie mógł powstrzymać.

Na odjeźdném dopiero wziął na stronę pana Zygmunta, aby mu swe żądanie przełożyć, a choć dostał odkosza i zafrasował się wielce, nie dał jednak poznać urazy, i przy rozstaniu, z serdecznością największą, polecał się pamięci *łaskawego sąsiada*, powtarzając kilkakroć, że z utęsknieniem *w swojej chatce* czekać go będzie. Na wsiadaniu szepnął mu biedaczysko do ucha:

— Tylko, na miłość boską, niech *panbrodziej* nikomu o méj propozycji nie mówi, bo jak się o tém dowie mój pan generalny, to dopiero kurtę mi skroi!

Wrażenie, jakie pan marszałek wywarł na panie Widzkie, wogóle było bardzo korzystném; wszystkie jednogłośnie wyrzekły, że, pomimo trochy śmieszności, musi być dobrym i poczciwym człowiekiem; stąd też nie mało zaznał trudu pan Zygmunt, zanim wytłómaczył swéj żonie, dlaczego niechciał wejść z nim w układy. Zdawało się niebodze, że nie-by łatwiejszego, jak wziąć plenipotencję i wydalić dawnego rządcę, ze wszystkimi jego poplecznikami. Nie trafiło jéj nawet do przekonania to, co już dawniej od księdza wikarego słyszała, że szanowny dziedzic Grzybiniec, przy swéj całej grzeczności i potulności, często miewał *pańskie fantazy*, że go koniecznie trzymać w ręku potrzeba, gdyż inaczej, za lada

chmurką, gotów rzucić człekiemi jak piłką, i że nie mało zmieniło się u niego officyalistów, zanim wreszcie zmiarkowali, że jedyny nań sposób — nie dać się i zagrozić procesem. Utrzymywała, że, czując się niewinnym i pożytecznym, w podobnym razie i pan Zygmunt mógłby téj saméj chwycić się broni. Dopiero, kiedy się dowiedziała, że u pana marszałka jedynym z najgłówniejszych warunków było to, aby rządcę mieszkał w onéj baszcie nad karczmą, ostygła w swym gorącym zapędzie do Grzybiniec i dała się przekonać, że to miejsce nie dla nich. — Mimo to wszakże, nie pozwoliła, aby dłużej nad trzy dni rewizyta się odkładała, i pan Zygmunt musiał jéj uleść.

Tak więc zawiązały się nowe stosunki, bo i marszałek znów niebawem w Raczkach się zjawił, jeszcze bardziej wyświeżony i strojny, z włosom mocno wyszwarcowanym i w rękawiczkach paryskich. Bawił od godziny czwartej z południa do późnej nocy i odjechał całkiem oczarowany, a w kilka dni znowu zawitał, nie czekając, aż Widzki odwiedzi go powtórnie. Pan Zygmunt i tych trzech odwiedzin wzajemnością płacić nie śpieszył, bo miał na to racye swoje, a jednak pan marszałek nie zraził się tém wcale, i czwarty raz przybywszy, oświadczył bez ceremonii, że z tak miłym sąsiadem na wizyty się liczyć nie myśli.

Dla Widzkiego wszakże ta czułość była istnym kłopotem. Pomny natręstwa Bola, które się tak tra-

gicznie skończyło, jakkolwiek nie przypuszczał, aby podtatusiały marszałek zdolnym był do równego szaleństwa, widząc jednakże, jak się do Helenki przysiadła, jak wymownie na nią spogląda, na jakie komplementa się sadzi, zmiarkował, że ona-to była owym magnesem, który go tak ciągnął do Raczek, i bardzo się zafrasował na myśl, że miasteczkowe kumoszki mogą stąd wziąć pochop do plotek. Uznał więc za konieczne rozmówić się o tém z panią Amelią i wspólnie z nią obmyślić jakieś środki zaradcze. Uważał, że byłoby najlepšíj otwarcie panu marszałkowi oświadczyć, że jego takie częste bywanie w domu *szlachty brukowej* złość ludzka może sobie tłómaczyć tylko piękném liczkem ich córki, i dać mu tém do zrozumienia, aby ich od swój łaski uwolnił. Ale pani Amelia była całkiem innego zdania i z płaczem wyrzucała mężowi, że przez jakieś śmieszne dziwactwo chce odstręczyć człowieka, którego Bóg im zesłał na jedyną osłodę cygańskiego ich życia, co tak osamotnione, a tak pełne goryczy, upokorzeń i nudy. Przypomniała przytém i Bola, o którego odprawie opowiedział jój pan Zygmunt w swoim czasie poufnie, i pytała go z rozżaleniem niezmierném, czy ma zamiar nikomu już z *ludzi porządných*, z lepszego towarzystwa, nie dać wstępu do swojego domu, przypuszczając, że każdy bałamucić mu córkę zechce? — Za kogoż ją wreszcie wydamy? — rzekła, — czy za pisarza, albo ekonoma jakiegoś?!

Więc pan Zygmunt, rad nie rad, musiał jój wreszcie wyjawić to, co dotąd ukrywał, musiał opisać ową scenę w pasiece, co się stała przyczyną wydalenia się jego z Arbuzówki, które składał dotychczas na jakieś urojone zajście swe z prezesową. — To dla biednej kobiety było ciosem nader bolesnym, zraniło macierzyńskie jój serce, upokorzyło jój próżność, znicestwiło błogie marzenia, znękało ją i przygnębiło okropnie; ale téż i zreflektowało ją trochę. — Wyplakawszy się ze spazmatyczném łkaniem rzewliwém, sama wreszcie uznała, że wypada z panem marszałkiem mieć się na ostrożności. — Ale-ż, Boże mój drogi! — skarżyła się biedaczka — jakież to położenie nasze okropne! a raczej, jakie społeczeństwo spodłone?! Czyliż dlatego, że nie mamy majątku, to już każdemu, kto go tylko posiada, wolno dziś naszą córkę znieważać, patrząc na nią, jako na przedmiot łatwy do osiągnięcia gwoili chuciom bezecnym?! I czyli-ż każda piękna, lecz uboga dziewczyna, w oczach takich paniczów za igraszkę tylko uchodzi?!

Nie pan Zygmunt na to nie odpowiedział, nie chcąc jój rozżalenia powiększać i kłócić jeszcze bardziej z tym losem, z którym tak trudno przychodziło ją zgodzić. Zwrócił się tylko do poprzednich swych myśli względem wizyt pana marszałka, i po chwilo-
wój naradzie postanowił nie wypowiadać swego domu, ale tylko Helenkę usuwać mu z przed oczu, w razie jego odwiedzin do Kurezyckich ją wysyłając.

Zmiarkował, że tak będzie ze wszech miar lepiej, bo i gościowi, i sobie oszczędzi zbyt drażliwej rozmowy, a żony swój i matki nie pozbawi rozrywki, jaką, po stracie Sławockiego i po rozstaniu się z księdzem wikarym, już tylko w towarzystwie pana marszałka miały. W Raczkach bowiem, choć było kilka domów szlacheckich na przedmieściu, stanowiącém wioskę bardzo rozległą, rozdzieloną na kollokacye, państwo Widzey nie chcieli szukać z niemi stosunków, a raczej, prawdę rzekłszy, nie mogli; bo gdy raz, namówieni przez miejscowego proboszcza, wybrali się z nim w odwiedzinę do jednego z wielmożnych kollokatorów, doznali tak zimnego przyjęcia, tak z góry i tak protekeyonalnie byli potraktowani, tak wreszcie upokorzeni zostali rewizytą oddaną przez samego tylko gospodarza domu, bez żony, i to jeszcze w stroju wcale nie wizytowym, iż nietylko pani Amelia, ale nawet pan Zygmunt na chwilę uczuł się przygnęcionym stanowiskiem swoim społecznem. Ma się rozumieć, że się umiał znaleźć z panem Świstalskim, że go sam tylko przyjął we własnym swym pokoju, jak jakiego interesanta, a wynalazł dlań taką rozmowę, w której na jaw wydobył całą jego nicłość moralną i umysłową i schłostał najstraszniejszą ironią głupią jego butę szlachecką, zapleśniałe przesady i zupełną ciemnotę, co do potrzeb czasowych i życia intelektualnego w kraju; ale w tém wszystkiem musiał gwałt sobie zadać największy, bo ironią dotąd

nigdy nie walczył; sam siebie nawet za to potępiał, wszelakoż miał sobie za obowiązek tak, a nie inaczej, postąpić, nietylko za łzy swój żony, która nie mogła złożyć z serca krwawej urazy, ale jeszcze bardziej dlatego, że taki pan Świstalski był dlań jakby przedstawicielem wszystkich kollokatorów z Raczek, o których dość miał czasu nasłuchać się różnych anegdot, co mu do głębi żalem i oburzeniem zaczęło serce przejęły.

Owoż zmuszony z całą swoją rodziną zamknąć się tylko w ciasnym kółku domowem, ledwie raz na dni dziesięć widując księdza Anastazego, raz na tydzień proboszcza, który, mimo swojej zachości, mimo wysokich cnót kapłańskich, nie miał dość ujmujących towarzyskich przymiotów, pan Zygmunt, jak-żeśmy rzekli, postanowił do czasu tolerować pana marszałka, na pociechę biednej swój żony, której nie mógł za złe uważać tęsknoty do stosunków ze światem, bo i sam do nich tęsknił niekiedy, lubo miał więcej od niej sposobów do zapełnienia próżni nieczynnego z przymusu życia.

Sama już praca gorliwa nad zachowaniem w dawnym blasku i sile rodzinnego ogniska, nad podtrzymaniem ducha swojej matki i żony, nad pokrzepianiem bolejącej skrycie Helenki, nie dawała mu czasu na nudę. Korzystając, jak dawniej, z ksiąg i gazet pana Erazma, które ksiądz Anastazy z poczty mu przysyłał, głośną lekturą i rozmową pouczającą wiele

godzin na dzień zajmował, odrywając myśli swojej rodziny od gorzkich chwil obecnych i od troski o przyszłość; zaprowadził poranne i wieczorne wspólne modlitwy i czytania Pisma Świętego, co też bardzo skutecznie przeciw zwątpieniu i apatyi działało; nadto zaś, chcąc koniecznie jakiś żywszy interes w swe domowe życie wprowadzić, starał się najusilniej przejąć swoje kobiety współzuciem dla tej sprawy, co, od czasu jego ruiny, głównym i jedynym celem dlań była; nieustannie więc wypowiadał przed niemi swe pragnienia poczeiwe względem wielkiej reformy w bycie drobnych officyalistów; nieustannie w barwach uroczych malował tę pozycję, jakiej pragnął dla siebie, jakiej prawie był pewnym, gdy, jako rządca generalny włości rozległych, będzie mógł swe teorye na praktykę zamienić i swych podwładnych poprowadzić do szczęścia przez moralną oświatę. — Starania te serdeczne nie całkiem pozostały bez skutku. Helenka, co najwięcej do boleści miała powodów, dzięki im, dzięki pracy nad Ignasiem i Józią, jako też i nad Kurczyckimi, potrafiła utrzymać największą swobodę ducha i największą rzeźwość umysłu; babka jej, a nawet matka, nieraz także zapominały o swych troskach i smutkach, od których, jeżeli się nie zupełnie otrzęsły, to jedynie dlatego, że w tém życiu brukowém, które im się wlokło z dnia na dzień, bez pewności dnia jutrzejszego, nie mogły się regularnie urządzić i niczém się stale zaprzętać. — Cieszył się

więc pan Zygmunt z rezultatu swoich zabiegów, a nie było dlań nic miłszego, jak kiedy tak potrafił dzionek swój zapełnić, że nikomu ze swojej rodziny nie dał czasu na smutne myśli, w nieczyjém oku leżki, na nieczyjém czole chmurki nie ujrzał.

Tak zaprzętnięty poczeiwie, z drugiej strony ciągle mając na sereu sprawę officyalistów, najtroskliwiej się starał o bliższe poznanie się z tą klasą, o gruntowne zbadanie wszystkich jej wad i zalet, sposobu jej myślenia i zapatrywania się na obowiązki swoje. Dlatego-to niebawem, trochę za pośrednictwem proboszcza, trochę przez Kurczyckiego i Łypińskiego, zaznajomił się z kilku ekonomami kolkatorów Raczkowskich, a znów przy tych ostatnich, na niedzielnych jarmarkach, zbliżył się i do innych z okolicznych majątków. Czasami zapraszał ich do siebie na fajeczkę i pogadankę, czasami zaś w oberży u starego Abrama, co słynął z wybornego wiśniaku, gwarzył z nimi po parę godzin, wybadując stan ich moralny, a nie skąpiąc zdrowej nauki.

Zajdźmy na jedno z tych ekonomskich posiedzeń, a może się czegoś dowiemy, co nam w ogólnych bodaj rysach da poznać ten proletaryat szlachecki, którego chcąc dokładny obraz nakreślić, wiele-byśmy tomów zająć musieli.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Hotel pana Abrama był jednym z najcelniejszych w miasteczku, bo miał obok wielkiej wozowni aż trzy pokoje, raczej ciupki gościnne, wybielone wapnem z sinym kamieniem, co je gwarantować miało od jednej z plag egipskich, zastawione sprzętami należycie brudnymi i gęsto obwieszane na wszystkich ścianach zegarami najrozmaitszych kształtów i miary; jedne były w ramach złożonych, drugie w szafkach za szkło poprawne, inne misternie do pejzażów zastosowane, gdzie na skale stał zamek z cyferblatem na baszcie, a nieopodal wiatrak na dobre machający skrzydłami; inne znów przedstawiały lwy, tygrysy, lub zbójców dziko rzucających oczyma; przy jednych maszerowały nieustannie szyldwachy, z drugich zaś co godzina wyskakiwały kukulki, wtórujące dzwonom swym głosem,—i tym podobne dziwy; a wszystkie ciągłym ruchem perpendykułów, gwarem *tiktaków*, warczeniem kółek przy wybijaniu godzin, dźwiękiem, brzękiem, kukaniem, szczególniejsze wrażenie sprawiały na podróżnych, którzy nieraz, zwłaszcza nocując, musieli opozycyą im stawić i mitygować ten chaos, od którego w uszach szumiało, w oczach się

émilo i w głowie się maciło każdemu, oprócz chyba Izaaka, syna Abramowego, co był zegarmistrzem z professyi i właścicielem tego gwarneho towaru. On jeden nietylko tym hałasem nie przykrzył, ale się w nim kochał namiętnie, i nie posiadał się z wielkiej radości, gdy naraz ze dwadzieścia zegarów wybijało dwunastą ze wszelkimi akcesoryami.—Prócz tej ozdoby, hotel pana Abrama posiadał jeszcze jedną, godną także uwagi: były to akwarelle czystej szkoły hebrajskiej, przedstawiające oblicza kilku mądrych rabinów, oraz sceny z Pisma Świętego.

Owóż w jednej z takich izdebek zastajemy pana Zygmunta w gronie kilku officyalistów, co zasiadłszy przy okrągłym stole, raczą się austryacką herbatą, dolewając bądź rumu fabryki pana Abrama, bądź wiśniaku z pod tejże firmy. Figury to wszystko typowe i wielce charakterystyczne, choć im nie brak tej wspólnej cechy, w jaką mniej więcej każda stała professya ludzką postać obleka. Lica ich ogorzałe, czerstwe, rumiane, oczy bystre, iskrzące, ręce muskularne, żylaste, twarde, głos energiczny, szorstki, ruchy zamaszyste, mowa rubaszna, pełna zwrotów dobitnych i wyrażeń ludowych—wszystko to, obok świtek i burek z bai, obok butów juchtowych z długimi cholewami, i różnych akcesoryów drobniejszych, harmonizujących z całością, świadczy, że są to ludzie w pracy zahartowani, bardziej nawykli do otwartego nieba, do upału, wichru, słoty, niż do strzechy zacisznej,

częścięć hukający w lesie lub w polu, niż gwarzący w kółku domowém, częścięć z wiejską gromadą, niż z kompanią szlachecką.

— Cóż, panie dobrodzieju? — zagadnął jeden z nich Widzkiego, pokręcając wąs zawieszisty — ciągle na *burku taj na burku!* Czy nic nie trafiło się dotąd?

— Trafiało się, ale nie to, czego bym sobie życzył — odrzekł pan Zygmunt, — wolałem więc jeszcze poczekać.

— Czekaj tatko latka! — zaśmiał się pan Śmiski. — Oj, to czekanie!... Kosztowałem ja jego, *taj* jeszcze smak pamiętam do dziś dnia! Wyrzucili mnie, panie, jak raz po żniwach, i po prostu *zarznięli!* Bo to, panie, i kapusta na grzędach, i kartofle, i buraki w ziemi zostały, i co z chłopami posiało się na wspólnie, wszystko poszło do kata, bo rozrachować się z nimi już nie było sposobu! A co zmarnowało się, panie, różnego dobra, niech ręka boska *bróni!* Jak się zawziął pan dziedzic, tak *won* we dwadzieścia cztery godziny! żeby ani śladu po tobie nie zostało! Gwałtem zabrali manatki na podwoły, wywieźli na granicę *taj* zwalili, panie, wszystko na kupę w czystym polu. Rób, co chcesz! A tu jak wytnie deszcz! tak, panie, gdzie jaka mąka, gdzie jakie krupy, gdzie jaka garsteczka zboża, — wszystko przepadło! sparzyło się i stęchło! Odzież i pierzyny nawskroś poprzemakały, sprzęty popaczły się i po-

rozklejały, a co natłukło się różnych czerepów, co poprzepadało różnych drobiazgów, Boże miłosierny!.. ot ruina, panie, *taj hodi!* Cały dzień żona i dzieci przesiedziały pod gołym niebem, na słońcu, jak te cygany, pilnując swęj mizery i gorzko płacząc z żalu, głodu i chłodu, póki ja wreszcie nie sprowadziłem podwód i nie zabrałem się do miasteczka z całą chudobą. A cóż to było kosztu! co ambarasu, panie! I gdybyż na tém koniec; ale nie! Z alteracyi, panie, moja baba poroniła, a z przeziębienia dwoje dzieci dostało *frybry* i od razu w domu lazaret, na całe trzy miesiące! Gdzie była jaka *kopiejka*, wszystko poszło na leki, a potem na przeżycie trzeba było sprzedawać i krowy, i koniki, i bryczkę; bo, panie, aż do św. Jana nie mogłem znaleźć służby, a licho mi jeszcze nadało pozywać się z dziedzicem!...

— *Bodaj czort z bogatym pozywawsia, a z dużym borowsia!* — zawołał pan Zuzulewicz, krępy, przysadkowaty, z twarzą okrągłą jak dynia i czerwoną jak burak, z wąsami podstrzyżonemi i z głową łąsą jak kolano, z której aż para buchala, po trzech szklankach herbaty, zaprawionęj suto wiśniakiem.

— Oj, co prawda, to prawda! — podchwycił Śmiski. Straciłem się tylko na *herbowy* papier, i jeszcze mnie okrzyczeli, *taj* koniec, i nikt w całym powiecie nie chciał mi dać żadnego obowiązku.

— *Wyhraw bałko sprawu: wziaw w szkuru, taj do*

domu wernuwsia! — strzelił znów Zuzulewicz przy słowiem.

— Święta prawda! dostałem, panie, dobrego *basamana!* pięć lat już odtąd minęło, a jeszcze *wyczuchać* się nie mogę! — zakonkludował Śmiski z westchnieniem.

— I za cóż to — zagadnął Widzki — tak się dziedzic zawziął na pana?

— *Detyna każe szczo byta, a ne każe za szczo!* — ozwał się znowu Zuzulewicz.

— Za co? — odparł pan Śmiski. — Ot tak z *dobroho dywa!* przyczepili się, panie, *naumyśnie*, bo chcieli przyjąć kogo innego.

— Ej-że serce, Karolu! — zawołał Zuzulewicz — uderz-no się w piersi a wyznaj, żeś sam sobie biedy narobił. *Czort by diatla znaw, kołyb ne jcho nis!* Któżbo widział tak robić? Trafiła się zaraza na bydło, zdechło dwadzieścia byków: a ty, serce, podałeś, dwadzieścia cztery, cztery co najpiękniejsze *przedalszy* żydom.

— Bajki, panie! — krzyknął pan Śmiski, uderzywszy w stół pięścią.

— Nie bajki, serce! nie bajki! pokpiłeś sprawę, i kwita! Gdybyś miał ten rozum i nie zadzierał się *potemu* z parobkami, co *padlinę* zakopywali, a to lichu tobie nadało zrobić gwałt na nich za to, że ukradkiem ze zdechłych sztuk zdzierali skóry, czego dziedzic mocno zakazał, i nosili je w nocy do miasteczka

na sprzedaż. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi! Nie bajki!

— Bajki! bo nie cztery, a tylko trzy.

— Niech sobie, serce, i trzy, zawsze to *taki* na jeden raz za wiele, a niezgrabnie i nieostroźnie.

— Gadaj zdrow, panie Ignacy! a sam to nibyś zgrabniejszy! Lepiej udało się tobie z tym piecem wapna, co go dziedzic upolował z gończemi! Cha, cha, cha! to *dopiro* zwierzyna! Puścił się, panie, z fuzyą za lisem i zrobił jegomości konfuzyę! cha, cha, cha!

— Śmiej się zdrow, serce, Karolu! — odrzekł pan Zuzulewicz, a twarz mu poczerwieniała jak indyjskie korale i pot na łysinę wystąpił. — Śmiej się, ile zechcesz, ale ja *taki* miał trochę więcej rozumu od waćpana. Ja sobie wyszykował wszystko należyte, upatrzył miejsce ustronne za lasami i za górami, w jarze głębokim, nad rzeczką, w takiej dziczy, że tam może przede mną nigdy noga ludzka nie była. Tam ja dwie zimy bił oczeret, przez dwa lata piec stawiał, pomaleńku, ukradkiem, przy pomocy starszego syna, szwagra i pasiecznika, któremu za to obiecał dwadzieścia *karbowanieów*. Zdawało się, że wszystko pójdzie jak z płatka. I naprawdę wypaliło się wapno, a nikt nawet dymu niespostrzegł. Ależ trzeba, panie, serce, nieszczęścia! Zachciało się panu polować, psy wypędziły lisa i dyabli go ponieśli wprost na moją wapniarkę! Pan za nim! (a bodajby

pierwój kark skrecił!) i przepadła moja krwawica! Ale człek się wykrecił! Tylko mój Stefcio musiał grzbietu nadstawić, bo ja wszystko na niego zwałił i, dla satysfakcyi pańskiej, wygarbował mu skórę.

— A miałeś ty sumienie?! — zawołał z oburzeniem pan Śmilski, — własne dziecko, panie, paskudzić i mordować za swoje grzechy!

— Ej, panie, serce! jemu to nie nie szkodzi; on i tak nigdzie służyć nie będzie, bo mu we łbie nie spełna, a za basy dostał nowy surducik, żeby miał czém się pocieszyć. Cóż ja miał robić? Inaczéj pewno i mnie-by wypędzili, tak jak ciebie, serce, Karolu; a któż ma ojca ratować, *kiedy* nie syn rodzony? toż jemu i przed Bogiem z tego zasługa.

— Sprytny! niéma co gadać! — zawołał pan Harmacki, marszałek dworu, człowieczek niewielki, ale fertyczny, i elegantem pachnący, z wąsikami w górę podkreconemi, z włosiem pomadowanym, w cienkiej bieliznie, w surduciku kortowym, przy zegarku i w mocno wyglansowanych butach. Sprytny! ale za takie grube spekulacye nie wadziłoby żebyś powędrował z kijeczkiem.

— *Howory Hryciu Bohorodyciu, a ja budu Otcze nasz!* — odezwał się pan Zuzulewicz. Ejże, serce, marszałku! *Taki ja dobry kucy, jak ty z chwostom.* Ty cienko spekulujesz, ale grubo worek ładujesz. Ja myślę, że rok rocznie z różnych *pokupek* musisz przynajmniej ze dwieście *rubliaszów* uskubnąć, nie

licząc tego, co później z prowizyi szarpniesz w naturze. Powiadają, że gdyby zajrzeć do twojej spiżarenki, toby się tam znalazło i herbaty, i kawy, i cukru, i bakaliij, i korzeni, i przeróżnego dobra więcej, niż tu w sklepie u Berka. A jak téj zimy nabierałeś w Tulczynie sukna na liberyę dla całego dworu, to słyszę, serce, marszałku, że sto pięćdziesiąt rubli zarobiłeś od razu, oprócz sajety, którą kupiec dał tobie na garnitur.

— *Se są de bagatel!* — odrzekł pan Harmacki ze śmiechem — każdy sobie radzi, jak może, aby wilk syt, i koza cała. To mój dochód jedyny, słowo honoru! bo przecież ani z toku, ani z lasu nie wezmę. Trzy lata przesłużyłem na jedném miejscu, a nie się po mnie nie pokazało i państwo ze sprawunków zawsze kontenci, i na wielki rozchód nie narzekają.

— Ono to tak! — rzecze na to pan Faustyn Tryfonowicz, mężczyzna czterdziestoletni, dość pięknej twarzy, mocno ogorzały, z gęstym czarnym zarostem wąsów i brody, i z rozczochranym kruczym włosiem na głowie, przyczém oryginalnie odbijało wysokie czoło, śnieżnej prawie białości, o brwiach szerokich, stykających się z sobą nad oczyma, z których wyblyskał jakiś wyraz ponury, stanowiący główny charakter całej jego fizyognomii. — Ono to tak! — powtórzył; — ale i te woły, i wapno, i pokupki, wszystko to nieczysty interes.

— Haj, haj! serce panie Faustynie! tobież to

o tém gadać?! — rzecze, chwiejąc głową z politowaniem, Zuzulewicz.

— Albo co? — ofuknie się groźnie pan Faustyn. — Może i ja wapno palilem?

— Na co waćpanu wapno? Macie wy lepszy sposób; dobrze my o tém wiemy! Albożto nasi chłopci raz wam płacili sztrafy, i od swoich czy mało ich bierzecie? mało się nagrabcie siekier w lesie i bydła w polu? Mało nawydzieracie kopiejek i rubelków za wykup? A dwa miesiące temu, czy nie sprzedaliście aż pięćdziesiąt toporów niewykupionych?

— No, to co? — zagadnął dumnie Tryfonowicz. — Możebyście chcieli, żebym pozwolił pospasać wszystkie łąny i wszystek las wyrąbać?! Toż mi sumienie każe pilnować pańskiego dobra!

— *No seło luděj duryty!* — odparł Zulewicz ze śmiechem. Nie o pańskie to dobro, panie serce, wam idzie, tylko o własną kieszeń. Pan i dziesiątej części z tych sztrafów nie odbiera.

— A gdyby i tak? — odeiął się znów pan Faustyn — toż mu przez to nie nie ubywa; to mój własny, najniewinniejszy w świecie dochód, a nie jakieś szachrajstwo!

— No, no, mniejsza tam, panie, o to! — wdał się pan Śmiski. — *I puryc gerecht, i bałabusta gerecht.* Na toż kurka grzebie, żeby coś wygrzebała; na to człowiek, panie, pracuje, żeby coś zapracował. Aby sumienie czyste — to grunt!

— Masz pan rację! — rzekł na to Widzki — aby sumienie czyste, aby uczciwość niepokalana! Dla nas, biedaków, to rzecz najgłówniejsza, to najlepszy zarobek! Tylko sumiennym pełnieniem obowiązków i uczciwością możemy się podnieść z tego poniżenia, w jakim dziś nasza klasa zostaje, dorożyć się lepszej pozycji moralnej, a z nią i materyalnej, uniknąć poniewierki i wzgardy, zabezpieczyć się od podobnych wypadków, jaki pana Śmiskiego spotkał, i jaki nie jednemu się trafia, przez to tylko, że dziś panowie całkiem stracili wiarę w uczciwość oficyalistów swoich, czemu samiż oficyaliści winni.

— Święte słowa! — zawołał z przejęciem się głębokiem Obrocki, siwowłosy, chudy staruszek, w długiej szarzej kapocie, który dotąd siedział na stronie przy osobnym stoliku, wsparty na łokciu, i w milczeniu, powoli, pykał sobie luleczkę.

— Święte! niema co gadać! — podchwycił Zulewicz. — Ależ panie, serce, z naszym obywatelstwem często gęsto uczciwość nie zda się i psu na budę! Ot na ten przykład: wiadomo całemu światu, jak uczciwie sam pan służyłeś, a cóż z tego, panie, serce, za korzyść? koniec końcem, siadłeś na bruku!

— Tak; ale ja sam podziękowałem za służbę — odrzekł na to pan Zygmunt.

— Aha! bo Sadłowieccy zaleli sadła za skórę! — zawołał pan Harmacki ze śmiechem.

— Oj ci Sadłowieccy! — wykrzyknął Śmiski.

— Wszyscy oni na jedno kopyto!—dorzucił Tryfonowicz ponuro. — U nich pies pokojowy więcej znaczy, niż officialista! Brat mój młodszy dziewięć lat w jednym skarbie przesłużył, pracując jak wół jaki; a jak go przy restauracji gorzelni, belka, spadłszy z piętra, przybiła tak, że, pokawęczawszy cztery miesiące, Bogu ducha oddał, to pan obywatel, nietylko jego wdowie za ten czas pensyi nie zapłacił, ale ją *taki* zaraz po śmierci męża z trojgiem dzieci z chaty wypędził.

— To u nas trochę lepiej — podchwycił Zuzulewicz — rok temu, panie serce, umarł stary kasjer pocziwizna, co piętnaście lat u nich służył, a nie zebrał sobie nawet na pogrzeb, ani na żałobę dla żony, tylko ją przy skonaniu pańskiej łasce polecił, a oni, panie serce, dali jój w dożywocie chłopską chatę z ogrodem. *Bih me, szczo prawda!*

— A bodajby sami na taką zeszli! — wykrzyknął Tryfonowicz z goryczą.

— Otóż panu dobrodziejowi uczciwość i sumienie! — zawołał Śmiski. — Służ, jak pies najwierniejszy, nie dośpij i nie dojedz, rozbijaj się o pańskie dobro, jak o własne, i cóż z tego za korzyść? Przy takiej pensyi, jak oni płacą, pewno nie dosłużyysz się niczego; *tilki zysku, szczo w pysku*; a jeszcze jak mu jaka mucha siądzie na nosie, to cię do stu dyabłów wypędzą, albo sam od nich *dasz drała*.

— Oj, oj, czy raz tak bywa?—rzecze na to Har-

macki — ja sam uciekałem dwa razy, bo dawniej miałem krew bardzo gorącą i nie umiałem zmilezcć. Poszedłem na służbę do pana Skubalskiego, co to, administrując sierocemi majątkami, wyszedł na magnata. W pierwszym zaraz tygodniu zausznicy zrobili na mnie plotkę, i on, nie rozpatrzywszy sprawy, z góry na mnie: — A ty złodzieju! — A ja jemu: — Alboż to ja administrator?— Tak on za łaskę z kąta, i do mnie! A ja za krzeselko! *Że wu pry!* On zbłądł jak ściana, i nuż dzwonić na służbę; a ja w nogi, na bryczkę, i tyle mnie widział! Wyrzekłem się nawet rupieci.

— *Poły wryż a wtikaj!* — wtrącił Zuzulewicz.

— Potém znów—ciągnął dalej Harmacki—u sędziego Rypunowicza, co także wielki pan, choć ludzie pamiętają, jak ojciec w Galicyi, z przeproszeniem, swiniami handlował — byłem na dworskim stole z pisarzem prowentowym i z ogrodnikiem Niemcem, także kawalerami; a jadałismy razem z pannami służącemi, pod dozorem stariej klucznicy, co nas gorzej niż psy karmiła, bo takiego barszczu albo krupniku, jaki nam ona co piątek i co sobota dawała, to doprawdy i psy chleptać nie chciały.

— A tak, tak! — zawołał Zuzulewicz — po wielkich dworach tak bywa! *Jak nawaryt' Lucia, to ne schocze jisty i ciucia*.

— Inni krzywili się i milezeli, a ja nie mogłem. Raz i drugi dość ostro wymówilem imości, a za trze-

cim całą wagę zielska zaprawionego kwasem wylałem precz przez okno. Klucznica poleciała na skargę do jaśnie pani; jaśnie pani mnie zawołała i dalejże wecować! — A ty jakiś, błaznie — powiada — jak śmiałeś coś podobnego zrobić?! Kiedy ci u mnie chleb nie smakuje, to ruszaj precz ze służby! Delikacik! czy na marcepanach wyrosłeś, pasąc chlewnię u swych rodziców? To, co wylałeś, ja ci każę zebrać garściami i zjeść z koryta! — A ja ję na to: — Może jaśnie pani sama spróbuje, czy paskudztwo takie jeść można, bo ja, z przeproszeniem, nie świnia!

— *Ouwa!* — zawołał, śmiejąc się, Śmilski! — to już było *de grubis!*

— Bogiem a prawdą, ja to powiedziałem bez żadnej złej myśli; ale ona myślała, że ja do niej świnie przymierzam, i jak przyskoczy do mnie! — Łotrze ty jakiś! ja ci tu każę zaraz dać batogami! Hrubinski! — zawołała przez okno na koniuszego, co w tę porę przechodził — staw się tutaj natychmiast z dwoma kozakami! — *Mersi!* nie głupim czekać! zanim się ona odwróciła od okna, już ja byłem za progiem. Pode drzwiami stała podła klucznica, pod słuchując, co z tego będzie: więc ja ję na pożegnanie wyciąłem w nos tęgiego byka — *o rewuar madam!* i, dopadłszy swojej stancyjki, chwyciłem tylko burkę i zawiniątko, i dalej w świat na szkapce!

— *Heraus Hryciu, komisar ide!* — zaśmiał się Zuzulewicz.

— Ależ to z pana dobrodzieja impetyk! — zawołał pan Śmilski, — jak można tak się zapalać? Żeby przyszło uważać na każde, panie, słowo, to człek-by nigdzie miejsca nie zagrzał. Nasi panowie bardzo *paszczekowaci*: jak się który rozzłości, to zaraz nawymyśla, ale i cóż to szkodzi? *Łajka bajka*.

— *Jeż borszcz z hrybami a derży jazyk za zubami,* — dorzucił Zuzulewicz.

— Zachciełście! — odrzecz pan Harmacki — byłem wtedy młody, sam na świecie, nie było o co dbać; a dziś, z żoną i z dziećmi, nieraz zmileczę, choć boli.

— Słusznie! — rzekł na to Śmilski — bo i cóż, panie, robić? żeby to, jak porzucisz jednego, znalazł się drugi, lepszy, toby jeszcze pół biedy; a to panie, najczęściej trafisz z deszczu pod rynnę.

— *Rodom kury czubaty!* — zawołał Zuzulewicz. — I ja tego szczęścia probowałem, ale jak zmiarkowałem, że: *czy sowoju w peń, czy sowoju w duba, a wse sowi buba*, to już siedzę na jednym miejscu, póki nie wypędzą. *Tiahny kobyło, choc tobi nemyło!*

— Ba! nie każdy taki filozof! — rzecze na to Harmacki — inny powiada: *choťby hirsze, aby insze*. Ja nawet i dziś jeszcze wolę sam z placu ustąpić, niż czekać, póki nie wypędzą; bo to wstyd.

— Gądaj pan jeszcze o wstydzie! — wykrzyknął Tryfonowicz — już sama nasza służba jest tylko wstydem i niezem więcéj! bo nasi obywatela sługi za

stworzenie boskie nie mają! U nich officyalista to pomiotło ostatnie! bodajby Bóg ich skarał!

— Jakże panowie chcecie — rzecze na to pan Zygmunt — żeby inaczej było? Z tego, co od was słyszę, widzę, żeście sami przyczyną poniżenia i wstydu, na które się skarżycie.

— A toż jakim sposobem? — zagadnął Tryfonowicz z urazą.

— Nie szanują was, bo sami się nie szanujecie — odrzekł pan Zygmunt.

— W czymże to, panie dobrodzieju? — zawołał pan Harmacki — toż my się nie walamy po szynkach, nie bratamy się z chłopstwem, ani z żadnem szmatłajstwem, ani jedni z drugimi za łby się nie wodzimy. Słowo honoru! jesteśmy ludzie porządni, *kom il fo*, jak się mówi po francusku; a u siebie żyjemy po chrześcijańsku, jak Bóg przykazał.

— To niechże mi — odparł pan Zygmunt — wytłómaczy kto z panów, jak może z chrześcijańskiem życiem się zgodzić taka na przykład sprzedaż wołów skarbowych na swoją korzyść, takie kryjome wypalanie wapna, takie urywanie z zakupów i ze spiżarni, takie nareszcie zabieranie *sztrafów* dla siebie?

— Albo co? — rzecze pan Śmiski z nieudaniem zdziwieniem.

— Jakto co? jest to nadużycie haniebne, a mówiąc po prostu — kradzież!

— Bóg z wami, panie serce! — wykrzyknął Zu-

zulewicz zgorszony — gdzież kradzież? alboż ja, panie serce, wziął co u dziedzica z kieszeni? alboż ja jemu jaką krzywdę zrobił? Ja sobie znalazł kamień wapienny tam, gdzie jego nigdy nie bili, nałamał oczeretu do wypalania, którego nigdy do skarbu nie używali; to *naj mene choz cyhan sudyt*, czy ja szachraj, czy złodziej, i czy mnie pan nie skrzywdził, zabrawszy moją krwawicę?

— To czemużes pan jawnie tego nie zrobił? czemuś nie poprosił dziedzica, żeby ci sam na to pozwolił?

— Temu, panie serce, że on-by nie pozwolił, *bo pes sina ne jist' i korowi ne dast*.

— Prawda! — zawołał Śmiski — ot jak z temi wołami, co pan dobrodziej także nazywasz nadużyciem, czytam kradzież, a przez które jednakże moje sumienie czyste. Jak tylko w okolicy pokazała się zaraza, tak jak powiedziałem dziedzicowi: trzeba nam, panie, sprzedać wszystkie woły, bo ich dyabli *wezną*! Rozumna była rada! Cóż, kiedy nie posłuchał! Patrząc ja, aż no u chłopów już bydelko padać zaczyna! Co tu robić? u mnie, panie, w trzodzie skarbowej cztery woły jak sokoly, takie gładkie, *zdrowe*, co aż popatrzeć miło! jeden w drugiego, komu nie trzeba, wart po czterdzieści *karbowanów* przynajmniej. Myślę sobie: zdechną, panie, jak nie! i tak mi żal, że aż za serce ściska! Co przyjdę do wołowni, a spojrzę na nich, to mi łzy same ciurkiem z oczu płyną!

Niéma rady! trzeba ratować! Nuż ja do miasteczka, pogadałem z żydami; sztuka w sztukę zgodzili się po piętnaście rubli. Kazałem byki odpędzić w las do pasieki, niby dla bezpieczeństwa, dziadowi szepnąłem słówko, i lżej mi się zrobiło na sercu. Aż w tydzień przyjeżdżają żydzi z pieniędzmi, płacą mi, ale tylko za trzy. — A czwarty? — *Zdech!* — powiadają. Ja do pasiecznika! a on: *taż wony wsi podochły, jak pan wkomon znaję, a jiden to taki sprawdzi!* — *A deż win leży?* — *Nema wże! wówki zżyły i kostoczki poroznosyły!* Ukradł szelma! Ale cóż było robić? A potem, panie na folwarku jak weźmie się zaraza, jak zacznie łupić, tak het wylupiała wszystko co do nogi! Jak amen, w pacierzu, tak i tamte byłyby zdechły; to czyż nie lepiej, że *ich* wyratowałem jakoś? i czy nie miałem prawa panu zaraportować, że nie zostało ani jednej sztuki?

— *Mudrahejl kuropatiu zjiw, taj każe szczo sia widhryzła!* — zaśmiał się Zuzulewicz.

— A pieniądze? — spytał pan Zygmunt — czy pan wniosłeś do kassy?

— Nie głupim, panie dobrodzieju! toż ja radziłem sprzedać: czemuż dziedzic nie słuchał? A jak bez jego woli udało się coś uratować, to już moje szczęście, to mnie Pan Bóg dał! Co z woza spadło, to przepadło! Na co tłusty poleć smarować?

— Więc pan cudze zabrałeś?

— Jakie cudze? toż *oniby* i tak, panie, przepadły.

— Ej, panie Śmiłski! — podchwycił pan Harmacki — Bogiem a prawdą, to *taki* nie gładka robota! słowo honoru!

— A wasza, panie, gładsza z zakupami i ze spiżarnią?

— Co gładsza, to gładsza! bo najpierw ja umiem tak wytargować, że, mogę na to przysiądz, gdyby ktoś inny kupował, toby za wszystko drożej płacił; śmiało więc, co wytarguję, to mogę za fatygę sobie policzyć; a że kupiec coś mi daruje, to już taki zwyczaj na całym świecie. Powtóre, co do spiżarni i piwnicy: przede mną, u moich państwa takie było bezładzie, że kucharz brał bez wagi i miary i do domu codzień wynosił; a jak się bał jaki trafił, to lokaje całemi butelkami wino sprzątały. Ja wszystkich wziąłem w łapy, zaprowadziłem porządek i oszczędność, i mogę z czystym sumieniem, choć połowę tego, co z mojej łaski zostaje, na swój dochód obrócić; bo pan widzi czarno na białem, że dziś we wszystkiem rozechód mniejszy, choć niczego nie braknie.

— Więc czyż dlatego — zagadnął znów pan Zygmunt — że inni kradli więciej, panu już wolno mniej?

— To nie kradzież, panie, to spekulacya — odrzekł najspokojniej Harmacki.

— Spekulacya — ozwał się Tryfonowicz — ale na cudzą kieszeń.

— A pańska ze *sztrefami* na czyją? — zapytał marszałek dworu z ironicznym uśmiechem.

— Daj-no pan sobie pokój! — odparł dumnie pan Tryfonowicz; — to tak jedno do drugiego podobne, jak pięść do nosa. Biorąc *sztrefy*, ja strzegę pańskiego dobra, bronię lasu i łąnów od szkody, a nigdy jeszcze nie skrzywdziłem ani feniga, kiedy tylko na prawdę zrabano co albo spalono; zawsze to oceniłem sumiennie: i ile tam wypadło, włożyłem do kasy. Reszta — to już moje szczęście, i słusznie mi się należy; bo ganiając za szkodnikami, nieraz i nie dośpię, i nie dojem, a czasem, to i grzbiet własny nadstawię.

— Więc stąd wypada — rzecze na to pan Zygmunt — że pan ludzi krzywdzisz dla zysku...

— A toż jak?

— Bo gdy wziętego od nich *sztrefu* nie oddajesz do skarbu, uważając, że odpowiedniej szkody nie było, to znaczy, że ten *sztref* bierzesz niesłusznie — odparł pan Zygmunt.

— Słusznie! bo to kara za złe zamiary, niespełnione tylko z łaski czujności mojej. Gdybym się nie dopilnował, toby szkoda była niechybnie!

— Czyja szkoda?

— Jak-to czyja? skarbową!

— A zatem i pieniądze skarbowe.

— Facecye! przy takiej skrupulatności człek-by przepadł ze szczeniem. We wszystkiem musi być

miara, nawet i w uczciwości; a pan dobrodziej przesadzasz.

— Ależ — odrzekł pan Zygmunt — wszak i z panów tu każdy, uniewinniając siebie, drugich jednak potępia.

— Bo, panie serce, *kuždy czuże baczyt' pod lisom, a swoho ne baczyt' pod nosom* — wytłómaczył pan Zuzulewicz. — *Kuždy* myśli sobie: *nema prawdy, tylko w meni, ta szcze w Bozi troszki!* Ale ty, panie serce, co, jak to wszystkim wiadomo, sam zupełnie jesteś bez grzechu i masz prawo sądzić *kużdego*, powiedz, jak tu żyć prawdą na świecie, kiedy nawet takie spekulacyjki, jak moja, nazywasz pan kradzieżą, i kiedy z pensyi, jaką nam płacą, wyżyć niema sposobu? *Bih me*, że niema! Panowie sami dobrze o tém wiedzą, i nie braknie pomiędzy nimi takich, co przez szpary na wszystko patrzą; bo jak tam biedny człowiek trochę się i pożywi, to taki pan przez to będzie panem.

— Niekoniecznie — odrzekł pan Zygmunt — nie jeden już majątek poszedł przez to w ruinę! A co do wyżycia, przy ordynaryi, która najczęściej bywa wcale dostatnią, człek oszczędny i rzadny, ratując się jeszcze uczciwą jaką pracą na własną rękę, z głodu nie umrze; a lepij żyć o chlebie i wodzie, niżli się spodlić.

— *Chlib ta woda, to kozacka jida!* prawda! — rzekł Zuzulewicz — ale my nie kozaki i nie burlaki,

każdy ma żonę i dzieci, o których także myśleć potrzeba. Ot, ja, na przykład, mam tego dobra, panie serce, sześcioro. Nu, niechaj sobie pięcioro pójdzie na świniopasów i pomywaczki, ale bodaj choć jedno człek chciałby wyprowadzić na ludzi. Ja też jednego synka do szkół do Niemirowa oddałem; biorę pensyi sto rubli, a na niego co najmniej ośmdziesiąt muszę wyłożyć. Nu, to cóż ja poradzę? jak z tych dwudziestu z resztą familijki wyżyję?... — I usta mu zadrżały, głos się łkaniem odezwał, a łzy po ogorzałej potoczyły się twarzy.

— A ja, panie, mam trzech wyrostków — rzekł znowu Śmילski — nie było ich za co edukować, ledwie nauczili się trochę czytać, pisać i rachować, jeden się puścił na lokajską służbę, drugiego oddałem do kucharza, a trzeciego do organisty; — ot tobie, panie i szlachta! Zawsze jednakże chciałoby się przy tém szlachectwie utrzymać i choć od rekruta biednych chłopców obronić; trzeba więc legitymować się koniecznie, a pan wiesz, co to kosztuje? Wpakowałem już dwieście karbowanów a jeszcze sto potrzeba! Skądże ich wziąć? czy z pensyi? ja tylko, panie, siedmdziesiąt pięć rubli biorę!

— A ja — podchwycił pan Harmacki — sto dwadzieścia rubli; ale oprócz żony i dwojga dzieci mam jeszcze młodszego brata, którego oddawałem i do szkół, i ot już drugi rok na uniwersytet do Kijowa posyłam, bo na nim cała moja nadzieja; jak, da

Bóg, wyjdzie na doktora, to nie da moim dzieciom zaginać, * którym ja pewno majątku nie zostawię, a nie chciałbym, żeby tak się poniewierali, jak ja, po pańskich dworach. Więc rok rocznie sto rubli bratu muszę dostarczyć, a z czémże sam-bym został, gdybym nie spekulował? Potrafiłbym ja żyć o chlebie i wodzie, choć, dopóki mam miejsce, to i z pańskich talerzy coś tam jeszcze zliżę; ale jak mię wypędzą, albo jak sam, urwawszy poły, będę musiał uciekać, to co wtedy pocznę bez grosza? Czy tak, jak Kurezycki, pójdę wozic kamienie i dzieci do skubania pierza zasadzę?

— Wierz mi pan — rzecze pan Zygmunt — że to lepsze, niż pańska spekulacya; taką nędzą i pracą człowiek się tylko uzaenia.

— Dobrze to gadać, ale nie daj Boże probować.

— Ja dotychczas jeszcze nie potrzebuję — odparł Widzki łagodnie — ale jak na to przyjdzie, pewno się nie zawaham.

— A jak panu, co nie daj Boże! — ozwał się Tryfonowicz ponuro — żona, za którą radbyś duszę swą oddał, zachoruje, jak moja, co ot już trzeci rok z łóżka nie wstaje? jak przyjdzie i do *Potapenków* i do znachorów i do cudownych obrazów ją wozic, i najlepszych doktorów, gdzie o jakim zasłyszysz, choć z najdalej do niej sprowadzać, a płacić im i płacić, i do apteki słać i słać rubel za rublem, byleby tylko uratować niebogę, byleby nie osierocić z dwojgiem

drobnych dzieciątek, co zmarnieją bez matki, przy nieszczęśliwym ojcu, któremu świat bez niej obrzydnie?! — I krew mu zbiegła z twarzy do serca, ogorzałe lica trupio zczerniały, a oczy, z pod brwi ściągniętych, dzikim ogniem strzeliły. — Staruszek, co luleczkę pykał w milczeniu, westchnął ciężko na ten argument; Widzkiemu oczy łzami wezbrały.

— Panowie moi drodzy! — rzekł z głębokim wzruszeniem — wszystko to są rzeczy bardzo bolesne, niema co gadać! Prawda, że wielką biedę znosić musicie, ale bieda podłości nie wytłómaczy, a nieuczciwość z nieszczęścia nie wydzwignie. Bóg człowieka tylko ratuje, a czyż może on podać temu rękę pomocną, kto się dyabłu zapisał?! Pańska żona trzy lata jęczy w strasznej niemocy, leki skutku nie biorą, pana rozpacz ogarnia; a pomyśl-no, czy to nie kara boża? czy do lekarstw, kupionych za grosz nieuczciwie nabyty, nie mieszają się tajemniczo łzy tych, których skrzywdziłeś, i czy nie zamieniają się w truciznę? Wozileś ją do cudownych obrazów, a czy przyszło ci na myśl, że może twój modlitwy Bóg nie słyszał za skargą uciśnionych przez ciebie! Pan znowu, panie Harmacki, *spekulujesz*, jak mówisz, żeby bratu dopomódz? pan Zuzulewicz — żeby wychować syna? Przypuszczam, że im dacie naukę, ale dacież poczeiwość? Czyż młodzież, co nie może nie wiedzieć, z jakich źródeł płynie ten dochód, za który ona się kształci, wyjdzie kiedy na zacnych lu-

dzi? czy nie będą z niej samoluby, krzywdziciele, oszusty, bez sumienia i wiary, jakich, na nieszczęście, niemało spotykamy już dzisiaj? Pan Śmilski się legitymuje, chce przywilej szlachecki dla swych dzieci zachować; ale jakaż to będzie szlachta, co swój klejnot rodowy okupi tak haniebnym dorobkiem? nie będzież to się walać po turmach, pomiędzy kryminalistami? nie takież to niekiedy kat pod pręgierzem herb na skroniach wybija? Bracia moi! czyliż nie wiecie, jaka klątwa ciąży nad mieniem z krzywdą ludzką zdobytém? czyżeście nie słyszeli, czyście nie widzieli na własne oczy, jak największe takie fortuny niera przepadają ze szczerem, przywalając swoją ruiną prawnuków za pradziadowskie grzechy? Gdybyście umieli myśleć i zastanawiać się głębiej, gdybyście dobrze rozważyli własne swe życie i wszelkie w niem przygody, tobyście przekonali się pewno, że większą połowę nieszczęść i docisków kupiliście sobie samo chcąc za grosz osiągnięty bezeenie. Wszak lud prosty powiada: cudze nie grzeje, a kradzione nie tuczy; ale to mało jeszcze! ja wam mówię, że cudze odzież dżumą zaraża, chleb zatruiwa, ogień kładnie pod strzechę i Bogu nawet na ofiarę złożone, nie łaskę, tylko pomstę sprowadza! Lepiej więc mieć pastuchów i pomywaczki z dzieci, lepiej nawet żonę najmilszą widzieć na marach, niż się ratując oszukaństwem, zdzierstwem, kradzieżą, ze czci się wyzuć i duszę zatracić! Opamiętajcież się, bracia! pomyśl-

cie, że nie o was jednych tu idzie, ale o całą naszą klasę nieszczęśliwą, o większą połowę szlachty ubogiej, co w błoto owczym pędem się rzuca; o niewinne potomstwo nasze, które, za nasze grzechy, kara boża dosięgnie; o społeczeństwo nareszcie, dla którego ręce nieczyste nie pocziwego nie sprawią!

A wyrzekł to z taką mocą, z takim zapalem, że nawet i na podchmielonych swoich słuchaczach wielkie wrażenie zrobił; pospuszczali głowy ze wstydem, i wzrok chmurny w ziemi utkwili, a ów siwy staruszek, co fajeczkę palił w milezeniu, nagle zerwał się z miejsca, przyskoczył do Widzkiego, i ściskając go z uniesieniem, zawołał:

— Oto kaznodzieja! oto prorok! A niechże cię Bóg błogosławi, mój drogi panie! O, gdyby takich więcej pomiędzy nami! możeby lepsze czasy dla nas nastały!

Inni milczeli zasępieni ponuro, aż wreszcie Tryfonowicz ozwał się gniewnie:

— Dobrze to waćpanu gadać, panie Obrocki, coś sam biedy nie zaznał, i uciulał sobie niezłą fortunkę; ale gdybyś w naszej był skórze...

— Żem fortunkę uciulał, prawda! — odparł Obrocki — przez dwadzieścia lat służby zdobyłem się na własną chatę, com ją kupił za pięćset rubli; ale nie prawda, drogi panie, żebym biedy nie zaznał. Ot, jak mię dziś widzicie, ja sam jeden doświadczyłem tego wszystkiego, co waćpanom dolega dziś każdemu

z osobna, bo i legitymowałem się, i edukowałem synaczka, i leczyłem żonę niebogę; ale, żebym tak Pana Boga przy skonaniu oglądał, ani jednego grosza nie zdobyłem szachrajstwem, ani jednego ziarnka nie wyniosłem z pańskiego śpichlerza, choć nieraz tak bywało, że po całych tygodniach ani łyżki gorącej strawy nie miałem w gębie. Bo widzisz, drogi panie — ciągnął dalej pocziwiec, mowę swą do Widzkiego zwracając, — mój pan Budziłkowski, u którego już służę jak raz dwadzieścia latek, to nie magnat, nie dziedzic, ale po prostu sobie posesor. Człek pocziwy z kośćcami, chociaż trochę impetyk i czasami uparty. Jak stanąłem u niego na obowiązek, trzymał wtedy niewielką, ale piękną dzierzawę; umówił się ze mną za siedmdziesiąt pięć rubli, ordynaryę wyznaczył porządną i pozwolił mi trzymać kilka krówek i wołów, owiec i wieprzy, i mieć własną pasiekę. Pracowałem gorliwie; on umiał na tém się poznać, i bardzo mię polubił, choć do żadnej poufałości z sobą nie przypuścił. Stałem zawsze u progu, a nieraz, jak się czego rozgniewał, jak go, na przykład, chciałem czasem przekonać, że inaczej coś trzeba zrobić, niż jak jemu się zdaje, to i osłem albo bałwanem mię nazwał, i za drzwi wynieść się kazał.

— Ot jaki! — wykrzyknął Tryfonowicz — żebyż kto dobry, a to lichy posesorzyna!

— Właśnie, że dobry — odrzekł na to Obrocki — od złego, możebym tego i nie zniósł, i od niego nawet, drogi mój panie, jak pierwszy raz potraktował mię w taki sposób, nie przyjąłem tego w milczeniu. Wnet-że mu powiedziałem: — Panu osła potrzeba, to niechże pan sobie go najmie, bo to nie moje imię. I wyszedłem, chcąc *taki* zaraz służbę porzucić. Ale on w pogoń za mną posłał lokaja, i dalejże przeproszać: — Nie gniewaj się — powiada — głupstwem zrobił, bo głupią mam naturę! a jak chcesz satysfakcyi, no, to strzelaj się do licha! — Cóż miałem robić? zaśmiałem się tylko i koniec. Na zgodę napiliśmy się wiśniaku, a nazajutrz podarował mi byczka. Było jednakże tego jeszcze nie mało, aż póki nie zmiarkowałem, że najlepiej z nim się nie sprzeczać, i swoje robić; a jak się gniewa, to mu się nie nawijać na oczy. I tak, mój drogi panie, przesłużyłem lat dziesięć. Dobrze to były lata! Na dzierżawie pan kopiejkę na kopiejkę zarabiał, i nie liczył mi tego za winę, jak czasem parę sztuk bydła znalazł u mnie więcej nad kontrakt. Dobrze więc i mnie się wiodło! Prawda, że z pensyjki nie mi nie zostawało; ale pszczołka poezciwa zawsze mi słodki zarobek dała, ale się co rok parę wieprzy przedało, a woliki moje w dwie *parowice* co rok dwa razy z pszenicą do Odessy chodziły i z solą do domu wracały. Gdyby więc nie legitymacya, tobym już wtedy dorobił się czegoś przy łasce bożej; ale nie było rady! trzeba było wyrabiać

te nieszczęśliwe papiery i z ostatka się ciągnąć! Gdybym sam koło tego był chodził, to może-by i nie kosztowało tyle; ale, nie mogąc obowiązku opuścić, musiałem na dalekiego krewniaka zdać całą sprawę, a on mnie bez miłosierdzia doił i doił sześć lat bez odpoczynku! Od razu wziął sto rubli, a potem, to po dwadzieścia pięć, to po dziesięć, to po pięć, na rozmaite dodatki i poprawki, wydarł mi jeszcze ze dwieście — Ha! myślałem sobie, Bóg łaskaw! aby zdrowie i życie, to znów się [czegoś dorobię. I pewnoby się dorobił, gdyby panu Budziłkowskiemu, co miał już ze dwadzieścia tysięcy rubli, nie zachciało się większej dzierżawy. Odradzałem mu, drogi panie, ale nie posłuchał; zaryzykował cały swój fundusz, wziął ogromny majątek na Pobereżu i wszystko stracił. Pierwszego roku bydło nam na zarazę wyginęło i gorzelnia zgorzała; drugiego wszystko wypaliła posucha; a trzeciego nareszcie, czego nie dojadła szarańcza, to rdza do ostatka zniszczyła! Moje woły i krówki także zginęły, pszczoły wymarły, a wieprzy niepodobna było już karmić, kiedyśmy sami dla siebie chleb z pośladu piekli! Ot ruina i koniec! Brałem ci wprawdzie na tej nowej dzierżawie już po sto rubli rocznie, i pan mi regularnie wypłacał; ale to ledwie na codzienne potrzeby mogło, panie drogi, wystarczyć, bo drożyzna była okropna! — Czyśmy czém pana Boga obrazili, czy na zakłętę jakieś miejsce trafili, dosyć, że nam nie wiodło się we wszyst-

kiém! bo oprócz tego panu córka umarła, mnie parę koni skradziono, a co najgorsza, moja babina ze zgryzoty, jak się rozchorowała, tak przez rok calusienki do niczego wziąć się nie mogła! Co wstanie, ledwie tydzień pochodzi, to i znów położy się na cały miesiąc! Ot z tego tobym już przepadł na wieki! albo bym się powiesił, albo bym się rozpił do licha, gdyby nie moi państwo kochani. — Z ich łaski miałem i doktora bezpłatnie, i rosółki, i kleiki, i lekarstwo dla choréj; a raz wraz, to albo sama pani serdeczna, albo która z panienek, czasem nawet po całych nocach przy niej przesiadywały, doglądając jéj, jakby najbliższej sereu. Tego im nie zapomnę, póki mi Bóg życia pozwoli! Za to ich moje dzieci przez wiek swój cały błogosławić będą, bo im to codzién w uszy i dziś kładnę, i konając jeszcze powtórzę! Ale czyż tylko tyle miałem ja od nich łaski i dobrodziejstwa? Toż i syn mój, i córka, uczyli się z ich dziećmi. Jak już przyszli do tego wieku, pan sam, ani proszony, kazał mi, żebym ich co dzień przyprowadzał do dworu. — Bądź spokojny, — powiadał, — krzywdy im tu żadnej nie będzie, uważać je będziemy za własne. I tak mię wziął tém za serce, że aż mi lzy potoczyły się bujne! — Panie mój drogi! — rzekłem, ściskając mu kolana, — niech ci to Bóg z nieba nagrodi! niechaj ci wszelkiém dobrem za tę łaskę od płaci! ale ja nie chcę, żebyście ich uważali za własne; niechaj się uczą, ale razem niechaj wam służą,

żeby się im czasem w głowie nie przewróciło, żeby się nie wstydziło swojego stanu, nie gardzili ojcem i matką! — Pan mię ścisnął serdecznie i zgodził się na moją prośbę, i tak się wychowały moje dzieciaki: Jagusia, posługując panienkom, Jędrus — paniczom; bo Jagusia sześć lat była we dworze, a Jędrus z paniczami do szkół pojechał, ale nie paniczyczować, o, nie! Uparłem się, i pan, choć z razu nie chciał, *taki* musiał na to się zgodzić, żeby i tam mój chłopiec przez trzy lata za chleb, kwaterę i naukę wysługiwał się jego synaczkom i ich guwernerowi, aż póki nie przygotował się do czwartéj klasy i nie wstąpił do gimnazjum. Wtedy służyć już przestał, bo pan dyrektor uważał, że lokajczuk nie może z paniczami na jednéj ławce siedzieć, choć niegdyś mnie samemu nie to nie przeszkadzało. — Było to właśnie w trzecim roku téj oplakanéj wielkiéj dzierzawy. Widząc, jak panu ciężko, nie mogłem na to przystać, żeby on swoim kosztem żywił dalej mojego Jędrusia; ale na szczęście znalazłem w Niemirowie dalekich krewnych, i tych uprosiłem, że, za zgodą dyrektcy, za trzydzieści rubli na stół i stancję mego syna przyjęli. A że uczył się dobrze i z nagrodą przeszedł do piątéj klasy, więc pan dyrektor zlitował się nad moją biedą i dał mu w drugim roku taką korepetycyę, że już bez niczyjéj pomocy sam o własnych swych siłach mógł w szkołach się utrzymywać. Toż w trzecim i w czwartym roku, w którym wresz-

cie wyszedł z gimnazyum, dostawszy złoty medal i pięćdziesiąt rubli w nagrodę. Teraz się uczy w seminaryum duchowném, i za lat parę, da Bóg, będzie już księdzem i nie zginie na świecie; a mnie z moją babiną słodko pomyśleć, że nas dziecko nasze rodzone odprowadzi do grobu, i u świętego ołtarza za naszą grzeszną duszę do Boga modlić się będzie.

I wzruszony zamilkł na chwilę, wzniosłszy do nieba oczy, z których łzy ciche po twarzy mu spłynęły.

— *Dywo szczo u korola żyłka chorosza!* — ozwał się Zuzulewicz, korzystając z téj przerwy. — Przy takim dobrym panu, to nie sztuka, panie serce, dać sobie radę; ale gdzież takich szukać?

— To prawda! — potwierdził Śmilski.

— Ja myślę, — odparł Widzki, — że dla takiego sługi łatwo się taki pan znajdzie.

— A czemuż dla pana się nie znalazł? — zagadnął Tryfonowicz z ironią.

— Ja nie mam przeciw panu Sadłowieckiemu, — odrzekł pan Zygmunt, — a jeśli go porzucił, to wcale nie ze służbowych powodów. Ale cóż dalej się stało z tym pocziwym dzierżawcą? racz pan skończyć, panie Obrocki.

— Oj źle się stało, drogi panie! — westchnął starszek. — Musieliśmy rzucić dzierżawę, wywędrowaliśmy prawie z torbami; bo nasz pan dziedzie, oby mu Pan Bóg tego nie pamiętał, nie tylko nie zrobił mu żadnej ulgi, ale jeszcze za tę gorzelnię kazał so-

bie grubo zapłacić, nie chcąc na kompromis się zgodzić. Cóż było robić? Kochany mój panisko, sprzedawszy ruchomości, zebrał z biedą parę tysięcy rubli i wziął małą dzierżawkę, z której i w najszcześliwszych latach ledwie-by mógł z żoną i siedmiorgiem dziateczek wyżyć. — Cóż, mój pocziwy Obrocki, — rzekł do mnie, jak już na tém stanęło, — trzeba nam z sobą się rozstać?! Myślałem, że nas śmierć chyba rozłączy; ale inaczej się stało! Niema rady! nie myśleć mnie już o ekonomach! Sam na starość muszę być panem i sługą. Ty poszukaj sobie lepszej posady; oto masz tutaj świadectwo; najpocziwшему bratu rodzonemu lepszego dać-być nie mógł! Idźże w świat, i niech Pan Bóg ci błogosławi we wszystkim, niech ci da takie dobro, na jakie pocziwością swą zasługujesz. — I rozplakał się rzewnie serdeczny! — Boże mój miłosierny! toż gdybym, zamiast serca, kamień twardy miał w piersiach, tobym i wtedy jeszcze poruszył się na taką mowę od takiego człowieka! Więc jak mu się rzucę do kolan! jak się rozbeczę! — Ach, panie mój ty drogi! panie jedyny! nie gadaj ty tak do mnie! nie gadaj! Ja mam ciebie w biedzie odstąpić? O, niech mię pierwej Bóg na zawsze odstąpi! Tyżeś mi był ojcem, nie panem! tyś mi żonę ze śmiertelnego łoża podźwignął! Tyś mi dzieci wychował! Ja wszystkie twoje piastowałem na rękę! to niechajże już przy tobie wieku swego dożyję. Mniejsza o pensyę! daj co chcesz, albo nie

nie daj; poprzestanę na chacie i ordynaryi niewielkiej, a służyć ci będę do śmierci. — I znów pocziwy starzec do łez się opowiadaniem swém rozrzewnił, i chwilę spocząć musiał, nim je mógł dalej prowadzić.

— Ścisnął-że mnie drogi panisko, ścisnął, a całował jak brata! Wyzначzył mi pensyi pięćdziesiąt rubli i ordynaryi dosyć, i przenieśliśmy się razem do Myszek. Pracowaliśmy oba, jak woły! Bóg świadkiem, że sam nieraz i za pługiem chodziłem, i snopy wozilem z pola; a moja żona z sierpem stawiała, i nie jedną kopę użęła; bo to już było w owym czasie, kiedy dla robotnika codziennie gotówki regularnie było potrzeba, a przy takiej rodzinie trudno na nią się zdobyć. Pierwszegoż jeszcze roku wziąłem swoich pięćdziesiąt rubli, drugiego zaledwie dwadzieścia pięć, trzeciego już tylko ordynaryę, a na czwarty, to i ordynaryi nie stało. Kupowałem za swoje, fantując się powoli, a dla zmniejszenia rozchodu, córkę wyprawiłem na służbę za chleb i przyodziewek. — Ot, biedny mój panisko zawołał raz mię do siebie i rzekł: — Słuchaj, Obrocki! ruszaj ty sobie z Panem Bogiem gdzieindziej, bo tu obaj marnie zginiemy. Niema co się borykać, kiedy już i chleba nie stało! wkrótce przyjdzie z głodu umierać. W skarbie Zagórowieckim potrzebują dziś ekonoma, dadzą ci pewno jakich sto pięćdziesiąt rubli; jedźże tam w imię boże, bo ja patrzeć nie mogę na twoją nędzę. — Serce mi si

ścisnęło, łzy potoczyły się gorzkie, tak mi żal było kochanego pana mojego, co z tych ciągłych kłopotów osiwił biedaczysko jak gołąb' i wysechł jak Piotrowin! Ale myślę sobie: cóż robić? ja tu nie jemu już nie pomogę, będę tylko ciężarem i zgryzotą. Pojadę do Zagórowa, a jak mi dadzą tam sto pięćdziesiąt rubli, to sam obejdę się trzydziestoma, a resztę jemu oddam. I pojechałem, i zrobiłem umowę. Ale jak przyszło wybierać się już z Myszek, jak złożywszy rzeczy na fure i zaprząwszy szkapę do bryczki, poszedłem jeszcze z moją babiną upaść do nóg panu i pani, i dziatkom ich kochanym, tak, drogi panie, ani rusz! W milczeniu skłoniłem się panu do kolan, i przykląknę, i z całej mocy objąłem je rękoma, i przypadłem do nich ustami, i zaniósłem się od serdecznego płaczu!... On mię podniósł od ziemi, rzucił mi się na szyję, biedną swą siwą głowę na ramieniu mojem położył, i słowa rzec nie mogąc z żalości, ścisnął mię tylko i drżał na całym ciele. A tymczasem moja babina u nóg pani najdroższej, jak zaczęła lamentować i szlochać, a pani sobie! jak przyskoczą do nas dziateczki; starsze i młodsze, panice i panienki, jak się zaczną wieszać u naszych ramion, a całować nas, i wyrzekać i płakać, tak, drogi panie, powiedziałyby kto, że w domu przenajdroższa jakaś duszyczka zesła ze świata, i że oto martwe jej zwłoki z trumną biorą na maryl i do grobu już niosą. No? jakże tu było takich ludzi porzucić?

jak się od nich oderwać?... Wybiegłem na dziedziniec, ledwie do drzwi trafiwszy, bo za łzami świata już nie widziałem, kazałem wyprząż konie i manatki nazad poznosić, a do Zagórowa pchnąłem posłańca z pokornym przeproszeniem jaśnie wielmożnego pana marszałka, że u niego służyć nie mogę, bom zmiarkował, że już za stary i nie zdolny do pracy. — Pan Budziłkowski, jak się o tym dowiedział, zmył mi za to głowę okrutnie i chciał mię *taki* gwałtem wyprowadzić; ale nie nie pomogło, uparłem się i zostałem u niego. — Przebiedowaliśmy jeszcze dwa lata, ale jak? to już tego i nie wypowiem. Wtedy-to nieraz chlebem i wodą, lub pieczonym kartoflem, czasem nawet i bez soli, żywiłem się z moją babiną; aleśmy nie narzekali, bo i państwo nasi kochani, nietylko że ze szkoły dwóch synaczków zabrać musieli i guwernantkę odprawić, nietylko pożegnać się i z herbata, i z mięsem, a karmić się postnym barszczem, krupnikiem, lub zacierką; ale niekiedy nawet chleba łaknęli i, głodni spać się kładąc, nie mieli nawet się przy czem rozebrać, bo i na łojówkę im brakło, i *skalkami* sobie świecili! Aż się nareszcie Bóg choć trochę zmiłował! Najstarszy panicz wyszedł na doktora, dostał dobrą służbę prywatną, i zaraz parę set rubli przysłał swoim rodzicom. Radość-że to była, Matko Najświętsza! W lepszych czasach, żeby im kto milion darował, nie zazналиby takiej pociechy, jak wtedy z tej pocziwój zapomogi syno-

wski! ogarnęli się biedni, połatali dziury w odzieży i w obuwiu, i weselę na świat spojrzeli. Chciał mi pan gwałtem weprzeć pięćdziesiąt rubli, ale się wyprosiłem i wziąłem tylko dziesięć; a serdeczny Ignas w pół roku znowu im jeszcze sto przysłał. I tak oddychając nieco swobodniej, dociągnęliśmy chwała Bogu do końca nieszczęśliwej posesyi, na której pięć lat oplakanych nam zeszło. Pan Budziłkowski już myślał postarać się o jakiś obowiązek ekonomiczny, aż tu raptem — cud boży! Nasz Ignas, ni z tego ni z owego, od razu został panem! Niespodzianie przyleciał pocztą do Myszek i przywiózł w gotowiznie dziesięć tysięcy rubli! Przez pół roku leczył jakiegoś pana, nie upominając się o nagrodę, a chodząc koło niego tak szczerze, jak gdyby za każdym razem najhojniej mu płacono; aż jak go postawił na nogi, tak on, drogi panie, zamiast pieniędzy, dał mu sturublowy bilet premiovej pożyczki, powiadając, że dlatego to robi, iż, nie mogąc mu tak zapłacić, jakby sobie życzył i jakby wypadało, zdaje na Pana Boga dopełnienie reszty. I cóż panowie powiecie? wygląda to jak w bajce, ale na prawdę Bóg dopełnił zapłaty; przy pierwszym losowaniu Ignas wygrał dziesięć tysięcy! Ma się rozumieć, że przyjechał z tym, aby wszystko ojcu swojemu oddać, i po długich certyfacych, tylko jeden tysiąc zatrzymał, sześć pan mój włożył w nową dzierżawę, a resztę pozostawił w zapasie, mnie tylko wyliczywszy aż pięćset rubli,

niby to za pensję zaległą, za ordynaryę nie odebraną i różne straty stąd wynikłe. Uważałem, że to za wiele, ale on zaklinał się, że mało, jeszcze mię przeproszał za krzywdę. Otóż z tych to pięciuset rubli przyszedłem ja do własnej chaty; mam futerek nie wielki, na którym moja babina z córką gospodaruje, a ja po dawnemu służę u swojego pana, znów za sto rubli, oto już drugi roczek. Wróciły się szczęśliwsze czasy, Bóg błogosławi fortunie, którą sam z nieba zrzucił. W przeszłym roku zarobiliśmy na posesyi okragły tysiąc, a w tym ze dwa się zbierze. Otóż taka moja historia! Niech mnie Pan Bóg ciężko skarże na duszy i na ciele, jeśli choć jedno słowo do niej przykładał! — Widzicie więc, panowie, że i mnie było nie z miodem, a jednak wszystko zniósłem cierpliwie, i dziś bez trwogi mogę stanąć przed sądem Boga, pewny, że za mą służbę gniew Jego na mnie nie spadnie.

Pan Zygmunt ze wzruszeniem głębokiem dłoń wyciągnął do [pocziwego starca i rzekł, uściskawszy go czule:

— Serdecznie dziękuję panu za to opowiadanie! Przed chwilą za piękne słowa nazwałeś mię apostołem, prorokiem; a kimże ja ciebie dziś nazwę, co nie słowem, ale uczynkiem, wszystkim nam za naukę stać możesz? Nie takich, jak ja, ale takich, jak pan, oby więcej było pomiędzy nami, a wtedy-by niechybnie lepsze czasy dla nas nastąpiły! — I cóż panowie na

to? — dodał, zwracając się do innych, — czy mimo nędzy nie można być uczciwym? i czy nie w nędzy właśnie charakter się ludzki doświadcza?

Officyaliści chwilę milczeli, a wreszcie ozwał się Tryfonowicz:

— Wpisać-by tę historię do *tysiąca i jednej nocy*, bo takich Budziłkowskich dziś niewiele na świecie. Za uniesienie się przeprosza, za *osła* byczkiem płaci, żonę leczy i pielęgnuje, dzieci edukuje z własnymi, sam gwałtem go wyprawia na lepsze miejsce, a wreszcie za pięć lat zaległą pensję w dubelt oddaje! Ja znam takich, co radzi sponiewierać człowieka, ale przeprosić — nigdy! Najczęściej tak się dzieje, że jak kogo raz skrzywdzą, to potem już go gnębią i gnębią, coraz się większą nienawiścią przejmując. Żeby dzieci ekonomiczne edukowali, a niechże Bóg zachowa! bo najpierw: na co im edukacja? dla nich to tylko zguba, zepsucie! a potem, z tych wychowawców nigdy żadnej pociechy! każdy za dobrodziejstwo niewdzięcznością odplaci! — Żonę officyalisty leczy i dozorować w chorobie — nie mieliby roboty! co ich tam jakaś ekonomowa obchodzi! Niech sobie zdycha, byle przez nią ekonom w służbie się nie opuszczał, byle sam nie chorował, broń Boże, bo takiego im nie potrzeba — niech do szpitala rusza. Wyprawiać ekonoma na lepsze miejsce, potrzebując go u siebie! to mi też! My wyprawiamy do dyabła, kogo nie potrzebujemy, — ot jak np.: ekonoma na

zime, gorzelnianego na lato. — Pensję zaległą zapłacić, i to z dobrej woli, i to jeszcze w dwójnasób! to trzeba być chyba waryatem! kto ma zdrowe zmysły, ten inaczej robi; ten ekonomską należność choćby w najlepszych czasach, na samym końcu swoich wydatków kładzie, u takiego o każdy kwartał upominać się potrzeba po kilka razy, i kłaniać się, i prosić jak o największą łaskę, i jeszcze nasłuchać się wymyślań.

— *Jak z książki czytaj!* — zawołał Zuzulewicz. — Daj mnie te buty, co ja *ich* w swoim życiu już zdeptał, za pensją chodząc, toby dziś na jarmark *ich* powiózł.

— Jeszcze-ż za pensją pół biedy, — rzekł Harmaeki, — ale ot jak mój teść na przykład: stanął na służbę u pana N. i tysiąc rubli ulokował u niego. Służył półtora roku i poszedł z kwitkiem! nietylko nie odebrał pensji za cały kwartał, nietylko nie wziął procentu, ale i kapitału swego nie dostał, i teraz pozyska się biedny!

— A za cóż miejsce stracił? — spytał pan Zygmunt.

— To było jeszcze za pańszczyzny; donieśli za uszniey na niego, że niby to on robotników sobie używał, a w raportach podawał, że na pańskim robili; albo, że od nich za pieszy dzień brał po dziesięć kopiejek, za ciągły po piętnaście kopiejek i odpisywał im pańszczyznę w książeczkach. Pan N., uwierzyw-

szy téj plotce, bez sądu i bez sprawy, nawymyślał mu od złodzieja i łotra, a on go nazwał zdziercą i krzywdzicielem, i za to był wygnany i ograbiony.

— Wolałby zmilecéć, — wtrącił pan Zuzulewicz.

— Zmlecéć, zmlecéć! nie tak to łatwo! — odparł Harmaeki. — Prawda, że pan Obrocki mileżał Budziłkowskiemu, ale to co innego. Wymyślanie wymyślaniiu nierówne. Polaje i ojciec syna, i brat brata, to nie! tam jest łajanie, ale jest i kochanie. A u nas pan ze sługą najczęściój jak pies z kotem, nienawistny jeden drugiemu. Pan sługą gardzi, mając go za łajdaka, sługa pana nie cierpi, widząc w nim przemoc i krzywdę.

— Otóż w tém całe nieszczęście! — rzecze na to pan Zygmunt.

— A i któż temu winien? — zawołał Tryfonowicz.

— Ja-bym myślał, że sługi, — odparł znów Widzki. — Nie wchodzę już w pobudki różnych nadużyć, dosyć, że się officjaliści często ich dopuszczając, ostatecznie stracili dobrą sławę i wiarę. Niéma więc innéj rady, jak tylko uczciwością nieskazitelną, pracą gorliwą, starać się swą opinię poprawić, a tymczasem, choć gorzko, pić to, czegośmy nawarzyli. Zresztą, przekonany jestem najmocniéj, że człek z gruntu pocziwy, zdolny i pracowity, wyjątkowo już chyba ponieważ doświadczy. Dobry officjalista jest to skarb nieoceniony i takiemu każdy rad będzie.

— Wartoż im służyć poczeiwie za taką lichą zapłatę?—zagadnął Śmilski.

— *Jak kurtu kormlat', tak kurta bresze!* — zaśmiał się Zuzulewicz.

— Na cóż więc przyjmujecie takie kondycye, które wam ani pracy nie oplacają, ani na życie nie starczą? — zapytał Widzki.

— Na co! — wykrzyknął Tryfonowicz: — a cóż mamy robić? czy z głodu zdychać? Nie przyjmę ja, to przyjmie drugi, dziesiąty. Dziś nas bez kawałka chleba dosyć! Na to niema sposobu: panowie nas w rękę trzymają; my ich łaski potrzebujemy!

— *Nie iduś jasta za wołami, a iduś woły za jastami* — objaśnił Zuzulewicz.

— Ba! — zawołał pan Zygmunt, — znalazłby się i na to sposób, gdybyśmy radzić sobie umieli.

— Są tacy, co umieją! — rzekł na to Śmilski, — ot na przykład, panie, Łazunicz z Zięblinowa, — siedzi jak u Pana Boga za drzwiami, pływa jak pączek w maśle! jeszcze tak kilka latek, a wyjdzie na magnata!

— O! ten Łazunicz, to, panie serce, cała bestya, *taj hodi!* — dorzucił Zuzulewicz.

— Ja się dziwię, — zawołał pełen zgrozy pan Zygmunt, — że takiego nędznika mógł pan Śmilski tu wspomnieć, gdzie się mówi o dobrej radzie! Nam myśleć trzeba o sposobie uczciwym, i taki-by się znalazł, gdybyśmy, jak już rzekłem, radzić sobie

umieli, gdybyśmy mogli porozumieć się jedni z drugimi, założyć kasę oszczędności, z którejby ot, na przykład, taki Kurezycki, albo inny, co istotnie bez winy obowiązek postradał, dostał wsparcie w potrzebie; wtedy każdy officyalista porządny, mając na czém się oprzeć, mógłby śmiało za swoje trudy żądać odpowiedniej zapłaty i nie przyjmować pierwszej lepszej posady, z nadzieją na nieprawe zarobki.

— *Gdyby ciocia miała wasy!* — odrzekł na to pan Śmilski i zaśmiał się z swego dowcipu; ale nikt mu nie zawtórował. Tryfonowicz spojrzał nań pogardliwie. — Ha! — zawołał, — piękne to rzeczy! ale gdzież na to siła? gdzie głowa? Każdy tylko o sobie myśli, każdy sobie radzi, jak może, a takie wielkie plany nikomu ani się śniły! A choćby się i śniły, to i cóż? Żaden z nas nie dokaże tej sztuki, żeby je doprowadzić do skutku. My, *charłaki*, nędzarze, odsądzeni od czei i wiary; a na to-by potrzeba człowieka, któremu-by wszyscy ufali, któryby miał i charakter, i rozum, i znaczenie. Mógłby to chyba zrobić albo obywatel jaki szlachetny, albo przynajmniej rządcą gieneralny jakiego skarbu; lecz gdzież takiego znaleźć?!

— *Radab dusza do raju, da hrech, ne puskajut!* — dorzucił Zuzulewicz z westchnieniem!

I pan Zygmunt też westchnął, widząc słuszną uwagę Tryfonowicza. — Ha! — rzekł, — pogadamy o tem kiedyś obszerniej a tymczasem bądźcie mi

zdrowi! — Podał rękę każdemu i wyniósł się z oberży, a za nim i Obrocki pociągnął.

— Ach, drogi panie! — zawołał, dognawszy go w ulicy, — gdybyś pan mógł doprowadzić do skutku ten swój pomysł poczeiwy! Cóżby to było za dobrodziejstwo! Szkoda tych ludzi, doprawdy! i wartoby ich ratować; bo nieśa oni tak źli z natury, jak się na pozór zdają. Oni sami nie wiedzą, co robią. Może pierwszy raz w życiu posłyszeli od pana takie słowa serdeczne! Panowie (bo co prawda, to prawda) umieją często łajać i wypędzać złych oficyalistów; ale żeby z nich który zecheiał po chrześcijańsku winowajcę upomnieć, żeby mu oczy otworzył i pokazał drogę uczeiwą, żeby o ^{poprawie} jego pomyślał, — nigdy! Najlepszy to już taki, co przez szpary na wszystko patrzy i udaje, że nie nie widzi, albo co łaje, ale nie wypędza. A cóż z tego łajania? sługa najczęściej uważa je za napaś, za krzywdę, i nie więcej. Czy pan myślisz, że to, co oni o swęj niewinności mówili, było udaniem? Gdzie tam, drogi panie! gotów-bym przysiądz, że każdy z nich na prawdę miał się za niewinnego, bo u nich jest swój na to katechizm. A zręsztą, są to ludzie niezgorsj, w stó sunkach jedni z drugimi przyjacielscy, rzetelni, w rodzinie dobrzy ojcowie i mężowie, w pobożności bardzo gorliwi; z panem tylko i z chłopem nie umieją dokładnie czarnego od białego odróżnić. Dla tego-to,

drogi panie, powiadam, że warto o ich losie pomyśleć.

— O! ja téż i myślę, kochany panie! gdyby mi Bóg tylko dopomógł!

— Dopomoże najpewniej.

— Obyś pan był prorokiem!

Podali sobie ręce i na tém się rozstali.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Ale cóż się stało z Kluczarskim? gdzie się pan Erazm obraca? co się dzieje u Sadłowieckich? — są to pytania, które łaskawi moi czytelnicy najpewniej muszą sobie zadawać i na które im słusznie odpowiedź się należy. Naprzód więc o Kluczarskim.

Rzuciwszy tedy Arbuzówkę, biedny chłopak najpierw kopnął się do Sławockiego, żeby mu opowiedzieć całą przygodę i posłać go do Widzkich z pomocą; lecz, na nieszczęście przybył już za późno, bo, jak to wiemy, pan Erazm tegoż dnia do Kijowa wyruszył odpowiadać w swoim procesie. Dowiedziawszy się o tém od arendarza w karczemce, przy której

się w Elżbietówce zatrzymał, nasz Kubuś nagle wpadł w dziwny zamęt uczuć i myśli.

W dworku pana Erazma światła jeszcze w oknach błyszczały; Kubuś więc tam się udał niezwłocznie, żeby bliższych wieści zasięgnąć.

— Niéma naszego panicza! do Kijowa pojechał! — oznajmił mu w przedpokoju lokaj, staruszek.

— Wiem, wiem, panie Macieju! — odrzekł Kubuś żałośnie, z płaczem w piersiach wezbranym. — Któż tutaj u was we dworze?

— A jest i stary pan, i ekonom, i pisarz, i klucznica; siedzą tam.

Kubuś wszedł do pokoju. W gabinecie pana Erazma siedział stary Sławocki w kąciku na fotelu, z rękoma skrzyżowanemi na piersiach, siwą głowę zwiesiwszy. — Ekonom, przy pomocy pisarza, przeglądzał rachunki. Klucznica po cichutku, na palcach krzątała się w pokoju. Kubuś jednem spojrzeniem cały ten obraz objąwszy, rzucił się Sławockiemu do kolan. Starzec drgnął, z zamyślenia nagle wyrwany, i wzrokiem osłupiałym przez chwilę nań spoglądał, jakby go nie poznając, i nie rozumiejąc, o co rzecz idzie.

— A! Kluczarski! — zawołał wreszcie, — aha!.. niéma Erazia! wyjechał dziś; ale czegoż tak płaczesz? Wstań-no, wstań! a daj pokój tym bekom.

Podniósł go, posadził na krześle i zagadnął drżącym głosem:

— Cóż cię tu tak późno przyгнаło? Cóż tam Widzey poczeiwi?

— Biedni oni! — jęknął Kluczarski. — I ja też zabiegłem tu tylko na pożegnanie... jadę w świat, bo pan Widzki już miejsce stracił!

— Jakto, już?! — wykrzyknął ze zdumieniem Sławocki, a ekonom i pisarz spojrzeli się jeden po drugim, smutnie chwiejąc głowami.

— U nich tak zawsze! — zawołała gniewnie klucznica, — ani zły, ani dobry długo się nie utrzyma.

— Cóż tam zaszło? — zagadnął starzec.

— Nic nie wiem, kochany panie — odrzekł Kubuś zakłopotany, — pan Widzki dziś wieczorem wrócił ze dworu, powiedział mi, że jutro wynosi się do Raczek, a mnie za służbą wyprawił. Wpadłem tu, żeby pana Erazma uwiadomić o tém nieszczęściu, możeby im co poradził...

Sławocki potrząsnął głową z westchnieniem.

— Nie poradzi, mój chłopcze! i ja też na nie im się nie przydam, bo i sam do Kijowa muszę pośpieszyć; choć nie wiem, jak tu i swoje, i synowskie gospodarstwo porzucę...

— O synowskie niech pan dobrodziej będzie całkiem spokojny, — rzecze na to ekonom, — nie się tu nie zmarnuje, a nawet się jeszcze przysporzy; bo nie będzie niepotrzebnego szafunku, jak to przy paniczku się dzieje.

Sławocki machnął ręką i westchnął.

— Ja wiem, co pan dobrodziej myśli, — ciągnął dalej ekonom, mocno poczerwieniawszy, — pan myśli: gadaj zdrów! znam ja cię, ptaszku! bo pan dobrodziej pamięta o tém, jakim ja byłem, służąc jeszcze u pana Deputata, co to był opiekunem majątku małoletnich Dołęckich. Ale to co innego. Tam, panie dobrodzieju, tak było, że łotr na łotrze jechał i łotrem poganiał! Począwszy od samego pana opiekuna aż do gumiennego, wszyscy kradli bez miłosierdzia, a z kim człek przestaje, takim się staje. To się u nas nie nazywało *kradzież*, tylko *dochód*. Ja to teraz widzę inaczej, ale wtedy, Bóg świadkiem, nie wiedziałem, co robię. Bo z temi *dochodami*, to całe nieszczęście! Mało jest takich officyalistów, mało sług, jednym słowem, coby, poprzestając na pensyi, za nami się nie oglądali. Furman ma *dochód* z koni, kucharz ze swojej kuchni, klucznica ze spiżarni, felczer z apteki, a ekonom z folwarku, i każdy myśli, że ma do tego prawo, że taki już porządek na świecie: ryba rybą, ptak ptakiem, zwierzę zwierzęciem, a człowiek człowiekiem się żywi! Mnie dopiero syn pański z tym pocziwym panem Zygmuntem wytłomaczył dokładnie, co czarne, a co białe, przemówił do rozumu i do sumienia; wstyd mi teraz tego, co było, i niechaj mię Bóg skarże na duszy i na ciele, jeśli się kiedykolwiek czego podobnego dopuszczę!

— Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr! — dorzucił pisarz. — I o mnie to i owo gadali na kon-

to tych *dochodów*. I jak mi pan Zaklicki, u którego dawniej służyłem, raz po raz, czy słusznie, czy nie-słusznie, siódme przykazanie powtarzał, jak mi nigdy w niczem nie wierzył, to czasem i pomyślałem sobie: warto-ż tu być pocziwym? Ale dzisiaj, kiedy nasz panicz po ludzku mię traktuje, kiedy mię, jakby kogo dobrego, nawet przy gościach sadza z sobą do stołu, i gawędzi ze mną, jak z równym, kiedy mi rozum oświeca i do serca przemawia: to jakże ja mam być jakimś hultajem?! Czyż-bym śmiał wtedy progi tego domu przestąpić? czyż-bym śmiał w oczy paniczowi spojrzeć? Dziś czyste mam sumienie, a jednak, jak tu się czasem zbiorą z naszym panem Erazmem pan Widzki i ksiądz Anastazy, i jak zaczęną o tém rozprawiać, co to za straszne klęski na cały kraj spadają przez niesumienność officyalistów, jak zaczęną ubolewać nad ich zepsuciem i poniżeniem; to nieraz, gdybym mógł, pod ziemię-bym się schował ze wstydu, przypomniawszy sobie sprawki dawniejsze! a cóż-by ze mną było, gdybym dziś jeszcze miał coś sobie do wyrzucenia?

— Ej, panie! — zawołała z żalem klucznica — co to długo rozprawiać! Gdybyśmy nawet i nie byli tém, czém jesteśmy z łaski najmilszego panicza, to w tém jego nieszczęściu *taki*-by się ozwało w nas sumienie! bo wziąć z takiego domu—to wszystko jedno, co z ołtarza! żywcem-by nas ziemia za to pożarła!

Sławockiemu serce rośło z pociechy i chluby rodzicielskiej na te pochwały, oddawane jego synowi, więc rzewny uśmiech rozpromienił lica starcowi.

— Ha! — rzekł z westchnieniem po ostatnich słowach klucznicy — imościuniu moja kochana! pięknie to wy mówicie, i tak-by być powinno; ale, niestety, inaczej się dzieje na świecie! O was ja tego nie myślę: wiem, że kochacie mego pocziwego Erazia; pewny jestem, że, jak o własne, dbać będziecie o jego dobro; to też owo ubolewanie tak tylko, mimowolnie mi się wyrwało... chciałem powiedzieć, że wam-by tu złej było, gdybyśmy się razem krzatali... U mnie trochę inaczej; rzekłszy prawdę, nie mam na kogo się spuścić, a raczej nie wiem, czy mogę?—bom dotąd nie próbował ni razu, wierząc tylko sobie samemu... Ale cóż począć? pojedę.

Kubuś westchnął, ciężko, żałośnie.

— Nie trap się, panie Jakóbie! jakoś to będzie! — ozwał się znów Sławocki. — Powrócimy niebawem, a tymczasem ksiądz Anastazy nie da Widzkom zagiąć... No, ale już nam pora do wczasu! — dodał, usłyszawszy uderzenie zegara. — Panie Skrobalski! każ pamiętać o koniu pana Jakóba, który zapewne raczy u nas nocować.

— Nie, drogi panie! — odrzekł Kubuś z pośpiechem — muszę jechać natychmiast, bo mam termin stanowczy; jak się spóźnię, to miejsce stracę. Zboczyłem z drogi, zmarnowałem kawałek czasu, trzeba

to nocną jazdą nagrodzić. Księżyc świeci — nie zbłądzę.

— A! jeśli tak, to nie zatrzymuję. Niech Bóg szczęśliwie prowadzi! — Powstał i wyciągnął ramiona. Kluczarski uchwycił go za ręce, ucałował je z uniesieniem, ze łzami w oczach wybiegł prędko z pokoju, skoczył na koń i puścił się galopem. Dokąd?—o tém i sam nie wiedział. Cwałował z pół godziny w jakimś dziwnym rozstroju, a raczej odrętwieniu ducha, zanim się opamiętał nareszcie i zagadnął sam siebie: gdzie jest, i co ma czynić?

Był na drodze do Arbuzówki, do której koń nawykły, sam go uniósł od Sławockiego. Co czynić?—serce wołało: wracać! wracać do Widzkich, nie zważając na wściekłość prezesowicza i na wolę pana Zygmunta! Więc, choć zdrowy rozsądek co innego mu radził, nie miał siły pójść za nim, i w walce sprzecznych myśli bezwiednie się dawał unosić swemu wierzchowcowi dalej i dalej. Dopiero u figury przydrożnej, od której pięć wiorst tylko do Arbuzówki było, znów się ocknął z zadumy, zatrzymał się, zdjął czapkę, potem z konia zeskokczył, przywiązał go u brzoźki, ocieniającej znamię zbawienia, i na klęczki pod niem upadłszy, gorąco modlić się zaczął. I jak gdyby w modlitwie, która właściwie wysokiem podniesieniem ducha i rozmyśleniem tu była, znalazł dobre natchnienie, wstał niebawem, otarł z łez oczy, skoczył znowu na siodło i w daleką puścił się drogę,—lecz już nie do Arbuzówki. Dobrze świadomy wszyst-

kich okolicznych manowców i zakątków, pomknął przez pole do sąsiedniej dąbrowy, gdzie w jednym z najustronniejszych *kurzeniów* miał bardzo życzliwego sobie *pobereźnika*, któremu w każdym względzie mógł ufać. Do niego więc zapukał i o gościnę go poprosił. Przyjęty dobrą sercem, opowiedział mu o wydaleniu Widzkiego i o swojej ucieczce, którą wszakże upozorował jakimś wymyślonym powodem, i wyjednał u niego ofiarą kilkudziesięciu kopiejek, żemu przyrzekł udać się do Arbuzówki, aby tam najdokładniej dowiedzieć się o wszystkim, co się Widzkich tyczyło, mianowicie zaś, czy im od przesowskiego nie zagrażał gwałt jaki. — Jakoż nazajutrz obiecnicy dotrzymał i około południa dał Kubusiowi dobrą wiadomość, że kobiety i dzieci, pod opieką księdza Anastazego, najbezpieczniej wyniosły się do Raczek. Wiele to ucieszyło młodzieńca; wszelakoż i los pana Zygmunta nie mniej go interesował, a zatem postanowił zatrzymać się w lesie dopóty, dopóki *pobereźnik* i o nim nie zda dokładnego raportu. Siedział więc biedaczysko w stodole, bojąc się, by go nie wytropiono, i czekał z utęsknieniem końca tej smutnej sprawy. Czuł się upokorzonym takim czajeniem się niby tchórzowskim, i młodzieńcza jego ambicja srodze na tym cierpiała; ale chciał być posłusznym opiekunowi swemu, chciał się zachować, aby mu kiedyś się wywdzięczyć, aby Helence stanąć w pomoc w razie potrzeby... Aż gdy nareszcie dowiedział się,

że i pan Widzki, weale nie turbowany, z całą swoją chudobą do miasteczka się wybrał, wolniej odetchnął, i choć smutny, ale spokojny, w dalszą udał się drogę.

W Winnicy sprzedał swoją szkapinę, i szczęśliwy z trzydziestu rubli, zdobytych za nią, wziął tłumoczek na plecy i pieszo do Berdyczowa się puścił, ofiarując tę swą pielgrzymkę do Cudownej Bogarodnicy na intencję pana Erazma i Helenki i na okupienie grzesznych swych myśli, które się jeszcze nieraz w jego udręczonej duszy budziły. W Berdyczowie dał na wotywę, spowiadał się, i leżąc krzyżem, całej Mszy Świętej wysłuchał, a modlił się rzewliwie o szczęście swych przyjaciół i o błogosławieństwo dla swych wielkich zamiarów.

Do Żytomierza dostał się za rubla i pięćdziesiąt kopiejek *balagulą* żydowskim, w tak zwaną *buchcie*, to jest budzie ogromnej, jak wieśniacza chałupa, w której, oprócz transportu najrozlicniejszych towarów, mieściło się z pół kopy wędrowników ubogich, mężczyzn, kobiet i dzieci, po większej części żydów.

Z Żytomierza znowu piechotą (bo nie znalazł na razie równie dobrej zręczności, a niezmiernie pilno mu było), powędrował dalej nieborak, lecz weale nie tą drogą, jaką mu Widzki był wskazał, i — to przysiadając się czasem na wracające bryczki pocztowe, lub na włościańskie podwozy, to *per pedes apostolorum*, czwartego dnia nareszcie z niewymowną radością ujrzał się u pożądanego celu — w Kijowie.

W Kijowie? po co? — zapyta ktoś zdumiony, a jeszcze bardziej się zdziwi, gdy mu na to odpowiem: po naukę na uniwersytecie.

Tak jest, naprawdę. Od kiedy się Kubuś poznał ze Stasiem i z Leosiem, od kiedy się od nich nasłuchał, ilu-to biednych ludzi, nieraz nawet starszych od niego, na prelekcyę uczęszcza i korzyść z nich odnosi, spragniony wiedzy, roznamiętniający się do nięć, im więcej jęj zdobywał, podniecony piękną ambicją sprostania Sławockiemu, żeby, jak on, mieć prawo zbliżenia się do Helenki, choć bez żadnej nadziei, — postanowił już wtedy swoją służbę porzucić i na uniwersytet wstąpić. Dlatego-to z coraz większym zapalem ucząc się po całych nocach, zawczasu zaopatrzył się w paszport i wszelkie dokumenta potrzebne, i wyglądał już tylko pory sposobnej, żeby swoje pragnienia i nadzieje panu Zygmuntowi przedłożyć. I nieraz już był gotów, do nóg mu się rzuciwszy, prosić go o uwolnienie i błogosławieństwo na drogę; ale ta sama, co mu do tych zamiarów była najdzielniejszą podniętą, była też i największą do ich wykonania przeszkodą: ilekroć bowiem pomyślał, że mu z nią rozstać się trzeba, stracić z oczu tego anioła, co dlań był wszystkiem na ziemi — siły go opuszczały, słabła wola zupełnie i w ustach zamierało słowo wyroczne! Kto więc, jak długo walczyłby jeszcze sam z sobą i jakby się zakończyła ta walka, gdyby nie owa katastrofa w pa-

siece, w skutek której rad-nie-rad musiał Arbuzówkę opuścić, zagnalony przez samego pana Zygmunta. Rozstając się z nim jednak, nie mu o swoich nie powiedział zamysłach, raz, że się lękał odradzać, a potem, że sam jeszcze się wahał z ostateczną decyzją, wątpiąc, azali zdoła oderwać się od tych okolic, gdzie wraz z Helenką duszę swą musiałby rzucić. Dopiero w Elżbietówce, dowiedziawszy się o wyjeździe pana Erazma, pod wpływem owęj myśli, co go tak uporeczywie napastowała, z którą tak się pasował, poznał, że jeżeli mu sądono być jedynym Aniołem Stróżem Helenki, pozbawionej już Sławockiego, to wprzód powinien stać się godnym tego zaszczytu przez wyższe udoskonalenie się moralne i naukowe. Ale znowu się zachwiał, znowu musiał z sercem bój toczyć i w modlitwie pod krzyżem prosić Boga o radę; bo mu się biedakowi zdawało, że, na zgubie pana Erazma szczęście swoje fundując, nie może się spodziewać z niebios błogosławieństwa w ambitnych swych zamiarach. Modlitwa uspokoiła mu drażliwe sumienie; zbadał w nięj swoją duszę do głębi, przekonał się, że nie pragnie bynajmniej niedoli Sławockiego, że, przeciwnie, nad jego losem całęm sercem boleje, że radby sam za niego wszystko wycierpieć, a Helence radość powrócić; gdy więc tak być nie może, to czemużby kiedyś nie stać się pożytecznym Helence? Wszakże i sam pan Erazm powinienby nie tylko nie brać mu tego za złe, ale nawet być

wdzięcznym za chęć poświęcenia się dla téj, której sam uszczęśliwić nie może, a którą tak ukochał... Znów więc do myśli o Kijowie powrócił i tém mieniej w niej się utwierdził, że już na celu miał nie samo ukształcenie się swoje, lecz i pomoc Sławockiemu, gdyby jój potrzebował; sądził, że mu w czémkolwiek pomocnym być potrafi; w jaki sposób?—nie umiał tego sobie powiedzieć, tylko mu się snuła po głowie bajka o *lwie i myszy*. Nadto zaś, oddalenie się swoje z Arbuzówki uznał za obowiązek konieczny, moralny i honorowy, względem tegoż pana Erazma.—Bóg wie, jak się to skończy? a tymczasem on cierpi, to niechże i ja cierpię z nim razem (tak rozumował sobie), niech nie korzystam z jego nieszczęścia, niech nie mam téj pociechy, jakiej on mieć nie może.—Tam tedy u figury przydrożnej cały swój plan dalszy ułożył, obmyślił sprzedaż konia i pielgrzymkę do Matki Boskiej, co wszystko, jak już wiemy, wnie wykonał; a na wotywie przed Cudownym Obrazem okupiwszy, jak mniemał, poprzednie złego ducha podszepty i przejąwszy się mocną wiarą w pomoc najwyższą, z lekką myślą i sercem pełnem błogiej pociechy stanął wreszcie w Kijowie.

Wiedział, że Staś i Leoś mieli wspólną kwaterę gdzieś na Żandarmskiej ulicy; lubo więc nie mógł sobie domu przypomnieć, sądził, że łatwo dopytać się potrafi. — Byle-bym — myślał sobie — spotkał jakiegoś studenta, to się zaraz dowiem od niego. — Ale

srodze się zawiódł w pięknym swém przypuszczeniu; człek obcy, nie znając tego grodu, rozrzuconego na ogromnej przestrzeni, z kilku dzielnicami swojemi, z których każda całkiem osobne, rzecz-by można, miasto stanowi, nieraz się długo musi nabląkać i nie mało zaznać przykrości, zanim znajdzie kogo, co doń usta otworzy z czém inném, jak z obojętném: nie wiem. To też nieboraczysko tułał się aż do zmroku, to po *Starym Kijowie*, to po *Peczersku*, to nawet po *Padole*, nie mogąc się dopytać téj nieszczęśliwej *Żandarmskiej*, którą jeśli mu kto i wskazał, to w sposób tak niejasny, tak bardzo lakoniczny, że i Salomon nie-by z téj informacyi nie wyniósł, — nim nareszcie zabrnął na *nowe miasto* i znalazł się na upragnionej ulicy. Zdawało mu się, że już stanął u celu, zwłaszcza gdy ujrzał szafirowy kołnierz studencki. Z radością niewymowną zbliżył się do akademika, pewny, że się niebawem ujrzy w objęciach Stasia; ale, niestety, i ten mu odpowiedział obojętném: nie wiem! Zniecierpliwiony, rzucił się natarczywie na każdego przechodnia, powtarzając wciąż jedno zapytanie głosem żalonym; ale przebiegłszy tam i nazad całą ulicę, tyleż wiedział, co i poprzednio.

Zgłodniały, rozdrażniony i prawie blizki już płaczowi, nie wiedząc, ani gdzie się posilić, ani gdzie noc przepędzić, musiał zakończyć na tém, że na straganie kupiwszy sobie bułkę i kawałek kielbasy, poratował siły zwątlone, a przespał się, dzwoniąc zębami,

na ławeczce pod topolami bulwaru; bo do szynku zaglądać się wstydził, a do wspaniałego hotelu nie śmiał. — *La nuit porte conseil* — powiadają Francuzi, więc téż i Kubusiowi noc przyniosła radę zbawienną: o świetle biedaczysko udał się pod gmach uniwersytecki i tam postanowił czatować, dopóki czy to Stasia, czy Leosia nie ujrzy, albo od któregośkolwiek studenta, dążącego na lekcye, nie dowie się o ich mieszkaniu. I — o radości! najpierwszym, co się zjawił na placu, był właśnie młody Widzki! O, z jakimże okrzykiem poskoczył doń Kluczarski! z jakim uniesieniem pocziwém uchwycił go za rękę i do ust swoich przycisnął w pocałunku długim, gorącym!

Staś zrazu, nie poznawszy Kubusia, który tak niespodzianie, jak z pod ziemi, przed nim się zjawił, spojrzał nań ze zdumieniem, nie wiedząc, jak tłómaczyć ten szczególny objaw czułości; lecz wnet sobie przypomniał i to czoło myślące, i te oczy ogniste, i tę całą fizyognomię, tak posłuszną wszelkim wrażeniom serca, — przypomniał, i umknąwszy swęj dłoni, serdeczném uściśnieniem przygarnął do swych piersi pocziwego chłopaka, który, drżąc wszystkiem ciałem, płakał z wielkiéj radości.

— A przecież! przecie znalazłem kochanego pana Stanisława! — wołał Kubuś głosem rzewliwym. — A co się nabiedowałem, co się nachodziłem po tém mieścisku! Toż to jak otlehań jaka! Już myślałem, że i sam wkońcu przepadnę.

— I skąd-że się tu wziąłeś, mój kochany panie Jakóbie? Co cię tu przywiodło? — spytał Staś, z jakimś trwożném przeczuciem spoglądając ciekawie na jego strój wędrowczy: podkasaną burkę bajową, obłocone i zapyłone buty, kij w rękę i mantelzak na plecach.

— Z Arbuzówki, drogi mój panie Stanisławie! — odparł Kubuś z pośpiechem. — Przyszedłem, żeby... — i zająknął się zapłoniony. — Wszyscy zdrowi: i panna Helena, i rodzice, i babunia, i dzieci...

— Masz pan list może?

— Nie pisali... bo, rzekłszy prawdę, nie nie wiedzieli o tém, że ja będę w Kijowie; bo ja... ale to długa historia!

— No, to chodź-że pan do mnie na stancję! Taki gość miły wart, ażeby dlań stracić jeden dzień nauki. Rzecz to u mnie niezwykła, ale téż i przyczyna nie lada! Pójdźmy!

I śpiesznym krokiem puścili się w milczeniu do kwatery Stasiówéj. W milczeniu, bo Kluczarski przypominał sobie te plany, jakie w drodze układał względem zdania sprawy Stasiowi z tego, co w Arbuzówce zaszło, a Staś o tyle rzeczy miał pytać, iż, nie wiedząc od czego zacząć, to tylko miał na myśli, aby prędzej stanąć na miejscu i rozgadać się długo i szeroko o wszystkiém.

Weszli. W izbie obszernej, pełnej dymu tytoniowego i pary, buchającej z wielkiego samowara, było

ludno i gwaro. Z kilkunastu studentów, którzy ją zapełniali, jedni, jeszcze w bieliźnie, myli się na łeb na szyję, to po dwóch razem płóczęc się w wielkiéj misie drewnianéj, to pojedynczo, bądź przy pomocy chłopaczka, co im ze dzbana zlewał wodę na ręce, bądź sami przez się, ust własnych używając zamiast *lavabo*; drudzy, na pół ubrani, czyścili sobie buty na nogach; inni, już całkiem gotowi, raczyli się herbatą przy wspólnym stole; inni znów, ze szklanicami i papierosami w ręku, w czapkach i z książkami pod pachą, otaczali spoczywającego jeszcze kolegę, rozsiadłszy się, ci na pościeli i na poręczach łóżka, owi na stolikach i na krzesłach tuż przy nim.

Rozlegały się nieustanne wołania, pośród ogólne-go gwaru rozmowy, żartów i śmiechu, co się szczegó-lnie koncentrował przy owém łóżku; a biedny, oszoło-miony posługacz zwijszał się jak ta mucha w ukro-pie, nie mogąc na raz wszystkim nastarczyć i nie wiedząc, do kogo najpierw z posługą się rzucić.

— Kluczarski! — krzyknął Leos, zrywając się z pościeli, i roztrąciwszy skupionych u swojego łóża kolegów, z których jednemu szklanka z rąk wyleciała, a drugi sam się zwałił na ziemię, w mgnieniu oka wypadł z pod koldry i rzucił się w nocnym negliżu na spotkanie Kubusia. Lecz nim dobiegł do niego, raptem z sykiem bolesnym stanął na jednéj nodze, drugą w górę podniósłszy i chwyciwszy się ręką za piętę, do której był mu przyłgnął rzucony

na podłogę, żarzący się jeszcze papieros. Koledzy pustym śmiechem wybuchli, on najbliższemu cisnął w oczy niedogarek zdeptany, i sam téż, śmiejąc się z własnéj przygody, w serdeczny uścisk Kluczarskiego pochwycił.

— Oto mi gość! — zawołał. — Panowie! prezentuję wam najpoczeiwszego chłopca pod słońcem! Jest to pan Jakób Kluczarski, przyjaciel mój i Stasia. A to, panie Jakóbie, nasi towarzysze kochani: Józef B., Antoni C., Jerzy D. i tak dalej, jedném słowem studenci. Ale skąd-że go, Stasiu, wziąłeś? gadaj mi prędzej! Co ci z domu przynosi?

— Wziąłem go z pod uniwersytetu, gdzie niebo-rak na nas czatował, nie mogąc się dopytać naszég kwatery; a co mi z domu przynosi, o tém się jeszcze dowiemy. Wprzód go trzeba nakarmić i napoić, a po-tém już gwarzyć będziemy. Na prelekeye nie pójdę.

— Pal je dyabli! — wykrzyknął wesół Leos. — Jeśli pozwolisz, to i ja z tobą zostanę. Sawko! da-waj herbaty! a ruszaj po rum i po kielbasę!

Kubus stał pośród pokoju, zmieszany i jakby odu-rzony, i powitaniem Leosia, i widokiem téj młodzi, różnéj, wesółej, co nań spoglądała ciekawie, ale przy-jaźnie, i wszystkiém, co go otaczało w téj chwili, a co dlań miało jakiś urok niewysłowiony. Półki i stoły, zavalone książkami i seksternami, pośród których białały tu i ówdzie ludzkie kości, a czaszka grała rolę puszki na tytoń; szklane słoje ogromne,

gdzie w wodzie widać było pomiędzy rzeczniem ziel-
 skiem jakieś żywe twory szczególne, lub w spirytusie
 zakonserwowane monstrum osobliwsze; zbiory owa-
 dów, jak obrazki, za szkło oprawne; wielkie mapy
 i tablice anatomiczne na ścianach, upstrzonych woka-
 bułami i notatkami różnemi, prawie nad każdym
 łóżkiem; konchy i minerały na etażerce, ptaki i zwie-
 rzęta wypchane, ustawione na gzymsach pieca,
 a wreszcie cały kościotrup, z kąta wyszczerzający zę-
 by, ze szpadą w rękę; wszystko to w dziwny sposób
 uderzało wyobraźnię Kubusia i uniosło go z rzeczy-
 wistego świata jakby w czarodziejską krainę. Stał
 więc jak osłupiały, oczy zdumione obracając dokoła...
 a wtém Staś doń przystąpił, wziął mu z rąk kij
 i czapkę, i zdejmując z pleców mantelzak, rzekł
 z uśmiechem serdecznym:

-- Rozgość-że się, panie Jakóbie! złóż swe ma-
 natki, zrzuć burkę i siadaj do herbaty.

Kubus machinalnie był mu posłuszny: dał się
 rozjuczyć i zaprowadzić do stołu, gdzie już nań her-
 bata czekała. Usiadł i w mileczeniu wziął się do
 szklanki, ale pomimo głodu, ledwie jęj usta dotknąw-
 szy, postawił ją napowrót i znowu się zaczął wokoło
 rozglądać, a jeszcze bardziej wpatrywać się w obli-
 cze Stasia, które delikatnym swoim konturem żywo
 mu przypominało rysy Helenki.

-- Cóż-bo u licha — zawołał, przystępując do
 stołu Leoś, co na chwilę był odszedł do swojego

kącika, ażeby wdziać pantofle i szlafrok. — Mileczysz,
 panie Kluczański, jak niemowa czy kameduła, a my
 tu drżymy z niecierpliwości, żeby słyszeć od ciebie,
 co się tam w naszej Arbuzówce dzieje!

Żywy rumieniec buchnął na blade lica Kluczar-
 skiego, smętny uśmiech mignął na ustach.

— Dzięki Bogu — wyjąkał — wszystko dobrze...
 wszyscy żywi i zdrowi.

— Tego nam mało! Nie prawdaż, Stachu? Opo-
 wiadaj nam pan obszernie, detalicznie.

Kubus spojrzał na Stasia, a potem po studentach,
 których się jeszcze kilku krzątało po pokoju, gdy in-
 ni już się za drzwi wynieśli, — i w mileczeniu znów
 do herbaty się zabrał. Staś zrozumiał, o co rzecz-
 idzie, skinął na Leosia znacząco i ozwał się z uśmie-
 chem:

— Pozwól-że mu przynajmniej wprzód gardło
 odwilżyć i ogrzać się choć trochę. Ranek świeży
 okrutnie, a on dość długo musiał pod uniwersytetem
 wartę odbywać.

— Prawda! — zawołał Leoś. — Pijże pan, póki
 gorąca. Ale czemu, u katusi, ten niezdara Sawko nie
 wraca?! ani rumu, ani kielbasy!

Wybiegł do przedpokoju i wnet wrócił z butelką
 i ze sporym kęsem wędliny.

— Górą nasi! — wykrzyknął. — Łaknącego na-
 karmim, pragnącego napoim, podróżnego-śmy w dom
 przyjeśli, i tak za jednym zamachem aż trzy miłośnier-

ne uczynki będą spełnione. Jurku, mój złoty! dajno trybuszona! — dodał, zwracając się do jednego z kolegów — wszak ty lepiej wiesz o nim, niżli o chirurgicznych swoich instrumentach...

— Wiem, wiem, bo kocham ciebie, a więc o fa-worycie twoim pamiętam — odparł Jerzy wesolo, podając mu korkociąg.

— Bóg zapłać! wart-byś szklanki ponczu za koncept, ale jęj nie dostaniesz tym razem, ani żaden z was, marodery! Wieczorem sobie *knajpę* sprawimy, a tymczasem wynoście się do licha, bo tu mamy do pogadania. *Sapienti sat!* Do nóg upadam!

Reszta studentów pociągnęła w ślad za innymi, a Staś i Leoś sami pozostali z Kluczarskim.

— No, już teraz możemy gwarzyć sobie swobodnie! — zawołał Leoś, dolewając Kluczarskiemu jamajki. — Wychył pan jednym haustem, zagryź kielbasę, a jak ci się język rozwiąże, to nam powiesz nareszcie, z czém i po co przybyłeś?... Sawko! siedź w przedpokoju, póki cię nie zawołam... Słuchamy!... Masz pan tu i papierosy, i zapalki; jedz, pij, pal, a jeśli możesz, to gadaj zarazem.

— Ej-że, panie Kluczarski! — ozwał się Staś ze smutkiem — coś mi twoje milczenie złą zapowiedzią się zdaje!

— Doloż moja! — zawołał Kubuś — niech-że pan Stanisław będzie spokojny! Milczałem, bo mi nie łatwo było przyjść do słowa śród tylu obcych; bom

się przy nich wstydził sam siebie i lękał się swojej śmiałości, z jaką się odważyłem na tę wyprawę. Bo ja... bo... darujcie mi panowie! — prosił rzewnie, ręce składając — ja tu przyszedłem błagać was, żebyście mi przy sobie uczyć się pozwolili.

I spuścił oczy, oblawszy się mocnym rumieńcem. Staś i Leoś spojrzeli się bystro wzajem po sobie.

— Ślicznie! — zawołał pierwszy.

— Brawo! — zawtórował mu drugi. — To i czegoż się wstydzić i lękać? I owszem! bądź pan pewny, że nie tylko my, ale wszyscy nasi koledzy z otwartemi cię przyjmą rękami.

— Ani wątpić! — rzekł Staś rozpromieniony. — Każde serce poczeiwe ucieszy się objawem takiej gorącej chęci do nauki, każde szacunkiem i przyjaźnią pana otoczy. Szkoda, żeś pan odrazu nie powiedział tego przy wszystkich; obaczyłbyś, jakby ich to uradowało!

Lży słodkie zasłoniły oczy Kubusia.

— Ach, drogi panie Stanisławie! — zawołał — kiedyż-bó mi wstyd było swego prostactwa wobec tylu paniczów! Z panem i z panem Rawskim to co innego! ja panów znam już dobrze, ufam waszemu sercu, nie boję się was, jestem śmiały z wami. Idąc tu, o was tylko myślałem, zapomniawszy o innych; lecz jak-em się znalazł przed nimi, tak w momencie straciłem caluteńką odwagę! O! ileż wycierpiałem

w tej krótkiej chwili! Te książki i te wszystkie naukowe przybory zachwyciły mię, oczarowały! zdało mi się, że jestem w raju; ale myśl, czém ja jestem i czém będę wobec tej młodzi, która się z ciekawością przyglądała mojej dziwniej figurze, tak mię dręczyła, tak srodze upokarzała, tak szczególną przemawiała mię trwogą, że już, już gotów byłem uciec stąd i biedz w świat bez pamięci, kędy oczy poniosą.

— Dziwactwo! — rzekł na to Leos — ot, obaczysz, jak wrócą a posłyszają o twych zamiarach.

— Ach, panie! — westchnął Kluczarski — tak pan mówisz, bo pewnie myślisz, że ja mogę uczyć się tak, jak drudzy, że mam środki po temu... A tymczasem ja muszę pierwój sobie służby poszukać, że bym miał chleb i stancję. Spodziewałem się, wyznam otwarcie, że mnie panowie przyjmiecie za lokaja...

— Wstydź się pan! — zawołał Leos ze śmiechem.

— Ale gdzież tam! — podchwycił wraz Stanisław.

Kluczarski zbladł, jak chusta, i załamał ręce boleśnie.

— To cóż ja nieszczęśliwy mam począć? — wykrzyknął z wielkim żalem. — Co pocznę, kiedy nawet panowie, na których tu najwięcej liczyłem, uważacie to za wstyd i niepodobieństwo! to jakże inni na to patrzeć będą?! Ale czy tutaj niema wcale takich, co służąc, uczą się przy swych paniczach?

a jeżeli są, to czyż nimi tak bardzo pomiatają bogatsi? Bóg z nimi! ja-bym to znieść potrafił, a wobec pana i pana Stanisława umiałbym zachować się pokornie i posłusznie, jak na sługę przystało, byle-byście tylko zechcieli dać mi kąt w przedpokoju i łyżkę strawy, a nie odmówili swojej pomocy, gdziebym jęj potrzebował w nauce.

I lży mu w oczach stanęły.

— Ślicznie, ślicznie! panie Jakóbie! — zawołał Staś z zachwytem, serdecznie dłoń mu ściskając.

— Ale daj-że pan temu pokój! — podchwycił Leos, biorąc go z drugiej strony za rękę. — Obejdzie się bez tego! Nie sługą, ale kolegą naszym pan będziesz, bo sądzę, że nie zrobisz mi takiej krzywdy, abyś miał wzgardzić przyjacielską moją pomocą, to jest, abyś nie zechciał jeść ze mną z jednej miski; bo kwatery tu się nie liczy, opłacamy ją wspólnie ze Stasiem, i możemy z sobą postawić tyłu, ilu się zmieści.

Kluczarski spuścił oczy i westchnął.

— Z duszy dziękuję panu! — odezwał się po chwili z zapłoniem obliczem — ale... niech mi pan tego za złe nie bierze, z łaski pana Widzkiego wiem, że lepiej się podjąć najpośledniejszej służby, niż mając zdrowe ręce, być darmożjadem, czyli też pieczeńiarzem.

Staś aż w dłonie klasnął z radości.

— Pięknie i zacie! — wykrzyknął. — Bądź pan spokojny! z takimi zasadami nie zginiessz.

Leos zerwał się z miejsca.

— Czyś oszalał, *purysto*?! jeszcze go chwali, żeby mu do reszty głowę przewrócić! Wolałbyś mu wytłomaczyć rozsądnie, że powinien przyjąć pomoc braterską, że tém się nie poniży bynajmniej, że gdyby tak wszyscy myśleli, to w cóż-by się obróciły wszelkie stypendya i zapisy wieczyste, z których korzysta tyle młodzieży? Przecież nie brak i pomiędzy nami ludzi nieco bogatszych, którzy i mogą, i powinni wspierać biedniejszych. Wszakże i sam twój ojciec powiada, że jednym z najważniejszych obowiązków obywateli jest wychowanie dzieci officialistów. Jakże więc jedno z drugim pogodzić? jak być ofiarodawcą, jeśli przyjmujący ofiarę ma zejść na pieczeniarza?

— Ale gdzież tam! — odparł Stanisław — ja tego wcale nie mówię i nie liczę za pieczeniarstwo, ani za poniżenie, gdy kto przyjmuje wsparcie od możniejszego na to, aby gorliwą pracą przy dobrych obyczajach zdobyć wyższą naukę i stać się użytecznym członkiem społeczeństwa. Taki właściwie jest tylko dłużnikiem, co dług swój z hojną lichwą wypłaca, chluba dobroczyńcy swojemu, a korzyścią krajowi. Nie jestem więc bynajmniej przeciwnikiem takiej pomocy; ale też nie mam prawa i tych potę-

piąć, którzy pragną stanąć o własnych siłach i tylko samym sobie wszystko zawdzięczać.

— Strasznie głęboko wzięłeś... Spuściłeś się na samo dno studni mądrości; tylko, na miłość Boga, nie ciągnij tam pana Jakóba, żeby w niej nie utonął nieborak.

— Nie utonie, bądź pewnym, bo w ostatecznym razie śmiało do ciebie o ratunek zawoła. Czyż nie prawda, panie Kluczarski?

Kubuś mileżał zakłopotany.

— Darmozjadem pan przez to nie będziesz — ciągnął dalej Stanisław — bo darmozjadem ten się tylko nazywa, kto wisi na cudzej łasce, na to jedynie, aby w próżniactwie się wypasać bez pożytku dla społeczeństwa, i ani nawet pomyśli o zaradzeniu sam sobie; z panem zaś tego nie będzie.

— A więc w razie nieszczęścia — rzekł Kubuś, wdzięczne spojrzenie na Leosia zwracając — pokornie się udam do pańskiej łaski, ale wolałbym nie przychodzić do téj ostateczności; wolałbym panom służyć, ot... za lokaja poprostu, tak jak ten Sawko, ale tylko panu i panu Stanisławowi.

— A to szczególny amator lokajskiego fachu! — wykrzyknął zniecierpliwiony Leos.

— Obejdzie się bez tego — podchwycił Staś z uśmiechem. — Znajdzie się tu dla pana inne zajęcie. Uważałem, że ślicznie piszesz; będziemy ci mogli dostarczyć czegoś tam do przepisywania. Wszakże

i ty, Leosiu, nieraz potrzebujesz skrybenta do kopiowania opuszczonych prelekcij?

I mrugnął nań z porozumieniem. Poczciwa twarz Leosia nagle zajaśniała wielką radością.

— A prawda! przewybornie! — zawołał, zacierając ręce wesoło — wysmienity przyszedł ci pomysł! Tak będzie i wilk syty, i owca cała! No, więc już to rzecz skończona; będziesz pan miał utrzymanie, wprawdzie mizerne, ale zgodne z pańską ambicją.

— Ach panie, panie drogi! — wykrzyknął uszczęśliwiony Kubuś, promieniejąc błogą pociechą. — Dosić mi kromki chleba i szczypty soli, byle-był tylko mógł się uczyć tu przy was.

— Ile zechcesz! — rzecze Stanisław — będę panu pomagał całym swoim rozumem, a że z całego serca, o tem mówić nie trzeba.

— A znajdzie-że się tu dla mnie jakiś kącik niewielki? — zagadnął z nieśmiałością Kluczarski.

— O to się pan nie turbuj — odpowiedział Leos — zaraz ci tu każemy łóżko postawić.

— Ale gdzież tam! — zawołał Kubuś — ja myślę o przedpokoju, i za to będę wdzięczny, a nim się znajdzie zarobek, mam grosz jakiś w kieszeni: z pensyi kilkanaście rubli, a trzydzieści za konia, com go sprzedał w Winnicy.

— O! toś pan bogatszy odemnie! — rzekł Staś z uśmiechem. — Ja mam zaledwie parę rubli w kieszeni, a przecież się nie troskam.

— Właśnie téż! — podchwycił Kubuś — ojciec pański, domyślając się tego, kazał, abym panu wręczył tę oto sumkę. — I zapłoniony, sięgnąwszy do kieszeni, wyjął z niej dwadzieścia rubli i położył na stole.

Staś nań spojrział zdziwiony.

— Jakto? — rzekł, — wszakżeś pan mówił, że mój ojciec nie wiedział, czy pan będziesz w Kijowie?

— Tak... to jest... — jękał Kluczarski, coraz się mocniej rumieniąc, — nie było nic pewnego; to téż mi kazał, w razie zmiany zamiaru, oddać te pieniądze na pocztę.

— A czemuż nie nie pisał?... —

— Bo wyjechałem jakoś niespodzianie... Kazał tylko pana pozdrowić i powiedzieć, że napisze przez pocztę.

I mieszał się coraz to bardziej, i nie śmiał oczu podnieść na Stasia, bo czuł, że się chwila krytyczna zbliża, że będzie musiał odpowiadać na tysiąc pytań, dotyczących się rodziny Widzkich, i swojego wyjazdu, a wszystkie plany, które w drodze układał, teraz mu się zdawały całkiem niepraktycznymi, kiedy pierwszy, najlepszy, tak się na złe obrócił. Pieniądze bowiem, które wręczył Stasiowi, były nie inne, jak te, które pan Zygmunt dał mu przy pożegnaniu na wyłączenie jego potrzeby. On je przyjął, nie chcąc odmową krzywdzić dobroczyńcy swojego, lecz w tejsze

chwili postanowił poeciwiwie zrobić z nich inny użytek. Tak też uczynił, i splątał się od razu.

Staś nań patrzył badawczo i złe jakieś przeczucie w sercu mu się budziło.

— Nie tego nie rozumiem, — rzekł po chwili milczenia. — Chyba mi list ojcowski tę zagadkę rozwiąże... Obyż nadszedł co prędzej! Widzę wyraźnie, że masz pan jakąś tajemnicę, której mi nie chcesz wyjawić; a więc nawet pytać nie będę, dlaczego i w jaki sposób z mym się ojcem rozstałeś?

— Dla nauki, kochany panie! a w sposób najuczciwszy! Nogi mu całowałem, a on mnie błogosławił, jak syna! — zawołał biedny Kubuś, ledwie łzy mogąc powstrzymać.

— Moeno się z tego cieszę! — rzekł Staś wzruszony, — ale powiedzże mi pan przynajmniej, jak się tam moim powodzi? Czy zawsze na nich łaskaw pan prezes? czy paniczowi wywietrzały z głowy amory?

Kluczarskiemu twarz nagle zbladła i tchu w pierśiach nie stało; spojrzał trwożnie na Stasia i znowu się krwawo zapłonił, i ku piersiom głowę pochylił! Chciał coś rzec, ale głosu mu brakło, bo i myśl go całkiem odbiegła.

— Na miłość Boga, — krzyknął Staś, porywając się z miejsca, z trupa w licach bladeścią, — gadaj pan, co się tam stało?! czuję jakieś nieszczę-

ście! — I załamał ręce rozpacznie, i stał drżący febrycznie, z dzikim ogniem w źrenicy.

— Stasiu! — zawołał Leos, — nie bądź-że dzieckiem! Miejsze nad nim litość! A ty, panie Kluczarski, nie dręcz go tą niepewnością okropną! Jemu już się Bóg wie co roi!

— Przysięgam na zbawienie duszy, — jęknął Kubuś, złożywszy dłonie i z najtkliwszym wyrazem wznosząc oczy na Stasia, — że wszyscy żywi, zdrowi, bezpieczni, tylko...

— Tylko co?

— Tylko się z Arbuzówki wynieśli.

— Gdzie?

— O parę mil, do Raczek.

— Dlaczego?

— Zaszło jakieś nieporozumienie; ojciec pański sam podziękował za obowiązek.

— Jakie nieporozumienie? musisz pan wiedzieć o wszystkim, i zaklinam cię na Boga, powiedz mi całą prawdę.

Kluczarski, zakłopotany, bystro spojrzał w oczy Leosia, jakgdyby w nim rady szukając. Ale i ten zniecierpliwiony i przejęty był niemniej od Stasia.

— Gadajże pan nareszcie! — zawołał natarczywie.

Więc biedny Kubuś, rad nie rad, musiał opowiedzieć całą historię.

Jak ją Staś przyjął, jak ją przyjął kochający go

Leoś, dla którego rodzina Widzkich była jakgdyby własną, łatwo to pojąć, ale trudno wyrazić. Napaść prezesowicza na Helenkę w dąbrowie obu ich taką zgrozą straszliwą, takim oburzeniem wściekłym przejęła, że gdyby mogli byli w onęj chwili dostać go w ręce, toby go w proch roztarli.

— Ha, nikczemnik! — zawołał burzliwy Leoś, — dobrze przynajmniej, żeś go pan wyharapował, ale ja-bym na pańskim miejscu trupem go tam położył.

A Staś, z twarzą rozplamioną, z oczyma palającymi, załamawszy dłonie na głowie, jakgdyby się lękając, aby jej rozszalałe myśli nie rozsadziły, krokiem gwałtownym tam i sam po pokoju się miotał, i głuchym tylko jękiem odzywał się niekiedy. Nareszcie padł na łóżko, ukrył lica w poduszce, i zaniósł się łkaniem żalownym. — Leoś doń się rzucił ze szklanką wody, Kluczarski z prostym słowem serdecznym, i powoli, powoli, otrzęźwili go i ukoili. Powstał blady, złamany, z powiekami krwią nabiegłymi, jeszcze się kilka razy przeszedł po izbie, patrząc w ziemię ponuro, a potem do Leosia przystąpił i wzięwszy go za rękę, rzekł, z wyrazem prośby rzewliwej.

— Wszak pojedziesz ze mną do Stefanówki? nie prawdaż?

— Choćby natychmiast; ale powiedz mi po co?

— Czyliż możesz o to mnie pytać? Ten nikczemnik...

— Rozumiem; ale zastanów się nad tem porządnie. Co było do zrobienia, to już ojciec pewno wykonał.

Staś, jakby nagłą myślą uderzony, porwał się z przerażeniem za głowę.

— Nie trwóż-że się tak bardzo! — reflektował go Leoś, — wierzaj mi, że jeżeli tam przyszło do rozprawy na ostre, to w niej pan Erazm twego ojca pewno wyręczył.

— Pan Erazm! panie Kluczarski, czy pan Erazm wiedział o tym skandalu?

— Nie wiedział, — odrzekł Kubuś ze smutkiem, — bo właśnie, gdy się to stało, on już był do Kijowa wyjechał.

— Co? Sławocki w Kijowie? — wykrzyknął Leoś, — i z nami się nie widział?

— Chyba jeszcze nie przybył, — zawnioskował Stanisław, — dawnoż puścił się w drogę?

— Na dzień przede mną.

— Dziwna rzecz! cóż się z nim stało? — rzekł Staś zgryziony. — Powiedzże teraz, czy nie wypada mi jechać?

— Jedźmy! — zawołał Leoś, — ale pierwój do Raczek. Mów, co chcesz, ja cię do Stefanówki bez woli twego ojca nie puszcę; prędzejbym osobiście rozprawił się z paniczem, ale i na to nie mogę się odważyć bez jego pozwolenia.

Staś się mocno zamyślił.

— Ha! — rzekł wreszcie z westchnieniem, — masz rację; jedźmy do Raczek! Wprzód jednakże wypada zaczekać na Sławockiego, albo chodźmy go poszukać: może już przyjechał. Pan może tymczasem zechcesz trochę odpocząć, — dodał, zwracając się do Kluczarskiego. — Dosyć się namęczyłeś.

— Ej fraszka to dla mnie! niech mi lepiej panowie pozwolą udać się z sobą! jabym tak pragnął być użytecznym panu Sławockiemu! — odparł Kluczarski, mocno się zapłoniwszy.

— Dobrze! pójdziemy razem! — zdecydował Leos, — niech się tylko pierwej ubiorę. Sawko!

Sawko wszedł i podał list Stasiowi.

— Od kogo? — szybko zagadnął Leos.

— Od ojca! — odpowiedział Stanisław z twarzą rozplamioną, gwałtownie drżącą ręką rozrywając kopertę.

— Dzięki Bogu! Czytajże! czytaj prędko! a co będziesz mógł, to mi opowiesz. Ja się tymczasem ogarnę. Sawko! dawaj wody, suknie i buty! żwawo!

Staś już cały w liście utonął, a Kluczarski w jego obliczu.

List był długi niezmiernie, bo pan Zygmunt, pragnąc zawczasu zahartować serce syna swojego i wyrobić w nim męski, energiczny charakter, zwykł był od lat młodzieńczych wtajemniczać go w najważniejsze sprawy rodzinne, a nawet i publiczne, ko-

rzystając z każdej zręczności, z jakiej tylko mógł zdobyć dlań zbawiającą naukę. Więc i tym razem nie omieszkiał najwierniej opisać mu całej przygody w szczegółach najdrobniejszych, zdając sprawę, nie tylko z faktów, ale nawet ze wszystkich swoich myśli i uczuć, i z całej tej walki wewnętrznej, jaką musiał stoczyć sam z sobą, raz gdy spotkał Helenkę, wracającą z pasieki i posłyszał o niecnym postępku prezesowicza, potem znów przy rozprawie z prezesem, a jeszcze bardziej z Bolem i przeznacną jego marnunią. „Wyznaję (pisał), że nie łatwo mi przyszło opanować gniew swój i oburzenie; ale za to dzisiaj tém miłiej pomyśleć o tryumfie, jaki, i nad własną krewkością, i nad tymi ludźmi odniosłem. Rozważając całe to przejście, nie w niem nie mam sobie do wyrzucenia. Z prezesem, który w gruncie serca dobrym jest człekiem, rozmawiałem spokojnie i z największą delikatnością, a przecież przywiodłem go do tego, że, pomimo strasznój obrazy, jakiej w synu swym doznał, nie tylko mnie zań przepraszał, ale nawet był gotów skazać go na wygnanie, byleby tylko w Arbuzówce pozostał. Prezesowej przy mówiłem dość ostro, ale nie w uniesieniu; zrobiłem to z rozmysłem, dobrze wiedząc, że do tej oczadzonej pychą złośnicy żadne słowo pocziwe i rozsądne nigdy nie trafi. Panicza ukarałem takim upokorzeniem, iż, pomimo głupoty i lekkomyślności swojej, pewnie na całe życie naukę zeń wyniesie. Powiem

ci nawet szczerze, mój ty synu najmilszy, że mi żal tego szaleńca; bo nie tyle on winien, jak się może komuś wydawać. Zepsuty wychowaniem bezmyślném i pobłażliwością rodziców, głównie zaś głupiej swój matki, próżny, zarozumiały, płochy, nawykły do pokątnych miłostek i poprzednich łatwych tryumfów we fraucymerze matczynym, dał się wplątać w kabałę, uwierzył dzikięj baśni i srodze ukaranym został za niecne swe intencje i łatwowierność dziecinną. — Czegóż mi więcej potrzeba? a raczej, czy podobna więcej wymagać w oplakanéj téj sprawie?... Znając wszelakoż zagorzałość twoją młodzieńczą, pewny jestem, że ci tego za mało, że już ci tysiąc razy przyszły na myśl kule i miecze, że gotów byś natychmiast tutaj do nas przylecieć, żeby krwią zmyć zniewagę, wyrządzoną drogiéj twéj siostrze. Nie prawdaż? I dlatego, mój ty najmilszy, muszę cię wezwać w imię twéj synowskiéj miłości, abyś się w swym zapędzie powstrzymał, bo wyzwaniem Sadłowieckiego, pominąwszy już inne najsmutniejsze następstwa, tylko-byś się przyczynił do ujmy czci Helenki, któraby w taki sposób stała się heroiną skandalu. Dziś, oprócz Kluczarskiego, Sadłowieckich i Jarmusińskich, nikt o tym wypadku nie wie; a że na dyskretność pierwszego mogę liczyć z pewnością, że prezesostwo w interesie swym własnym wszelkich starań dołożą, żeby się nie rozniosła hańba ich kochanego infanta, tuszę więc, że unikniemy najwię-

kszego nieszczęścia, to jest zniesławienia Helenki przez złośliwe języki. Stąd téż szczerze ci powiem, że jakkolwiek boleję nad losem Sławockiego, czuję w tém pewną pociechę, że na ten raz niema go w domu; bo wątpię, czy zdołałbym zapobiedz wmieszanu się jego w tę sprawę... Sądzę, to jest pewny jestem, mój synu, że będziesz tam o nim pamiętał, że nie oszczędzisz trudu, aby mu być pomocnym. — Helenka i swą przygodę, i ten nowy cios, tak bolesny, zniosła mężnie i godnie, jak przystało na moją córkę. Cierpi, lecz się nie skarży; modli się, czasem leżkę uroni, czasem się smętnie zamyśli: ale w ciągłym zajęciu, w pracy pełnéj miłości i poświęcenia, szuka ulgi dla swéj boleści i znajduje ją zawsze".

Daléj następowała szczegółowa relacya o matce i o babce, o Ignasiu i Józi, o ks. Anastazym, a nawet o Kurczyckim i o Łypińskim, nareszcie zwrot do siebie: „Żal mi szczerze, nie tyle straconego kawałka chleba, ile pracy przerwanéj, pracy, która już zaczynała taki piękny plon mi przynosić. Nie wyrzekam jednakże i mam w Bogu nadzieję, że powoli znajdę nierównie obszerniejsze pole dla siebie, na które nie zaniedbam rzucić ziarna dobrego siewu. Dlatego się nie kwapię i nie przyjmuję pierwszój lepszej posady; wolę przecierpieć, wolę sfantować się do końca, a doczekać się czegoś, co odpowie mym chęciom, na czém trud się oplaci, i moralnie, i materyalnie. Nie jestem już w takiéj pozycyi, jak po stracie majątku,

kiedy mi się koniecznie śpieszyć należało do jakiegokolwiek pracy, żebym nie miał miny żebraka, żeby ludzie przecież wiedzieli, że na łasce ich zostać nie myślę, że mam sposób do życia, mam *swoją stan* w kole społecznym. Czekam więc i o przyszłość jestem spokojny, tylko serce mi się ściska boleśnie, gdy pomyślę, że ci może wypadnie trochę niedostatku doświadczyć, bo wątpię, żebyś miał już z korrepetycyi dostateczne dochody; ale ufam sercu twojemu i pocieszam się tym przekonaniem, że jeśli nawet zaznasz istotnej biedy, to ją zniesiesz ochoczo i uzacnisz się w przekonaniu swym własnym, współcierpiąc z cierpiącą twą rodziną. Cierp więc, mój drogi! oszczędzaj się jak możesz, a nawet zrób ofiarę ze świąt Bożego Narodzenia; nie myśl o przepędzeniu ich z nami. Jeśli się interesa nasze poprawią, to na Wielkanoc sprowadzę cię pewno do domu, aby sobie i tobie wynagrodzić tę prywatę boleśną”.

O Kluczarskim był dość długi ustęp osobny, w którym pan Zygmunt mówił o nim z wielką miłością, chwalać jego serce poczciwe i szlachetny sposób myślenia, a razem ubolewając, że się musiał z nim rozstać, wydalić go prawie przemocą, bojąc się, aby panicz i pani, a nawet i sam prezes, jakimś gwałtem haniebnym nie popchnęli go czasem do zbrodni.

Leos od kilku minut już był całkiem ubrany, i w milczeniu, stojąc opodal, wraz z Kubusiem z obli-

cza Stasia wzrokiem odgadnąć pragnął, co on czytał z listu rodzicielskiego.

— No, i cóż tam, mój drogi?— skoczył doń z zapytaniem, gdy ten wreszcie cały list przebiegł.

Staś, zamiast odpowiedzi żądanej, najpierw Kluczarskiego chwycił w objęcia i ściskając go z wielką czułością, przepraszał, że aż teraz dopiero może mu całą swoją wdzięczność wyjawić za obronę swjej siostry i za dobrą naukę, paniczowi daną; bo pierwój, zbyt przejęty jednym tylko uczuciem zniwagi, wyrządzonej Helence, i trwogi o los całej rodziny, nie był zdolnym ocenić całej doniosłości szlachetnego jego postępk. Więc i Leos z kolei rzucił mu się na szyję i z właściwą sobie energią w kilku słowach dobitnych dał mu poznać, jak bardzo szanuje go i kocha.

— Lecz o tém pogadamy kiedyś obszerniej, a teraz mów nam, Stasiu, co tam dalej się stało?

Staś, wzruszony do głębi serca sprawozdaniem ojcowskiem z dziejów swojej rodziny, którą kochał tak szczerze, taką wielką, świętą miłością, z którą, bez przesady rzec można, przez ten kwadrans czytania wycierpiał wszystkie bóle przez nią doznane, jakby sam żył, czuł i myślał w każdym z pojedynczych jej członków — Staś, powiadam, wzruszony w całej swojej istności, ale razem zreflektowany powagą tego ojca, który doń nigdy nie przemawiał napróżno, z wielkim ogniem, ale bez uniesienia, po-

wtórzył Leosiowi prawie słowo w słowo całą relację o tém, co się zdarzyło po rozstaniu się pana Zygmunta z Helenką, wracającą z pasieki; czego też i Kluczarski słuchał z niewymownym zajęciem.

Rawski nie posiadał się z radości. Szlachetne jego serce, mimo swoje drobne przywary, umiało należycie ocenić całą podniosłość charakteru Widzkiego, cały jego tryumf moralny.

— Ślicznie! dzielnie! cudownie! — wykrzykiwał co chwila. — To mi człek!... Lecz i prezes mi się podoba; zuch, niéma co gadać! Dałbym wiele, gdybym go mógł oglądać przy rozprawie z Jarmusią; albo widzieć minę tego gagatka, gdy mu twój ojciec dał przysmaczek z listu panny Heleny!... A! głupia lafirynda! (oburzył się na prezesową, słysząc o jej pretensyi za mniemaną zniewagę, wyrządzoną Fisi przez Stasia) patrzcie ją! wszakże ona doprawdy chciała ojca wypędzić za to, że jej godna córunka miała intencję zbałamucić mu syna! O! teraz to serdecznie żałuję, że cię nie mógł nakłonić, żebyś *taki* na dobre pustą główkę pannie zawrócił! Czekajże, moja pani! niechno tylko wrócę do domu, będziesz się miała z pyszna! Pożegnaj się z nadzieją na książąt i na hrabiów! Wyjawię ja tę sprawę, bądź pewna!

— Małoż ci jeszcze, Leosiu?! — rzekł Staś na to z wyrzutem.

— Byłoby dosyć, gdyby się nie zuchwiała; ale po tém, co zaszło, musi być ukarana porządnie!... Zresztą pal ją dyabli! mówmy o czémś ważniejszym, a raczej wybierajmy się w drogę — do Sławockiego, a potem i do Raczek.

— Z Raczek już kwita, mój Leosiu! — odrzecz Staś ze smutkiem.

— Jakto? skądże ta nagła zmiana?

— Ojciec sobie tego nie życzy.

— Nie życzy, żebyś się strzelał; ale czemużby znowu nie chciał ciebie mieć w domu, kiedy twoja obecność mogłaby sprawić tyle błogiej pociechy całej twojej biednej rodzinie.

— Ma do tego słuszne powody; bo najprzód: na przejażdżki trzeba pieniędzy.

— Fraszka! masz-że dwadzieścia rubli; a zresztą u mnie kredyt nieograniczony.

— Dziękuję ci serdecznie; ale wola ojca dla mnie jest święta.

I w samą rzecz świętą być musiała ta wola, świętém posłuszeństwo synowskie, kiedy Staś mógł się oprzeć takiej pokusie, takiej natarczywój namowie, jaką w ślad za tém Leos go chciał przekonać. Widząc, że nie nie wskóra, Rawski się trochę nadął, ale dał mu pokój nareszcie, i naglił już tylko do wycieczki dla odszukania Sławockiego. Zabrali się tedy i poszli, a Kubuś, który im towarzyszył, w duchu

Bogu dziękował, że tak w porę list przyszedł, bez którego on, biedny, musiałby sam jeden zostać w Kijowie bez opieki i rady.

ROZDZIAŁ ~~SZÓSTY~~ CZWARTY.

Mamże wam opisywać tę scenę, jaka w godzinę potem odbyła się między panem Erazmem a tą młodzą pocziwą?

Ma się rozumieć, że o przejściu z prezesowiczem, jako też i o wydaleniu się Widzkich z Arbuzówki, ani on, ani inni przed Sławockim nie wspominali, i że wiedząc zawczasu o mającym rychło nastąpić przyjeździe jego ojca, nie omieszkali natychmiast go wytropić i udzielić mu odpowiedniej instrukcyi, której on też, za widzeniem się z synem, trzymał się jak najściślej.

Oszczędzono więc Erazmowi jednej z najdotkliwszych boleści.

Stary Sławocki chciał koniecznie zostać w Kijowie aż do ostatecznego rozstrzygnięcia procesu; ale syn, zaręczwszy mu uroczyście, że jest pewnym wygranej, usilnóm naleganiem zdołał wreszcie go

skłonić, że tylko zabawiwszy parę dni, pełen dobrej otuchy, do swęj chaty i zajęć wrócił, poleciwszy swęgo Erazma przyjaźni naszęj trójki pocziwęj!

Zbyteczną rzeczą jest powiadać, że i Staś, i Kłuczarski dali odjeżdżającemu listy bardzo obszerne, które ten osobiście panu Zygmuntowi wręczyć obiecał. A nie były to pierwsze od przybycia Kubusia. Zaraz nazajutrz po zjawieniu się jego w Kijowie i po owém piśmie Widzkiego, o którém czytelnicy już wiedzą, obaj młodzieńcy pisali doń przez pocztę: Staś wywnętrzał się z onęj boleści, jakięj doświadczył na wiadomość o tęp, co w domu zaszło, wyrzekał na fatalną konieczność puszczenia paniczowi plazem tęp sprawki; ale najzupełniejszą słusność ojcu przyznawał, tak w tęp, jak i w jego postanowieniu co do swojęj nieobecności w Raczkach, a w końcu dziękował mu z tkliwą wymówką za sumkę przez Kubusia sobie wręzoną. Helence przesłał takóz rzewny wyraz współzucia i pociechy, matce i babce kilka słówek serdecznych, stosownie do usposobienia każdęj. Kłuczarski błagał pana Zygmunta najprzód o przebaczenie za ukrycie przed nim swych planów; tłómaczył się, jak zdołał, i korzył się pocziwie, zaklinając go, aby mu nie odbierał swęj laski, aby i nadal po dawnemu wspierał go swoją radą przyjaźną, a z serca pobłogosławił jego śmiałym zamiarom. Potęp, wiedząc na pewno, że Staś nie omieszką ojcu dziękować za przysłany zasilek, przyznawał się nieborak

do swojego postępu, utrzymując, jakoby się wtedy nań odważył, kiedy spostrzegł, że pan Stanisław ostatkami już goni, z powodu nierzetelności tych, u których lekye dawał. Prosił go, aby swojego syna nie wyprowadzał z błędu, a jemu dobrotliwie winę odpuścił. W końcu się submitował całej rodzinie, do nóg jej się w liście rzucając, z pożegnaniem serdeczném, z prośbą o błogosławieństwo, dziękczynieniem za dobrodziejstwa, jakich od niej doświadczał, z wynurzeniem żalu wielkiego, że osobiście nie mógł obowiązku tego dopełnić, i z modlitwą o pamięć i o serce życzliwe.

W przeddzień wyjazdu ojca pana Erazma, obaj odebrali odpowiedź. Domyślcie się pewno, że Kłuczarskiemu Widzki z serca przebaczył i obiedwie jego winy pocziwe. Wprawdzie go trochę połajał za brak nieco większej ufności, za tajenie się z zamiarami swojemi; ale bynajmniej nie brał mu tego za złe, że tak bardzo zapragnął ukształcenia wyższego.

„Przypomnij tylko (pisał), mój kochany panie Jakóbie, naszą pierwszą rozmowę, przypomnij, com ci wtedy powiedział o rozległości i znaczeniu nauki i o głównym jej celu. Szczęśliwys, jeśli cię wiedzie tylko czysta miłość oświaty, jeśli się z nią nie łączy żadna inna ambicya, oprócz jedynéj, nie nagannéj, lecz owszem najpiękniejszój, stania się użytecznym społeczeństwu. W takim razie i z tém oczekiwaniem z całej duszy ci błogosławię; muszę jednak ci wy-

znać, że mi trochę markotno rozstawać się z nadzieją, długo na twoje konto w duszy pielęgnowaną. Spodziewałem się, że pod moim kierunkiem wyrobisz się na takiego *officyalistę*, jaki jest moim ideałem najmiłszym, że w tobie, z łaski bożej, mieć będę najgorliwszego wyznawcę moich zasad, co je słowem i czynem szerzyć będzie między współbraćmi: a dziś widzę, że inném jest przeznaczenie twoje! Cóż począć? Pocieszam się dobrą otuchą, że, jakibądź zawód wybierzesz, w każdym się będziesz starał pocziwie, dla pożytku i chwały społeczeństwa, pracować. Lecz ileżbym ja dał za to, żebym mógł cię oglądać w instytucie rolniczym! Przy niepospolitych twoich zdolnościach, przy téj woli hartownéj, jakiej świeżo dowiodłeś, łatwo potrafisz wszelkie przeciwności przełamać, a ja w miarę sił moich szczerze ci dopomogę. Za rok najdalej, przy współdziałaniu Stasia, zdołasz się usposobić, jak trzeba, abyś mógł być przyjętym do szkoły agronomicznój, z której za lat kilka wyszedłszy, jeśli zechcesz pamiętać o tém, coś tyle razy ode mnie i od pana Erazma słyszał, jeśli i nadal moją radą nie wzgardzisz, to wierzaj mi, że na służbie ekonomicznój stokroć pożyteczniejszym społeczeństwu się staniesz, niżli gdybyś miał zostać najslawniejszym lekarzem, czy jakimś profesorem wielce uczonym. Jako biegły i prawy administrator włości, może jaką fortunę od ruiny zachowasz i w kwitnącym bycie postawisz, a nadto w kole współsłużebni-

ków, czy też podwładnych sobie officyalistów, przy gorliwej i szczerzej chęci, rozszerzysz swoim wpływem oświatę, zasady moralności i należyte pojęcie obowiązku, przez co się także znakomicie przyczynisz do powszechnego dobra. Komu nie brakło dobrej woli i siły pieszko przebyć mil kilkadziesiąt do przybytku nauki, ten potrafi rok jeden wytrwać choćby i w nędzy; a nadal, jeśli Bóg mi życia przedłuży, sam pomyślę o środkach do promocyi twojej. W tej chwili nie nie mogę dla cię uczynić, chociaż szczerzebym pragnął, mimo, że się wypraszasz, zwrócić tobie tę sumkę, którąś oddał Stasiowi. Piękny to rys twój duszy, pojmuję całą błogość, jaką z tego czynu wyniosłeś, i nie chcąc ci jęć umniejszać, nie zalecam Stasiowi, aby ci te pieniądze spłacił, sam się jednak uważam za dłużnika twojego, i z kieszeni, i z serca. Tymczasem radź tam sobie, jak możesz; masz skromniuchny zapasik, Staś i Rawski niechybnie wynajdą ci zarobek, a gdyby ten cię zawiódł, to w ostatecznym razie nie odrzucaj, panie Jakóbie, przyjacielskiej pomocy, bo taka nie ubliża nikomu, kto tylko wart współczucia, a cierpi nie z własnej winy”.

List kończyły dopiski wszystkich członków rodziny Widzkich, zaczawszy od sędziny, aż do Ignasia i Józi. Każde z nich znalazło jakieś słówko serdeczne, które lży słodkie z oczu mu wywołało, ale najczuliej przemówiła Helenka i jęć mała siostrzyczka. Pierwsza z nich dziękowała mu za tę opiekę, jakiej

udzielił jęć w dąbrowie z narażeniem własnej osoby, niemniej jak i za usłuchanie rady pana Zygmunta, przez co zapobiegł i swojemu nieszczęściu, i rozgłosowi, jakiegoby w razie przeciwnym jęć przygoda nabrała. A mając się za mimowólną sprawczynię tak nagłego przewrotu w jego dotychczasowym bycie, oświadczała z wielką tkliwością, że za jeden z najświętszych obowiązków uważa modlić się zań codziennie, aby mu w trudnych a tak pięknych jego zamiarach błogosławieństwo boskie wyprosić, a Stasia upominać najmocniej, aby mu się za nią wywdzięczył pomocą naukową, opieką i przyjaźnią braterską. — Józia zaś, w dwóch linijkach, literami, jak groch wielkimi, pisała co następuje: „Brzydko pan Jakób! porzucił nas, nie pożegnawszy się nawet, a ja po nim płakałam, jak po kim dobrym! i ciągle go wspominam i żałuję bardzo, a bardzo! Niema już teraz komu opowiadać mi takich pięknych bajeczek i śpiewać takich piosenek! niema komu przynieść mi z lasu ładnych kwiatków, ptaszka albo wieiórki! I lalka moja płacze, bo nikt jęć nienaprawi wózećka, ani żadnej zabawki, a Ignas psuć tylko umie! Brzydko pan Jakób! ale ja kocham go zawsze i modlę się za niego, żeby mu Pan Bóg dopomagał we wszystkiém. Proszę odpisać, bo mi bardzo tęskno do pana”.

Prócz chwili, kiedy Kubuś Helenkę od napaści Bola zasłonił, a raczej kiedy mu ona dłoń ścisnęła

z podzięką i z anielską dobrocią ranę jego opatrywała, nigdy jeszcze w swém życiu biedny chłopak nie zaznał takiej wielkiej radości, takiego zachwycenia, jak dziś po przeczytaniu téj odezwy serdecznój! Gdyby sam był w pokoju, upadłby na kolana i w modlitwie gorącej uniósłby się w niebiosą duszą uszczęśliwioną, dla której, w jój obecném usposobieniu, ziemia była za ciasną i za poziomą; ale, że oprócz Stasia i Leosia, miał na siebie zwrócone jeszcze i inne oczy, więc tylko lży otarłszy nieznacznie, wymknął się pocichutku do botanicznego ogrodu, gdzie się w ustronną zanurzywszy aleję, mógł dać wolny bieg myślom i uczuciom wezbranym. Ież-to jeszcze razy list ów drogi odczytał, nie mogąc się nasycić, nietylko jego treścią, ale i samym widokiem liter, skreślonych przez te ręce kochane, które mnie ma, że widzi, wyciągnięte zdala ku sobie, pełne błogosławieństwa. Już go wreszcie umiał na pamięć, a jeszcze kilka razy powracał do przypisku Helenki, jeszcze z rzewnym uśmiechem przebiegał kaligrafię Józia, co jeszcze bardziej od Stasia drobną swoją śliczną twarzyczką przypominała Helenkę, i co jedna śród wszystkich powiedziała mu słówko najmiłsze, nieocenione, cudowne, że doń tęskni, że go żałuje, że płakała po nim, i że go zawsze kocha! — Czy mu kto inny powie coś podobnego w życiu i czy od kogokolwiek zapragnie słyszeć takie wyznanie, gdy ta, która mu dzisiaj całą duszę zapełnia, tylko się

modlić zań może, tylko brata swojego przyjaźń mu ofiarować?! kiedy nawet i marzyć o takich słowach od niej jest szaleństwem i grzechem!... Dziwne więc w jego sercu zbudziło się uczucie; potrzebując kochać koniecznie, a miłość dla Helenki uważając za zbrodnię, za krzywdę Sławockiego, oddalonego od niej, nagle całą swą tklivość przeniósł na Józia, rozmiłował się w téj dziewczeczce, jak pobożna dusza w twarzy anielskiej, widywanej w sennych marzeniach!... Biedny! tak to się ludził, mimo woli i wiedzy oszukiwał sam siebie! Prawda, że zawsze Józia bardzo lubił, zwąc ją zazwyczaj *przylepeczką najśłodsza*, ale nigdy do tego stopnia, ani téż w taki sposób, jak teraz, kiedy w nią wcielił Helenkę, o której myśleć sobie zabraniał... Bądź-co-bądź, dosyć, że w tym nowym nastroju ducha uczuł błogość dotąd nieznaną, jakieś ukojenie rozkoszne, pod którego wpływem łagodnym, rozważając całe znaczenie listu, widział w nim dowód takiej laski niezmiernéj ze strony państwa Widzkich, taką się wielką przejął dla nich wdzięcznością, iż naprawdę, według przysłowa, w ogień i wodę gotów byłby dla nich się rzucić, a i najbujniejszym marzeniem nie mógł wznieść się na takie szczyty, na którychby się uznał godnym tego, co już od nich mu przyszło. Przemyślał więc nad tém, czémby się im wypłacić? i wreszcie za najlepsze osądził — pójść za chęcią pana Zygmunta i do szkoły agronomicznej wstąpić, zrobiwszy dlań

ofiara z owych świetnych urojeń, o jakimś pełnym blasku i chwały znakomitym zawodzie, z których, Bogiem a prawdą, i sam sobie jeszcze nie umiał zdać ścisłego rachunku. Z takim tedy postanowieniem na kwatere powrócił.

Tam go Staś czulszém niż kiedykolwiek uściśnieniem powitał, z jakimś dziwnie uprzejmym, ujmującym, słodkim uśmiechem, i wzięwszy go pod ramię, wyszedł z nim do drugiego pokoju, aby mu się pochwalić tém, co z domu otrzymał. Bo pan Zygmunt przed synem nie utaił bynajmniej szlachetnego czynu Kubusia, tylko mu jak najmocniej zalecił, aby się przed tym ostatnim z wiadomością swoją nie wydał, nie zwracał mu pieniędzy, a natomiast starał się przyjaźnią mu wypłacić braterską. Nadto zaś, ucieszony niezmiernie tym młodzieńczym zapalem do nauki i chwały, tą wędrówką o kiju z mantelzaczkiem na plecach, tą ufnością we własne siły, gotowością do wszelkich ofiar dla osiągnięcia upragnionego celu, nie mógł się Kluczarskiego nachwalić i dość silnych słów znaleźć na objaw admiracyi swojej i nadziei o nim powziętych.

„Widzisz (pisał), jakie-to skarby się kryją, jaki to entuzjizm szlachetny, jaka siła woli w tym chłopcu! Z takich-to, a nie z paniezków pieszczonych, uczących się tylko dla formy, a raczej bawiących się w naukę, społeczeństwo najczęściej ma prawdziwą korzyść i chlubę. Za mych czasów pamiętam dwóch

podobnych biedaków, co tak, jak ten Kluczarski, piechotę o kilkunastu rublach, przywlekli się z daleka po naukę; na uniwersytecie korrepetycyi znaleźć sobie nie mogli, utrzymywali się nieboracy z przepisywania notatek dla bogatszych kolegów, co im bardzo mizerny dochód dawało, ale się nie zrażali bynajmniej. Najeli jedną ciupkę ubogą, żywili się zazwyczaj grochem, kartoflami lub krupnikiem jęczmiennym, co je sami sobie warzyli, a mając tylko jeden mundur dla obu, po kolei rolę zmieniali: gdy Jan szedł na prelekeye, Michał strawę gotował, a przytém przepisywał dla siebie i dla innych onegdajsze notatki; gdy Michał do uniwersytetu się puszczał, Jan do warzęchy i do pióra zań stawał. Dwa lata z wytrwałością żelazną taką biedę klepali, aż nareszcie Bóg im dopomógł na koszt rządowy się dostać, i oto dzisiaj. Michał jest jednym z najśłynniejszych w kraju lekarzy a Jan zawołanym prawnikiem, obadwaj otoczeni nieobłudnym szacunkiem i powszechną miłością, wyrocznie w swych powiatach prawdziwe”.

A przytém i Helenka, która teraz dopiero napisała do Stasia, pierwszy raz po swój przygodzie, — bo nagle Arbuzówkę rzucając, nie mogła o korespondencyi myśleć, a z Raczek dość daleko było do poczty, — Helenka, opisując napad prezesowicza, nie omieszkła także wynieść pod niebiosą Kubusia i, jak to mu przyrzekła, w sposób najwymowniejszy polecić go sercu brata swojego.

Potrzebaż było więcej pocziwemu Stasiowi, który już i bez tego najżyczliwsze uczucie powziął był dla Kluczarskiego, potrzebaż było więcej, powiadam, aby z tej życzliwości przejść w stosunek iście braterski, aby mu całkowicie serce otworzyć, ukochać go i uczyć, jak zasłużył na to najsluszniej? Wziął więc go do osobnej izdebki, aby się z nim podzielić nowinami od swój rodziny, przeczytał mu parę ustępów z listu rodzicielskiego i prawie całutki list swojej siostry, która mu, według zwyczaju, w szczegółach najdrobniejszych wszystkie swoje zajęcia, tryb życia całego domu, z wdziękiem sobie właściwym, z tkliwością i świeżością rodzinnego uczucia, wiernie opisywała.

Kubuś słuchał z zachwytem, z czcią prawie religijną, tego czytania, które nietylko swoją treścią ciekawą, lecz i formą uroczą, duszę mu napawało niewymowną rozkoszą. Słuchał bez tchu, bez ruchu, serce mu biło gwałtownie, lica promieniały rzewnym uśmiechem, a jednakże łzy gwałtem prosiły się do oczu. Bo w tym liście kochanym, pod tą wdzięczną osłoną prostodusznej, naiwnej szczerości i swobody, było tyle cichój bolesti!

„Widzisz więc (powiadała), mój Stasiuniu kochany, że pomimo ciężkie kłopoty, mimo troskę o jutro, nie upadam wcale na duchu, nie płaczę, a nawet i strapionych umiem pocieszyć. Ale nie moja to zasługa: przy takim nieocenionym, takim prawdziwie

uwielbionym ojcę, nie podobna stracić otuchy i wiary w jaśniejszą przyszłość. To też o byt nasz najzupełniej jestem spokojna, i jeśli czasami westchnę, jeśli przy wieczornej modlitwie czasami maluteńką, cichutką skrycie łezkę uronię, to wcale nie nad sobą, lecz nad tymi, co stokroć więcej od nas godni pożalowania! Przyznać się nawet muszę, że myśl, ciągle nimi zajęta, nieraz długo mi w nocy zasnąć nie daje, nieraz jeszcze przed świtem sen mi spędza z powiek!... Gdybym nawet i chciała otrząsnąć się z tego uczucia, zapomnieć tak, jak inni, to nie byłabym w stanie! Wiesz o tém, czém dla ojca i dla nas wszystkich był pan E. S., któregoś poznał i ocenił niedawno; wiesz, że dla nas on jeden zastępował, rzec można, całe koło dawniejszych towarzyskich stosunków. Dzisiaj nam go zabrakło, i ojciec, i babunia, i mama nie mogą się po nim odtęsknić, nie mogą oswoić się z tą próżnią, jaka po odejściu jego powstała! Dnia niema, żeby go ktoś nie wspomniał... a więc, pomimo woli o nieszczęściu ludzkim się myśli, i boleje, i płacze!... Stasiu mój! mój ty złoty bracie! znajdź czas, najmiłszy, często z nim się widywać! Dowiedz mu, żeś jest synem tego człowieka, który go przyjacielem swoim nazywał, który mu się spowiadał ze wszystkich swoich myśli i uczuć i zamiarów chwalebnych, w sercu jego zawsze znajdując najprawdziwsze współczucie, w słowach zachętę i podniecie rozumną, w postępach — najdzielniejsze

poparcie; dowiedz mu, że ci, którym życie osładzał w gorzkiem ich osamotnieniu, nie zapomnieli dziś o nim, i wieleby, wiele za to oddali, gdyby się mogli wywzajemnić mu tak, jak pragną... Zrób tak, zrób, mój ty jedyny!"

Kluczarski łatwo pojął znaczenie tych wyrazów i pozazdrościł na chwilę Sławockiemu, i ciężko, ciężko mu się w duchu zrobiło! ale wnet się podźwignął, orzeźwił się wspomnieniem słodkich słóweczek Józki, i wiedząc już, że się Staś przed Erazmem o Helenie nie rozgaduje, z pobudek, które on instynktowo zgadywał, postanowił niezwłocznie jakiś na to sposób wynaléźć, żeby Erazm nie stracił téj pociechy, jakiej serce Helenki tak pragnęło dla niego. Podwójnie miał to sobie za obowiązek: raz, że wola jój była mu świętą, a potem, że w drażliwém swoim sumieniu uważałby to za świętokradztwo, gdyby, sam przez nią tyle szczęścia doznawszy, obdarzony pismem jój własnoręczném, zalecony Stasiowi na przybranego brata, a więc i od niej téż za brata uznany, upojony błogą rozkoszą przy słuchaniu jój listu, który go wtajemniczył w jój zajęcia codzienne, w jój uczucia i myśli, ubłogosławiony przez Józję zapewnieniem, że i po nim przecież ktoś tęskni, że i jego ktoś kocha — wszystko to sam dla siebie tylko zachował.

Z rozrzewnieniem głębokim podziękował Stasiowi za tę jego względność pocziwą i wzajemnie mu się pochwalił swoim szczęściem i chlubą, to jest lis-

tem pana Zygmunta z dopiskami całej rodziny, treść mu jego opowiedziawszy.

— I cóż pan myślisz względem szkoły rolniczej? — zagadnął go Stanisław.

— Myślę, przy łasce i pomocy pańskiej, sposobie się do niej gorliwie; — odpowiedział Kluczarski. — Jedno mię tylko dręczy, że dotąd darmo wiszę przy panach, a żadnego nie mam zarobku! Wymogliście to na mnie naleganiem usilném, że przez pierwszy ten miesiąc będę się za waszego niby gościa uważał, nim się z miastem obeznam, nim się z ludźmi oswoję i wynajdę sposób do życia. Miesiąc już blizki końca, a wszystko tak, jak było w początku. Tak być dalej nie może, bo się kiedyś udławie chlebem niezapracowanym. Płacić za stół nie mogę, jak panowie płaciecie, mam zaledwie dwadzieścia rubli, bo resztę odesłałem biednej swéj matce, a taki obiad z herbatą pewnie na miesiąc z dziesięć rubli kosztuje. Jeśli więc dłużej tak potrwa, to albo przyjmę służbę lokajską u jakiegoś tu kawalera, z warunkiem, że mi na parę godzin codziennie odejść pozwoli; albo za waszą zgodą, stołować się będę osobno; tutaj, na rynku, sprzedają i herbatę, i różne gorące strawy; opytałem już należycie i widzę, że za grzywienkę na dzień weale się nieźle wyżywię.

— Nie, kochany panie Jakóbie! poradzimy sobie inaczej. Kiedy się dowiedziałem od ciebie o krytycznym stanie moich rodziców, zaraz postanowiłem

zmienić dawny tryb życia, nając inną kwaterę i stół znacznie skromniejszy; lecz, że z góry za kwartał wszystko tu było zapłacone przeze mnie, musiałem się trzymać do końca, do którego już niedaleko. Za dni więc parę, obaj się wyniesiemy gdzieindziej. Znajdziemy jakąś ciupkę za trzy ruble na miesiąc, a z garkuchni, za cztery, dostaniemy sobie skromny obiadek, którego jedna poreya dla obydwóch wystarczy. Herbatę pić będziemy rublową: po jednej tylko szklance rano i w wieczór, i to przegryzając cukrem potrosze. Stróż domowy za trzy grzywny miesięcznie będzie nam drwa przynosił i wodę, a zresztą, sami sobie służyć będziemy, na prawdę zaś panować, i to niewielkim kosztem, bo tak wszystkie nasze potrzeby nie wyniosą więcej nad dziesięć rubli, to jest pięć na jednego, a właściwie na pana tylko pół czwarta, bo kwaterę ja sam opłacę, dlatego, że i bez pana musiałbym wziąć pokój osobny i nikogo-bym za współnika nie przyjął, bo już mi się uprzykrzył nieustanny ten hałas, w którym trudno oddać się pracy.

— Ach, panie Stanisławie! — wykrzyknął uradowany Kubuś — ach, cóżby to było za szczęście!... Ale nie! tak być nie może! gdziebyś pan miał zrobić coś podobnego?! Panuż to się tak poniewierać? Panuż znosić taką mizeryę? Nie, nie! ja nie mogę na to pozwolić!... bo i cóżby ojciec pański powiedział?

— Posłuchaj pan, co mówi — odrzekł mu Staś

z uśmiechem i przeczytał znany nam ustęp o Janie i Michale.

— A mama? — zawołał Kubuś.

— Mama o tém wiedzieć nie będzie.

Kluczarski mocno się zamyślił, i po chwili walki wewnętrznej, zdało mu się, że znajdzie sposób, kosztem własnych skrytych prywacyj i rozmaitych ofiar, dostarczenia Stasiowi takich wygód, do jakich ten był zdawna nawykły. Rzekł więc, na wpół skonwinkowany:

— Dobrze zresztą, jeśli pan chcesz koniecznie; lecz pan Leon pakże to przyjmie? Czyż on zgodzi się na to, żeby z panem się rozstać?

— Wiem, że gwałtu narobi, ale nie to nie nada! Będziemy się mogli codzień widywać, a w końcu gotów jestem wziąć go z nami do wspólki, — to jest co do kwatery — stołować się może osobno. Trzeba z nim się rozmówić. Leosiu! — krzyknął przezdzwini — prosimy cię na słówko.

Rawski się stawiał natychmiast. — Jestem — rzekł, wchodząc z miną rozindyczoną — gadaj, byleby prędko, żeby mi nie wywietrzały z głowy argumenta, przygotowane na pobicie Adasia, który przez pół godziny plótł jak Piekarski na mękach, dowodząc, że nauka na to tylko potrzebna, aby człek przez nią mógł sobie karierę jakąś otworzyć!

— Nie długo cię zatrzymam — odrzekł mu Staś

z uśmiechem — chcę ci tylko powiedzieć, że po jutrze, niestety, będę musiał ciebie opuścić i wraz z panem Jakóbem na inną się przenieść kwaterę.

— Oszalałeś! — wybuchnął Leoś — jakiego licha?!

Staś mu wytłómaczyć się starał z konieczności takiego kroku, lecz najsilniejsze dowody rzucił jak groch na ścianę; Rawski ich ani przyjąć, ani zrozumieć nie chciał.

— Mów, co chcesz — wołał zirytowany — a ja w tém nie innego widzieć nie mogę, jak tylko najsmutniejszy symptom waryacyi. Przepowiadałem ci dawniej i teraz przepowiadam bez żartu, że nareszcie trafisz do czubków! Masz-że przecie tyle korepetycji, że ci na życie starczy, to i pocóż u dyabła daremnie się martyryzować?!

— A rodzice?

— A rodzice! to mi racya także! Na bruku wiecznie siedzieć nie będą: może nawet w tej chwili zajęli lepszą posadę.. a zresztą czémże dla nich twoja oszczędność? kropla w morze! dzieciństwo!

— Zgoda! ale kimże ja będę, jeśli, wiedząc o ich kłopotach, o ich niedostaku codziennym, pozwolę tutaj sobie tych wygod, jakich oni dzisiaj nie mają? Gdy im pomódz nie mogę, to niechajże przynajmniej cierpię tak, jak i oni.

— Głupstwo! spytaj ich wprzód, czy im to nie przyczyni jeszcze większej zgryzoty?

— Oni o tém wiedzieć nie będą.

— Będą, bo ja napiszę!

— Spróbuj, jeżeli zechcesz, żebym ci nigdy więcej ręki nie podał.

— To nie dziwacz-że się do kata! bo tą gadanią bez sensu żyły ze mnie ciągniesz po prostu!

— Nie dziwactwo to wcale!

— Dziwactwo! głupstwo! szaleństwo! Bo i o cóż ci idzie? tu za kwaterę we dwóch płacim piętnaście rubli, ty chcesz znaleźć za trzy koniecznie: no, to dobrze; jeżeli się wyniesiesz, ja sam będę musiał płacić za cały lokal; a więc daj mi trzy ruble i nie ruszaj się z miejsca; ze stołem zrobisz, jak zechcesz. Cóż, czy zgoda?

Staś się zaambarasował. Był to argument dosyć trudny do zbicia. Rawski całkowicie miał rację; lecz apologia ubóstwa w liście pana Zygmunta, jego słowa pochlebne o Kluczarskim, o Michale i Janie, tak zapaliły wyobraźnię młodzieńczą, takim dziwnym urokiem otoczyły dlań życie, pełne ofiar i trudu, iż się nie mógł już rozstać z raz powziętym zamiarem, w którym go utwierdzała tém mocniej naprzód myśl o współcierpieniu z rodzicami swoimi, a potem chęć gorąca podtrzymania Kubusia i oszczędzenia mu tej przykrości, jakiejby mógł doznawać, żywiąc się ze stragana, a patrząc na wygodę i zbytki innych — niemniej jak i tęsknota do zaciśnięj ustroni, w którejby nikt mu w pracy nie przeszkadzał. Rzekł więc po krótkiej chwili:

— Dziękuję ci, mój drogi, lecz ofiary twojej przyjać nie mogę. Jestem człowiek ułomny i mam jeszcze niektóre zastarzałe przesady. Wstydziłbym się innych kolegów, gdybym niejako na twój łasce zostawał, a nadto, gdybym jeszcze, przy waszym ośmio-rublowym stole, zasiadał do swojego za cztery, i to jeszcze we dwóch do jednej poreyi.

— A to kara boża z tym chłopcem! — wykrzyknął Leos, szarpiąc sobie włosy na głowie. — Zostań, jak mię kochasz!

— Kocham, lecz nie zostanę.

— Zostań, mówię!

— Nie mogę.

— Stasiu! lubko! serce, kociku! zostań! — błagał, składając ręce.

Nie bądź że dzieckiem, Leosiu!

— Bodaj cię dyabli wzięli! — buchnął Rawski niecierpliwiony, lecz w téjże chwili pochwycił go w objęcia, i całując, wołał żałośnie: — A masz-że ty serce mię rzucać? odmawiać takięj prośbie usilnej? Doprawdy, ja na takie zakłęcie nawet-bym się z piekła nie ruszył, a tu przecieź nie piekło! Nie wynos się, mój ty najmilszy. — I porwał go za rękę, i do ust ją przytulił.

— Leosiu! — krzyknął Staś, umykając swęj dłoni — dajże pokój tym naleganiom, przez które niewymowną przykrość mi robisz; bo mi żal ci odmawiać, a nie mogę zadość uczynić.

— Panie Stanisławie! — rzekł Kubuś, poruszony tą sceną — doprawdy, możeby lepiej było, gdybyś pan usłuchał pana Rawskiego.

— Nie mogę, panie Jakóbie! od pamiętnych wypadków z panną Fisią w Szczawińcach, poprzysiągłem już nigdy postanowień swoich nie zmieniać. Po jutrze musimy się wynieść koniecznie!

— Nie wyniesiesz się! — krzyknął Leos ze złością. — Ja cię nie puszcze; bo ja tu zginę, oszaleję bez ciebie, albo znów się zrobię takim pasibrzuchem, jakim byłem parę lat temu!

— Wszakże będziemy codziennie się widywali?

— Gadaj zdrów! co mi tam z widywania się tego? Ja cię potrzebuję ciągle i zawsze.

— No, to zabieraj się z nami.

Leos zawahał się przez chwilę.

— Ba! — rzekł — a cóż się stanie z kolegami naszymi, którym dopomagam potrosze? czyż mogę ich opuścić?

— Masz rację! nie wypada... A więc, daję ci słowo, że jak się tylko los rodziców moich polepszy, natychmiast znów powrócę do ciebie.

— Obiecanka cacanka! dziękuję ci za łaskę! Wolę tu cię zaaresztować i kwita! Nie słuchasz mnie jednego, ale obaczmy, jak tu wszysey razem wsiada na ciebie...

I wybiegł do pierwszego pokoju, skąd niebawem powrócił, wiodąc z sobą kilku kolegów, szlafkamratów

swoich i Stasia. Zaczęły się nowe perswazye i prośby natargowe, serdeczne; ale Staś był nieubłagany: stanowczo towarzyszący oświadczył, że zamiaru nie zmieni, a chcąc koniec położyć naleganiom daremny, wezwał z sobą Kubusia do szukania nowej kwatery.

— Idź, idź, uparciuchu obrzydły! bodajbyś wprzód kark skreślił! Tak zachciało mu się psiej budy i psiego życia! To mi amatorstwo szczególne! waryat i basta!... Panie Kluczarski, niech się pan z nim nie wiąże, bo i pana gdzieś dyabli wezmą!

Piorunował Leos za nimi, nie zważając, że już go słyszeć nie mogą, i długo jeszcze wykrzykiwał w podobny sposób, miotając się, swoim zwyczajem, wzdłuż i wszerz po pokoju, plując, ściskając pięści, potracając krzesła i stoły i łajac biednego Sawkę bez żadnego powodu. Nareszcie się rzucił na wznak na łóżko i w ponurym milczeniu, po suficie wodząc oczyma, aż do zmroku przeleżał, a o zmroku gdzieś wypadł i nie wrócił aż o północy.

A Stanisław z Kluczarskim, obiegłszy kilka mniejszych uliczek, po daremnych długich poszukiwaniach, wynaleźli wreszcie stancyjkę, która się im obydwom podobała niezmiernie. Było to w stronie miasta, przezywaną Szwajcaryą, z powodu górzystego jej położenia. Był tam dom, postawiony na gruncie, powstałym całkowicie z części splantowanego wzgórza, które w dalszym swym ciągu prostopadłe tylko zciósane w kilku wielkich załomach, od tyłu stanowiło

naturalne otoczenie dziedzińca i w odstępie trzech arszynów osłaniało dwie ściany domu, dosięgając swoją krawędzią wysokości drugiego piętra, a dalej coraz wyżej wznosiło grzbiet swój garbaty, na którym zasadzony ogród fruktowy, idąc w górę w kilku tarasach, panował po nad całą sadybą i szeroki widok odsłaniał na dzielnicę starego miasta, u stóp swoich leżącą, na zgrabne domki przedmiejskie, rozrzucone przy Żytomierskiej drodze żwirowej, na olbrzymich gmachach korpusu kadetów i na siniejące bory w oddali.

Otóż, w tym-to domu, od tyłu, była jedna izdebka na drugiem piętrze, a właściwie na strychu, dobrze niegdyś znajoma najuboższemu studentowi, pod malowniczą nazwą *jaskółczego gniazda*, do której się wchodziło od dziedzińca po schodkach, a raczej po drabinie, wiodącej na niewielki balkonik, zawieszony przy dwóch jej ścianach. W jednej z nich, w głąb dziedzińca zwróconej, wprost naprzeciw drabinki, były drzwiczki niewielkie, w drugiej, od strony wzgórza, odległego o sążeń i sięgającego swoją wysokością balkonu—dwa okienka na ogród. Izdebka była jasna i schludna, a nawet dość obszerna, bo mogła mieć ze trzydzieści arszynów kwadratowych; ale pozor jej był bardzo ubogi: sufit niski na belkach, ściany tylko bielone, podłoga nie malowana, a przytém, ani sieni, ani przedpokoiku, więc na zimę wróżba najgorsza. Jakoż istotnie rzadko kiedy przez zimę miała ona mieszkańców, jak prawdziwe gniazdo ja-

skółcze; studenci, jak te ptaszki, zjawiali się do niej na wiosnę, uciekali w końcu jesieni. A że wypadki, o których tu mówimy, działy się już w październiku, Staś przeto i Kluczarski znaleźli tę powietrzną kwaterę wolną od lokatora i z łatwością im przyszło dostać ją za trzy ruble z opałem, a nawet z jednym łóżkiem, stołkiem i stołem, którymi się nasz Kubuś nie mógł dosyć nacieszyć.

Uszczęśliwieni z tak dobrego skutku swojej wycieczki, zachwyceni kwaterą, która się poetycznej wyobraźni Kubusia precudowną wydała, a nawet i Stasiowi wyborną, postanowili sprowadzić się do niej nazajutrz, jak tylko Staś z prelekcij powróci.

Rawski spał snem kamiennym aż do dziewiątej godziny, nie zważając na zwykłą krzątanię poranną, a gdy wreszcie oczy otworzył, już nikogo, prócz Sawki, na kwaterze nie było; Staś i inni studenci poszli do uniwersytetu, Kluczarski panu Erazmowi poniosł wieści o Widzkich.

— Cóż tam Widzki? najął kwaterę? — spytał Sawkę pochmurnie.

— Najął *Jaskółcze gniazdo* i dziś ma się przenieść — odpowiedział służący.

— Osiół jesteś! czy ja cię pytam? Raportuje mi, cymbał! dzisiaj ma się przenieść! A niechaj się przenosi na złamanie karku! I pewno, że go złamie, łażąc po tej drabinie, jakby na szubienicę! No no,

wybrał-bo sobie kwaterę! niema co gadać! Czegoż stoisz, bałwanie! wytrzeszczywszy oczy? herbaty!

Sawko, śmiejąc się w kulak za plecyma Leosia, żwawo spełnił jego zlecenie i podał mu do łóżka napój żądany.

— Cóż mi, trutniu, dajesz jakieś pomyje?! Czy nie możesz zasypać świeżej? Dawaj mi się umywać i ubierać!

I gdérał tak przez całą godzinę: miednica była mu brudna, woda jakaś cuchnąca, suknie źle wyczeszone, świeża herbata za lekka, potem znowu za mocna, a wreszcie zimna. Skończyło się na tém, że naczecz, zły jak sto dyabłów, do uniwersytetu wyruszył.

Wróciwszy, nie nie gadał do Stasia ani do Kluczarskiego, ale z innymi chciał udawać humor wesoły i ciągle na koncepta się sadził, choć te wcale mu się nie wiodły. Staś, jak zwykle w podobnych razach, nie nie zważał na jego dasy, i zaraz po obiedzie wziął się do pakowania; Rawski rozciągnął się na łóżku i zézem spoglądając na krzątanie się jego, nucił piosnkę Moniuszki p. t. *Jaskółka*. Sprowadzono podwoję, wyniesiono łóżko, stolik, parę krzesełek, szafeczkę, pakę z książkami, kufer, półki, pudełko z samowarem, naczynia stołowe, i inne drobne graty... Leoś śpiewał i śpiewał, nie ruszając się z łóżka, ale głos mu drżał coraz żałośniej.

Kluczarski, mając się udać z manatkami po prze-

dzie, zbliżył się doń z serdeczném słowem pożegnania. Leoś skinął mu głową: — do nóg upadam! — wybaknął i wnet nową pieśń zaczął:

*„Kotyłysia wozy z hory na dolyni stały,
Kochałysia, lubyłysia, ta i perestały”.*

Sawko dorożkarza przywołał, wyniósł tłumok i toaletkę; Leoś nagle uciął piosenkę. Staś, który, upakowawszy rzeczy, z dwoma kolegami przechadzał się po izbie, rozmawiając o czémś poważnie, wziął swój burnus i czapkę, podał rękę obecnym, aż wreszcie do Rawskiego przystąpił.

— Choć widzę, że się gniewasz — rzekł mu głosem wzruszonym — muszę jednak cię prosić o serdeczny uścisk na pożegnanie. Choć nie pod jednym dachem, sądzę, że potrafimy żyć w jedności myśli i uczuć.

Rawski zerwał się z łóżka i upadł mu w objęcia.

— Niedobry! niegodziwy! ty Stachu! — wołał głosem prawie łkającym, ze łzą bujną na rzesach — godził się tak mię martyryzować?! Co ci to przyszło do głowy?! Do ostatniej chwili miałem nadzieję, że się jeszcze namyślisz, że ci siły nie starczy za próg tego domu przestąpić. Patrzyłem na to wynoszenie manatek, jakby na jaką eksportację żałobną; nie kuferki i paki, tylko trumny stały mi w oczach! Dość-że

tego! pozostań! Niechaj Sawko zawróci Kluczarskiego z rzeczami.

— Mój jedyny — rzecze Stanisław, ściskając go z czułością — dajże się raz już przekonać, że to jest czyste niepodobieństwo! Bądź zdrow! nie zapominaj o mnie i kochaj mnie jak zawsze.

Leoś ręce załamał.

— Ha! — zawołał z westchnieniem — widzę, że niema rady! Jest to pierwsze w mém życiu osobiste nieszczęście! Prawda, że najsrożej bolą te rany, które ukochana ręka zadaje!

— To nie rań-że ty mię, Leosiu! bądź mężczyzną, nie dzieckiem! Przecież się nie wybieram na koniec świata!

— Dla mnie to wszystko jedno.

— Bądź zdrow! proszę cię na herbatę.

— Czekaj! pojedę z tobą!... Ciekawym z blizną ujrzeć to gniazdo.

Pojechali więc razem.

— Ależ mi się zabrałeś! — mówił Leoś, zbliżając się do kwatery Stasiowej. — Jak można było włożyć w taki zakątek? Co za straszne wertepy! jary, przepaście!... Ulica pełna błota, a raczej czystej gliny.

— Widzisz, przecież są kładki; pozycya malownicza, a punkt bardzo dogodny: uniwersytet niedaleko, teatr anatomiczny pod bokiem; czegoż mi więcej potrzeba?

— Dziękuję ci za to wszystko!

Wjechali na podwórko.

— I tu glina rozgrzęzła! — zawołał Leoś.

— Ale za to jest studnia; a patrz, jaki ogród na wzgórzu! jaki stamtąd widok wspaniały!

— Będiesz miał jeszcze wspanialszy, gdy Kluczarski z furmanem zlecą na łeb z drabiny razem z kufrem, co go dźwigają.

— Gdzie tam, panie! — krzyknął Kubuś już z balkoniku — tutaj i armatę można wprowadzić.

— No, no! — odrzekł mu Leoś — nie chwał się pan przed czasem; jeszcze wiele gratów na wozie.

— Poznosimy! to fraszka!

— Doprawdy — znowu Rawski się ozwał, gramoląc się po schodach—wielkićj trzeba odwagi, żeby łązić po tej drabinie! Kiedyś tu w nocy niechybnie kark skręcisz! Stopnie pod nogami się chwieją!

— Obaczysz, że się wprawię niebawem, i jak kot będę się drapał.

Weszli do izby, w niskich drzwiczkach głowę schyliwszy.

— Oto dziura! — zawołał Leoś. — Amatorska kwatery, niema co gadać! jak raz dla desperata, żeby miał gdzie głowę roztrzaskać, lub skoczywszy w tę przepaść, wszystkie kości połamać.

— Ej, panie, co pan mówi! — rzekł z urazą Kluczarski—to śliczności i tylko! Niechaj-no pousta-

wiam mebelki, a urządzę wszystko, jak trzeba, obaczysz pan, co to będzie za cudo!

— Patrzcie go! — zaśmiał się Leoś — on na seryo chwali ten lamus!

— Bo na seryo nam się podoba — odpowiedział Stanisław.

— Ha! winszuję; są gusta i guściki.

I tak ciągle coś krytykując, długo się przypatrywał, jak się Kubuś krzątał po izbie, rozstawiając sprzęty znoszone, w czym mu i Staś pomagał; aż nareszcie powoli i sam też do roboty się zabrał, wzięwszy na się rozpakowanie i ułożenie książek.

W parę godzin niespełna, dzięki niepospolitej zwinności i zręczności Kubusia, który z wielkim zapalem i prawdziwem zamiłowaniem oddawał się temu zajęciu, wszystko już w należytym było porządku, a nawet i herbata nalana.

Rawski się udobruchał nareszcie, i całkiem zapomniawszy o przekłętą drabinie, o wertepach i blocie, na miłej pogadance przesiedział do północy w *gnieździe jaskółczém*, a schodząc, karku wcale nie skręcił.

Nazajutrz przyszedł znowu na wieczór i już wcale nie szydził z nową kwatery Stasia, nie nazywał jej dziurą, ale owszem, sam przyznał, że jest *so-bie niczego*. Bo też istotnie stancyjka ta wyglądała dosyć ponętnie. Kubuś miał już czas zabrać stosunki z właścicielką domu, kobieciną bardzo uprzejmą, umiał jej się podobać, trafił do serca, i pomoc jej po-

zyskał ku ozdobie swojej kwatery. Dostał od niej franki i kilka wazoników z kwiatami, dostał jeszcze parę krzesełek, kanapkę i parawanik; upiększył więc okienka, ukrył za parawanem swoje łóżko ubogie i wszelkie nieestetyczne graty, a resztę poustawiał z ładem i smakiem. Staś u swego łóżka przybił dywanik, na nim obraz Matki Najświętszej, ścianę przystroił w fotografie swojej rodziny i przyjaciół i w kilka wizerunków mężów zasłużonych, stolik przykrył zielonem suknem, a ozdobił go parą biuścików i eleganckim przyborem do pisania. Czystość, porządek, niezwykajne w stancyach studenckich, tutaj były wzorowe i przyjemne dla oczu.

Inni koledzy Stasia, z którymi go łączyły przyjacielskie stosunki, niebawem odwiedzili go także i wszyscy jednogłośnie przyznali, że paradną ma stancję! Oryginalna, to prawda; ale przez to właśnie paradna! — Jeśli ją zechcesz porzucić, to mnie o tém zawiadom, a ja się wnet sprowadzę. — Upominał się każdy, a Kubuś rósł jak na drożdżach z radości. Bo dla niego pałac królewski nie miałby tyle wdzięku, co to *gniazdo jaskółcze*, w którym życie z dniem każdym nabierało dlań więcej uroku. Bo i czegoż mu brakło? o czém jeszcze mógłby zamarzyć? Żył pod jednym dachem ze Stasiem, którego całém sercem ukochał, i dla niego samego, i dlatego, że w nim miał żywe uosobienie całej tej uwielbionej rodziny, wśród której się w duchu narodził; mógł codziennie korzy-

stać i z pomocy jego w nauce, której ten mu najchętniej regularnie udzielał, i z rozmowy pouczającej; mógł mu, co najważniejsza, wywdzięczać się za to swą pracą, służąc mu, jak najtkliwsza piastunka najmilszemu dziecięciu, zgadując, uprzedzając wszystkie jego życzenia i coraz dowcipniejszych używając wybiegów, aby mu nie pozwolić wziąć się do jakiegś pospoliej roboty, przyczem ów najusilniej obstawał; miał nareszcie na ścianach całe jego grono rodzinne, a więc i ubóstwioną Helenkę, i jej niby sobowtór — Józję; mógł zatem w każdej chwili duszę swoją upieścić tym uroczym widokiem, mógł po wyjściu Stasia na lekeye, ukląkszy do modlitwy przy jego łóżku przed obrazem Bogarodzicy, po-nad którym były porozwieszane portrety, czuć się istic jak w niebie, *świętych* swych oglądając na oczy.

I Staś nie mniej był kontent z nowej swjej siedziby: miał w niej ciszę i spokój, tak potrzebne do pracy, miał sposobność kształcenia pocziwego Kubusia, którego, coraz lepiej poznając, kochał coraz to szczerzej; mógł mu dowieść swojej wdzięczności, mógł uczynić zadość Helence, co mu swego obrońcę poleciła, jak brata: miał tę nakoniec pociechę, że wreszcie o połowę zmniejszył swoje wydatki i wstąpił na tę drogę ofiar i trudów, o której jego ojciec ze czcią taką wspominał, jako o wiodącej najpewniej do prawdziwej zasługi. Jedno tylko w tém wszystkiem nie po myśli mu było, mianowicie, że Kubuś sam koniecz-

nie chciał dźwigać całego ciężaru prozy żywota. Ileż-to seen komicznych było oto pomiędzy nimi! ileż-to razy Leos pokładał się ze śmiechu, patrząc na ich utarczki o miotłę, o samowar, o zmywanie naczyń lub o czyszczenie butów! Staś się gwałtem napierał, by mieć udział w tém wszystkiém; chciał, żeby raz Kluczarski, drugi raz on lokajską służbę sprawował; ale Kubuś za nie w świecie ani mówić sobie o tém nie dawał. Bojowali więc nieustannie. Rano, jak tylko Kubuś wstawszy wyszedł z pokoju, Staś natychmiast brał się do zmiatania i cieszył się jak dziecko, jeśli zdołał się zwinąć, nim on nadbiegł z powrotem; ale mu bardzo rzadko taki tryumf się trafiał. Lepiej się powodziło z butami, bo kiedy mu Kluczarski parę razy, raniutko, gdy on jeszcze spoczywał, cichaczem je wyczyścił, on raz także, umyślnie zerwawszy się o świecie, wyglansował jego obuwie. Kubuś blizkim był placzu, tak go to strasznie ubodło, taką zgrozą przejęło, że syn pana Widzkiego, brat rodzony panny Heleny (doloż moja!) buty mu czyści! Chcąc więc nadal temu zapobiedz, odtąd, kładąc się do snu, pod poduszkę je chował; a więc téż i Staś swoje do kuferka zamykał. W tém więc nie dał się pobić, równie jak i w płókaniu szklanek; bo zaraz po wypiciu herbaty zwykle o swojej pamiętał, a nawet i stołowe naczynie swoje czasem także przemocą Kubusiowi z rąk wydarł i sam obmył z wielką pociechą. Co większa, kilka razy mu się udało nawet wody przy-

nieść dzbankiem ze studni; ale co samowaru, tego nigdy nie mógł nastawić, bo Kluczarski miał go pod swym kluczem w szafeczce, którą sam sobie z jakiejś paki sporządził. Z czasem wszakże ustały te certacye dziecinne i Kluczarski wszystkiém zawładnął, jedne tylko buty wyjąwszy; bo nie mogąc wyprosić wyłącznego prawa w tym względzie, wręcz oświadczył Stasiowi, że jeśli się będzie upierał, to się stanie sprawcą jego nieszczęścia; gdyż on, nie mając środka wypłacenia mu się za leky, ujrzy się przymuszonym wcale odeń ich nie brać, Staś więc z placu ustąpił, wiedział bowiem, że Kubuś spełni swoją pogroźkę; a zresztą, rzekłszy prawdę, delikatne miał rączki, białe i wypieszczone, i nie czuł w gruncie serca popędu do lokajskich zatrudnień.

Tak tedy naszym chłopcom pocziwym było dobrze pod każdym względem, oprócz tylko jednego, i to nie małej wagi. Porecy ich obiadu za cztery ruble mogłaby w prawdzie dla obudwóch wystarczyć, lecz, niestety, była tak licha, że Staś zwłaszcza nie raz ze wstętem odwracał się od niej, nieborak i na chlebie z wodą przestawał. Zmieniali parę razy garkuchnię, chcąc coś porządniejszego znaleźć, ale się to na nic nie zdało. Leos harmiderował, nalegając usilnie, żeby Widzki nie skąpił i do Kellerowej chodził na obiad; ale ten ani słyszeć nie chciał o takim zbytku, utrzymując, że rychło oswoi się z tém jałdłem, które przecież tylu biedakom wysmieniecie musi

smakować. Kubuś też perswadował, jak umiał, ale gdy nie nie wskórał, wziął się na inny sposób.

— Czekajże pan! — rzekł raz do Stasia — zagadam ja do téj wiedzy inaczej, a ręczę, że nam jutro lepszy da obiad.

I naprawdę, nazajutrz doskonałą strawę podano.

— Ejże panie Jakóbie! — rzekł Staś, zmiółtłszy ze smakiem wyśmienity barszcz z rurą i kluski z serem — czy tylko nie najależ droższego stołu.

Kluczarski się zapłonił, ale się najuroczyściej wyprzysiągł. Na drugi dzień podobnie, równie jak na trzeci i czwarty. Staś się nie mógł wydziwić osobliwszej téj zmiany, aż nareszcie, jakimś przypadkiem zajrzawszy do gospodarskiej kuchni, zastał w niej Kluczarskiego, jak przepasany fartuchem, zatoczywszy rękawy, zamaszyście siekał kotlety. Wydała się więc tajemnica! Strawa się poprawiła; bo właśnie od dni kilku Kubuś sam ją gotował. Siedząc w turmie półtora roku, miał kolegę kucharza, któremu nieraz posługując przy rondlach, kiedy ten, dla jakiegoś utracyusza, więzionego za długi, pańskie jadło sporządzał, niezgorzej się wykształcił w kulinarném rzemiośle: teraz więc je sobie przypomniał, ukradkiem do dnia biegał na targ i jatki, za nim Staś się obudził, a potem, skoro ten wyszedł na lekeye, preparował to, co zakupił.

Złapany na gorącym uczynku, Kubuś odważnie stawiał czoło Stasiowi, nie tając się już z niczém, ale

razem mu dowiódł, że się w taki sposób stołując, wydadzą tylko rubla więcej na miesiąc za wstęp do gospodarskiej kuchni, a zato będą jedli smaczną i czystą strawę, jaką sami mieć zechcą.

— Nie przeczę — odpowiedział Stanisław — ale potóż tu pan przyszedłeś, żebyś mi był kucharzem?

— Wszystkiém, kochany panie Stanisławie! niéma tak niskiej służby, którejbym się nie podjął, żeby tylko panu odwdziaczyć się za to, com winien ojcu pańskiemu i czém pan mię codzień obdarzasz! Ale toż przecie nie służba: co zgotuję, będziemy jedli razem, u jednego stołu, jak równi.

— A trud, a strata czasu?

— Co za trud? to rozrywka prawdziwa! Mnie to bawi, kochany panie! mam jakąś słabość do kucharstwa; — albo musiałem się zarazić od pana Sadłowieckiego, albo nawyknienie turemne stało się drugą naturą.

— Ale czas, czas, mój panie Jakóbie! czyż nie lepiej się uczyć?

— Zapewne; ale i wytchnienia potrzeba. To właśnie będzie mój odpoczynek. Najwięcej trzy godziny codziennie, i to tylko dopóki tu się w piecu palić nie zacznie; bo wtedy można będzie to wszystko, co nie czadzi, nie dymi, warzyć przy własnym ogniu, i siedząc na stoleczku przy garnkach, uczyć się przytém w najlepsze. Możesz być co miłszego?! A jakie to smaczne, co sam sobie człowiek zgotuje!

Staś jakoś się słodko uśmiechnął, Jan i Michał przyszliznęli mu na myśl, i już się wyobrażnia jego zapaliła do takiego rodzaju życia.

— Doprawdy, — rzekł wesoło, — byłoby to bardzo ucieszenie!... No, spróbujmy przez jakiś tydzień! Z jednym tylko warunkiem, żebyśmy i ja w wolnych godzinach brał też udział w robocie, służąc panu za kuchnię.

— Za nic! — wykrzyknął Kubuś.

— Jeśli tak, to i ja się nie zgadzam.

— Panie Stanisławie!

— Panie Jakóbie!

— Kiedyż-bo nie uchodzi!

— To i panu zarówno!

— Szkoda! — westchnął Kluczarski, — myślałem, że mi się uda wyżywić darmo przy panu; spodziewałem się, że za fatygę pan mię uwolnisz od udziału w rozchodzie; a tak już nie wiem, co począć? Pan nie możesz brać z tej garkuchni, musisz szukać lepszego stołu; a ja...

I przybrał taką minę żalowaną, że Widzki, nań spojrzawszy, nie mógł już się dłużej opierać.

— Bóg z tobą, panie Jakóbie! — zawołał dłoń mu podając, — rób, co chcesz, jeśli tylko na prawdę widzisz w tym swoją korzyść.

Kubuś, uradowany, rzucił się do niego z podzięką i omal mu ręk nie ucałował, zaklinając się, że stoć woli taki rodzaj zarobku, który wygodę im oby-

dwóm przysporzy, niżli kopiowanie notat, co go tylko męczy i nudzi. A myślał sobie w duchu: jak w sekrecie przed Stasiem dołożę do pakupek dwa ruble, które on mi ustąpił, to go *taki* dobrze podpasę! A Staś sobie układał: obaczymy! jakoś to będzie... Już ja w tym, że potrafię kucharować z nim razem!... Przedewszystkiem zaś muszę rozmówić się z kucharką. Dam jej rubla na miesiąc, żeby mu, niby przez grzeczność, pomagała w cięższej robocie, a sądzę, że się gniewać nie będzie, jak mu czasem daruję parę książek potrzebnych.

I tak tedy stanęły między nimi *pacta conventa*, i odtąd już, w całym znaczeniu słowa, w każdym względzie dobrze im było, dobrze do tego stopnia, że Leoś, bywający u nich ledwie nie co dzień, coraz bardziej zazdrościł szczęśliwego ich bytu. Od pamiętnej gościny w domu pana Zygmunta na folwarku arbu-zowieckim, w charakterze tego młodzieńca zaszła zmiana niepospolita: stracił on już dawne upodobanie w gwarnych knajpach burszowskich, wołał grębsze, rozumne pogadanki w kółku dobranym, niż burzliwe rozprawy, przeplatane częstokroć konceptami płaskimi, albo sprzeczką dziecinną. A na nową kwatery Stasia, jeśli kiedy młodzież się zeszła, to tylko najdobrzejsza, tylko szczerze pracy oddana, miłująca naukę, świadoma przeznaczenia swojego i wierna obowiązkom; bo on z taką tylko sympatyzował, z taką tylko serdecznie zawiązywał stosunki. Nie chciał przez

to powodzić, żeby *gniazdo jaskółcze* miało pozór swiego dziupła, żeby w niem się schadzali jacyś chmurni sensaci, żyjący tylko głową, nie sercem, nie znający myśli weselszej, ni świeższego uczucia. Bynajmniej! bardzo często na tém poddaszu, naprawdę jak w ptaszcém gniazdeczku, wrzało życie wiosenne, pełno bywało wesołego szczebiotu, śmiech się szczery rozlegał i piosenka dźwięczała; — słowem: młodość prawdziwa, czysta, podniosła, z sercem gorącym, z wyobraźnią polotną, z myślą bystrą i jasną, ze wszystkimi ideałami, dawała się tam widzieć w całej pełni blasku swojego.

Ich wesołość była czystym wylewem serca, co się raduje życiu, cudom nieba i ziemi, dobrym ludziom, cnocie i prawdzie, i wszystkiemu, co piękne, poetyczne i wielkie. Ich rozprawy poważne za cel miały najczęściej bądź naukę, bądź sztukę, bądź też literaturę, a niekiedy wkraczały i w dziedzinę zadań społecznych, nie zapędzając się jednak w utopie. Słowem, wszystko tam było tak godziwe, tak szlachetne, iż najzaczniejsza matrona, najniewinniejsza dziewczę, najpobożniejszy prostaczek, i najprawdziwszy miłośnik ludzkości, mogli tego słuchać bez obrazy swych uczuć i przekonań.

Pachnie to ideałem, nie przeczę; ale gdzież dlań miejsce właściwe, gdzie go szukać będziemy, jeśli nie w gronie młodzi? Bądź-co-bądź, to przynajmniej rzecz pewna, że ani bachanalia żadna, ani cynizm

obyczajowy, ani realizm materyalny, w gronie kilku wybrańszych współtowarzyszy Stasia zwolenników swoich nie miały.

A na dawniej kwaterze rozmaicie bywało. Leosó onego czasu nie przebiegał w stosunkach, a nie mógł się z nich otrząść i w nowém usposobieniu swojem; do niego się zatem schadzali i tacy i owacy.

Gdy jednak Staś go opuścił, gdy i ci, co właściwie dla Stasia uczęszczali do nich na stancję, odtąd w *gnieździe jaskółczém* przepędzali wieczory, Leosó, zostawiony sam na sam z częścią tylko ujemną pomieszanych przedtém żywiołów, nie mógł wpośród niej wytrwać i uciekał do Stasia na wieczorne miłe gawędki, po których jeszcze trudniej przychodziło mu znosić koncepta albo brednie satellitów swoich zwyczajnych. Cóż więc za dziw, że co dzień widział więcej powabu w owém niegdyś ośmianém, wyszydzoném *jaskółczém gnieździe*, że zazdrościł jego mieszańcom, i że wreszcie Stanisław, wróciwszy raz z prelekyi, zastał go ze wszystkimi manatkami u siebie.

— A! to mi niespodzianka przyjemna! — wykrzyknął z nieudaną radością, wyciągając doń obie ręce.

— Przyjemna czy nieprzyjemna, — odparł Leosó wesoło, ściskając go serdecznie, — dość, że już stąd się nie ruszę! Masz, jaskółko, wróbla w swém gniazdku, i choćbyś miał ze mną tak zrobić, jak prawdzi-

wa jaskółka w podobnym razie, zginę a nie ustąpię!

— Ej-że, nie odgrażaj się, żebyś później nie pożałował, i żeby mi nie przyszło po jaskółczemu położyć na to właśnie, żeby cię tu zatrzymać.

— Żartuj zdrów! już mi kością w gardle ta zgraja! tu dopiero swobodnie całą piersią odetchnę.

— Ależ, panie Leonie! — rzekł Kluczarski z uśmiechem, — wszakże to dziura przekłeta, miejsce dla desperatów, do złamania karku!

— Patrzaj go, jaki mściwy! — zawołał Rawski. — No, no! oddam ja ci za swoje! Będę ci także jakiś przedmiot wykladał, a wezmę się do ciebie prawdziwie po bakałarsku!

— I owszem, drogi panie, i owszem! — odrzekł Kubuś z wdzięcznością.

— Ale cożes zrobił z swoją kwaterą i z tymi, coś ich garnał przy sobie? — zagadnął Staś Rawskiego.

— Wszystko *in statu quo* zostało. Jestem teraz pan całą gębą, mam aż dwie rezydencje na raz: jedną nominalną, drugą realną. Przyrzekłem, że ich będę odwiedzał, i nawet muszę, choćby przez wzgląd na ciebie, bo inaczej mógłbyś tu mieszać istne najście tatarskie.

— Niekoniecznie, — rzekł Kubuś, — już ja o tym myślałem; jak panowie tylko pozwolą, to ja znajdę sposób na nieproszonych gości.

— A toż jaki? — obaj razem zagadnęli.

— To mój sekret tymczasem. Ale cóż będzie ze stołem?

— Z wami stołować się będę, jeśli przyjmiecie.

— Nie krępuj się, Leosiu!

— Nie bądź-że impertynentem! Za kogóż mię masz u licha? czém-że moja gęba gorsza od twojej?!

— Właśnie mam ją za lepszą.

— Słuchaj, Stachu! nie drwij-że ze mnie, proszę, bo już mię złości biorą nareszcie! Komu innemu w oczy-bym za to napluł, do kąt! To mi także zarozumiałość! jemu się zdaje, że on tylko jeden na świecie taki wielki bohater! że ktoś inny, to nawet i uczciwego barszczu i smacznych zrazów z kaszą przełknąć nie potrafi! Probowałem przecież, — wyborne! Prawdziwą wdzięczność będę ci winien, panie Jakobie, gdy mię tego kunsztu nauczysz. Od dziś dnia zapisuję ci się na kuchnię.

— Dobrze! — zawołał Kubuś, zacierając ręce ze śmiechem; — ależ i ja się po kucharsku wezmę do pana.

— Zgoda, zgoda na wszystko!

I odtąd jeszcze więcej uroku *jaskółczemu gniazdu* przybyło, bo je Rawski, co odzyskawszy Stasia, był szczęśliwy jak dziecko i, jak dziecko nową zabawką, ucieszył się nowym trybem życia swojego, nieustannie ożywiał złotym swoim humorem. Kubuś go w samą rzecz do swych garnków przypuścił i pozwał mu czasem to kartofle obierać, to ciasto na

pierogi wałkować, to wreszcie nawet lepić kotlety, albo poledwiec żyłować, przyczem obadwaj przesadzali się w pustym dowcipie. Staś zazdrościł swemu przyjacielowi, i nieraz też próbował zyskać u Kubusia łaskę podobną, ale zawsze napróżno; musiał więc na tém tylko poprzestać, że niekiedy wolno mu było bodaj nakryć do stołu.

Ale gdzież niebo wolne zawsze od chmurki? gdzież swoboda ciągała bez troski? Leoś nie znał dobrze swoich kompanów, myśląc, że dość im będzie mieć go parę razy w tygodniu na dawniejszej kwaterze; i ku wielkiej jego zgryzocie zaczęły się naprawdę owe *najścia tatarskie*, których tak się obawiał. Z razu po dwóch, po trzech, a potem i po kilku zaczęło się ściagać różnych nudziarzy, tych najsroższych rabusiów, co to i z czasu, i z humoru odzierają swych bliźnich, z którymi gdy się nie błaznowało, lub nie plotło trzy po trzy na temata zużyte: o religii, przez nich podeptanej bezmyślnie, o Bogu, z którym sobie niewiele robili ceremonii, o stosunkach społecznych, które chcieliby widzieć urządzone g'woli swym urojeniom dziecinny, i o tym podobnych rzeczach, to już i treści do rozmowy nie było! Kubus ich bardzo plastycznie przezwał, nie Tatarami, lecz *mrokami*; bo istotnie za ich ukazaniem się w *gnieździe jaskółczem*, zwykle je jakby tuman jakiś zalegał, tak w niem robiło się mroczno, duszno i ciężko.

Staś dręczył się, lecz znosił heroicznie tę przy-

krość, nie chcąc ranić Leosia, a Leoś nie mógł znowu drzwi pokazać kolegom, z którymi rad był niegdyś przestawał i na których po wierzechu nie ciążyła żadna sromota, choćby pragnął serdecznie uwolnić się od ich nawiedzin.

— I cóż, panie Kluczarski, — zagadnął raz Kubusia, — gdzież jest pański sposób na *mroki*?

— Już gotów! — odrzekł Kubus, — a czy wolno go użyć?

— Wolno, wolno! byleby tylko skutecznie.

Kluczarski się uśmiechnął.

— Jak panowie z lekeyi wróćcie, to się przekonacie naocznie, — odparł z wielką tajemniczością.

Wrócili, ale tylko w podwórko, bo się *gniazdo* stało prawdziwem gniazdem, gdzie bez ptaszęcych skrzydeł, lub bez kocich pazurów, niepodobna było się dostać. Wyrwanych kilka stopni ze schodów uczyniło je nieprzystępnem zupełnie.

— Patrz go! — zaśmiał się Leoś, — oto mi się popisał! Dobrze się obwarował, naprawdę! ale cóż z nami będzie?

— Czy nie myśli nas tylko windą wciągać na górę? — rzekł Staś, również ze śmiechem.

— Panie Jakóbie! — huknął Rawski donośnie, z dłoni tubę robiwszy.

Kubus się na balkonie ukazał.

— A co? — krzyknął uradowany, — dobry sposób, nie prawdaż?

— Zapewne! ależ my, to nie *mroki*!

— To też proszę wejść na pagórek, po ścieżynie od strony okien.

Chłopcy wbiegli na wzgórze, które, jak to już wiemy, w odległości trzech arszynów od ściany domu prostopadłe ściosane, wysokością stało na równi z balkonikiem ich gniazda, — wbiegli, i w téjże chwili Kubuś rzucił im kładkę, oparłszy na balkonie jeden jej koniec, a na wzgórkę drugi.

— Brawo! — krzyknęli, jednym susem przepaść przebywszy; a Kluczarski w moment zdjął kładkę.

— A co? — rzekł z miną tryumfującą; — dobry koncept?

— Paradny! — odparł Widzki, — mamy teraz istną fortecę, nawet z mostem zwodzonym.

— Który rzucać będziemy jedynie dla wybranych, — dodał Leos, — cudownie!

— Ale *mroki* w chmury się zamienia i pioruny w głowę nam cisną! — odezwał się Stanisław.

— Za co? — wykrzyknął Leos — któż im powie, jak przyjdą i stać będą tam na dole, że jesteśmy na górze?

— Czém-że wytłómaczymy to zburzenie drabiny? — rzekł Staś, trochę zakłopotany.

— Jakto czém? — odpowiedział Kluczarski z miną bardzo poważną. — Toż ja przecie mam okrutnego stryja, który się w różny sposób znęcał nade mną, a w końcu chciał mię oddać w rekruty,

więc ucieklszy od niego, pilnuję się, jak mogę, żeby tu mię czasem nie zszedł zniecaaka.

— Areydzieło pomysłu! — zawołał Rawski, — muszą się *mroki* rozproszyć.

I rozproszyły się naprawdę. Przyszedł jeden i drugi, obaczyli schody zburzone, huknęli kilka razy do góry; lecz nikt im nie odpowiedział. Wdrapali się na wzgórze, aby zajrzeć w okienka, lecz franki były spuszczone; pohukali jeszcze czas jakiś i wrócili z niczém do domu. Nazajutrz posłyszeli historię o stryjaszku tyranie i o tarapacie Kubusia, uwierzyli i pochwalili pomysł; uwierzyli i temu, że Leosia i Stasia wczoraj w *gnieździe* nie było; ale w kilku z prelekecyi zaprosili się z nimi na oględziny mostu. Przyjęci, wszyscy wraz na pagórek wybiegli, lecz po kładce dwóch tylko przeszło, a innym nie starczyło odwagi, bo Kubuś za zupełne bezpieczeństwo nie ręczył. I ci dwaj zabawili niedługo, bo im pilno było na obiad. Ponowiły się odwiedziny jeszcze coś kilka razy, a wreszcie całkowicie ustały, bo były połączone z taką mitręgą, że i chęci do nich zabrakło; parękroć nie podano kładki zupełnie (snadź nikogo w domu nie było); parękroć chciano podać, ale Kubuś, niezgrabia, upuścił ją na ziemię; raz tylko udała się przeprawa, ale cóż, kiedy w jesieni nie tak wczesnie zapada, a w nocy nad przepaścią przemykać się po desce, choć szerokiej i mocnej, rzecz to nie arey miła! więc *mroki* uciekały przed zmrokiem, bez her-

baty i pogadanki. Zraziwszy się w ten sposób i przekławszy *gniazdo jaskółcze*, natręci dali mu za wygraną zupełnie, i woleli szukać Leosia już tylko na Żandarmskiej ulicy. Więc Kubuś znowu schodki naprawił i wszystko do dawnego powróciło porządku; zaznał wprawdzie trudu i z dźwiganiem swój kładki, i z przebywaniem jój kilkanaście razy codziennie, i z noszeniem różnych ciężarów stromą ścieżką po wzgórzu; lecz mu wszystko to było i lekkim i przyjemnym, bo wiedział, że Stasiowi tém oszczędzi przykrości, którą dobrze rozumiał.

Wiele-by na to kartek trzeba było poświęcić, żeby oddać dokładnie cały urok pożycia naszej trójki pocziwój, a że i tak już długo nad nią się rozwodzimy, więc musimy w kilku wyrazach zamknąć resztę opowiadania. Kubuś coraz lepiej jeść warzył i coraz znakomiciej postępował w naukach pod gorliwą opieką obu swych przewodników, coraz dzielniej umysł rozwijał, dzięki pogadankom wieczornym z nimi i z ich towarzyszami, a przytém i zarabiał potrosze, bo Leoś potrzebował jego pióra codziennie. Staś miał parę korepetycyj, które mu przynosiły do trzydziestu rubli na miesiąc, na prelekeye regularnie uczęszczał; w domu szczerze pracował nad sobą nad Kubusiem, i z chlubą i pociechą o tém rozmyślał, że mu ojciec jego kochany mógłby teraz z serca powiedzieć: kontent jestem z ciebie, mój synu; da Bóg, będzie z ciebie korzyść dla kraju! — Rawski zreformo-

wał się zupełnie, i już nie tylko z przekonania, ale razem i z serca, unikał dawnych kólek swawolnych, praca mu coraz to miłszą była, coraz miłszą gawędka rozumna i pocziwa, a pustował tylko z Kluczarskim, zawsze mu pomagając w wolnych chwilach przy kuchni, która się już przeniosła do pieca w ich stancji.

Byli tedy szczęśliwi w swoim *gnieździe jaskółczém*, o ile tylko człowiek z sercem nieobojętném na cierpienia kochanych może czuć się szczęśliwym, osobistych cierpień nie znając, zwłaszcza, że i z tej strony Staś niemałej doznał pociechy, otrzymawszy z domu wiadomość, że ojciec jego niebawem może zajmie nową posadę na warunkach nader korzystnych, u jednego z najzacniejszych obywateli. Aż raz, kiedy, według zwyczaju, biegł do Sławockiego, spostrzegł ukochaną twarz — swego ojca!

ROZDZIAŁ PIĄTY.

W Stefanówce, po owej scenie, na którejśmy ją opuścili w przeszłej części naszej powieści, nastąpiła nowa, jeszcze burzliwsza. Dla pani Sadłowieckiej

dzień to był klimakteryczny, epokowy w jój życiu, dzień, w którym snadź sądzono jój było odnieść karę za wszystkie grzechy.

Jeszcze się drzwi nie zamknęły za Widzkiem, jeszcze prezesostwo *skonstronowani* z osłupienia nie wyszli, kiedy raptem przed matką stanął Bolo, blady, z oczyma iskrzącemi ponuro, o zaczerwienionych powiekach, z rozczochranym włosiem na głowie, z jakimś sztraznym, dzikim wyrazem w licach.

— *O mon fils ! o mon chéri, o mon pauvre enfant !* — jęła z płaczem mamunia, wyciągając doń ręce.

Bolo gwałtownym rzutem w tył odskoczył ze wstrętem, dłońmi wyprężonemi od niej się zasłaniając, jak tarczą, i drżąc, głosem złamanym, ale pełnym gniewu zawołał:

— Jak mama śmiała takie bezceństwa mówić o pannie Widzkiej?!

— Bolo, nie zapominaj się! — wykrzyknął ojciec, a prezesowa załamała ręce w niemój boleści, wzrok przerażony w twarzy syna utkwivszy.

Bolowi sine usta się trzęsły i febrycznie zęby szczękały, a piersi wrzały rozjątrzeniem tak wielkiem, że przez chwilę głosu z nich nie mógł wydobyć.

— Niewdzięczny! — zapłakała matka nareszcie.

— Niewdzięczny! — powtórzył Bolo ze wzgardliwą ironią; — o! zapewne, zapewne! powinien bym do nóg się mamie tu rzucić za to wszystko, co mię spotkało: za wstyd wobec panny Heleny, za ciągi-

jakie przy niej od Kluczarskiego wziąłem, za to upokorzenie, jakie Widzki mi sprawił, za hańbę, jaką się w oczach jego córki okryłem, ścigając ją po lesie, jakby młody leśniczy jakąś dziewczkę folwarczną.

Prezesowa padła na sofę, i twarz w chustkę ukrywwszy, rozszlochała się na dobre.

— Któż ci winien, lamparcie?! — buchnął prezes zirytowany.

— A któż, jeśli nie mama? — odparł Bolo gwałtownie.

— Mama?! to mi nowina!

— Kto mię ciągle namawiał i ledwie że nie gwałtem do Arbuzówki pędził? Kto mię ciągle zachęcał, żebym się *bawił* sobie z panną Heleną? Kto tłómaczył, że jest to rzecz niewinna i właściwa w mym wieku?!

— Czy tak? — zagadnął prezes. — Pocoś mu to mówiła? cóż to jest?

Prezesowa ciągle płakała, a Bolo znów podchwycił namiętnie:

— Co to jest? chciałbym wiedzieć... a raczej wiem już dobrze... domyślam się przynajmniej! Szło mamie o zhańbienie tych ludzi, ale za co tak srodze na ich cześć się zawzięła? za co chciała sromoty córki tego człowieka, który jój życie ratował?... Mściła się za zniewagę, jaką wywołała swą złością... może to i godziwa... ale czyż można było swego syna po-

pychać do tak brudnej, tak niecną sprawę, żeby tylko nasycić dzikie zemsty pragnienie?!

— Co słyszę! — krzyknął prezes, wielce zgorzłosny.

— A teraz, — ciągnął dalej Bolo rozplamieniony, — teraz, zgroza wymówić! śmie tu najdziksza, najokropniejszą infamię rzucać na tę czystą istotę, którą ja znieważylem bezmyślnie, wywiedziony w pole zdradziecko przez podłą faworytę swą matki, może umyślnie zachęconą ku temu przez swoją panią! Śmie z niej robić jakąś heterkę, jakąś Messalinę bezwstydną! śmie jej ojca wystawiać jak rajfurę własnej swą córki! ojca, który mi progów swojego domu zakazał! córki, która mnie figurką z żurnalu, małpą i papugą przezwala!

Jęk bolesny, przeciągły wydobył się z piersi jasnie wielmożnej, a prezes, posiniawszy ze wzruszenia, krzyknął znowu:

— Opamiętaj się, Bole!

Ale Bolo, niczem nie powstrzymany, pędził dalej gwałtownie:

— Oto matka! mój Boże! i jeszcze mnie o niewdzięczność oskarża!... ale prawda! powinienem być wdzięcznym, bo mi, dzięki tej sprawie, spadła z oczu zasłona, bo ujrzałem, kim jestem i na jakiej drodze stanąłem! Tak! figurką z żurnalu, małpą i papugą francuską, z łaski wychowania, zostałem; lecz potrafię stać się człowiekiem! Muszę się rehabi-

litować! muszę powstać z upadku! a tym ludziom czeigodnym wynagrodzić krzywdę bolesną, jakiej się mimowolnie stałem przyczyną, i zniewagę straszliwą, jaką im moja matka wyrządziła. Wszystko zrobię, co tylko nie przechodzi siły człowieka: ukorzę się przed nimi, w prochu czołgać się będę, choć wiem, że mi z dumą szlachetną odmówią, będę prosił, jak o największą łaskę, aby mi wolno było jawnie, głośno, uczciwie o rękę ich córki się starać.

— Ja cię przeklnę, wyrodney! — krzyknęła prezesowa, porwawszy się gwałtownie i wzniosłszy zaciśnięte pięści nad głowę.

— Jeśli tylko za bezecenstwo mam być błogosławionym, to wolę być przeklętym za to, co jest chwalebne.

— Milcz, szaleńcze! — wykrzyknął prezes głosem piorunującym, a pani prezesowa, upadłszy znówu na sofę, zaniosła się śmiechem okropnym. — Patrz, nieszczęsny, coś sprawił! — zawołał Sadłowiecki, drżący z irytacji niezmierniej, i zataczając się, jakby pijany, rzucił się dzwonić na służbę. Bolo ściał usta sardonicznym uśmiechem i wyszedł do drugiego pokoju.

W moment cały fraucymer zbiegł się do prezesowej, a nawet i Jarmusia, pewna, że przy boku swą pani już się może nie lękać popędliwości prezesa, a rada ze sposobności wykazania w chwili takiej krytycznej całej swojej wierności i przywiązania; to

tęż lamentowała, jak u trumny matki rodzonej, postępując przy spazmującej, gdy ją panny służące do sypialni niosły na ręku. Prezes, jak nieprzytomny, ledwie mogąc wlec nogi, pociągnął także za nią nieborak z głową smutnie zwieszoną. Nadbiegła też i ciocia-hrabina, i panna Fisja, mimo ciężkiej migreny, jakiej z powodu irytacji o Stasia obie były dostały.

— Co to jest? co się stało? — pytały się stro-skane.

— Nieszczęście... alteracya... nerwy... — odpowiadał zakłopotany.

— Po doktora czémprędzej! — zawołała siostra hrabina.

— Po doktora... — machinalnie powtórzył — po doktora... — I skronie obu dłońmi sobie ścisnąwszy, wolnym, chwiejnym krokiem wyszedł z sypialni żony do swojego apartamentu. W oczach mu się ćmiło, w głowie szumiało, ciemno-purpurowy rumieniec gorzał na smutnych, zbolących jego licach, a dreszcz ciała przebiegał... Ciężko upadł na krzesło.

— Rozbierz mię i odprowadź do łóżka; — rzekł do kamerdynera.

— Niech jaśnie pan pozwoli...

— Czekaj-no! daj mi wprzód tekę...

Wyjął świstek papieru i drżącą ręką tak olówkiem na nim nakreślił:

„Żle mi, nie mogę dziś z tobą się rozmówić...

Straszne rzeczy mi odsłoniłeś! Nie grożę, tylko proszę... proszę! rozumiesz? Nie nie poczynaj beze mnie!... Nieszczęśliwa ta matka! nie drażnij jęć więcej!... Mnie zaufaj... zrobisz potem, co zechcesz; tylko wprzód ze mną się rozmów... Ciężko mnie Bóg ukarał! miejże choć ty litość nade mną!”

Zwinął i zapieczętował.

— Odniesiesz to do pana Bolesława... — zalecił; z trudnością się dźwignął z siedzenia, i wsparty na ramieniu kamerdynera, do łóżka się powłókł powoli, gdzie służący niemało się namęczył, nim go, osłabionego i prawie bezwładnego, zdołał wreszcie rozebrać i położyć.

A tymczasem pan Bolo, w podnieceniu najwyższem wszystkich władz swego ducha, tam i sam rzucał się po swym apartamencie, burząc się na wspomnienie obelżywych słów o Helence, wyrzeczonych przez jego matkę, jako też i haniebnego podstępu, którego nieszczęśliwą stał się ofiarą. Rój myśli najdziwaczniejszych wirował mu po głowie; a jak cały rój pszczelny gromadzi się wokół pszczoły-matki, tak też i one wszystkie się grupowały dokoła jednej myśli dominującej, a tą była konieczność rehabilitacji. Zaszła w nim najniespodzianiej wielka, cudowna zmiana! Snadź miał coś w swęj naturze z usposobień ojeowskich, jakiś zaród pocziwy, co gdzieś tam na dnie serca głęboko obumarły spoczywał, zagrzebany wśród złych narowów, jak dobre ziarno, grubą war-

stwą piasku zawiane. Trzeba snadź było tak silnego wstrząśnienia, jakiego właśnie doznał przed chwilą, tak gwałtownego przewrotu w jego wnętrzu duchowym, aby na wierzech zaród ten dobyć i do życia go wreszcie powołać, iżby nań podziały te błogie wpływy, jakie wyrzucić mogły owe blaski słoneczne prawdy, owe rosy ożyweze cnoty, owe prądy elektryczne szlachetnego zapału, na które jego dusza u Widzkich tylekroć wystawiona była daremnie. Owóż, kiedy upokorzony, wysilony, złamany po przeczytaniu gorzkiej prawdy z listu Helenki i po wydarcie ostatniego złudzenia, oddalił się do swej sypialni i ze łzami upadł na łóżko, w pierwszej chwili uczył się jakby pogrążony w jakiejś otchłani, ciemnej, okropnej, bo ciemno i okropnie było w sercu i w głowie; a rozmowa ojca jego z panem Zygmuntem, dolatując go z przyległego pokoju, zrazu jakby wśród wielkiej pustki, rozlegała się w jego duszy echem ponurym. Lecz wkrótce pomimowoli zaczął baczniejszą zwracać na nią uwagę, zaczął z zaciekawieniem chwytając słowa Widzkiego, a w miarę jak ich słuchał, nieznacznie zaczął się zastanawiać nad sobą i nad swoim postępkiem, i nad całym obrotem sprawy, i myśl jego wyszła z chaosu i z błyskawiczną szybkością w ślad za każdym zdaniem pana Zygmunta wysnuwała tysiące wniosków, wspomnień i kombinacji. Dobrze ziarno już się dobyło na wierzech, już przyznał sam przed sobą, że naprawdę był lekkomyślnym i za

rozumiałcem; że go słusznie Helenka w liście swoim lalką z żurnalu, małpą i papugą nazwała, że dość nawet słuszny wstręt czuła, snadź instynktowo zgadując, co ją spotkać miało przez niego... Czemuż więc był takim, nie innym? czemu się tak różnił we wszystkim, i na zewnątrz i wewnątrz, i od pana Zygmunta, i od pana Erazma, którym trudno było odmówić i prawdziwej nauki, i światowego połoru? Czemu to, czém się oni chlubili, co umiłowali i czcili, dla niego było śmiesznem, obojętnem, albo wcale nieznanem? Ród-że to jego *pański* tego przyczyna? zapewne... ten Sławocki i ten Widzki to sobie tylko szlachta; ależ i hrabia N., pan z panów, w wielu względach do nich podobny; ależ i pan X., magnat prawdziwy, ma tak piękny księgozbiór, tyle dzienników, sam nawet był podobno wydawcą czasopisma jakiegoś?... A tylu innych hrabiów i książąt różnej narodowości, o których tylekroć słyszał u Widzkich, których wreszcie imiona sam wyczytywał w czasopismach i książkach, od kiedy *in gratiam* Helenki zaczął do nich zaglądać, toż to przecie także hrabiowie; a jednakże ich pańskość, znakomitość ich rodu, nie przeszkadzała im wcale być miłośnikami pracy i zasłynać nią bez najmniejszej ujmy dla swego honoru? Czemuż więc on ma być wyjątkiem? Czemu, gdy inni nie wstydzą się pracy, owszem, uszanować ją umieją, on tylko jeden odwraca się od niej z lekceważeniem?!... Czemu? czyja w tém wina? kto nauczył go wierzyć,

że pańskość zależy na umiejętném zabiciu czasu i próżniactwie? to matka! to jój bony, jój guwernantki i guwernerowie, co zeń zrobili i lalkę, i papugę, i małpę! To matka, matka winna wszystkiemu! Ona-to weń wpoila takie zdrotne zasady, ona-to i w ostatnim smutnym wypadku była główną sprężyną, bo go zachęcała wyraźnie do miłostek z Helenką, bo mu je wyobrażała, jako *passetemps* niewinne, bo szydziła z cnoty dziewcząt ubogich, utrzymując, że każda ma ten skarb swój do zbycia, byle dobra sposobność.

Tak to rozmyślał Bolo, i coraz większą wzgardą dla siebie, coraz się większym żalem do swój matki przejmował. Nadejście Jarmusińskiej nowe w nim wzbudziło uczucia; przypomniał, że ostatnią i najbliższą sprawczynią katastrofy haniebną ona właściwie była, i wściekły zerwał się z łóżka, i gotów był rzucić się na nią i zdeptać ją, i w twarz jój napluć; lecz na pelen zgrozy okrzyk pana Zygmunta, co prezesa w gniewie powściągał: „Wstydz się pan! toż kobieta!” powstrzymał się prawie na progu. Dzięką jednak czuł radość, słysząc, jak rozjątrzony ojciec szarpał i poniewierał podłą zausznicę matczyną, aż dopóki na nowo głos uroczysty Widzkiego nie obudził w nim poważniejszych uczuć i myśli i nie wskazał mu prawdziwej winowajczyni. „Jarmusińska zrodziła się, wzrosła i wychowała się przy pałacu”, a więc i jój przewrotność — dzieło to jego matki, co

jój od lat najmłodszych używała do wszelkich intryg, wszelkich szalbierstw i szpiegostw. I zadrzał, posłyszawszy, że go prezes wygnać chce z domu!... Przez kogoż-to nań spada? — przez matkę! Z jój łaski musi rzucić dach swój rodzinny, okrywszy się taką sromotą w oczach panny Heleny, która mu, odkąd tak srodze się zawiódł w bujnych swoich mazeniach, zajaśniała w całym uroku, w całym blasku swoich przymiotów, w całym swém dostojenstwie! — i w oczach tego pana Zygmunta, którego dziś dopiero należycie ocenił, pierwszy raz uderzony tak silnie wielkim jego rozumem, sercem i charakterem. Nie, nie! to być nie może! trzeba się rehabilitować, trzeba w jakibądź sposób i tych ludzi przebłagać za tak ciężką zniewagę, i z siebie zmyć tę plamę ohydłą!

Gdy więc matka wpadła jak furja i w wyrazach najobelżywszych wyzionęła przed Widzkiem wściekłą passję swoją, Bolo, oburzony w najwyższy sposób tą nikczemną potwarzą, tą straszliwą obelgą, jaką pannę Helenę ośmielono się dotknąć, — w mgnieniu oka, cudowną, tajemniczą sprawą przebudzonego ducha, przeczuł całe znaczenie téj intrygi bezeceńej, i raz pierwszy w swém życiu z małpy i papugi stał się człowiekiem. Tak czasem uderzenie piorunu paralityka stawia na nogi...

Wiemy już, jak się zakończyła ta scena. Teraz zastajemy panicza w rozmyślach nad środkami rehabilitacyi. Tysiące ich, coraz heroiczniejszych, snuł

mu się po głowie, lecz żaden się nie zdawał dobrym do wykonania... Wtém zlekka zapukano w podwoje, i kamerdyner, opowiedziawszy się poprzednio, wpuszczony, podał mu na srebrnej tacy kartkę prezesa. Bolo ją szybko przebiegłszy, téjże chwili ruszył do ojca, bo chciał mu być posłusznym, a odkładać postanowienia swego nie myślał. Lecz że kamerdynerowi wcale nie było pilno, że go mocno intrygowały tajemne szepty w kredensie i w garderobie o przyczynie tego zamętu, jakim się od przyjazdu hrabiny, a jeszcze bardziej od powrotu panicza i nawiedzin Widzkiego cały pałac napelnił,—zanim więc polecenie pańskie wykonał, upłynęło blisko godziny. Stąd gdy Bolo przyszedł do ojca, już się z nim nie mógł rozmówić, bo go zastał całkiem bez przytomności, w najstraszliwszej malignie.

O, jakież oplakany był stan tego bogacza, tego wielkiego pana! I Bolo to nawet zrozumiał, i Bolo się nad nim użalił, zwłaszcza wspomniawszy sobie łożę pana Zygmunta, otoczone niegdyś z taką miłością przez całątką jego rodzinę, przyjaciół i znajomych. Tu nie było nikogo. Prezesowa, sama spazmując, nie mogła dłoń opuścić swojej sypialni, choć ją zawiadomiono o téj nagłej jego chorobie. Hrabina i panna Fisia tak się już wycierpiały przy dwukrotnych jej spazmach, takięj się nabawiły migreny, że prędzej-by same skonały, niż-by nawet konającemu pośpieszyły na pomoc. Młodsze dzieci już

spaly; guwernerowie i guwernantki, sami w podobnych razach nigdy od pryncypałów swoich najmniejszej nie doznawszy opieki, nie połączeni z nimi żadnem tkliwszém uczuciem, sądzili się całkiem wolnymi od wszelkich obowiązków w téj mierze, — dla nich jeden był tylko, za który im płacono... Więc przy chorym prezesie siedział tylko lokaj zastany.

Bolo, jeszcze pod wpływem poprzedniego wstrząśnienia, mocno się na ten widok poruszył i z prawdziwem uczuciem rzucił się do mającego ojca, chcąc przynajmniej słowem serdecznem jakąś ulgę mu przynieść; lecz ojciec nie poznawał go wcale, i jak gdyby nie słyszał, ani widział zupełnie. Bredził tylko z gorączki, ciągle wspominając pana Zygmunta, albo téż kuchmistrzowi dysponując wielkie obiady z obszernemi informacyami. Czasem wołał: „Trzeba wystąpić! bo to ucztą nie lada! to wesele pierworodnego!... Bajki! to nie ekonomówna! dziecko obywatelskie!... wychowane prześliznie!... a rozumek, a serce!... ajaka piękna! śliczności!” I twarz mu się rozpromieniała, uśmiech igrał na ustach... Lecz po chwili, nagle się zachmurzywszy, wykrzykiwał: „Nie przyjechali!... nikt z krewnych! nikt z sąsiadów!... mezalians!... Głupia дума!... Niechżeby obaczyli, jakich z Ukrainy mam gości! sam kwiat, sama śmietanka!... Żle jednak... trzeba było za granicę wyjechać!...”

Niezaługo nadjechał doktor, sprowadzony do prezesowej, przy której do roboty nie już nie mając, bo paroksyzm jej prędko minął, — mógł się zupełnie prezesowi poświęcić. Bolo rad mu był szczerze; ale jakże się lękał, żeby się przed nim ojciec nie wygadał z czémś bez potrzeby!... Dziwna rzecz! to, co przed półgodziną było dlań najprawdziwszą pociechą, teraz przejmowało go trwogą!... Czyż-by się już wyrzekł swych planów? Bynajmniej; ale i jemu gorączkowe widma ojcowskie wyobraźnię mocno zajęły, i jemu przykro dźwięczał w uszach *mezaliens*, i jemu się zdawało, że chyba za granicą będzie mógł swój zamiar wykonać. Bał się więc, żeby tajemnica na jaw nie wyszła; bał się, żeby i scena, jaka miała miejsce w dąbrowie, nie wydała się przed lekarzem fatalnie! Na szczęście Sadłowiecki, jakby instynktem czując obcą osobę, prawił tylko o kuchni, deklamował ustępy ze sławnego swojego dzieła, albo niby-to z Widzkim dysputował o środkach polepszenia bytu officialistów.

Doktor przed panem Bolesławem nie taił, że choroba była dość groźna i że wymagała wielkiej pilności; zaordynował lekarstwo, po które téjże chwili do apteki posłać zalecił, i odjechał, zapowiadawszy odwiedziny swoje nazajutrz. Bolo prawie aż do dnia u węglowia ojca przesiedział, sam mu podając do zażycia miksturę i opiekując się nim czule, jak

przystało pocziwemu synowi, pierwszy pono raz w życiu.

A pani prezesowa, zaniechawszy swych spazmów, już nie śmiechem i płaczem, tylko najwyższą energią złości i gniewu objawiała stan swój nerwowy. Po odejściu Fisi z ciocią hrabiną, odpędziła wszystkie służące i najpierw do Jarmusi się wzięła, chcąc się od niej dowiedzieć szczegółowo o wszystkim. Na nieszczęście, klucznica tyle tylko wiedziała, co pan prezes wygadał, grożąc, że jej za każdą ciegę, jaką od Kluczarskiego *złoty panicz* odebrał, każe aż sto wyliczyć, — zresztą nie a nie zgola; a do swego podstępni ani myślała się przyznawać, postanowiwszy, choćby na torturach, utrzymywać przeciw całemu światu, że listy przez Helenkę były pisane. Jasna pani, wręcz ją zgromiwszy, nie za intrygę, tylko za niewiedomość, kazała jaśnie pana prosić do siebie; a gdy jej oświadczono, że jaśnie pan chory i w łóżku, pogniewawszy się w duchu na niego, że zawsze najniewcześniej na *niestrawność* musi chorować, zdecydowała się czekać do jutra na wyjaśnienie sprawy, będąc pewną, że z Bolem, po téj *scenie*, jaką *jój* zrobił, niema już co gadać!... Ale jakże tu zasnąć z gniewem nienasyconym? bądź-co-bądź, *ekonom* ją znievažył, a poplecznik jego — o zgrozo! śmiał na jej syna się targnąć!...

Zemsty, zemsty!... Ekonoma, jak psa, wypędzić, wyrzucić z manatkami natychmiast pod gołe niebo,

choćby cały dom zburzyć, choćby folwark podpalić... Ale przyszło jęj na myśl, że człek *taki zuchwały* może w rozpaczynym szale téż gwałtu się dopuścić... Zresztą będzie to skandal, który się w całej okolicy rozniesie i zgorszenie wielkie wywoła... Lepiej więc na tém poprzestać, co się już osiągnęło z łaski Jarmusi: panienka skompromitowana, rodzice jęj, dotknięci w najboleśniejszy sposób, pewno, po tém, co zaszło, i sami dobrowolnie Arbuzówkę opuszczą. Wprawdzie nie dosyć tego za ich okropne winy, do których jeszcze nowe, najstraszniejsze przybyły: uderzenie Bola przez Kluczarskiego z łaski ich córki, haniebna kompromitacya Fisi z powodu ich synalka i ostatnie słowa Widzkiego; ale cóż począć? *nécessité vertue!*... A więc całą już wściekłość na Kluczarskiego zwróciła, i jak król Lir, co wołał, grożąc córkom wyrodnym:

Taką pomstę z was wezmę, że cały świat boży...
Wymyślę coś takiego... coś... nie wyobrażę
Sam jeszcze, jaką zgrozę moja wściekłość stworzy,
Lecz czuję, że nią ziemię i niebo przerażę! —

tak ona w rozszalałym swém sercu odgrażała się na biednego Kubusia, i na nie już niepomna, nawet na to, że przez swą zemstę gwałtowną przyczyni się do rozgłoszenia hańby własnego syna, postanowiła dostać w ręce tego zbrodniarza, furię swą nasycić i choćby najstraszliwszą torturą całą prawdę zeń dobyć; a wiemy już od Palukiewicza, w jaki sposób

do tego się wzięła, jak się w oczekiwaniu zawiodła, i jak się wszystko na Łypińskim i Kurczyckim skrupiło.

Nie na tém się jednakże w dniu tym ograniczyły czynności jasnej pani. Przerażona pogroźką Bola względem głośnego oświadczenia się pannie Widzkiej, musiała jeszcze jakieś środki przedsięwziąć, żeby mu w tém przeszkodzić; a nie mogąc nikomu w takiej ważnej sprawie zaufać, zaleciła wiernęj Jarmusi, aby, nie szczędząc trudu, a nawet pieniędzy, przedewszystkiém probostwo otoczyła wartą jak najczujniejszą, żeby z niem panicz nie miał żadnych stosunków, a potem, aby wszystkim we dworze w jęj imieniu rozkaz wydała, iżby nikt, pod najcięższą odpowiedzialnością, nie ważył się słuchać jaśniepanicza, w razie, gdyby chciał, czy to z listem kogo wyprawić, czy to sam gdzie wyjechać z pałacu. Niéma dlań ani gońców, ani furmanów, ani masztalerzy! a gdyby sam się uparł konia sobie osiodłać, nie dać mu ani siodła, ani munsztuka! Nikt z obcych nie powinien nie o tém wiedzieć. Za ścisłe dochowanie sekretu, służba najsowitszą weźmie nagrodę, a przeniewiercom — biada!

Widzimy więc, że energii prezesowej nie brakło; wątpić jednak należy, czy-by się te zabiegi na cokolwiek przydały, czy-by mimo to wszystko Bolo nie potrafił *zrobić szaleństwa*, gdyby go naprzd czuła kartecka i choroba ojcowska, a potem jego własna nie

powstrzymała. Niech łaskawy czytelnik nie uważa tego za wymysł, za sztuczne naciąganie g'woli planom powieściopisarskim; bo istotnie tak było, że jak pan prezes skutkiem głębokiego wstrząśnienia na nerwową zapadł gorączkę, tak syn jego na zapalenie mózgu, i pierwszy przez cały miesiąc, drugi przez dwa tygodnie, przeleżeli w ciężkiej niemocy.

Prezesowa jakkolwiek mocno się tém strapiła, szczególnie ze strony Bola, winszowała sobie wszelakoż, że nieszczęście to, jeśli już przyjść na nią miało koniecznie, przyszło w tak dobrą porę; bo ani jej małżonek nie był w stanie parać się z Widzkim, którego tak serdecznie pozbyć się chciała, ani syn—doprowadzić do skutku haniebnej swjej pogrózki; ona zaś najbezpieczniej mogła się rozporządzać we wszystkiém, czego téż dała dowód najlepszy, wygnawszy téjże chwili dwóch najpoczeiwszych swoich officjalistów i zarząd Arbuzówki zagarnawszy we własne ręce pod nominalném namiestnictwem Palukiewicza. Interesa stefanowieckie również umyśliła tymczasowo sama prowadzić, posiłkując się tylko Ostępowiczem, a folwark, gdzie Kurczycki był ekonomem, na Nehresznego zdala, zaleciwszy Jarmusi wystarać się jakich *ludzi porządných*, to jest trzeźwych, pokornych i posłuszných, a tanich, na opróżnione posady. Wolna zaś od kontroli swego małżonka i od *wdzierstwa* Widzkiego, korzystała z czasu skwapliwie, ażeby zaspokoić wszelkie swoje fantazy, i zamiast

co-by myśleć o dostawie pszenicy, dawno już skontraktowanej, o siejbie, o zaoraniu ziębli, o puszczeniu gorzelni i tym podobnych gospodarskich robotach, nie cierpiących najmniejszej zwłoki, ile tylko rąk zdobyć mogła, wszystkie je obracała do kopania kanałów, przez które żelaznemi rurami miała ze źródlisk o wiorst parę odległych do pałacu wodę sprowadzić, dla urządzenia w oranżeryi fontanny.

Tak się tedy rządziła, jak szara gęś z przysłowia, i pod tym względem najzupełniej była szczęśliwą; ale zato ciężki krzyż niosła w życiu swojém domowém, które dla niej w prawdziwy zamieniło się czyściec! nie przeto, żeby miała serce zbyt czułe, ale właśnie przeciwnie, dlatego, że jej brakło delikatności uczuć, mimo wszelkie pretensye do wysokości dystynkeyi. Wogóle długa w domu choroba jest dla zdrowych próbą nie lada, z której nie tak to wielu wyjść potrafi zwycięsko. Nieraz pielegnowanie chorych wyczerpuje cierpliwość nawet najbliższych, najszczerzej kochających, stając się wreszcie dla nich, nietylko już boleśnym, ale poprostu ciężkim obowiązkiem i przykrym. Cóż więc dopiero tam, gdzie chorego doglądać musi osoba ledwie nie obojętna, a do szlachetnej siostry miłosierdzia niepodobna bynajmniej?! Bolo wprawdzie, jak już to wiemy, zrazu matkę mocno zatrwożył; bo choć parę kroć dała się słyszeć, iż wolałaby go raczej widzieć na marach, niżeli u ołtarza z podłą ekonomówną, czuła wszakże

dla niego coś naksztalt macierzyńskiej miłości. Kilka więc dni, a nawet parę nocy przesiedziała u jego łóża, gorzkiemi zalewając się łzami. Ale jak tylko już niebezpieczeństwo minęło, zdala go całkowicie na opiekę lekarzy, z których jeden na czas przydłuższy w Stefanówce stale zamieszkał, by nieodstępnie pacjentów swoich pilnować i regularnie po cztery razy na dzień dawać jej buletyny o biegu ich choroby, sama zaś poprzestawała na krótkich odwiedzinach w południe i wieczorem. A co do pana prezesa, — z tym już od samego początku jakoś wytrwać nie mogła, bo naprzód zajęła się wyłącznie synem, a potem, skoro już ten przyszedł do zdrowia, ona się tak uczuła znużoną i wyczerpaną, że sama częściej była w łóżku, niżli na nogach! Mimo to (o heroizmie!) odwiedzała go codziennie; ale słysząc, jak ciągle nieprzytomnie gadał z gorączki, srodze się tém irytowała, i chciała go opamiętać koniecznie! Ma się rozumieć, że nie była w stanie tego dokazać, i zwykle, rozgniewana i obrażona, niebawem powracała do siebie, prawie zawsze z migreną, a czasem i ze spazmami. Łatwo zgadnąć, że przez to wszystko humorek jej, miluchny już z natury, nabral jeszcze więcej słodyczy, i że dzieciom, domownikom i sługom dał się dobrze we znaki! Wszyscy się mieli z pyśzna! każdy musiał odpokutować za to, że Kubuś jej infanta wychłostał, że Staś Fisię skompromitował, że Widzki słowa prawdy jasnej pani powiedział, że

się w jej domu rozgościła choroba, że wreszcie, jak miecz Damoklesowy, wciąż jej głowie zagrażał cios fatalniejszy od innych, prawdopodobne rozgłoszenie przez Widzkiego, albo przez Kluczarskiego, wieści o zhańbieniu jej syna, i jeszcze okropniejsze zhańbienie się tego szaleńca przez oświadczenie się o ekonomównę!... Wszyscy więc jak zwazzeni chodzili, żadne się usta nie ozwały słowem wesołym, żadne się nie uśmiechnęły licą; dom jakby klasztor wyglądał, obiady jak pogrzebowe stypy! Najwięcej wszakże miały do zniesienia siostra-hrabina i nieboraczka Fisia, które codziennie musiały słuchać desperackich wyrzekań z powodu nieszczęśliwej sprawy wołyńskiej; a że hrabina, bardzo rychło sobie zbrzydźwszy tak gderania bratowej, jak i to życie szpitalne, salwowała się do swego hrabstwa, Fisia więc, sama jedna pozostawszy na pastwę drogiej swojej mamuni, srodze pokutowała za swą kokieterę niewczesną, a raczej, pod pozorem tej winy, za te zgryzoty, których jej matka nie umiała znosić po chrześcijańsku. Że zaś, według przysłowia, jabłko daleko od jabłoni nie pada, przeto i prezesówna, nieodrodna od swojej mamy, nieraz jej tego jawny dowód dawała, i z energią nad lata występując w swojej obronie, często ją także przyprawiała o spazmy. Względem ojca jednakże zachowywała się dosyć pocziwie i nieraz po dniach całych, nawet podczas obiadu, u wezglowia jego przesiadywała, zwłaszcza odkąd

Bolo wyzdrowiał, o którym również pamiętała serdecznie.

Ale nie na tém koniec utrapień prezesowej. Kiedy już Bolo całkiem siły odzyskał, obawa względem jego szaleństwa stała się jeszcze groźniejszą, szczególnie gdy Jarmusia swojej pani doniosła, że się raz dopytywał bardzo troskliwie, jak się téż Widzey z Arbuzówką rozstali, gdzie mieszkają, co robią, i jak się im powodzi? i że nie mógł utaić, jak go mocno zajęła wiadomość o wyjeździe pana Erazma! Trzeba było nanowo porozstawiać warty i szpiegów, i powtórzyć dawne rozkazy, a stąd się wywiązały nowe historie; gdy panicz, który od czasu odzyskania pamięci, matce swój okazywał niechęć najwidoczniejszą, unikając z nią wszelkich stosunków, a nawet i najprostszéj rozmowy, posłyszawszy od masztalera o wzbronieniu sobie wszelkiéj przejażdżki, wpadł w taką zapamiętałość, iż zapomniiał najmniejszych względów, rodziciele swojej należnych! domyślił się bowiem, o co rzecz idzie, choć matka starała się usprawiedliwić troskliwością o jego zdrowie, któremu agitacya przedwczesna mogłaby wielce zaszkodzić. Oburzony tym gwałtem, widząc w nim ublżenie swojej godności i przemoc najokropniejszą, postanowił koniecznie wyłamać się z pod niéj odrazu, oświadczając z wielką energią, że jest już pełnoletnim i nie da się wodzić na pasku. Łajał, bił nawet sługi, chcąc ich zmusić do posłuszeństwa; ale napróżno!—

rozkazu jaśnie pani żaden z nich nie považył się złamać. Wtedy Bolo matce zagroził, że zrobi *straszny skandal*, bo pieszo w świat się puści z domu rodzicielskiego, który dlań stał się więzieniem. Na taką zapowiednię, prezesowa, blizka rozpaczy, chwyciła się ostatniéj broni: łez, jęków i najstraszliwszych spazmów, i tą wreszcie zwalczyła syna, który, przypomniawszy sobie kartkę ojcowską, uczuł jakby wyrzut sumienia i najuroczystsze słowem honoru matce swojej poprzysiągł, że, mając powróconą sobie swobodę, wcale nie będzie szukał spotkania się z Widzkimi, i aż do powstania ojca z choroby żadnego nie uczyni kroku w téj mierze.

Tém jéj wrócił spokójność i cokolwiek lepszą otuchę. Sądziła, że czułością i płaczem zmięczy go do ostatka, i dowie się całej historii zajścia jego z Kluczarskim, które aż dotąd było dla niéj zagadką; ale na pierwszą wzmiankę o téj smutnéj przygodzie, Bolo się takim gniewem zapalił, iż znów się można było obawiać uderzenia do głowy. Musiała więc się wyrzec nadziei wybadania go kiedykolwiek, a nie mogąc już dłużej ciekawości swojej powściągnąć, postanowiła, nie doczekując się wcale wyzdrowienia prezesa, zwrócić się do wikarego, który od Widzich pewno wiedział o wszystkiém, a do którego miała jeszcze i drugi, bardzo ważny, interes.

Zacny ksiądz Anastazy, który się nigdy pańskiéj klamki nie trzymał, z panią Sadłowiecką oddawna

najstaranniej unikał wszelkiej bliższej styczności; ta bowiem, skoro on tylko do Stefanówki się przeniósł, z tytułu kollatorstwa, odrazu mieć go chciała jakby za sługę, i niedość, że pozwalala sobie zbyt go familiarnie traktować, lecz nawet i w kościelnych sprawach przewodzić, dyktując mu kazania i różne innowacye w obrzędach. Zawsze więc był pomiędzy nimi dosyć zimny stosunek, ale od czasu sprowadzenia się Widzkich i pamiętnej sceny w ogrodzie, i taki całkowicie się zerwał; bo ksiądz nie miał ochoty zadawać się z prześladowczynią kochanego swego Zygmunta, a pani nie myślała go szukać, chcąc mu dowieść swojej nielaski, i za przyjaźń z *tym ekonomem*, i za uparte ukrywanie jego przeszłości. Prezes tylko niekiedy, widując go u Widzkich, wymawiał mu, że nigdy na obiad nie zajdzie, że zapomni nareszcie, jak smakują prawdziwie *dobrze rzeczy*; ale staruszek tłumaczył się to brakiem czasu, to jakim innym, mniej lub więcej słusznym powodem; i trzymał się zawsze zdaleka, aż póki nie posłyszał o chorobie Bole i jego ojca. Wtedy, wierny sługa Chrystusa, niezwłocznie do pałacu się udał, chcąc nieść słowo pociechy i otuchy cierpiącym; ale go nie wpuszczono do chorych, bo służba miała na to pewne instrukcyje. Przyszedł drugi raz, trzeci i czwarty, i zawsze musiał wracać od progu; więc się wreszcie domyślił jakichś knoń ze strony pani, i przestawszy odwiedzin, już się tylko pośrednio

dowiadując codziennie o zdrowie prezesa i jego syna i modlił się za nich gorąco. Stojąc tedy na takiej stopie z kollatorką swoją przeznaczoną, jakże się zdziwił, gdy raz po mszy (o cudzie!) ujrzał ją na plebanii u siebie. W pierwszej chwili struchlał nieborak, wyobraziwszy sobie, że chyba już i prezes, i Bole, rozstali się z tym światem, lub że coś jeszcze okropniejszego zdarzyło się w pałacu... Lecz gdy się doń zbliżyła, gdy mu obie ręce podała, gdy spojrzał na jej lica, sztucznie ułożone do niezwykłej na nich, rzewnej, cichiej żalości, ochłonął i zrozumiał natychmiast, że pod tą piękną maską jakaś zdrada się kryje, że niechybnie jaśnie wielmożna pani chce czułością wywieść go w pole, potrzebując coś wyłudzić od niego.

— A godzi się to, *kochany* księże — rzekła z tkliwym wyrzutem — tak zapominać o najbliższych swoich owieczkach, i to jeszcze w takim nieszczęściu? Czyż ksiądz nie wie, że *pan* chory od trzech tygodni, a pan Bolesław ledwo kilka dni temu przyszedł trochę do zdrowia?

— Wiem, mości dobrodzieństwo! — odparł starzec z niskim ukłonem — i codziennie dopytuję się o nich, u kogo tylko mogę; bo sam, aż cztery razy zawrócony od progu, już się nie śmiem więcej naprzykrzać.

— Jaki! któż śmiał księdza zawrócić?! — zawołała, niby zdumiona i zagniewana, mocno poczerwieniawszy.

— Słudzy jaśnie wielmożnych państwa.

— Ciemiegi! zawsze to tak z temi bydlęty! ani razu mi księdza nie anonowali.

— Bo też ja, mości dobrodziejstwo, właściwie tylko chorych chciałem oglądać.

— Chorych? — jękla pani żałośnie, ze łzami w oczach. — Alboż to tylko ciało choruje? alboż to dusza stokroć srożej nie cierpi?!

— Zapewne, mości dobrodziejstwo!... zapewne!...

— To czemuż ksiądz i do mnie nie zajrzał? I jam chora! chora na duszy! a w niemocy tego rodzaju tylko kapłan lekarzem.

— Tak, mości dobrodziejstwo! tylko, że lekarz lekarzowi nie równy. Ja, prostak, ledwie za cyrulika stanę, co to tylko bańki postawić, albo krew puścić, albo ząb wyrwać umie; to też dotąd nie miałem szczęścia praktykować u pani prezesowej, mości dobrodziejstwo...

— Ksiądz wikary zawsze pełen conceptów!... I ja lubię humor wesoly i bystry dowcip; ale dziś... tak mi ciężko na sercu, że wolałabym nieco poważniejszą rozmowę... Mogę o nią księdza poprosić?

— Słucham pani! — rzekł starzec z uroczystą powagą.

Prezesowa chwilę milczała, łzawe oczy w górę podniosłszy, jakby z nieba chciała wezwać natchnienia; a potem, wzrok spuściwszy ku ziemi, wyjąkała głosem złamanym, jak gdyby wymawiane wyrazy w krtani jój więzły:

— Wszak Widzki musiał księdzu powiadać o... o tej haniebnej sprawie, która go z Arbuzówki wygnała?

— Powiadał, mości dobrodziejstwo! — odparł lakonicznie wikary.

Pani nań bystro spojrzała, i znów oczy spuściwszy, wahała się przez chwilę, jak rzecz dalej prowadzić; więc milczeli oboje.

— I cóż mówił? — zagadnęła nareszcie.

— Słowo w słowo to samo, co, mości dobrodziejstwo, panu prezesowi przedtém oświadczył.

— Ale cóż mianowicie?! — zawołała z przyciskiem, już zniecierpliwiona.

— Wszakże pan prezes musiał pani wszystko powtórzyć?

— Tak... ale w pierwszym momencie tak był wzruszony, że nie mógł należycie opowiedzieć wszystkiego, a ja znów, uderzona jakby piorunem, całkiem nie byłam w stanie już nie tylko zrozumieć, ale nawet wysłuchać... potem zasnął i dotąd leży bez przytomności... A zresztą, czyż mu Widzki prawdę powiedział?...

— To pan Bolesław, mości dobrodziejstwo, główny aktor w tej sprawie, powinien-by najlepiej panią poinformować, albo też Jarmusińska, godna jego faktorka, jeśli wierzyć jej można.

Prezesowa znów się zacięła... dreszcz ją porwał, lica pobladły, brwi się chmurnie ściągnęły... gotowa

już była wybuchnąć, lecz się pohamowała przez wzgląd na swój własny interes, i zapytała najłagodniej, jak tylko mogła:

— Czy ktoś prosił księdza o sekret? lub czy pański przyjaciel na spowiedzi wyznał to, o co pytam?

— Bynajmniej, mości dobrodziejstwo, bynajmniej! Ale cóż to do mnie należy? poco mi się mieszać do tego? Mnie-ż to być jakimś zausznikiem, albo plotkarzem?

— Ależ ja nie po plotki tu przyszedłam! — zawołała prezesowa z nieudaną boleścią, załamując pulchne swe ręce — mnie prawdy, prawdy tylko potrzeba! Mięj-że ksiądz litość nareszcie nad sercem macierzyńskim, co się już trzeci tydzień dęczy niepewnością straszliwą! Wiem tylko, że się coś okropnego stało, że mój syn został znieważony w najbezpieczniejszy sposób; ale jak, skąd i za co? — u nikogo dopytać się nie mogę! bo co innego Widzki, co innego znów Jarmusińska powiada!

— Niech syn pani, mości dobrodziejstwo, opowie.

— Kiedyż-bo nie chce! — wybuchła prezesowa z impetem. — To jest — poprawiła się po niewczasie — trudno z nim mówić o tym oburzającym wypadku, po przebytej przezeń ciężkiej chorobie.

Ksiądz pokiwał głową z westchnieniem i rzekł, machnąwszy ręką:

— At! nie choroba w tym winna, mości dobrodziejstwo! Nie chce gadać, bo wstyd mu, bo nie ma

z czém się chwalić!... Ja zaś, gdybym miał pewność, że się to na coś pocziwego przyda, że go pani zgromisz po macierzyńsku i do poprawy napędzisz, ha! to-bym, zapomniawszy o wszystkich względach, nie wahał się powiedzieć, co wiem i co też myślę. Lecz, na nieszczęście, mości dobrodziejstwo... muszę wyznać otwarcie, supponuję, że pani na to tylko żądasz ode mnie relacji dokładnej, aby po prostu zaspokoić swoją ciekawość, a co jeszcze smutniejsza, nie winowając karać, tylko mścić się nad skrzywdzonymi.

— Któż to księdzu powiedział! — zagadła Sądłowiecka z obrażoną godnością. — Właśnie dlatego pytam, że mi tu przedewszystkiém o prawdę idzie. Sądzę, że tej od kapłana mam prawo się spodziewać.

— Ha, to przepraszam, mości dobrodziejstwo! — rzekł starzec, rozdrażniony taką obłudą. — Niech-że pani słucha cierpliwie, a jakiebądź wrażenie słowa moje na pani sprawi, niech pani nie zapomina, że mię sama zmusiła do wyjawienia prawdy.

Poczem, categorycznie opowiedziawszy dobrze już nam znaną historję o natręctwie Bola u Widzkich, o wyproszeniu go z Arbuzówki, o konszachtach z Jarmusią, o wdaniu się Fikrećkiej i o naznaczonej przez nią schadzce w pasiece, tak zakończył:

— Pan Bolesław dał się uwikłać w tę nikczemną kabałę, pojechał do pasieki, ujrzał pannę idącą z lekarstwem do pasiecznika, i rzucił się do niej z rado-

ścią, snadź pewny, że doń na romanse przychodzi. A gdy ta, przestraszona, mości dobrodziejstwo, jego napaścią, salwowała się chyżo ucieczką, on w ślad za nią pogonił, jak za sarną po kniei. Na szczęście, drogę mu zaskoczył Kluczarski, objeżdżający lasy, i powstrzymał gwałtowny zapęd. Panicz, rozdrażniony przeszkodą, wpadłszy w passę okrutną, wyciał w twarz *pejczem* pocziwego chłopaka, a ten z bólu i wstydu... krew, mości dobrodziejstwo, nie woda!... oszalał, i nawzajem panicza chłósnał kilka razy harapem i wygnał precz z dąbrowy.

Prezesowa, która, słuchając téj fatalnéj relacji, to blada, to czerwona jak upiór, drżała z oburzenia wielkiego, zmuszona je hamować, na ostatnie wyrazy, jakkolwiek te nie były dla niéj wielką siurpryzą, jękla, jakby ją kto w serce nożem ugodził, i twarz w dłoniach ukrywszy, padła plecami na poręcz kanapy.

Wikary, przestraszony tém wielce, rzucił się do drugiego pokoju, gdzie miał w szafce różne zapasy, i porwawszy butelkę octu, biegł co prędzej trzeźwić mdlejącą; lecz gdy stanął na progu, już jasna pani odzyskała przytomność. Siedziała z załamanemi dłońmi, z twarzą purpurową, z usty sinemi, ciężko robiąc piersiami, wzrok ponury w ziemi utkwivszy... Książd butelkę odniósł do szafy i poeichu wsunął się do pokoju. Prezesowa mileżała... z lic jéj tylko

i z oczu widać było walkę uczuć gwałtowną, z czoła zamyślenie głębokie.

— Księżu! — ozwała się nareszcie uroczyście bolesnym głosem. — Księżu! — powtórzyła z mocnym naciskiem. — Ja znam lepiej tę czarną, tę piekielną intrygę!... Nie wiedziałam tylko dokładnie o szczegółach saméj już zbrodni, które są okropniejsze, niżli sobie wyobrażałam z opowieści prezesa; ale *antecedencye*... ha! nie tak, nie tak to było!... Jeśliś wiernie powtórzył, co ci opowiadano, to Widzki i przed tobą téż skłamał!... ale mniejsza tam o to!... Przedewszystkiém tu idzie o sławę mego syna, o cześć znakomitego rodu!... Księżu! zaklinam cię na Boga, nie powtarzaj tego przed nikim, że ten nędznik, ten... ten... już sama nie wiem, jakim go napiętnować imieniem... ośmielił się targnąć na pańskie dziecko!... Że téż go tam grom boży nie położył trupem na miejscu!... To okropne! okropne! — I wstrząsła się, dreszczem zgrozy przejęta. — Księżu! tajemnica ta straszna pójsz do grobu z tobą powinna!... Czy przyrzekasz, że jéj dochowasz?

— Wszakżem nawet i pani nie chciał opowiadać téj sprawy — odparł starzec z godnością. — Nie moja rzecz paplarstwo... a zresztą nieszczęśliwi ci Widzcy tak mi blizy, mości dobrodziejstwo, tak drodzy, że przez sam wzgląd na ich niewinną, a tak srodze skrzywdzoną córkę, nigdy przed nikim nie powtórzę już téj oplakanéj historii.

— A Widzki? a ten jego służalec? Masz-że ksiądz jaki sposób, żeby na nich wymódzi mileżenie?... Może już rozgadali?

— Widzki nie mniej od pani dba, mości dobrodziejstwo, o cześć swego dziecięcia, a Kluczarski znów całą duszą Widzkim oddany.

— O! wiem ja coś i o tém! — rzekła prezesowa z gorzkim sarkazmem. — Ale na tém jeszcze nie koniec.

Ucięła, i znów oczy spuściwszy, z zaszępieniem czołem chwilę mileżała; potem ciężko westchnąwszy, ze spazmatycznym jakimś kurezem w twarzy, tak rzecz dalej ciągnęła:

— To, co powiem, niechaj ksiądz przyjmie, jakby pod pieczęcią spowiedzi... Ciężko Bóg mię dotyka! straszne nad mą głową wisi nieszczęście!... Syn mój, opętany przez tę dziewczynę, miał śmiałość w żywe oczy mi powiedzieć, że się o nią głośno oświadczy, że ją pojmie za żonę! — Rozplakała się i od łkania dalej mówić nie mogła. — Księżę! — jęła znowu po chwili, — niech to cię nie obraża, bo już były takie przykłady!... nie pomagaj w tém bezceństwie!... gotowi się gdzieś wykraść i ciebie o tajemny ślub poprosić!

— A chybażbym zwaryował! — wybuchnął z oburzeniem zacny staruszek, — żebym miał, mości dobrodziejstwo, takie głupstwo wierutne zrobić!

— To byłoby zbrodnią, nie głupstwem! — pod-

chwyciła pani ze zgrozą. — Ale i tego nie dość; chcę od księdza mieć słowo, że niezm dopomagać nie będziesz panu Bolesławowi do szalonych jego miłostek, że ani listu, ani ustnych poleceń nie zaniesiesz odeń do tej dziewczyny!...

— Imię Ojca i Syna! — zawołał ze zdumieniem ksiądz Anastazy, — czy mi się śni, czy marzy, mości dobrodziejstwo?! Czy to pani mówi naprawdę?! Miłostki! śluby!... a Słowo stało się Ciałem! Co pani jest?! Panna Helena raczój-by dziś, jak owa Wanda, utopiła się w rzece, niżby za pana Bolesława wyjść miała; ona go cierpieć nie może! Ja zaś wolalby raczój prowadzić ją na cmentarz, niżeli do ołtarza z takim paniezem!...

— Niech-no się ksiądz nie zapomina! — krzyknęła prezesowa, tracąc władzę nad sobą. — Ten panie jest to Sadłowiecki! mój syn! czy ksiądz rozumie!! Za daleko księdza unosi przyjaźń dla tych włóczęgów, których tu w złą godzinę przyplatałeś do mego domu!... Dosyć już tej komedyi! Znam ja dobrze tę leśną schadzkę!... Ta panna Widzka, ta skrzywdzona niewinność, gotowaby się i bez ślubu oddać memu synowi!

Ksiądz Anastazy aż się zatrząsł od pocziwego gniewu. Przez chwilę tehu mu w piersiach zabrało; chciał coś rzec, ale mu tylko wargi drżały bez głosu, a lica krwią nabiegły gorącą... Powściągnał

się jednak w czas jeszcze i, zachwiałwszy głową, z gorzkim uśmiechem, zawołał z politowaniem:

— Niech Bóg pani przebaczy, bo, mości dobrodziejstwo, sama pani nie wiesz, coś rzekła!... Ale tój absolucyi nie dam pani daremno! Zwierzyłaś mi się pani pod pieczęcią spowiedzi, a więc, jako spowiednik, admonicyę pani winienem. U konfesyonału pani nie widuję, bo do Paryża, czy tam do Rzymu, wozisz swe sumienie do prania; skorzystam więc raz przecie z okazji.

— Jak *acan* śmiesz tak się do mnie odzywać?! — krzyknęła prezesowa, groźnie iskrząc oczyma.

— To leki, mości dobrodziejstwo, dla chorój duszy; trzeba jój parę zębów wyrwać zbyt ostrych. Nazwałaś pani włóczęgą najzacniejszego człowieka, który życie pani ratował, który pracą gorliwą w krótkim czasie podźwignął zrujnowany twój folwark! Spotwarzyłaś niegodnie najpoczciwszą panienkę, którą syn twój znieważył, a do której, gdyby twa córka była bodaj trochę podobną, tobys już chlubić się i radować z niej miała prawo...

— Milez, księżo! — zawołała Sadłowiecka, z furią, porywając się z miejsca, — milez! bo...

— Jeszczem, mości dobrodziejstwo, nie skończył! — ciągnął dalej z flegmą staruszek. — Jest to grzech straszny, grzech śmiertelny, bo gniewu i nienawiści! A z nim jeszcze drugi się łączy: grzech niepomiernej pychy, przez który poniewierasz pani

każdego, kogo tylko sądzisz być niższym od swój pańskiej osoby. Strach pomyśleć, iluś pani w ten sposób odstręczyła ludzi od siebie! ileś-to, mości dobrodziejstwo, serce przejęła krwawą urazą! ileś krzywd dopuściła się srogich!...

Prezesowa, trzęsąc się cała, rzuciła się do drzwi z pośpiechem; ale ksiądz jój zaszedł od progu, ujął kłamkę oburącz i perorował dalej:

— I jeszcze, mości dobrodziejstwo, nie koniec! Jak pani wychowujesz swe dzieci? do czego je prowadzisz?... Dość jest spojrzeć na najstarszego: w głowie nic, w sercu, mości dobrodziejstwo, ohyda! próżniak, zarozumialec, rozpustnik! a wszystko to dzięki nauce, pobłażliwości, a nawet zachęcie pani!

Prezesowa, z passyi już nieprzytomna, biła tylko we drzwi pięściami, wołając:

— Puszczaj mię! puszczaj!

— Skończyłem, mości dobrodziejstwo! — rzekł nareszcie ksiądz Anastazy, odstępując od progu. — Za zbawienną pokutę...

— Będzie tobie pokuta! — krzyknęła, z wściekłością wypadając do sieni, — dziś jeszcze do biskupa napiszę, a precz pójdziesz natychmiast!

— Radziłbym, choć przez miesiąc, co piątek, posypawszy głowę popiołem, dyscypliną się, mości dobrodziejstwo, dobrze wychłostać, — zakonkludował staruszek, aż na ganek za nią wyszedłszy.

Odjechała, on do pokoju powrócił... Zgryziony

i zboląły, długo chodził po sali z rękoma załamane-
mi na piersiach, z głową smutnie zwieszoną, z zao-
gnioném obliczem, ze łzami, raz wraz kręcącemi się
w oczach, chodził, medytował i ciężko wzdychał...
Potém się zamknął w sypialni, padł na twarz przed
Chrystusem ukrzyżowanym i gorąco modlić się zaczął.
Czuł się winnym przed Bogiem za rozmowę swą
z Śadłowieką. Wypowiedział jój wprawdzie, co mu
oddawna obowiązek kapłański i sumienie kazało;
ale wypowiedział zbyt ostro, nie z miłości, lecz
z gniewu, do którego ona go doprowadziła; kiedy
dawniej, w zwykłym usposobieniu, nie miał na to
dosyć odwagi, dając się zbijać z tropu odrazu impo-
zycją jaśnie wielmożnej pani, ilekroć tylko śmiał
otworzyć usta z jaką przestrożą. Nadto był jeszcze
pewnym, że prezesowa zechce mścić się nad nim za
swą *zniewagę*, a choć przez wzgląd na siebie mało
dbał o tę zemstę, pocziwiec, niemniej jednak nią
się frasował, uważając się za przyczynę zgorzenia,
jakie wywoła obrażona magnatka, szukając nasyce-
nia passyi swojej. Modlił się więc i płakał, Bogu
się spowiadając z win swoich i żebząc przebaczenia
rzewliwie.

Prezesowa tymczasem, powróciwszy do domu,
najpierw dzieciom, guwernantkom, nauczycielom
i sługom dała uczuć wściekły swój humor, a potém
rzuciła się do biurka, aby w liście do Jego Paster-
skiej Mości wylać całą żółć swoją. Napisała téż je-

den, drugi i trzeci, lecz wszystkie je podarła, bo
nie mogła wynaléźć dosyć silnych frazesów na wyra-
żenie: co za niegodny był ten wikary, który śmiał
(co za koncept brutalski!) z duszy jój ostre zęby
wrywać. Wszelako parę godzin przepędziwszy na
tém zajęciu, znacznie się uspokoiła, ulżyła nieco ser-
cu, złość swą wyzionawszy na papier. Zaczęła więc
rozsądniej, zimniej rzecz tę rozważać, i uznała wresz-
cie za lepsze do biskupa nie pisać, bojąc się, aby
oskarżony przez nią księżyisko nie odpłacił wet za
wet, i nie tylko przed pospolitą rzeszą, ale i przed
księdzem pasterzem, nie rozgłosił hańby jój syna.
Środze to ją bolało, że się należycie zemścić nie mo-
gła, ale z tą boleścią miała czas się oswoić; bo,
zawsze przez obawę skandalu, naprzód musiała po-
wściągnąć się wobec Widzkiego, i dozwolić mu bez
awantur Arbuzówkę opuścić, potém i Kluczarskiego
pomścić bożej tylko zostawić, zaniechawszy dalszej
pogoni i tropienia za nim po świecie, a wreszcie, pod
najsroższém zaklęciem, Jarmusińskiej zalecić, aby
nie śmiała przed nikim się odzywać o tém, co jój
było wiadomém. Poprzestała więc tylko na poczi-
wém postanowieniu dokuczenia księdzu Anastazemu
domowemi środkami, naprzykład: odebraniem opału
i ordynaryi, odmówieniem paszy dla bydła, a nawet
kwiatów oranżeryjnych do zdobienia kościoła. Ma
się rozumieć, że jak tych, tak i wiele innych docin-
ków, dokonała najwierniej; ale zacny staruszek

wszystko to najspokojniej przyjmował, ofiarując Bogu za swoją winę.¹

Tymczasem wieść o wydaleniu Widzkiego rozeszła się po okolicy, a choć nikt należycie nie wiedział, co było rzeczywistym tego powodem, głośno jednakże o skandalu jakimś gadano, i nie jeden z sąsiadów zajrzał do Stefanówki, niby pod chwalębnym pozorem odwiedzenia chorego, a właściwie tylko dlatego, aby coś o ciekawej awanturce posłyszć. Była też to próba nie lada dla tej hardziej magnatki, która musiała, dla ukrycia własnej swęj hańby, ukrywać w głębi duszy nienawiść do Widzkich i, zamiast zniesławienia swych wrogów, do czego taką dobrą miała sposobność, wymyślać jakieś blahe pozory, lub tylko na zuchwalstwo pana Zygmunta składać winę jego odprawy.

Dreczyło to ją niezmiernie, ale jeszcze większa udręka, jeszcze sroższa tortura przyszła dla niej z plotek parafialnych, gdy ktoś w tamtejsze strony przyjechawszy z Wołynia, rozwiązał tajemniczą zagadkę sprawy pana Zygmunta, opowiedziawszy *awanturę* Fisi ze Stasiem, ma się rozumieć ubarwioną mnóstwem dodatków. Wszyscy wnet zawołali w głos jeden: Sadłowiecka wypędziła Widzkiego za to, że się jej córka z jego synem wdała w romanse! — Zbrojne takim pewnikiem, najpoczeiwsze sąsiadki nie zaniechały przy najpierwszej zręczności rzucić kilka przycinków, ostrych, ale subtelnych, które wiel-

kim popłochem napełniły serce dostojnej pani, z razu niepojmującej całego ich znaczenia; aż nareszcie Jar-musia, nieświadoma prawdy dotychczas, ze zgrozą i oburzeniem na fałsz taki wierutny, opowiedziała jej dziwną historię, jaką gdzieś w garderobie zapalała.

To już był cios nad wszelkie ciosy!... Co tu począć? co począć wobec tak straszego skandalu?! Ha! niema rady! trzeba za granicę uciekać! To wszystkiemu koniec położy, to i Bola oderwie od przekłętą ekonomówny, to i cześć jego zabezpieczy od hańby, to i Fisię wydzwignie z tej okropnej przepaści, w jaką ją kompromitacja taka może łatwo wtrącić... O gdybyż prezes prędzej przyszedł do zdrowia!

Tak pani Sadłowiecka myślała, i wreszcie z niewymowną pociechą, jakgdyby w samą rzecz przepadała za mężem, znalazła w buletynie lekarza pożądaną wiadomość, że prezes już odzyskał zupełną przytomność. Natychmiast pośpieszyła do niego, i z wielkim rozczuleniem, ze łzami, ręce jego całując, prawiła mu o długiej swojej trwodze bolesnej i o szczęściu obecnym; a wreszcie napomknęła zdaleka, że dla zatarcia śladu tak fizycznych jak i moralnych cierpień, przebytych temi czasy przez nich oboje, równie jak przez Bola i Fisię, byłoby nie od rzeczy o podróży jakiejś pomyśleć.

Sądziła, że się prezes będzie sprzeciwiał, ale ten,

po namyśle głębokim, w którym, jakgdyby coś chciał sobie przypomnieć, rzekł wreszcie, że nie tylko przeciw temu nie ma, lecz owszem sam uważa, że im trzeba z kraju wyjechać. Prosił jednakże, aby dalszą rozmowę na czas inny odłożyć, bo się jeszcze nie czuje zdolnym do gruntownej rozważki.

Wielce uradowana, prezesowa odeszła, a w ślad za tém zjawił się Bolo, który na parę godzin wybiegł był na przechadzkę ze strzelbą. Ten już na prawdę ucieszył się serdecznie, widząc ojca oprzytomniałym, i z niekłamanym uczuciem ucałował ręce jego wychudłe, łżą niekłamaną je oblał; bo też naprawdę od niejakiego czasu obudziło się w nim serce synowskie. Mówiliśmy już o tém, jakie smutne wrażenie sprawił na nim pan prezes w pierwszym dniu swjej choroby, opuszczony od wszystkich, jakby nędzarz ostatni; mówiliśmy, jak mu ten widok przywiódł na myśl pana Zygmunta, pielęgowanego z taką tkliwością, i jak on w skutek tego całą noc u wezglowia ojca przepędził. A tu jeszcze dodać musimy, że jak tylko zdrowie odzyskał, postanowił znów się nim zająć, i z początku codzień po kilka godzin, a później w miarę sił powracających, niemal nieodstępnie po całych dniach przesiadywał przy jego łóżu, opiekując się nim coraz troskliwiej i przywiązując się doń coraz serdeczniej; bo mu ciągle i ciągle w myślach stała Helenka, z taką miłością, z takim zaparciem się zupełnym, z taką wielką

rozkoszą czuwająca przy swoim ojcu, gotowa na skinięcie najmniejsze i prawie myśli jego odgadująca. Chciał być do niej podobnym, ażeby w przekonaniu swém własnem stać się godnym jej przebaczenia. I chęć dobrą Bóg mu nagroził, bo zbudził w nim jedno z najświętszych uczuć — miłość synowską. Teraz więc, widząc ojca przy zdrowych zmysłach, a zatem i na drodze do wyzdrowienia, radował się wielce i szczerze; radował się raz, że go kochał, a potem, że już przybliżyła się chwila, w której miał z nim się o postanowieniu swojem rozmówić. Wszakże tym jeszcze razem, nie chcąc drażnić go przykrém wspomnieniem i utrudzać skołatanego umysłu, nie zagałę tego przedmiotu; służył mu tylko pocziwie, nie dając się nikomu w niczem prawie wyręczyć.

Prezes z początku jakgdyby ze zdumieniem na tę jego tkliwość spoglądał, a posługi przyjmował z pewnem zawstyżeniem, ciągle się ceremoniując, dziękując i przepraszając; ale powoli oswoił się z tym nowym trybem, czule, z rzewną pociechą, łzawém okiem wodził za Bolem, parę razy ucałował go w czoło i do piersi przygarnął, i kochanym synem go nazwał. Mało jednak z nim mówił, raz wraz w głęboką zapadając zadumę... Tak samo i drugi dzień upłynął; aż dopiero na trzeci, ocknąwszy się ze snu cichego, którym znacznie siły pokrzepił, gdy znów ujrzał Bola przy sobie, powitał go wdzięcznym uśmiechem, pochwalił się stanem zdrowia pomyślnym, ka-

zał podać swą tekę i zawołać kucharza, któremu z własnoręcznych notatek wydawszy jakąś arcy-skomplikowaną dyspozycję na rosółek dla siebie, gdy już sam-na-sam tylko z Bolem pozostał, skinął nań, aby drzwi na klucz zamknął, posadził go tuż przy sobie i zagadnął, pilnie mu patrząc w oczy:

— No i cóż tam, drogi mój Bolo! czyś usłuchał méj prośby?

— Usłuchałem, ojeze kochany!

— A cóż matka? jaki twój z nią stosunek?... przeprosiłeś?

Bolo się mocno zapłonił, czuł bowiem, że pod tym względem nie zupełnie był ojcu posłusznym...

— Nie zrobiłem jój żadnej nowój przykrości — odpowiedział, jaskając. — Oburzyłem się tylko nie-
zmiernie, kiedy, bojąc się mych stosunków z Widzki-
mi, umyśliła mi wzbronić nawet konną w parku prze-
jażdżki i otoczyła mnie strażą szpiegowską; lecz
rychło, przypomniawszy sobie twoje zalecenie osta-
tnie, dałem jój słowo honoru, że póki nie wyzdro-
wiejesz, nie w téj mierze nie przedsięwzię, i dotrzy-
małem go wiernie. A zresztą wszystko dobrze...
Chyba to jeszcze wziąć mi można za winę, że
nie chciałem opowiadać szczegółów téj przygody, jaka
mnie w lesie spotkała, raz, że już prawie wszystko
matce było wiadomém, a potem, że nie dobrego stąd-
by nie wynikło najpewniej...

Prezes westchnął głęboko.

— Ha! — rzekł, — smutne to rzeczy!... nie tak,
nie tak, być-by powinno!... palec boży widocznie!...
No, ale cóż teraz będzie? Gdzie Widzey?

— Dotąd w Raczkach, na bruku.

W oczach prezesa błysnął jakby jasny promyk
radości...

— Cóż? czy *taki* koniecznie chcesz się pannie
oświadczyć? — spytał znów po przestanku chwilo-
wym.

— Koniecznie! — odparł Bolo z mocą niezło-
mną. — Uważam to za obowiązek najświętszy!

Sadłowiecki znów się zamyślił.

— Obowiązek! — ozwał się po długiej pauzie,
smutnie głową potrząsłszy. — A czy się zastanowiłeś
nad tém, do czego ta demonstracya powiedzie? Czyś
pewny, że cię przyjmą?

Tu się Bolo zawahał, i znów mocno spłonił:

— Najpewniej, że nie przyjmą! — odrzekł ze
łzą w źrenicy, — ale to nie rzeczy nie zmienia: po-
winienem złożyć im dowód, że nie taki ładaco, ja-
kim się im wydaję..! A zresztą któż to zgadnie!
Pani Widzka na prawdę coś mi była życzliwą...
może mi bodaj bywać w swoim domu pozwoli?...
Dam się im poznać, jakim dziś jestem... zmienią
o mnie opinię, i może...

— Żadne *może!* i nie przyjmą cię, i bywać nie
pozwolą; a wtedy nowy tylko skandal wywołasz
oświadczynami swemi... Ale cóż tam w sąsiedz-

twie? — spytał nagle, brwi nasepiwszy, — czy już głośna twa sprawa?

— Głucho o nią zupełnie! — odrzekł Bolo skwapliwie, jeszcze mocniej poczerwieniawszy.

— Dziękuj Bogu!... Zacni to ludzie ci Widzey!... Ale i ten Kluczarski! że też nie rozpałał dotychczas!... nigdy-bym po nim tego się nie spodziewał... Co się z nim stało?

— Przepadł bez wieści.

— Musiał gdzieś go Widzki wyprawić, musiał wymódl na nim milczenie... Nieoceniony to człowiek!... O, gdybym mógł go dostać napowrót! — I lzy mu zakręciły się w oczach. — O tych oświadczeniach niema co myśleć.

— Ojcie, ojcie! — zawołał z wielką żalością Bolo, — wszakżeś mi przyrzekł, że pozwolisz zrobić, co zechcę!

— Nie cofam przyrzeczenia, tylko proszę cię, wprzód zastanów się dojrzałe; nie przyjmaj cię — to jak Bóg w niebie! a wtedy ta demonstracja twoja, zamiast wynagrodzenia krzywdy im wyrządzonej, jeszcze ich srożej pokrzywdzi, bo pocziwają panienkę rzuci różnym plotkom na pastwę. Nie znasz snadź świata, nie wiesz, jak się na takie sprawy ludzie zapatrują zwyczajnie! Wszelkie związki pomiędzy nierównymi pozycją wywołują gwałt niesłychany! Jedni przez zawiść, drudzy przez kastowe przesady, krzyczą, co im sił [stanie, i najdziksze, najpotwor-

niejsze rzeczy wymyślają na niedobre pod tym względem pary... Aćcóż dopiero, jeśli — co niewątpliwa — odrzuconym zostaniesz?! Pominawszy już pannę Helenę, która głośną się stanie w romansowej historii, czyś pomyślał o wstydzie, jakim sam się okryjesz? jaki na nasz dom spadnie?... Czyś pomyślał o matce, która... toż ją znasz przecie!... A zresztą, jak się możesz oświadczać, jak możesz marzyć o przyjęciu, a nawet o pozwoleniu bywania, wiedząc, jak tam Sławocki stoi?!

— Sławockiego już niema!... — odparł Bolo ponuro, oczy w ziemię utkwivszy.

— Jak to?! — zawołał prezes.

Bolo mu opowiedział, co słyszał...  **Na Sadio** wiecki zasępił się żalśnie i rzekł z ciężkim westchnieniem:

— Biedny chłopak! żal mi go szczerze! Ale w takim razie témbardziej nie masz prawa, nie powinieś prosić o rękę panny; bo témbyś ją tylko znieważył, a siebie w najniekorzystniejszym świetle przedstawił!... Czy się nad tém zastanowiłeś?

Bolo ręce załamał i lzy mu się stoczyły po twarzy.

— Prawda! — rzekł, — prawda, niestety!... nie myślałem o tém dotychczas! I lica mu trupio pobladły, i zadrżały kureczem nerwowym. — Ale cóż ja pocznę?! — jęknął, chwytając się za głowę i pory-

wając się z miejsca. Ojciec nań spojrział ze współczuciem serdeczném i rzekł czule, łagodnie:

— Uspokój się, synu kochany! nie dręcz się bez potrzeby, i mnie nie rozdrażniaj swoją żalością... Usiądź-no, a posłuchaj rady dojrzałej.

Bolo usiadł posłuszny, głowę zwiesiwszy i ręce załamawszy na piersiach, a prezes ciągnął dalej:

— Młody jesteś i ledwo nie dziecko; więc jeszcze i z tego względu nie wypada ci myśleć o oświadczeniach. A jeżeli ci idzie o rehabilitację pocziwą wobec panny i jej rodziców; to dość będzie, gdy do nich list serdeczny napiszesz, tłómacząc się z swojego szalu i prosząc o przebaczenie. Zajrzyj do głębi serca, dobadź z niego, co masz tam najlepszego, przypomnij sobie, coś w Arbuzówce od tych zacnych ludzi kiedy posłyszał, a pewno zrobisz dobre wrażenie i opinię swoją poprawisz. Powiedz im, że dla ich spokojności za granicę wyjeżdżasz, skąd wróciwszy w lat parę, masz nadzieję uzyskać prawo stawienia się osobiście w ich domu, i ufasz, że cię uznają godnym życzliwego przyjęcia.

Bolo milczał, chmurny, zbolały...

— Cóż ty na to? — zagadnął prezes.

— Na list zgoda, mój ojcie! — odpowiedział Bolesław po chwilowym namyśle, ze łzami w oczach. — Ale, na miłość Boga nie ślij mnie za granicę! Wszak to stamtąd całe moje nieszczęście, cała nędz moralna!... A! tożbym się dobrze popisał, gdy-

bym Widzkiem zwiastował, że z obcych krajów spodziewam się powieści godnym ich approbaty!... Ja właśnie najusilniej pracuję, żeby zrzucić z siebie te blichtry, w które mię ustrojono na moją zgubę! Przez parę już tygodni, odkąd powróciłem do zdrowia, czytam dużo; całe tu dni, a czasem nawet noce przepędzałem z książką przy ojeu, i coraz to z większym upodobaniem biorę się do tych rzeczy, któremi pogardzałem dawniej bezmyślnie... O! bo naprawdę są tam skarby nieocenione!

— No, no, i owszem! — odrzekł prezes z uśmiechem. — Nie ganię ci tego upodobania i spierać się z tobą nie myślę; ale z tém wszystkiém niech cię podróż nie straszy. Matka także chce jechać, — wspominała mi o tém onegdaj, — zgodziłem się, bo nie mamy czego tu siedzieć. Skompromitowaliśmy się fatalnie! Tam Fisia, tutaj sprawa z Widzkimi... może to z czasem, jak oliwa, na wierzch wypłynąć; lepiej więc wcześniej z placu ustąpić; *après nous le déluge!* ruszymy całym domem. Nie wiem, gdzie matka pragnęłaby się udać; ale ty, w każdym razie, możesz wybrać sobie, jak chcesz, miejsce pobytu. W Warszawie przez pana X., który zna się ze wszystkimi literatami, dostaniemy dla ciebie listy polecające, i tak od razu się znajdziesz w upodobanym dziś twym żywiole. Bylebyś tylko wytrwał w takiem usposobieniu, a ręczę, że za lat parę w kącie nawet Sławockiego zapędzisz, i Widzey będą cię słuchali z zachwytem i uwielbieniem.

Bolo chwycił ojca za rękę i z uniesieniem radośnym pocałunkami ją okrył.

— O! tak, to zgoda! — zawołał, — dziękuję! z całej duszy dziękuję, i za radę, i za tę obietnicę!

Ojciec go czule uściśnął.

— No, chwałaż Bogu! — rzekł z pociechą serdeczną, żem ci trafił do przekonania! Teraz dopiero pewny jestem, że rychło całkiem siły odzyskam! Nie kwap się tylko z tym listem. Wyślemy go z nad granicy; tak będzie lepiej.

— Dobrze, ojcze kochany!

— A teraz otwórz drzwi i dowiedz się, co tam z moim rosołem; bo szalony czuję apetyt! Gotówbym i kapłona z truflami zrepetować! A! wyobrażam sobie, jak tam nędznie beze mnie musieliście jadać, biedacy!...

Dziwną się może wydawać ta radykalna, a tak piękna w Bolu odmiana; aleśmy po części wyjaśnili ję źródło, a tu jeszcze dodać musimy, że nie mało na nią wpłynęły i późniejsze wrażenia, jakich on doznał po powrocie do zdrowia. Najprzód już w tym ponurym nastroju domu, w który go wprowadziły pani prezesowej dąsy i rządy, każdy, kto tylko mógł w tém sobie dogodzić, rad nie rad odosobnienia szukał; więc pan Bolesław, poróżniony ze swą matką, wolny od ję przemocy i mający własny swój apartament, najwięcej w samotności czasu przepędzał, a wiemy, że samotność najlepiej do rozmyślań uspo-

sabia człowieka. Wprawdzie coraz to dłużej przesadywał u ojca, ale i tam najczęściej bywał najzupełniej samotnym, bo zwykle, w takich razach, wszystkie sługi za drzwi wyprawiał, i chyba tylko Fisię niekiedy za towarzyszkę miewał. Rozmyślał więc swobodnie, zastanawiał się nad samym sobą, coraz to głębiej w swoją duszę zaglądał, coraz lepiej siebie poznawał, coraz to większą ku samemu sobie wzdargę się przejmował; bo nadto widok ojca w ciężkiej niemocy, której on stał się główną przyczyną, przypominał mu ciągle niecny jego postępек, a czytanie dzieł podnosiło w nim umysł, uszlachetniało serce budziło w nim wspomnienie tego, co u Widzkich tylekroć słyszał i widział, wywoływało jasne widmo Helenki, tém droższej, że straconej na zawsze, a tak haniebnie pokrzywdzonej przez niego! Nie mógł więc ani na chwilę rozstać się z raz powziętą myślą rehabilitacyi, i coraz, coraz mocniej w nią się utwierdzał, coraz się bardziej pod ję wpływem uzacniał. Potem rozmowy z Fisią, z którą zazwyczaj w niezłej bywał harmonii, a do której, od czasu, jak posłyszał o tych docinkach, jakie od matki znosić musiała, przestał jeszcze serdeczniej, — rozmowy toczące się najczęściej o stosunku z tą matką, o ję charakterze i sposobie myślenia, budziły w jego sercu coraz większy żal do niej za fałszywy kierunek, wychowaniu jego nadany, w czém téż i Fisia wiernie mu odpowiadała. A zwierając się sobie wzajemnie, jedno z nich wy-

chwaląco Helenkę, uroczeni barwami malując jej przymioty, drugie się unosiło nad Stasiem, do którego choć w gruncie rzeczy z razu tylko dziecinna, płochą czuło słabostkę, lecz udręczone ciągłemi przygryzkaniami od matki, ciągłą domową nudą, zatęskniło doń wreszcie i rzewnie marzyć zaczęło... I prawie mimowoli oboje się przyrównywali, ten do Stasia, ta do Helenki, i ze wstydem, z boleścią, widzieli się od nich niższymi. Dalej spotykanie się Bola częste z Jarmusią, do której teraz czuł najwyższą pogardę i naj-sroższą nienawiść, na którą nie mógł spojrzeć bez największego wstrętu, zawsze mu to przypominało, jak okropnie był upadł, jaką niską miał duszę, gdy tak podłą istotę wybrał za konfidentkę i dał się jej uwikłać w intrygę tak bezeceń! Nareszcie zetknięcie się z tym wielkim światem, który dlań do niedawna był ideałem doskonałości, także w sposób arcy-zbawienny na stan jego duszy oddziaływało; bo parę razy znalazłszy się wobec tej *złotej młodzi*, która go nigdy nie prześladowała zwykłą Helenką, co wówczas pochlebiali jego głupiej próżności, kiedy i teraz takie żarty posłyszał, kiedy dowcipnie ubolewać nad nim zaczęli, że mu z folwarku *najpiękniejsza gaska* uciekła, to takiem oburzeniem głębokiem, taką do nich wzgardą się przejął, tak się przeraził myślą, że i sam był do nich podobnym, iż tego już samego dość-by dlań było, aby wszystkie swe siły na przetworzenie swęj istoty obrócić. A jeszczeż pamiętaćmy i o tém, że

w udręce ciągłej żyć musiał, raz wraz się obawiając skandalu z rozgłoszenia jego przygody, co także znakomicie wpływało na wewnętrzną jego reformę, na wywołanie nowych myśli i uczuć z duszy, wystawionej na takie ciężkie, a pierwsze w życiu próby.

Zmiana więc w Bolu była całkiem racjonalną. Mniej już prawdopodobnie wygląda zgodzenie się jego tak ładne na propozycję ojcowską; ale i ono miało też pewną zasadę. W pierwszym momencie po po swém przejściu boleśném, po rozprawie gwałtownej z matką, gdyby był mógł, toby niechybnie przyprowadził do skutku gorączkowy swój pomysł; ale, powstrzymany przez ojca, w ciągu kilku tygodni dosyć na to miał czasu, aby z uniesienia ochłonąć i nieco zimniej w położeniu swém się rozpatrzeć. Jakoż pomiarkował niebawem, że głośno wystąpiwszy z prośbą o rękę Widzkiej, która odmówi najpewniej, okryje się tylko śmiesznością, wywoła, dotąd groźnie milezącą, historję swęj przygody, skompromituje i Helenkę, i siebie, i ostatecznie naraziwszy się matce, w prawdziwe piekło dom rodzinny dla się zamieni. Wszelakoż miał to sobie za punkt honoru, żeby wytrwać w postanowieniu, i choćby najdotkliwszém swojem upokorzeniem, najprzykrzejszym uciskiem, wynagrodzić Widzkiem zniewagę i podnieść się przez to w ich oczach. Nadto zaś, czując się coraz lepszym, stawszy się nowym człowiekiem, łudził się błogą otuchą, że jeśli, przeblagawszy skrzywdzonych,

zdoła uzyskać prawo wstępu w ich progi, to z czasem bodaj przyjaźń panny Heleny zjedna ..

Tak więc uspokojony, pełen słodkiej nadziei, pan Bolesław raźniej szedł po nową swą drogę. Rozmyślał, czytał, uczył się, marzył pocziwie, ojcu służył serdecznie, rozrywał go rozmową, albo głośnie lekturą, chwalać się mu temi skarbami, jakie w literaturze znalazł; a pomny tej miłości rodzinnej, jakiej u Widzkich się napatrzył, nieraz i młodsze dzieci, w wolnych od lekcyj godzinach, zaciągał do ojcowskiej sypialni, przyuczał je własnym przykładem do tkliwego z ojcem stosunku i zapoznawał z duchowemi plonami ojczystej. Z matką nawet, o ile zdołał, starał się być uprzejmym; bo zresztą, pomny krzywdy od niej doznanej, nie nad to już wyrobić w sobie nie umiał.

Pan prezes szybko wracał do zdrowia. W kilka dni już o własnych siłach mógł się podźwignąć; w tydzień już, wsparty na ramieniu Bola lub sługi, przenosił się z łóżka na fotel, a nawet się przechadzał po pokoju niekiedy. Humor mu także służył, równie jak i apetyt, g'woli któremu poświęcał parę godzin codziennie na koneypowanie różnych przysmaków i na konferencye z kucharzem. Z małżonką swą już się rozmówił co do podania o paszport za granicę i przyznał jej rację zupełną, gdy mu ze łzami przedstawiła smutne pobudki, które ją do tej myśli skłoniły; ale nie bardzo brał do serca plotki parafialne.

Wreszcie zażądał sprawozdania z interesów swych finansowych i z zarządu majątku. Sadłowiecka, jakkolwiek nie miała sobie do wyrzucenia, uważając się za wyborną administratorkę, wszelakoż, znając *dziwaczne uprzedzenia* swojego męża, pewną była, że nie będzie z niej kontent, gdy się dowiedzie, jak rzeczy stoją; że się gotów rozgderać, zirytować i na nowo zaniemódz; starała się przeto najmocniej, aby jak najdalej odwlec chwilę stanowczą, i pomimo ciągłych nalegań o podanie rachunków i zwołanie wszystkich officyalistów, nie czyniła mu zadość, wynajdując coraz nowe pozory. A wiemy, jak w tym względzie szły rzeczy, wiemy, że sprawiedliwie miała o to się lękać! Ale, o dziwy! gdy nareszcie przyszło do objaśnienia, kiedy się pokazało, że dwóch najlepszych ekonomów wygnano, że Widzki nie odebrał swoich odsetków, że w gospodarstwie zamęt najokropniejszy, że w kasie niesłychany deficyt, że w skutek niedotrzymanych kontraktów, spodziewać się trzeba procesów: pan prezes, choć się trochę zasmucił, żadnej jednak wymówki żonie swojej nie zrobił, owszem, podziękował jej jeszcze za podjęte przez nią kłopoty. Więc pani prezesowa błogosławiła w duszy tę szczególną chorobę, co jej męża w takie łagodne wprowadziła usposobienie.

Istotnie, prezes dziwnie zlagodniał!... Wiemy, na przykład, jak się na Jarmusię odgrażał, jak ją batogami, ogniem i kołmi straszył; a teraz patrzył na

nią spokojnie i ani jednym słówkiem nie objawił swojej niechęci. . Trudno jednakże było wyrzec na pewno, czy to łagodność, czy zupełna apatya była? bo i dla ulubieńców swoich zobojętniał podobnie: ani Łypiński, ani biedny Kurezycki nie obeszl go wcale, a nawet ksiądz wikary wypadł u niego z ła-ski. Raz tylko o nim wspomniał nawiasem, zapytu-jąc: co się z nim dzieje, że się w pałacu nie pokazał ni razu? a kiedy prezesowa powiedziała mu z wiel-kim ferworem, jakiej się ten zniewagi względem ję-j osoby dopuścił, i oświadczyła stanowczo, że odtąd *klecha* zuchwały ani nogą nie postanie w ję-j domu, nie bronił go bynajmniej, lecz owszem rzekł, jakby sam do siebie; — To Widzki tak ich wszystkich wy-kształcił! dobry z niego preceptor! — I odtąd ani mowy o wikarym nie było.

Tak więc powoli w Stefanówce wszystko wracało do dawnego porządku, a nawet z wielu względów do lepszego nierównie; bo skutkiem inicjatywy Bola, dzieci serdeczniej zbliżyły się do ojca, przy którym mogły wolniej odetchnąć, pośmiać się i poszezebio-tać; bo dom zbył się nareszcie tęj ponuręj, szpitalnęj cechy, jaką nosił podczas choroby pana; bo w końcu domownicy i słudzy mniej cierpieli dogryzków od jaśnie wielmożnęj pani, która już na *awantury* z nimi mniej miała czasu, trochę chwil poświęcając mężowi, wiele wybieraniu się w drogę.

Wszystkim więc było lepiej, prezesową tylko wy-

jąwszy, ta bowiem, mimo blizkich spełnienia marzeń o podróży w dalekie kraje, mimo wydalenia Widzkiego, mimo zaręczenia swego małżonka, że Bolo uroczyscie mu przyrzekł zaniechać dzikich swoich zamiarów, dręczyć się nie przedstawiała i prawdziwe piekło nosiła w duszy! Nie tak srodze nie boli, jak pycha upokorzona, a ona tyle tych upokorzeń ostat-niami czasy doznała!... Widzki ją nazwał w żywe oczy nędznicą! Bolo został schłostany przez podłego officyalistę! Fisia skompromitowana przez *ekonom-czuka*! Syn ją w najboleśniejszy sposób obwiniał jako główną sprawczynię swojej nędzy moralnęj, swojej hańby, swego nieszczęścia, i oświadczył (o zgrozo!) że woli ję-j przekleństwo, niżli błogosławieństwo. Ksiądz wikary ję-j wreszcie takich strasznych rzeczy nagadał i na chłostę ją skazał!... Ha! wszystko się na nią spiknęło, a nigdzie, nigdzie duszy życzliwęj, oprócz jednęj Jarmusi, która... trudno zaprzeczyć, że usłużna i sprytna, ale nie święta!... Klnie się na wszystkie bogi, że to ekonomówna kartki do panicza pisała; a jednak i wikary, i prezes, i sam nawet pa-nicz wcale inaczej mówią!... Posłuszne, ale brudne, a pono i niebezpieczne narzędzie!...

Za granicę więc! za granicę czémprędzej! choćby już nigdy nie wrócić, choćby kraj ten przekłęty, z tymi ludźmi obrzydliwymi miała przepaść pochło-nąć! (Ma się rozumieć z wyjątkiem Stefanówki z przyległościami!)

Przyszły wreszcie paszporta, z niemalym kosztem i trudnością zdobyte, i wszystko do wyjazdu było gotowe. Majątkiem miał zarządzać jakiś dość daleki krewny prezesa, ale tylko czasowo; bo pani Sadłowiecka miała za granicą umówić agronoma znakomitego, utrzymując, że w kraju niema wcale ludzi uczeiwych i znających się na gospodarstwie. Już nawet dzień wyjazdu był oznaczony, gdy, jak na toż pan prezes znowu zaniemógł! Lekarz, sprowadzony niezwłocznie, oświadczył, że choroba ta wprawdzie bagatelna zupełnie; ale że pacyent, po przebytėj świeżo gorączce, podczas jesieni, nie może w drogę się puszczać, bez obawy następstw najfatalniejszych. Pan Sadłowiecki zmartwił się tém i zatrwożył niezmiernie, pani się gryzła aż do spazmów prawdziwych, wszyscy pospuszczali nosy na kwintę! Co począć?... Rada w radę, i podługich certacyach na tém wreszcie stanęło, że pan prezes w domu zostanie i dopiero po Nowym Roku w Genui połączy się z rodziną, która ma wyruszyć natychmiast; co też i przyszło do skutku, bo pani było pilno nadzwyczaj. Pożegnano się bardzo uroczyście i rzewnie. Prezes u swėj małżonki wyjednał pozwolenie dla Bola na przydłuższy pobyt w Poznaniu, a sam z nim w dzień wyjazdu, gdy pani jeszcze spała, długo w gabinecie swoim rozmawiał, wziął od niego list do Widzkiego i zaopatrzył go w list do pana X. w Warszawie.

Prezesowa już na wsiadaném, gdy Jarmusia, za-

nosząc się od płaczu, do nóg jēj się rzuciła, mocno obligowała męża, aby miał wzgląd na wierną służbę i traktował ją, jak tego warta; co też on przyrzekł solennie... Z powozu zaś rzuciła jeszcze po francusku:

— Sądzę, że Widzki już się panu nigdy nie przyśni? że nie zrobisz szaleństwa?

A prezes na to zrobił tak straszną minę, iż nią-by i największego niedowiarka przekonał, że daleko od niego tak zbrodnicza myśl była.

Po wyjeździe całej rodziny z metrami i guvernantkami, pan Sadłowiecki przez dni kilka ani za próg domu nie ruszył i z nikim się nie znosił, oddany to szpargałom swoim kucharskim, to przeglądaniu rachunków; aż dopiero gdy z Husiatyna otrzymał przez telegraf wiadomość, że już jego małżonka szczęśliwie za granicą stanęła, ożywił się niezmiernie, jak gdyby elektryczne prądy, co depesze podały, w niego samego przeszły, i téjże chwili do księdza Anastazego pobiegł. Ksiądz go spotkał nieco zmieszany, sądząc, że posłyszysz wyrzuty za naukę daną jego magnifice przezaenėj; ale jakże się zdziwił, kiedy ten go wesoło i serdecznie witając, rzekł z uśmiechem swobodnym:

— Nie bój się, *reverendissime!* nie przyszedłem z pretensją, ale także po leki... Wstaw mi zęby wybite!...

Ksiądz nań spojrział zakłopotany, nie wiedząc, jak to sobie tłómaczyć? on zaś, pociągnawszy go do sofy,

usadowił przy sobie i zagaił z nim długą a poważną rozmowę, po której się obadwa zrazu do pałacu udali, a potem puścili się... do Raczek!

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Zostawiliśmy Widzkich w położeniu dość kłopotliwem, *na bruku*, bez żadnego dochodu, fantujących się na codzienne potrzeby życia i osamotnionych prawie zupełnie; bo prócz Łypińskiego, Kurezyckich i dość natrętnego pana marszałka, nie mieli z nikim zgoła żadnych stosunków. Ksiądz Anastazy nie mógł ich dość często odwiedzać, a w miasteczku i w kolkacji ludzie żyli nie takim trybem, jaki-by mógł przypaść do serca pocziwój tej rodzinie. Jedyną zaś pociechą, jaką im Bóg zesłał w tym czasie, były dwukrotnie odebrane listy z Kijowa od Stasia i Kubusia, a zresztą tylko troska i bieda.

Pan Zygmunt już zamyślał puścić się w dalsze gdzieś okolice *za służbą*, gdy jeden obywatel żonny, wskutek pono rekomendacji marszałka, poprosił go o załatwienie prawnego interesu, który niewiele

potrzebował zachodu, a mógł mu paręset rubli przynieść. Widzki propozycję przyjął z radością, i opatrzony w dokumenta potrzebne, niezwłocznie się udał do grodu. Sprawa mu tydzień tylko czasu zajęła, ukończył ją szczęśliwie, i rad z dobrego skutku, o tém już tylko myślał, aby co rychlej do stęsknionej wrócić rodziny. To téż, mimo spóźnionej pory, o zachodzie już słońca, wybrał się w drogę, aby jeszcze przed zmrokiem choć parę mil ujechać, i w karczmie wśród gościńca, z mniejszym kosztem niż w mieście, nocleg swój odbyć.

Zanim jednakże do téj karczmy dociągnął, noc już ciemna zapadła, musiał więc noga za nogą wlec się po grudowatęj, mało mu znanęj drodze, dobrze wytrzeszczając oczy na obie strony, żeby gdzie nie wrócić koziołka; mimo to wszakże nie uniknął przygody. Furman jego, téż obcy w okolicy tamtejszój, spuszczać się do skalistego jaru, wjechał na wielki kamień, o który tak potężnie kołem zawadził, że ko nie rozpędzone, silnie szarpnąwszy, pozrywały postronki. W dzień białe byłaby to rzecz blaha, łatwa do poprawienia; ale w ciemności mglistej nocy je-siennęj, był z nią kłopot nie lada, bo po omacku trudno było się krzątać przy starganęj uprzęży. Chcąc więc jakkolwiek swojej biedzie zaradzić, pan Zygmunt, wysiadłszy z bryczki, zwinął parę wiechecizę słomy, którą była wysłana, i zapalił je zapalką, aby woźnicy bodaj tyle przyświecić, iżby mógł się rozpa-

trzyć, w jakim stopniu byli poszkodowani i jak się wziąć do reparacyi.

Kiedy żywy płomień wybuchnął i swym blaskiem rozjaśnił przestrzeń na kilkanaście kroków, oczy Widzkiego nagle uderzone zostały metalicznym połyskiem nieopodal od bryczki leżącego przedmiotu, do którego ten wszakże posunął się dopiero wtedy, gdy furman, dokończywszy naprawy, znowu usiadł na koźle. Spłonęły słomiane pochodnie, ale i bez nich mógł odrazu trafić na miejsce, skąd mu połysk ów mignął, i sięgnąwszy ręką pociemku, podniósł sakwę skórzaną, na stalową klamrę zamkniętą, a mocno naładowaną jakimiś papierami, o ile mógł z dotknięcia miarkować. Pasek, na którym przewiesza się sakwa przez plecy, był przy kółku urwany; skutkiem czego niechybnie zgubił ją nocny podróżnik.

Nie nie mówiąc o tém woźnicy, który, zajęty reparacją uprząży, nie uważał snadź na to, co się dookoła działo, a zresztą wśród ciemności, czarnych jak smoła, i widzieć-by nie mógł,—pan Zygmunt wsiadł do bryczki z pośpiechem, i zaleciwszy nieco większą ostrożność, kazał dalej ciągnąć powoli; a kiedy jego Hryćko, pilnie się rozpatrując po drodze, nad tém tylko pracował, aby znowu szwanku nie ponieść, on tymczasem, przemyśliwając, jak odpytać zagubę i co téż może w sobie sakwa zawierać, przypomniał sobie, że i sam ma podobną, której kluczyk może szczęśliwym trafem znalezioną otworzyć. Sięgnął

więc do kieszeni, i trochę z ciekawości, trochę w nadziei, że w torbie może znaleźć czarno na białém, kto był właścicielem téj zguby, dobył klucz i za plecyma furmana rozwarł nim, jakby własną, klamrę stalową. Zagłębił dłoń do wnętrza i... zadrżał!... Były tam istotnie papiery, ale papiery te były assygnatami!... Znowu więc siarnik zapalił, wzięwszy wprzód w usta cygaro dla pretekstu wobec furmana, i znowu, nie zwróciwszy jego uwagi przekonał się, że się nie mylił; sakwa była napechana paczkami pięćdziesięcio- i storublowych biletów!

I włosy mu na głowie powstały, i dreszcz zimny go przeszedł, na myśl, co się téż dzieje z nieszczęśliwym podróżnym, jeśli się już obejrzał, jaki cios mu zagraża!... Bo czyż może przypuszczać, że swą stratę odzyska? Najpewniej musiał ponieść ją w nocy, gdy dotychczas nikt jój nie spostrzegł; może się ludzie nadziejają, że o świcie ją znajdzie, ale możeż być pewnym, że go ktoś nie uprzedzi na miejscu, o którym sam niechybnie nie wie?... A zresztą, czyż koniecznie czekać do świtu? Już się stało! stała się rzecz najmniej prawdopodobna: w nocy już zguba podjęta, bez świadka i bez śladu!... Bo i potrzebaż tak dziwnego wypadku, czy tam zrządzenia losu, żeby właśnie w tym punkcie trafiła się komuś przygoda, żeby ten ktoś wpadł na myśl przyświecania woźnicy, i żeby przy tém świetle ujrzał przedmiot taki szacowny?... Wyrażnie szczęście samo drogę

mu zaszło! Gdyby chciał, był-by panem co najmniej kilkunastu tysięcy rubli... Dość-by tylko zamilcząć, a z cygańskiego bytu, z tułactwa, z poniewierki, mógłby znowu powrócić do wygod i dostatków, do drogiej niezależności, mógłby biednej swojej rodzinie, swojej żonie zbolałej, oszczędzić tyle cierpień i troski!...

I znowu zadrzął!.. zamknął sakwę co rychlęj i w myśli gorąco modlić się zaczął — o środki odszukania zagubey. Bo on-że to taką zbrodnię popełni? on, co nie tylko ofiary księdza Anastazego, nie tylko składki obywatelskiej, ale nawet dzierżawy z opłconą z dołu tenutą nie chciał przyjąć w dumie szlachećnej, w prawości, jakich mało?!

Modląc się więc, dalej pomykał, gdy wtém opodał błysły światła ruchome; wyraźnie, choć powoli, dążące ku tej stronie, skąd właśnie on nadciągał.

— Ktoś z kagańcem nadjeżdża! — ozwał się Hryćko, raźniej zażywwszy koni—to pewno ze Szczęsнопola... Gdzie oni jadą? jak do miasta, to nam nie z tego; ale gdyby do Żytnian, po naszej drodze, tobyśmy prędko, pomykając za nimi, na noclegu stanęli.

— A nam-że którą drogą?—zagadnął Widzki.

— A ot zaraz na lewo.

— Któż mieszka w Szczęsнопolu?

— Wielki pan! bogaty, jak, nie przymierzając, król jaki, a dobry, że równego w świecie nie znaj-

dziesz! — odpowiedział woźnica, patrząc ku zbliżającemu się światłu i z wolna zwracając na lewo.

— Jakże on się nazywa?

— Taż bo Szczęsнопolski, proszę pana.

— Prawda! — zawołał Widzki, przypomniawszy sobie, że mu Sławocki istne cuda prawił o tym majątku i o jego dziedzicu. — Ruszaj prosto!

— A nam-że czego do Szczęsнопola? — spytał Hryćko zdziwiony.

— Ruszaj! — krzyknął niecierpliwie pan Zygmunt, bo już w blasku pochodni spostrzegł bystrym swym wzrokiem, nie powóz, ani bryczkę, lecz kilku pieszych ludzi, z wolna dążących drogą i pilnie się po niej rozpatrujących, skąd się łatwo domyślił, że ta nocna wyprawa przy płonących kagańcach była nie w innym celu, jak tylko dla odszukania zguby.

Hryćko ostro zaciął koniki, bo już i on zmiarkował, że to nie była zwykła pańska podróż z kagańcem, ale snadź coś innego, i mocno zaciekawiony, rad był czémprędzej dowiedzieć się, o co rzecz idzie? Niebawem téż spotkali się z owym konwojem. Było w nim pięciu ludzi: dwóch służących, idących z pochodniami, dwóch paniczów w ciepłych burnusach, i jeden jakiś w średnich leciech jegomość, przyodziały w lisiurkę z rewolwerem u pasa i w długie buty, konia prowadzący na trzgli. Widząc ich miny zakłopotane, krok wolny, postać zgiętą i oczy utkwione w ziemię, pan Zygmunt już się ostatecznie prze-

świadczył, że musieli szukać sakwy zgubionój; a pilniej się wpatrzywszy w lica tego, co włókł się z koniem, zgadł nawet, że on-to był właśnie poszkodowanym, bo mu w całej postaci niema rozpacz była wyryta! szedł jak na ścięcie, nadprzyrodzoną jakąś siłą dźwigany... Ale, o dziwy! konwój zrównawszy zjadającym, ledwie rzucił nań okiem, i o nie nie! pytając, pomalutku dalej ciągnął po drodze. Snadź biedni poszukiwacze, mniemając, że ci noeni podróżni nie mogli wśród ciemności trafić na zgubę, nie śmiali zagadywać ich o nią, aby ludzi niepewnych na ślad jej nie wprowadzać samochęć. Rozminęli się. Pan Zygmunt kazał konie zatrzymać, i wysiadłszy z pośpiechem, przystąpił do owego pana w lisiurce.

— Czy można wiedzieć, czego to panowie szukacie? — rzekł z uprzejmym ukłonem.

Nieznajomy, z twarzą wybladłą, z usty wpół otwartemi, podniósł głowę od ziemi, utkwil w nim osłupiałe źrenice, i stał niemy, wybladły, jakby go ani nie widział, ani głosu jego nie słyszał. Młodzieńcy bystrym wzrokiem zmierzyli pytającego, spojrzeli się jeden po drugim, i jakby po naradzie mileżącej, starczy się z nich odezwał:

— Pan Szremski, plenipotent pana Szczęsnopolskiego, powracając dziś konno z powiatowego miasta, zgubił w drodze, snadź skutkiem zerwania się paska, sakwę podróżną, w której miał bardzo ważne papiery. Jój-to właśnie szukamy.

Nieznajomy jęknął głucho i zadrżał; obłąkanym wzrokiem wkoło potoczył i zawołał głosem zgnębionym, jak gdyby z grobu się wydobywającym:

— Dalej! dalej! szukajcie!... na miłość Boga, szukajcie! Tu idzie więcej niżli o życie, [bo cześć mą! o dobre imię mojej dziatwy kochanej!... Któż uwierzy, że zgubił? chyba tylko pan Szczęsnopolski! Zgubić ośmnaście tysięcy rubli! czyżem dziecko, czy pijak albo waryat?! Ukradł! wszyscy krzykną w głos jeden!... wszak bywały takie przykłady... Ukradł! Szremski ukradł ośmnaście tysięcy! — I zaśmiał się śmiechem szalonym...

— Uspokój się pan! — ozwał się Widzki łagodnie — zguba się pewno odszuka... może nawet to będzie ona? — I dobywszy sakwę z pod burki, błysnął nią w świetle kagańców przed oczyma zrozpaczonego.

— Zbawco mój! — krzyknął Szremski, padając mu na piersi.

— Chwała Bogu! — zawołali słudzy, a panicze w ręce klasnęli...

Pan Widzki, drżąc z radości i chluby, że niebo go wybrało za narzędzie swęj laski, z rozczuleniem ścisnął w ramionach uszczęśliwionego przezeń człowieka, który bezwładnie leżał w jego objęciach, w uroczystym, niemym wylewie niezmiernęj swęj wdzięczności... Ale wylew ten już się ciągnął za długo i zaczynał żenować pocziwego pana Zygmun-

ta, który się prawie ugiął pod brzemieniem męskiej postaci, co jakoś coraz bardziej zdawała się mu ciężżyć. Rozwarł więc swoje ramiona i w tył trochę się cofnął, żeby opamiętać Szremskiego; ale ten, ledwie wypuszczony z uścisku, raptem osunął się na klęczki i padł u nóg jego twarzą do ziemi. Widzki, biorąc to za oznakę egzaltacji uczuć, dość łatwój do pojęcia w człowieku, co z rozpacz nagle wpadł w taką radość niezmierną, skwapliwie się rzucił ku niemu, chcąc go podnieść czémprędzej; ale, oburącz całej siły używszy, nie zdołał postawić go na nogi. Podźwignięty od ziemi, pan Szremski téjże chwili upadł na wznak bezwładnie...

— Zemdła! — wykrzyknęli młodzieńcy, przyskakując ku niemu. — Co tu począć?... Jak go ocucić?... Jak odprowadzić do domu?!

Pan Zygmunt miał przy sobie spirytus amoniacki, w który się w mieście zaopatrzył dla żony; dobył go więc natychmiast, i jał nim trzeźwić zemdłałego, jak umiał; dawał wachać, nacierał skronie i koło serca; ale wszystko napróżno! Pan Szremski leżał bez tchu, nieruchomy, zimny i sztywny.

Strwożony, z smutnem jakimś przecuciem, Widzki wziął go za rękę, chcąc się pulsu badać, — ręka była jak lód wystygła, a pulsu ani śladu! Przyłgął uchem do obnażonych piersi, żeby w bicie serca się w słuchać — w piersiach było głucho, jak w grobie.

Hryćko gapił się z kozła; słudzy, przyświecając,

wzdychali, smutnie chwiejąc głowami; młodzieńcy, tuż przyklekli przy pacyencie, z trwogą i smutkiem wpatrując się w jego oblicze, rozpaczliwie łamali ręce.

— Panowie! — rzecze Widzki nareszcie — my tu nie nie poradzimy!... Trzeba z nim co najrychlej wracać do domu i lekarskiej użyć pomocy. Koń gotowy; niechaj go kto dosiedzie i leci po doktora; a ja z swą bryczką służę do Szczęsnopola... Kto wie? może go jazda ocuci?... Śpieszmy!

— Śpieszmy! — powtórzyli młodzieńcy — lekarz jest u nas nadworny.

— Tém lepiej! — zawołał Widzki. — Przenieśmy pacyenta na bryczkę... Tylko wprzód trzeba na niej łoże mu ułożyć.

Wnet rozgarnięto słomę, i Widzki przy pomocy paniczów, jako téż i służących, co kagańce w ziemię utkwili, ostrożnie złożył omdlałego na bryczce.

— Ruszaj, Hryćku, tylko ostrożnie! — zadysponował. — Słudzy z pochodniami naprzód! my przy chorym pieszo pójdziemy... Wierchowca uwiązać z tyłu, bo nam ręce potrzebne... Pieniądze mam przy sobie; oddam je panu Szremskiemu, jak przyjdzie do przytomności... A czy daleko do dworu?

— Pół mili tylko.

— Dalej więc! zwolna! ostrożnie!

I pociągnęli powoli, raz wraz zaglądając do bryczki, azali omdlałemu nie powraca przytomność, i tro-

skliwie go poprawiając na słomie, ilekroć, skutkiem trzęsienia, niewygodną przybrał pozycję. Niebawem błysły światła w oknach pałacu, od którego już więcej jak pół wiorsty nie było.

— Czy pan Szremski mieszka osobno? — zagadnął Widzki.

— Osobno — odrzekł jeden z młodzieńców.

— Czy ma żonę?

— Żonę, dwóch synów i córkę.

Pan Zygmunt westchnął ciężko, boleśnie.

— Trzeba zgasić kagańce; a jeśli do pałacu droga wiedzie po pod dom pana Szremskiego, to ją w jakibądź sposób wyminąć. Musimy wjazd ten smutny utaić przed rodziną nieszczęśliwego... Kto wie, co się okaże?!... Wszak-ci pewno w pałacu znajdzie się jakie pokój osobny, a pan Szczęsnopolski, którego wielka zaćność jest mi znana z rozgłosu, pewno nie weźmie za złe, kiedy tam swoje smutne brzemie złożymy pod opieką lekarza.

— O, pewno! — zawolali obaj młodzieńcy, a jeden z nich dorzucił:

— Wdzięczniśmy panu za tę radę pocziwą! Pani Szremska mogłaby to życiem przyplacić, gdybyśmy w takim stanie męża jej wnieśli do domu. Ach Boże, Boże! gdybyż przynajmniej lekarz potrafił go czempredzej przyprowadzić do zmysłów!

— To prawda! — podchwycił drugi — bo już, tam powno niespokojni być muszą. Biedaczysko

o kilka wiorst od domu obejrawszy się, że mu sakwy brakuje ze skarbowemi pieniędzmi, po które jeździł na pocztę (bo zwykle mniejsze kursa konno tylko odbywa, choć mu lekarz tego zabrania, straszając go, że z aneuryzmem junakować nie wolno); w przerażeniu największym, rozumiejąc całą niemożność odzyskania zguby wśród ciemnej nocy, piorunem puścił się do domu, wpadł do nas do kancelaryi, wziął mnie i pana Czapkowskiego na stronę, i zwierzywszy się z swego nieszczęścia, zaklął nas, abyśmy, nie nikomu nie mówiąc, wraz z nim udali się ze światłem szukać tych nieszczęśliwych pieniędzy. Ma się rozumieć, żeśmy usłuchali najchętniej, bo go i szanujemy, i kochamy serdecznie; bo to, nie zwierchnik dla nas, tylko ojciec najlepszy! i gdyby nawet przyszło całą drogę stąd aż do miasta, choćby na klęczkach, przebyć, to i na to przystalibyśmy, byle mu tylko dopomódz. Wzięliśmy więc natychmiast służących z kagańcami i dalej w Imię Boże! Aż do punktu, gdzie spostrzegł, że mu się sakwa urwała, pan Szremski pędził co koń wyskoczy, a my za nim, choć pieszo, pomykaliśmy jak pocztowe rumaki, że ledwie tchu nam w piersiach starczyło — tak nam drogą była każda sekunda! Dopiero stąd o wiorst parę zeskoczył z siodła, i prawie czołgając się po ziemi, każdą niemal piędź drogi tak troskliwie oglądał, — w czym obaj mu pomagaliśmy szczerze, — iż nie tylko już sakwę, ale nawet i szpilkę można było tak znaleźć; gdy nareszcie pana

Bóg zesłał. I wszystko-by było dobrze, gdyby nie to omdlenie... Kiedy wyjeżdżał na tę smutną wyprawę, żonie kazał powiedzieć, że w drodze, snadź dobywając papierosy z kieszeni, wyrzucił jakiś ważny dokument, lecz że na szczęście dobrze pamięta miejsce, w którym go ta strata spotkała, i pewnym jest, że przy świetle kagańców zgubę swoją rychło odszuka. Muszą więc tam z wielką niecierpliwością, z wielką trwogą serdeczną, wyglądać, czy nie wraca? a gdy się nieobecność jego przedłuży, to biedna pani Szremska i panna Zofia rozchorują się z niepokoju najpewniej!

— Dobrze więc, żeś mi pan o tém wszystkiém powiedział — rzekł na to Widzki, który, odkąd posłyszał o anawryzmie pana Szremskiego, nie mógł bez najżywszej boleści myśleć o nieszczęsnej jego rodzinie! — Trzeba nam się ułożyć, jak sobie z panią Szremską postąpić mamy. Niech kto z panów, co może mocniej zapanować nad sobą, pójdzie do niej, jak tylko już staniemy w pałacu, i powie, że przybywszy na owo miejsce, gdzie dobywał cygara, mąż jej dokumentu nie znalazł, ale przypomniał sobie, że go w mieście z innemi papierami zostawił u kogoś ze znajomych, tam więc się udał niezwłocznie i powróci dopiero jutro.

— Zgoda! — odparł Czapkowski. — Zdaje się, że tak będzie najlepiej. Sam spróbuję spełnić to posłannictwo, a mam w Bogu nadzieję, że się niczém nie zdradzę. Pan Liwski, mój kochany kolega

mógłby łatwo stracić kontenans, stanąwszy przed panną Zofią.

Zgaszono więc kagańce, nauczono służących, jak się w razie potrzeby tłómaczyć mają, i niebawem, kółując, żeby nie przejeżdżać pod oficyną, zajmowaną przez Szremskich, zawrócono przed pałac.

Czapkowski wnet się udał do pani Szremskiej, a Liwski na pokoje — uwiadomić pana Szczęsno-polskiego o tém, co ich spotkało.

Za chwilę, w towarzystwie lekarza i dwóch lokajów, zacny dziedzic wybiegł w dziedziniec, i przypadłszy po bryczki oświeconej blaskiem od okien, z troskliwością najżywszą spojrzai w lica Szremskie-go i chwycił go za rękę.

— Co się stało? — wykrzyknął przerażony trupią bledością twarzy i dotknięciem zlodowaciałej dłoni. — Co się stało? — powtórzył głosem pełnym wielkiej boleści, wkoło powodząc niespokojném spojrzeniem. — Panu-ż to tę przysługę zawdzięczam? — podchwycił, spotkawszy się z Widzkim oczyma. — Pana-ż to Bóg mi zesłał, żebyś zapobiegł stracie dosyć dotkliwej, a co ważniejsza, przyszedł w pomoc poczciwemu przyjacielowi memu?

I uściśnął go za rękę, z wyrazem serdeczności prawdziwej.

— Niestety! — odrzekł Widzki ze smutkiem — nie wiem, czy się ta pomoc na cokolwiek przydała.

— Jakto?! — zawołał Szczęsnopolski z przejęciem się głębokiém — czyżby...

— O tém już chyba lekarz zadecydować może — odpowiedział pan Zygmunt.

— Prędjéj! prędjéj z nim do pokoju! Panie konsyliarzu! ratuj na miłość Boga! — nalegał Szczęsnopolski, poruszony do głębi duszy!

I wnet pana Szremskiego na ręku przeniesiono do gościnnych apartamentów, gdzie wraz z lekarzem udali się za nim i dziecię, i Widzki, i Liwowski, a niebawem i pani Szczęsnopolska z swoją jedynaczką. Wszyscy ze współzuciem największém otoczyli łożę obumarłego, i tchnąć prawie nie śmiejąc, ze łzami tylko w oczach czekali rezultatu starań lekarza, który już od pierwszego spojrzenia, a témbardziej po dotknięciu się pulsu i auskultacyi, wyrazem swojej twarzy nie dobrego nie zapowiadał...

Starania były takie szczere, serdeczne, iż zdaje się i umarłego do życia mogłyby przywołać; ale niestety! nie zbudziły pana Szremskiego! Nagłe przejście z rozpacz na myśl o ciężkiej stracie, o hańbie w skutek możliwej suppozycyi o kradzież, do radości z powodu odzyskania téj straty i czei niepokalanéj, zbyt silnie sercem jego wstrząsnęło, i biedne, anawryczne to serce pękło w uniesieniu szlachetném.

Nie będziemy już opisywali tego żalu wielkiego, tych łez rzewnych, pocziwch, jakimi państwo Szczęsnopolscy oboje, również jak i godna ich córka,

opłakiwali śmierć swojego officyalisty; nie będziemy wspominali o tém, z jaką troską głęboką, z jaką pieczołowitością chwalebą, z jakim tkliwém współzuciem nad tém przemyślali, żeby wdowie nieszczęsnéj, ile to w ludzkiej mocy, złagodzić cios ten okropny; krótko tylko powiemy, że Widzki, który i sam ledwie mógł stłumić łkanie w piersiach wezbrane, z całej duszy bolejąc nad tym smutnym wypadkiem, czuł razem i pociechę niezmierną, że przecież Bóg mu w żywe oczy dał widziéć ten ideał jego najmilszy dobrych panów i sług pocziwch, złączonych nie samym tylko interesem materyalnym,

Po straszliwej, serce rozdzierającej, scenie przeniesienia zwłok nieboszczyka w progi jego rodzinne, pan Zygmunt, lubo nie mógł tego uczynić bez zadania ciężkiego gwałtu uczuciu delikatności, musiał jednak wreszcie przystąpić do oddania panu Szczęsnopolskiemu znalezionych pieniędzy; jakkolwiek bowiem dobre powziął wyobrażenie o jego domu, jakkolwiek śmiało na gościnność mógł liczyć, taż sama delikatność, z którą walczył, mając wystąpić ze sprawami rachunkowemi wobec takiej boleści, kazała mu, obcemu, nieznanemu, usunąć się na stronę, ażeby nie być niepotrzebnym ciężarem dla serc, już i bez tego obarczonych do zbytku. Rzekł więc, znalazłszy się sam-na-sam z pograżonym w smutku dziedzicem:

— Niechaj mi pan wybaczy, jeśli sprawię mu przykrość, występując nie w porę z interesem, który

mi cięży, bo wreszcie raz z tém skończyć potrzeba. Oto są te nieszczęsne pieniądze, które ja dziś na drodze podjąłem, a których-byś pan na pewno nie płakał tak, jak płaczesz wiernego sługi.

— Prawda, prawda, łaskawy panie! — odrzekł mu Szczęsnopolski z ciężkiem westchnieniem, ani spojrzawszy nawet na złożoną sakwę na stole. — Ale niechże wiem przecie, komu wdzięczność winienem?

— Jestem Widzki... officjalista... — odpowiedział pan Zygmunt.

— Widzki! — zawołał Szczęsnopolski, z miejsca powstając i z serdecznym uściskiem ujmując go za rękę. — Byłeś pan w Stefanówce czas jakiś?...

— Służyłem tam kilka miesięcy, rządząc jednym folwarkiem na dziesiątym procencie.

— Słyszałem... bardzo wiele słyszałem i cieszę prawdziwie, że choć w tak smutnych okolicznościach Bóg mi dał poznać się z panem... Siadaj pan z łaski swojej! daruj mi chwilkę rozmowy; może mi to ulgę przyniesie...

Usiedli, ale zamiast rozmowowy, jakiś czas obaj milczeli w zamyśleniu głębokiém; wreszcie odezwał się pan Szczęsnopolski:

— Wybacz pan, że się spytam, bo to nie przez próżną ciekawość: co też teraz porabiasz?

Pan Zygmunt, bojąc się, żeby szczerza jego odpowiedź nie wydała się zręczną przymówką, wprasza-

niam się na opróżnione miejsce, odrzekł z obojętnością:

— Odpoczywam po trudach.

— Jakto? — zagadł pan Szczęsnopolski, bystro mu w oczy spojrzawszy — dobrowolnie? samochać?

— Po części... bo odrzuciłem parę propozycyj wybrednie.

Szczęsnopolski znów się zamyślił.

— Proszę-ż pana... — ozwał się wreszcie — niech to pana nie gorszy... wszak-żem nie dziecko, ani panna sentymentalna... nie dziś, to jutro, muszę kogoś wynaléć na miejsce pocziwego Szremskiego, bo machina tak wielka, jaką, z łaski Boga, jest mój majątek, bez dozoru zostać nie może, a choćbym i całe lata odsiadywał żalobę, nieboszczyka nie wskreszę! Bóg to widzi — dodał ze łzami — jak go szczerze żałuję; ale cóż po tym żalu? co mnie i jemu? O rodzinie jego będę pamiętał; te nieszczęsne pieniądze, które życiem przypłacił, od dziś uważam za kapitał żelazny, obowiązując się wobec Boga i ludzi dziesiąty od nich procent wypłacać w dożywociu biednej jego małżonce, której ani przytulku, ani opieki, słowem, szczerój przyjaźni, ani ja, ani moja żona i córka, nigdy nie odmówimy. A cóż nad to mogę uczynić? Czyż więc to ja obrazi, czyż ubliży świętej pamięci nieodżałowanego, gdy niezwłocznie przyjmę kogoś na jego miejsce?... Sam pan osądź i powiedz?

Widzki milczał, oczy spuściwszy.

— Milczysz pan, nie chcesz mi odpowiedzieć; bo rozumiesz, do czego zmierzam, a pocziwa drażliwość przejmuję cię obawą, aby cię nie posądził ktoś z boku, żeś z cudzego nieszczęścia tu korzystał skwapliwie. Nie prawdaż, powiedz szczerze!

I ujął go mocno za rękę, i w oczy mu spojrzał badawczo.

— I pocóż pan o to mię pytasz, co sam w zacnym swém sercu należycie oceniasz? — odpowiedział Widzki z godnością. — Istotnie domyślam się, że radbyś pan mię zaszczycić zaufaniem swoim wysokiem, i oddać w moje ręce te rządy, które tu pan Szremski sprawował. Nie taję, bo mi trudno udawać, że byłoby to dla mnie szczęściem i chlubą panu swoje trudy poświęcić, panu, co tak umiesz ocenić zasługę, i kochasz, i szanujesz pracowników pocziwych; ale czyż mogę dzisiaj z panem o tém traktować, czyż mogę o tém nawet myśleć bez grzechu, gdy z dość liczną rodziną siedzę biedak na bruku, a chleb mi się tam trafia, gdzie zaledwie ostygły usta, co go jadły przedemną, gdy jeszcze łyzy płyną rzeźne, serca kruszą się w bólu, ręce załamują rozpacznie po tym, czyje miejsce do wzięcia?! O! nie, panie! w tej chwili nie godziłoby się doprawdy o tém nawet wspominać, bo ta rozmowa nasza musi dręczyć biedną tę duszę, dla której dziko się miesza z płaczem sierot i wdowy!

— Nie znałeś pan człowieka! — odparł pan Szczęsnopolski, łyzy ocierając z oczu. — Jam go znał i poprzysiądz tu mogę, że duch jego błogosławiony głębi serca mego przenika, i jeżeli dlań przystępne ziemskie nasze pragnienia, to dla mnie pewnie tego pragnie najmocniej, abym godnego znalazł po nim następcę, i rozraduje się w niebie, jeśli pan mi stಾನiesz za niego.

— Jeśli stanę... ale czyż stanę? — odrzekł pan Zygmunt w zamyśleniu śmętliwém. — Człowiek ten, jak był zacnym i prawym, tego zgonem swym dowiódł; jak panu pożytecznym i drogim, o tém dziś świadczą i łyzy pańskie, i słowa; a ja... wszak pan mnie nie znasz?...

— Znam do gruntu, bo znam i cenię pana Sławockiego, od którego wiem wszystko... Nie opieraj się, panie łaskawy! podaj rękę na zgodę!

Pan Zygmunt się zamyślił.

— Nie, panie! — odrzekł po chwilowém wahaniu, — dziś to nad moje siły!... Zresztą, wszakże umowy nie podobna zawrzeć na oślep; wprzód potrzeba wiedzieć, jakie są obowiązki i czy im się odpowie?

— No, to poświęć pan mi dni kilka, rozpatrz się należycie...

— Nie sposób! przy płaczu u katafalku i pogrzebowych psalmach, trudno się tém zaprzątać! Nadto zaś moja rodzina niespokojną o mnie być może...

— Dam gońca.

— Dziękuję panu! wolę jutro do dnia sam ruszyć, a za dni kilka wrócę i obaczę, czy zdołam wymaganiom pańskim zadość uczynić?

— Słowo? — zagadnął pan Szczęsnopolski, wyciągając doń rękę.

— Słowo! — odrzekł pan Zygmunt, dłoń mu swoją podając, — o ile to ode mnie zależeć będzie; bo któż jutra swojego pewny? Przeczuwał że to Szremski, że w téj chwili ja z panem o spuszczeniu po nim będę traktował?!

— Prawda! prawda! — odszekł Szczęsnopolski z westchnieniem, ale ufajmy w Bogu! *Fais ce que dois, advienne ce que pourra.* — Będę pana tęsknie wyglądał.

I na tém się rozstali, a po wygodnym noclegu, po kawie, którą mu do dnia podano, pan Zygmunt z rannym świtem ze Szczęsnopola wyjechał, z sercem pełnem uczuć dziwnie zmieszanych, wpośród których smutku i trwogi więcej niżli radości i nadziei było.

Mówiliśmy, że Widzki już od pana Erazma słyszał o Szczęsnopolskim wiele rzeczy bardzo ciekawych, ale z tego wszystkiego ledwie tylko ogólne pojął o nim wyobrażenie; teraz więc, gdy go ujrzał na własne oczy, gdy wypadki tak się złożyły, że mógł najnie spodziewaniej wejść z nim w bliższe stosunki, wielce mu pożądaną się stała szczegółowa wiadomość o tym prawym obywatelu, który w głównych

zarysach tak bardzo był podobnym do jego ideałów najmilszych. Jadąc więc, przypominał to sobie, co opowiadał Sławocki, przyrównywał do tego, czego sam był świadkiem w pałacu, rozważał wszystkie okoliczności, zastanawiał się nad wszystkimi przedmiotami, nad urządzeniem dworu wewnętrznym i zewnętrznym, przyglądał się nareszcie i budowlom, i ła-
nom, i ogrodom, i drogom, i wszystko to kombinując w umyśle, coraz lepszego przekonania nabierał o tym zacnym człowieku, którego serce, rozum i praca, wszędzie były widoczne. To jednak zaspokoić nie mogło ciekawości pana Zygmunta, bo im więcej się rysów gromadziło na obraz, nad którym wyobraźnia pracował, tém mocniej w całej pełni ujrzyć obraz ten pragnął, i już nawet żałował, że nie przyjął zaprosin i na dni kilka w Szczęsnopolu nie został.

A gdy tak medytował głęboko, gdy wreszcie o tém tylko już myślał, żeby prędzej wrócić do Raczek, pocieszyć swą rodzinę wróżbą lepszej przyszłości, opatrzyć jej potrzeby i znowu co najrychlej do Szczęsnopola się udać; z wolna się zachmurzyły niebiosa i taki desz ulewny się puścił, że potrzeba było co najrychlej o przytułek starać się jakiś, a tu, według słów Hryćka, do najbliższej karczemki było najmniej wiorst sześć! Co tu począć?... aż oto nieopodal od drogi, po przez smugi deszczu gęstego, zamajaczył jakiś futorek, do dąbrowy staréj przyparty.

— Niéma rady! — zawołał Widzki, — zawra-

caj! Już cię nas ie wypędzą na taką słotę. Jak nie przyjmą do chaty, to może choć w stodole tę ulewę przetrwać pozwolą.

I wkrótce znaleźli się w skromnej zagrodzie. Wszedł pan Zygmunt do sieni, i jeszcze nie miał czasu rozdziać się z burki, z której strugą woda się lała, gdy przed nim stanął siwy jak gołąb, trochę już przygarbiony, ale czerstwy staruszek, z krótką fajeczką w rękę, i spojrzał nań jasnym, wesołym okiem, z dobrotliwym obliczem, na którym obok uprzejmego uśmiechu widać było trochę zaciekawienia.

— Czy mam honor gospodarza domu oglądać? — spytał Widzki z grzecznym ukłonem.

— W jego własnej osobie, łaskawy panie! — odparł staruszek, kłaniając się wzajemnie.

— Jestem Widzki, szlacheć brukowy, a proszę o przytułek od słoty dla siebie i dla koni.

— Do usług, do usług, mój łaskawco! i to z całego serca. Wasilku! — krzyknął do drzwi na lewo, snadź do izby czeladnej, i chłopcu, co w nich zaraz się zjawił, kazał konie zabrać do stajni, dać im wszelką wygodę, a furmana dobrze ugościć.

— A pana proszę z sobą do ciepłego komina, — rzekł do pana Zygmunta, otwierając drzwi do pokoju i drogę mu wskazując.

Weszli. Pokój obszerny, ale mroczny, mimo trzech okien — sad bowiem doń przypierał z dwóch boków, — przedstawiał widok nader oryginalny i dzi-

wną był napełniony wonią. Sprzęty jego były skromniuchne: w jednym rogu łóżko za parawanem, przy nim stolik z książką i stosem gazet, nad nim święte obrazki, i gromnica, i palma; w dwóch innych wielkie szafy lipowe, pod oknami stoły dość spore i komoda, antyk prawdziwy; pod ścianami skrzynie i półki, i krzeselka, i proste stolki, na ścianach kilka odwiecznych rodzinnych portretów; ale wszystko to fraszka i niesłusznie w moim opisie pierwsze miejsce zajęło, bo w tej izbie najpierw uderzała uwagę, jakby prawdziwa przemysłowo-ogrodnicza wystawa: gdzie tylko rzucić okiem, gdzie tylko można było postawić lub położyć cokolwiek, wszędzie, na stołach, wpośród ksiąg i papierów, na półkach, szafach, na komodzie i skrzyniach, na oknach i na kominie, a nawet na niektórych stołkach i krzesłach, jako też i na podłodze, były porozkładane: tu najprzedniejsze gatunki ślicznych gruszek i jabłek, owdzie tykwy jakieś szczególne, tam olbrzymie makówki, tam znowu pomidory, krasne jak koral; stały faski pełne powideł, misy z miodem plastrowym, kosze z orzechami włoskimi, tytuń w *boksze* złożony, słoje z konfiturami, albo z marynatą z owoców, butle z nalewkami i octem, koszyeczki papierowe z nasionami różnymi; a na ścianach wisały, obok wieńców z dożynek, wianki suszonych grzybów i wspaniałej cebuli, oraz snopki ziół rozmaitych. W kominie suty ogień się buzował, przy nim kot i pies grzały się zgodnie, le-

ząc jeden przy drugim, a na gżemsie stary zegar wiedeński głośno gdał w szafce blaszanéj; w klatce, przy jedném z okien wiszącéj, siedział drozd, nadąwszy się na słotę.

— Witam pana na tém tu miejscu! — rzekł uprzejmy gospodarz, przyjaźnie dłoń podając Widzkiemu. — Wybacz tylko, łaskawco, że cię tu w mojej gospodarskiej izbie przyjmuję; są tam kąty schludniejsze, ale tu, przy kominie, będzie pono najlępiej. Siadaj-że, siadaj, proszę, a ogrzej się przy ogniu, bo musiałeś dobrze uziębnać.

I podał mu krzesło.

Pies zbudzony wstał z miejsca, z wolna, poważnie do przybysza przystąpił, obwąchał go, machnął ogonem, wyciągnął się, ziewnął, strzepnął swe kudły i znów na legowisko powrócił, a kot tylko leniwie podniósł ciężkie powieki, spojrzął, znów je przymrużył i chrapał kocim swoim sposobem.

Staruszek się uśmiechnął; oburącz wziął pod pachy pana Zygmunta, posadził go na krześle, i jasnym, bystrym okiem wpatrując się z upodobaniem w jego lica otwarte, rzekł wesóło:

— Wiész, mój łaskawco, co ja w téj chwili myślę?

— Nie wiem, panie, — odrzekł Widzki, — ale sądzę, że musisz dziwić się natrętności, z jaką przybłęda wdarł się do twojego domu.

— Ale gdzież tam, łaskawco! pozwól wziąć to

za żarty, bo inaczej byłoby to krzywdą! Zupełnie co innego mam w sercu, i myślę, że ot, gdybym był wielkim panem, to bym cię nie wypuścił już z domu! Rzekłeś mi, żeś *szlachcicem brukowym*, co znaczy, jak miarkuję, że ci jakiś służby potrzeba; otóż, jeśli tak jest istotnie, tobyś u mnie ją znalazł; stworzyłbym jakieś miejsce dla ciebie, gdyby gotowego nie było. Bo najprzód, daruj zbytniej szczerości, w obliczu najpiękniejsze nosisz świadectwo, a potem, ot te moje bestyjki (skinął ręką na psa i kota) od razu piękną duszę w tobie przenikły. Nie śmiej się, mój łaskawco! nie facecya to wcale! Nie wyobrazisz sobie, jaki węch mają do ludzi! Spenetrują w jednym momencie! Trafi się czasem taka figura, że mój Wiernus nie da jej progu przestąpić, a Mruczek grzbiet najeży i miaucząc, wpakuje się pod łóżko; z inną znów, mój łaskawco, nieco polityczniej postąpią: pies tylko u nóg mych się położy, a kotek na kolana mi wskoczy, jak gdyby w razie czego chciały bronić mojej osoby, albo urok od niej odegnąć... A z panem jak się grzecznie znalazły! O! znak to nieomylny, łaskawco! Drwij sobie z głupiego działa, ale ja wiem, co mówię... Owóż, jeśli na prawdę potrzebujesz pan służby, to choć sam wielkim panem nie jestem, mogę jednak tobie się przydać. Mam trochę zachowania u pana Szczęsnopolskiego, któremu kilka latek, a przedtém jego ojcu dwadzieścia, służyłem jako officyalista, za co dziś w dożywocie mam ten

futor z emeryturą. A pan Szczęsnopolski, mój ty łaskawco, jest to pan całą gębą, człek jedyny pod słońcem! Wprawdzie-ć to tam u niego o wakanse nie łatwo; ale jak się trafi człowiek biedny a zacny, to on dlań i z pod ziemi dostanie jakiś sposób do życia. Chciéj więc pan z łaski swojej, jeśli ci to po myśli, zaufać mi zupełnie; powiedz, czego ci trzeba; gdzieś służył, coś porabiał? słowem wszystko, co dziedzie przyjmujący officyalistę wiedziéć o nim powinien: a da Bóg, jakoś to będzie.

— Z duszy panu dziękuję! — odrzekł Widzki serdecznie, dłoń starcowi podając. — Właśnie ze Szczęsnopola jadę, gdzie mię smutny ściagnął wypadek, a gdzie pono przyjdzie mi zająć wakujące miejsce plenipotentą.

— Wakujące?! smutny wypadek?! — krzyknął starzec z przestachem. — Cóż się stało, na miłość Boga?! Gdzież Szremski?

— Szremski nie żyje!

— Mocny Boże! — jęknął gospodarz, załamując ręce z boleścią i wznosząc łzawe oczy ku niebu. — Cóż to jest... nie słyszałem, żeby chorował.

Pan Zygmunt opowiedział całą przygodę, której z przejęciem się głębiokiem, z głową smutnie zwieszoną i z okiem łzą nabrzmiałém wysłuchawszy gracyalista, rzekł z westchnieniem serdeczném:

— Mój Boże! zgasł, jak jarząca świeca na ołtarzu!... Zacny człowiek! dusza czysta jak kryształ!...

Wieczny pokój sprawiedliwemu!... Biedna żona! biedne dzieciśka!... Szczęsnopolski ich nie opuści, ale taką stratę któż wróci? kto osłodzić potrafi?!... Trzeba do nich pojechać, trzeba ostatnią posługę pocziwemu koledze oddać. Poda mną zaczął służbę, po mnie plenipotentem został.

Weszła jakaś babina, zapytując: gdzie dać do stołu?

— Tutaj, tutaj, moja Piotrusiu! A przynieś nam butelkę starego dereniaku, tego, wiesz, co na prawo ode drzwi, i wędlinki, i bryndzy, i maselka świeżego... To dla gościa, moja babuniu! bo ja... i głos mu zadrżał, łza spłynęła po twarzy. — Wiesz, stara! pan Szremski umarł!

— Matko Najświętsza! — wykrzyknęła babunia, z przerażenia w ręce klasnąwszy.

— Umarł, umarł pocziwiec! W nocy powracał z miasta, zgubił pańskie pieniądze, i tak to wziął do serca, że choć ot ten pan znalazł i oddał mu, spótkawszy go na drodze, jak przy kagańcach szukał swojej zguby nieborak, krzyknął tylko z radości i skołał, upadłszy mu na piersi! Serce mu pękło!...

Staruszka, trzęsąc głową żałośnie, łzy bujne ocierała fartuchem.

— Nieszczęście! — rzekła w końcu z ciężkiém westchnieniem. — Dobra to była dusza, daj mu Boże chwałę niebieską! A wielkie-ż to były pieniądze?

— Osiemnaście tysięcy rubli!

— Matko boska, cudowna! — zawołała z przestachem. — Osiemnaście tysięcy! a pan znalazł i oddał?!

I z wyrazem podziwu na Widzkiego pilnie patrzyła.

— Oddał, moja Piotrusiu! oddał, choć gdyby chciał zatrzymać, nikt-by, oprócz Boga na niebie, o tém wcale nie wiedział; ale człowiek poczciwy Boga się téż boi!... No, idź-że, idź, stara! dawaj prędko do stołu!

Piotrusia powlokła się wzdychając i coś szeptać pod nosem, a niebawem wróciwszy, zaczęła się krzątać u stołu, w zamyśleniu smutném, głębokiém. Wkrótce téż i obiadek podano, smakowity, choć skromny, okraszony starką wyborną, dereniakiem przepysznym i przekąską z wędliny, bryndzy, masła świeżego, śliwek na rożenkach, séra jabłecznego i gruszek smażonych w miodzie, a zamknięty deserem z renet i ber soczystych.

Zasiedli; *bestyjki* się zbudziły, i Wiernuś po prawicy, a Mruczek po lewicy swojego pana stanęli na dwóch łapkach ucieszenie.

Gospodarz, z ciężkim smutkiem na duszy, sam nie wielki w uczenie brał udział, ale gościa raczył serdecznie, dokładał na talerze raz po raz i dolewał lampeczki. Dopiero ku końcowi, gdy szklanek dereniaku na frasunek wychylił, ożywił się na nowo, pogłaszał swe *bestyjki*, dał im jeść i swobodniej zaczął

gawędzić. Gdy przepraszał Widzkiego za przyjęcie ubogie, a ten wszystkiém się delectował, wszystko chwalił najszczerzej, rzekł mu staruszek z wielką pociechą:

— Wszystko to, mój łaskawco, własną pracą zdobyte: owoce te zebrane z drzew, moją ręką szczepionych; dereniacek z własnego miodu téż przeze mnie sycony. Dziesięć lat już się krzątam na tym futorze, i życie mi tu płynie mlekiem i miodem! Patrz pan wkóło: czego tu braknie?... Lecz za to przedewszystkiém dzięki panu Szczęsnopolskiemu! Jemu-to, jemu głównie zawdzięczam ten raj ziemski lat moich starych, te wygody i spokój! Dobrze mi tu i błogo; a gdy westchnę, to chyba nad nieszczęściem bliźniego, gdy zatęsknię — chyba do nieba. Bo choć żyję tu, jak pustelnik, z drozdem tylko, psem tym i kotem, i z pocziwą czeladką; choć mi żonę Bóg zabrał; syn starszy, moja chluba, daleko w służbie, córka ukochana osobno, — w Szczęsnopolu właśnie, gdzie mąż jój pomocnikiem przy cukrowarze — zgadzam się z wolą bożą, nie nudzę, krzątam się po ogrodzie i polu, szczepię, sadzę, sieję i zbieram; a na jesień i zimę, z łaski chlebowawcy swojego, mam książki, mam dostatek dzienników, i tém, obok dłuższej modlitwy, jakoś czas swój zapełniam. Niekiedy i gość trafi się miły: to mi Joasia mego wnuczka przywiezie, to pocziwy zięć mój przyjedzie, albo który z jego kolegów; ot i gwaro w chatynce! Nawet państwo

Szczęsnopolscy czasami nawiedzają służę starego, ale najczęstszym towarzyszem tu moim bywa dobry mój sąsiad, a niegdyś współsłużbista, emeryt, dożywotnik na niewielkim futorku. Człek poczciwy z kośćciami, choć zdziwaczał trochę na starość w kawalerskim swym stanie. Bo wyobraź sobie, łaskawco; na czém on czas przepędza! Mam ja ot tu w tych szafach całe prawie archiwum ekonomiczne, z dóbr niegdyś należących do Szczęsnopolskich, a od lat już przeszło trzydziestu zostających w obcém władaniu, — bo i one też były pod mym generalnym zarządem, a pan Jacek, mój sąsiad, był podówczas rachmistrzem. Owóż dzisiaj dla niego nie masz większej uciechy, jak przeglądać i sprawdzać stare swoje rachunki. Jedną księgę po drugiej co tygodnia bierze ode mnie i tak ślęczy nad niemi, jakby mu o zbawienie duszy chodziło. A nieraz i mnie głowę zamąci. Czasem wpadnie zdesperowany: — Panie! w r. 1825, w takim to a w takim folwarku zaszła omyłka o 20 kopiejek, a i pan, kontrolując, tegoś się nie dopatrzył! Fraszka to, mój łaskawco, tych dwadzieścia kopiejek z 1825 roku, ale zarzut fatalny! Ja się nie dopatrzyłem! nie prawda! Daj mi księgę; obaczę! — Siedzę dzień, siedzę drugi i trzeci, nie dojadam i nie dosypiam, i pokażę mu wreszcie, że nie w 1825, tylko się teraz starowina omylił. Nie, mój łaskawco! nie bywało u nas omyłek! Rachunki jak lza czyste, bo i służba też była czysta! Spokojnie mogę za-

mknąć powieki, bo za nią nie odpowiem przed Bogiem.

Pan Zygmunt słuchał z przyjemnością prawdzwą tój gawędy zacnego starca, który z otoczeniem swojém oryginalném, z upodobaniami swojemi, z nawyknięciami, z przywiązaniem pełném wdzięczności do swego pryncypała i chlebobdawcy, niegdyś stróż wierny i gorliwy pańskiego dobra, a dzisiaj konserwator starych, już niezdatnych na nic, rachunków, po trzydziestu latach z okładem nie mogący zasnąć spokojnie na myśl, że się omylił o dwadzieścia kopiejek, — był dla niego postacią taką piękną, uroczą, taką pociągającą, iż ani się napatrzyć, ani dość nasłuchać go nie mógł. Serce mu się tylko ścisnęło na myśl, że ten futorek, to ukochanie poczciwego staruszka, który go tak urządził, ozdobił, tak uświęcił swym trudem, z czasem się w cudze ręce dostanie, że żadne z jego dzieci nie będzie miało prawa do tój spuścizny! I prawie mimowoli odczuwał się z troską serdeczną:

— A nie smutno-ż panu czasem pomyśleć, że ta wdzięczna siedziba, nad którą pracowałeś z taką miłością, w której tyle pociech znalazłeś, w obce posiadanie przejść musi?

— Bynajmniej! mój łaskawco! wszak to nie ojcowizna. Ja sam nie od rodziców, prócz wychowania, nie wziąłem; więc gdy i swoim dzieciom wychowanie też dałem, dałem sposób do życia, dałem

dobre zasady, gdy mogę być spokojnym, że nie zgina na świecie: to czegoż mi więcej potrzeba?... A przytém znam dziedzica i myślę, że jeżeli zięć mój kochany będzie godny téj laski, to najpewniej w gratyfikacyi ten futerek po mnie dostanie. Gdy zaś padnie inaczej, cóż począć? niech i tak będzie! Nie trapię się tą myślą, i pracy tu włożonej nie żałuję bynajmniej! Owszem, z wielką pociechą mówię sobie, że przez nią wypłacę się za laski dobroczyńcy mojemu; bo czy zechce on po mnie ten futerek sobie zostawić, czy przezeń znów zasługę czyjąś nagrodzić, zawsze jemuż, nie komu, miła pamięć po mnie zostanie... A teraz — przerwał sobie, wstając od stołu; — co téż wolisz, łaskawco? papieros, czy cygaro, czy fajkę? Tytuń wprawdzie własnego chowu, ale nie żal nań gęby! Mam i turecki, i krymski, i amerykański, jaki pan chcesz? Służę.

Zan Zygmunt wziął cygaro, gospodarz fajkę sobie nałożył; Bogu dzięki złożyli, uścisnęli się z sobą i, znów u kominka zasiadłszy, a po lampce wzięwszy do ręki, żeby mieli czém czasem gardło odwilżyć, gawędzili dalej ochoczo.

— Powiedz-że mi, łaskawy panie, — spytał Widzki staruszka, — co zacz ten pan Szczęsnopolski? to jest, daj mi o nim wyobrażenie gruntowne i wszechstronne; bom go poznać bardzo ciekawy, już nie tylok dlatego, że mogę obowiązek przyjąć w tych dobrach, ale nadto, że wszystko, co dotychczas o nim słysza-

łem i com widział na własne oczy, każe mi w nim się domyslać jednego z najzacniejszych obywateli; a takich czczę i kocham, o takich się modlę do Boga! Staruszkowi oczy zabłysły, twarz się ożywiła rumieńcem, pierś wezbrała chlubą pocziwą.

— Nie mylisz się, łaskawco! — zawołał rozpromieniony. — Takich, jak Szczęsnopolski, nie wielu na szerokiej ziemi naliczysz, ale go sam nareszcie chyba ocenisz, bo gdybym cały tydzień ci gadał, nie opowiem o nim wszystkiego. Jedynak, wziął po ojcu śliczną spuściznę, rachując po staremu, dusz ze cztery tysiące; po matce drugie tyle przyjsć miało; ale Pan Bóg tak zrządził, że całą ojcowiznę utracił i bardzo ciężkie próby w młodym wieku musiał przebywać. Potém matka powierzyła mu swoje dobra, które on rychło z długów oczyścił i ślicznie, postępowo urządził. A gdy już matka umarła, i majątek wyłącznie w jego ręce się dostał, Bóg mu wrócił stratę dawniejszą, i to jeszcze z wielkim naddatkiem, bo dał mu za małżonkę, śliczną jak anioł, najzacniejszą dziewczę, a z nią w wianie kilka przepysznych wiosek. Mając już takie środki potężne, zamiast hulać jak inni, i o nic się nie troszcząc, trwonić za granicą dochody, a fortunę pozwolić szarpać ludziom bez czci i wiary, on z tém większą energią do pocziwój pracy się zabrał, majątek w tak kwitującym stanie postawił, że dziś mało mu równych, a tyle powszechnego dobra przysporzył, tylu uszczę-

śliwił biedaków, że go najśluszniej nazwać dzisiaj możemy, nie jednym z najzacniejszych, ale po prostu najzacniejszym obywatelem. Bo słuchaj, mój łaskawco, co to za człowiek! przypatrz się bodaj głównym zarysom téj wspaniałej postaci. Cała jego służba domowa składa się z ludzi, pośród których niema żadnego, coby dziś pisać, czytać i rachować nie umiał, coby ci się z książki nie modlił, a w chwilach odpoczynku nie zabawiał się pożyteczną lekturą, ku czemu jest u niego osobna biblioteczka. Pani zaś Szezęsnopolska trzyma bardzo liczny fraucymer, śród którego jak najwięcej małych dziewczątek; lecz je trzyma nie na to, aby jak niewolnice psuły oczy przy krośnach, tylko żeby pod jój macierzyńską opieką, przy pomocy jój córki, pod dozorem ochmistryni przez nią wybranej, oświecały swój rozum, kształciły serce, i uczyły się pracy wszelakiéj, właściwéj ich skromnemu stanowi. Jego officjaliści, których ma bardzo wielu, nawet może za wielu, bo w saméj kancelaryi generalnéj dóbr jego, że nie już o cukrowni nie wspomnę, jest aż dwunastu młodych biuralistów, — żyją u niego, jak u Boga za drzwiami, nietylko dobrze płatni, nietylko przypuszczeni do pewnego procentu od dochodów, oprócz pensyi stałej, lecz nadto i zabezpieczeni na przyszłość dóżywozną emeryturą, wynoszącą połowę rocznéj gaży po dziesięciu leciech, a całą po piętnastu; kto zaś dwadzieścia lat u niego wysłuży, ten nadto i kawał ziemi

w dóżywocie dostaje. Niejeden z nich kosztem dziedzica przeszedł nietylko szkoły, lecz nawet instytut agronomiczny; a są téż między nimi i tacy, których on na uniwersytet dawał. Wszyscy się odznaczają pięknym towarzyskim polorem, bo mniej okrzęsani przy innych nabierają z czasem ogłady; a dwór pański, wraz z sercem dla każdego otwarty, oddziaływa na wszystkich tak, że niema ani jednego, coby się w pałacowém kółku znalazłszy, czuł się upokorzonym, najadł się wstydu, lub nudy i ciężkiego przy-musu. Bo państwo Szezęsnopolscy po bożemu pojmują obowiązki obywatelskie, żyją życiem społeczném, wiedzą, co się dzieje w tém życiu i czego mu potrzeba, i niema dla nich milszój rozmowy, jak o tego życia objawach. A że i officjaliści mniej więcej oswojeni są z tém wszystkiém, gdyż wiedząc, jak to cieszy dziedzica, korzystają z bogatéj jego biblioteki, z którój on dla nich sam wybiera dzieła stosowne, jako téż i z dzienników, których jest kilkanaście na ich usługi; — w pańskim więc towarzystwie nie czują się wcale obcymi, rozumieją o czém się mówi, i sami również mają z czém się odezwać. Wszystko to chłopczy, jak lalki, a zaci, pracownicy, pobożni; bo muszą, mój łaskawco, koniecznie być takimi; bo cenią taką służbę, a żaden urwis, próżniak, libertyn, nie utrzymałby się u takich państwa, u których przedewszystkiém moralność i religijność o człowieku stanowią, którzy własnym przykładem cnoty

i pobożności uczą. — Gospodarstwo jego wzorowe, oparte na naukowych podstawach, doświadczeniem wypróbowanych; bo on sam zna się na wszystkiém, idzie z postępem wieku, wiele czyta i myśli, a mając ludzi zdolnych i pilnych, zwykle, skoro się tylko dowie o czémś nowém, praktyczném a pożyteczném, niezwłocznie jednego z nich wysyła, aby u źródła przypatrzył się nowości, zbadał ją należycie, doświadczył, i za powrotem zastosował na miejscu. Ale to wszystko opisywać nie sposób; jak się zajmiesz zarządem, sam najlepiej osądzisz, czy jest tam jaka gałąź ekonomiczna, któraby, nie już zaniedbaną była, lecz którejby uprawa nie stała na najwyższym stopniu doskonałości! — Nareszcie — pominąwszy już dobrodziejstwa pomniejsze, jakie pan Szczęsnopolski świadczy różnym biedakom, pominąwszy szpital dla chorych i przytułek dla kalek — kassa jego jest bankiem dla nieszczęśliwych ziemian na wiele mił wokoło. Iluż-to właścicieli pomniejszych od ruiny zachował, pomógł im do spłacenia różnych ciężarów! ilu dzierżawców od bankructwa ratował, pożyczką uwolniwszy od konieczności sprzedawania zboża na pniu za bezcen, kiedy nie mieli robotnikom czém płacić, albo z tenuty się uiszczyć! Ileż nareszcie drobnych fortunek zbawił, za długi wystawionych na sprzedaż!... Miarkuj-że, łaskawco, czy takiego człowieka nie można słusznie nazwać najzaciejszym obywatelem?

— Słusznie! — zawołał zachwycony pan Zygmunt. — Ale to wszystko jakby czarodziejska powieść wygląda!... Skąd środki?... chyba-ż cały swój dochód na to tylko obraca, aby dobrodziejstwa wkoło rozsiewać?!

— Cały! — wykrzyknął starzec. — A może-ż być piękniejszy użytek? Sam żyje jak najskromniej, nie wojażuje, balów nie daje, polowań nie wyprawia, brzucha, z przeproszeniem, nie pasie, żony, ni córki w brylanty i koronki nie stroi, syna zaś nie ma, więc i kapitałów nie składa; a wszystko, co mu Bóg daje, gwoli powszechnemu dobru poświęca. — To nie moje, — powiada, — jestem tylko dożywotnikiem, szafarzem bożych darów; a na cóż je lepiej obróć, jeśli nie na korzyść społeczeństwa? Pieniądz o tyle dobry, o ile pożyteczny, a możeż być większy pożytek, jak bodaj małą częśćkę ziemi rodzinnej w dobrym bycie postawić, dać uczciwy ludziom zarobek, dać chleb łaknącym, dać naukę biednej młodzieży?... Nie prawdaż, mój łaskawco?...

Widzkiemu oczy łzami wezbrały, a były to łzy gorzkie, palące; bo w myśli mu stanęły obok jasnej, wielkiej postaci tego obywatela, nędzne, liche, pozłacane bałwanki tych panów, co leniwi a pyszni, chcieli a rozrzutni, swą spuściznę zmarnowali bezmyślnie, co ją dali rozszarpać nieuczciwym plenipotentom, niegodnym adwokatom, brudnym lichwiarzom, rozrucili garściami po hotelach, kawiarniach i ma-

gazynach, albo w karty przegrali; i tych, co spekulują, pokręcili karki nareszcie; i tych, co wołają skrzyń nie szczérém złotem ładować złodziejom na przynętę, albo swe kapitały po bankach zagranicznych na bankructwo umieszczać, niżli, sąsiadów od ruiny ratując, zabezpieczać dobro społeczne; i tych wreszcie, co z kamienną obojętnością patrząc na to, jak inni giną w nędzy ostatniój, albo lecą w przepaść spodlenia, nie chcąc umierać z głodu, — o sobie tylko myślą, i nad miły grosz swój nie widzą nie świętszego na świecie!... Zapłakał więc w żalu niezmiernym, że takich Szczęsнопolskich, niestety! nie wielu się znajdzie na ziemi, a tak wielu ich potrzeba! a tylu marnotrawców lub sknerów mogłoby przy swych środkach materyalnych, gdyby tylko chęci poczeiwe, choć trochę się do tego ideału przybliżyć.

Gwarzyli tak jeszcze z godzinę, aż nareszcie ustała ulewa, i Widzki o wyjeździe wspomniął. Nie łatwo-by mu przyszło w dalą puścić się drogę, bo niezmiernie przypadł do serca pocziwemu gracyaliście; ale że i ten o podróży zamyślał, chcąc względem współkolegi powinności świętej dopełnić, więc go nie zatrzymywał, i, choć z żalem, pożegnał, pocieszając się dobrą nadzieją, że niebawem znów się zobaczą, i da Bóg, nieraz będą pogadanką miłą się bawić. Tylko jeszcze na drogę obładował go całą torbą jabłek i gruszek, całą kopą cygar domowych,

parą butelek miodu i koszykiem różnych przysmaków na gościniec dla dzieci.

We trzy dni po tój miłej gościnie już pan Zygmunt wrócił do Raczek, a kiedy witał ucieszoną swoją rodzinę, kiedy już się zabierał zdać jój sprawę z wycieczki, uwieńczonej tak pięknym skutkiem, żona go uprzedziła z wielką nowiną. Pozawczor pan prezes z księdzem Anastazym przyjeżdżał. Zrazu tylko pani sędzina wyszła do niego, bo, jak pani Amelia, tak również i Helenka, widzieć się z nim nie chciały; ale wreszcie uległy prośbom księdza Anastazego, i, choć z wielkim przymusem, także się ukazały gościowi, który je witał z taką szczerą radością, z takiem wylaniem się serdeczném, że nie podobna było ręki mu przyjaznej nie podać. Po godzinie gawędy o swój ciężkiej chorobie, o wyjeździe w dalekie kraje swój małżonki i dzieci, po wynurzeniu żalu, że nie zastał pana Zygmunta, poprosił w końcu pokornie o parę chwil rozmowy z samą panią sędziną. A kiedy się zgodzono i został z nią sam na sam, najprzód przedstawił jój rachunki z dochodów arbuzywieckich i przy nich trzysta rubli odsetków przynależnych panu Widzkiemu; potem, przeprosiwszy najmocniej za wznowienie przykrości, którą, jak mówił, sam najlepiej pojmuje, zaklinał o przyjęcie listu od swego syna, pragnącego przebłagać córkę i rodziców za nieszczęsną swą lekkomyślność i z niej się usprawiedliwić. Sędzina wysłuchiwała go bardzo

uprzejmie, ale ani pieniędzy, ani listu nie wzięła, tłómacząc się najgrzeczniej, że bez pana Zygmunta nie śmie w tak ważnych sprawach swoim zdaniem się rządzić. Prezes ustąpił, zasmucony niezmiernie, i tylko już o jedną łaskę upraszał, aby się postarała macierzyńskim swym wpływem dobrze dlań usposobić syna swojego, nie tylko względem listu, ale w interesie jeszcze większej wagi, a mianowicie: aby zechciał doń wrócić i objąć całe dobra w bezpośredni swój zarząd z mocą najzupełniejszą; lecz i w tém także stanowczego słowa nie dostał. Odjechał więc zgryziony, tylko wprzód Łypińskiego i Kurczyckich odwiedził, proponując im także powrót na dawne miejsce z pensją podwyższoną i z indemnizacją sowitą; ale i tutaj również zawód go spotkał, bo obaj officjaliści oświadczyli z pokorą, że bez rady pana Zygmunta propozycyi przyjąć nie mogą! Prosił więc Kurczyckiego, aby ten, skoro tylko Widzki powróci, natychmiast uwiadomił go o tém. — Ksiądz wikary powtórnie dowiadywał się wczora; opowiadał, że prezes chodzi jak nieprzytomny, tak mu bardzo dojmuje ta niepewność, w której zostaje, tak pragnie zatrzeć pamięć przeszłości i Widzkiemu powierzyć zarząd całej fortuny, żeby ją po swęj myśli zorganizował. Dodał nadto od siebie, że pan Zygmunt powinien, jako dobry katolik, zapomnieć swęj urazy, przebaczyć z serca temu, co sam nawet nie bardzo winien, a tak pięknie się korzy; skorzystać ze zrę-

czności, i nie tylko majątek, ale i człowieka podźwignąć; że zresztą o tak piękną posadę, i o tak wielkie pole do zasługi nie łatwo; a pole to bezpieczne, bo pani prezesowa z za granicy pewno nie wróci, równie jak i pan Bolo, który, zdaniem prezesa, na najlepszą wszedł drogę.

Pan Zygmunt, wysłuchawszy relacyi, sam nie wiedział, co począć? Pocziwie jego serce poruszone było do głębi tym postępkiem prezesa, dającym najpiękniejsze o nim świadectwo, i nie mógł bez wielkiego żalu pomyśleć, że te chęci tak pocziwie muszą spełzną na niczem, że człowiek, co na taką zasnę wszedł drogę, na pierwszym po nięj kroku tak się potknie fatalnie o najmniej spodziewaną zawadę! Z drugiej strony uważał w swojej duszy szlachetnej, wylanęj dla powszechnego dobra, że, w Szczęsnopolu obowiązek przyjąwszy, głównie sobie tylko dogodzi, w Stefanówce zaś tyle jest do zrobienia! taki piękny materyał na drugie Szczęsnopole, przy łasce bożej!...

I zafrasował się srodze, i wahał się przez chwilę, azali nie zamileźć przed żoną o tém, co mu niedawno było taką pociechą, z czém tak pragnął co rychlęj do rodziny swojej się dostać? azali nie przeprosić pana Szczęsnopolskiego, wytłómaczyć mu się otwarcie i z panem Sadłowieckim się zgodzić? — Myślał, myślał, aż wreszcie, uważając, pono i słusznie, że skrzywdziłby matkę i żonę, gdyby to, co go w drodze spotkało, w tajemnicy przed niemi zachował,

gdyby nie naradził się z niemi, postanowił wszystko wyjawić, lecz zarazem i swą troskę wynurzyć, i pocziwe plany im zwierzyć. Uczynił też to niezwłocznie.

Wiadomość o tak świetnej posadzie, jaka się w Szczęsnopolu trafiała, ucieszyła całą rodzinę, a szczególnie panią Amelię, która jużby na skrzydłach rada była z Raczek ulecieć; skoro tedy pan Zygmunt, przedstawwszy swoje pobudki, zapytał się o radę, czyby nie lepiej było z prezesem się ułożyć? sędzina rzekła na to: — Rób, jak ci własne przekonanie dyktuje, a tak pewno będzie najlepiej. Helenka, jak już wiemy, ślepo ojcu wierzyła i współczuła we wszystkich szlachetnych jego chęciach; ale pani Amelia już ani słyszeć o prezesie nie chciała, i z płaczem taki szereg zarzutów i wniosków najsmutniejszych wywiodła, że Widzki musiał cofnąć swój projekt, a przynajmniej odłożyć do dalszego namysłu.

Wkrótce potem nadszedł Łypiński, a za nim i Kurczyki, którym znowu pan Zygmunt musiał opowiadać swoje przygody, a tu go wielka przykrość czekała, bo nie wiedział, jak wybrnąć z nader trudnej pozycji? Obudwom obiecywał niejednokrotnie, że jak znajdzie dobrą posadę, jak zostanie, na przykład, generalnym gdzieś rządca, to ich także z sobą pociągnie; a tu... trzebaż takiego składu?! W Szczęsnopolu niema wakansów! co gorsza, gdyby nawet i były, przy tamtejszym gospodarskim ustroju, przy takich, jak tam byli, officyalistach, możnaż było co

znaleźć dla podobnych prostaczków? Liczył wprawdzie Widzki na dobroć pana Szczęsnopolskiego, ależ znowu smutno mu było takich ludzi pocziwych lokować jakby z łaski, bez wielkiego pożytku, wówczas gdy u prezesa byłaby z nich korzyść istotna... Zwolna więc zdawał sprawę ze swęj przygody i z tego, co mu gracyalista opowiadał o Szczęsnopolskim, chciał bowiem odwlec jak najdalej kłopotliwą wiadomość, ażeby się pierwój namyslić, jak złagodzić ten zawód, który spotka biedaków, kiedy, wbrew obietnicom dawniejszym, zmiana w jego losie pomyślna im znowu chyba obietnicę tylko przyniesie.

W tém wszedł goniec z pismem i pan Zygmunt zbył się kłopotu, bo musiał, nie skończywszy opowiadania, wybierać się w drogę nie zwłocznie, wezwany do Kijowa na termin.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

W Raczkach tymczasem, u panów kollatorów, było gwarno, wesolo, jak gdyby nikt na bożym świecie nie płakał, nie cierpiał, nie rozpaczał; jakby ni-

komu ni dachu nad głową, ani powszedniego chleba nie brakło; jak gdyby nikt nie stracił ani ojca, ani brata, ani męża, ani kochanka — słowem: jak gdyby wszyscy opływali w szczęściu najzupełniejszym. A przecież w tych samych Raczkach tyle było nędzy i biedy, tyle ciężkiej bolesti!! Tego właśnie lata burza gradowa spustoszyła pola zupełnie, w kościele wszystkie szyby w oknach potłukła i część dachu zerwała. Ksiądz proboszcz, kilka razy, z ambony w Imię Boże wiernych zachęcał, aby pośpieszyli z ofiarą, z opatrzeniem Pańskiej świątyni; lecz, niestety, napróżno! Dziadek kwestujący w niedzielę do zakrystyi zwykle powracał z garstką tylko miedziaków, z wdowim groszem prostaczków; bo panowie obywatele, po ciężkiem gradobiciu, nietylko na imperyały, lecz nawet i na grzywny już się zdobyć nie mogli, a miedź rzucać na tackę wstydzili się szlachetnie. Wróble więc po kościele latały, tynk opadał odmokły, a wiatr świece gasił na ołtarzu! — *Bieda panie!* — jak powiadał Łypiński! — Bieda! bo z *przytulku*, co dotąd przy probostwie się trzymał dla kalek i dla starców, biedactwo rozlazło się po świecie, żeby z głodu nie umrzeć; gdyż proboszcz, bez pomocy parafian, nie był zdolny go opatrywać. Bieda! bo i szkółka upadła dla braku funduszu! Bieda! bo nawet groby na cmentarzu parafialnym ryły wieprze nieczyste, grzbiec czochrając o święte krzyże, gdyż nie było za co muru dokończyć, zaczętego przed kilku laty, choć

pobożni włościanie potrosze zwozili nań kamienie, i choć ksiądz proboszcz także Kurezyckiego najął z furmanką, chcąc go w nędzy ratować. Smutny obraz, niestety, ale na biedaków trudno rzucić kamieniem, bo z nimi było kuso, za katy! Trzech czy czterech kolokatorów musiało ze szkół dzieci odebrać, nie mając edukacyi za co dokończyć; kilka dzielniczek wystawionych było na licytacyę, parę już nawet sprzedanych, a jeden biedny dziedzic uwieczony za długi. Inni ledwie dychali, goniąc już ostatkami, procenta za procenta placąc lichwiarzom, zatrzymując sługom zapłatę, rzemieślników i kupców do sądneho dnia odsyłając. Jakże więc można było od nich wymagać, żeby o Bogu pamiętali i bliźnich, kiedy, myśląc o samych sobie, potracili głowy biedacy? jak chcieć, żeby się jeszcze kłopotali o zmarłych, kiedy i żywym nastarczyć nie mogli?!

A więc nie dziwy, że w tak ciężkich i smutnych czasach, musieli szukać jakiegś rozrywki, i byle okayjka, byle jaka rocznica, *cieli hopki* w najlepsze, jak powiadał pan Klawiszyński, co im z *panem bratem* swym, cymbalistą, do tych *hopek* zwykle przygrywał.

Główną promotorką tych *hopek* była pani Wierzgalska, osoba już nie młoda i nie ładna, trochę krzywa, trochę otyła, lecz z wielkim talentem w nogach, z wielkim gustem w strojach, ze wspomnieniem ślicznej kibici z przed kilkunastu latek, i żalem do ubiegłej już *wiosny życia*, której słodyczy (jak ma-

wiała sama melancholijnie) nie zaznała zupełnie. Bo dla niej, jak i dla wielu istot jednego z nią rodzaju, istot z pustą głową i lekkim sercem, co myśleć, ani czuć głębiej nie zdolne, cały urok młodości zawierał się jedynie w tańcu; szczęście mierzyło się mniejszą lub większą liczbą przetańczonych polek i walców; a los oplakany tak zrządził, że choć wyszła za Wierzgalskiego wprost z ławki pensyonarskiej, wierzgać wcale nie mogła! Tyle tylko co na weselu wyhasała się naleźć; bo ledwie utrudzone stopy nieco odeszły, ledwie na nich przyschły mozoly, jak na toż trzeba było umrzeć matce mężowskiej! Ledwie po matce skończyła się żaloba (było to jeszcze w owych czasach przesądnych, gdy dzieci, nawet niegodne, uważały za obowiązek, choć przez rok i sześć niedziel, przynajmniej tą zewnętrzną oznaką żalu czcić pamięć dawców życia swojego; teraz już, dzięki... nie Bogu... dzięki postępowi oświaty, w takie się głupstwa mądrzy ludzie nie bawią) — owóż ledwie po matce skończyła się żaloba — masz tobie! ojciec do wieczności się przeniósł! Nowa bieda! nowa miłoga! Lecz i na tym jeszcze nie koniec! Urzędowy termin upłynął, pohulałoby się z ochotą, ale, jak na toż, nie-szczęśliwa pani Wierzgalska była podówczas... jakżeby to powiedzieć?... była... była w takim nieboga stanie, że jęj taniec, tę niewinną taką rozrywkę, mogliby ludzie nieznosni uważać za coś zdrożnego, szczególnie zaś jęj babka, matrona bardzo zaena

i mądra, a dziwnie w obyczajach surowa. Toż się napłakała biedaczka! bo, jak na to, aż trzy baliki odbyły się wtedy w sąsiedztwie, na których ona tylko na tańczących patrzeć musiała!... a dwa prócz tego, których nawet widzieć nie mogła! — Cóż myślicie? czy już po wszystkiem? gdzie tam u Pana Boga! Toż, na nieszczęście, miała jeszcze własnych swoich rodziców, i tychże trzeba było oplakać i odżałować; a potem, mąż nieznosny, mąż, człek już nie pierwszej młodości, paraliżem tknięty fatalnie, przykuł ją na lat kilka do swego łóża; to jest nie on właściwie, tylko zawsze ta babka, ta obrzydła gderalska, ta nudna rygorystka, której nadskakiwać było potrzeba, bo miała kilkanaście tysięcy, i mogła rozporządzić niemi według swój woli. Nareszcie i mąż ruszył *ad patres!* Swobodniej odetchnęła pani Wierzgalska, i oplakawszy, jak przystało, stan swój wdowieński, równo w rok i sześć niedziel wyprawiła piknik we własnym domu, — pierwszy od lat dwunastu! Toż to wywijala zawzięcie! Boże mój miłosierny! Potem była na dwóch jeszcze w sąsiedztwie i tyleż tego! Babka się rozfochała, rozgderała okrutnie: a to nie-przyzwicie! a to czyste zgorszenie! Asindzee tylko reduty w głowie, tylko skakać i skakać, a dzieci tutaj płaczą, a niema im komu nosa utrzyć; a siedziałabyś w domu, a pomyślałabyś o ich nauce, i t. d. i t. d., peror bez końca. Nie było rady! biedna wdówka musiała uleść; osiedziała się w domu, i nuż

swoje córnie uczyć — tańca, tańca najpierw! Umówiła metra rocznego, i codziennie przy skrzypce regularnie po dwie godziny kazała im *hopki wycinać*. A że córka trzy tylko miała (dwaj synowie byli już w szkołach), więc zwykle do kadryla i do mazura, a czasem też do walca i do polki, sama stawać musiała i hasała do upadłego. Lecz dogódź-że starym gderaczom! Babce i to wadziło, szczególnie gdy się rozchorowała. — Wy mnie dobijacie, mawiała, temi codziennymi hecami i tém rzępoleniem nieznośnym! Dzień w dzień, przez parę godzin, niema żywej duszy tu przy mnie, nikt mi kropki wody nie poda! Sko-
nam kiedyś, a wy w najlepsze płasć sobie będziecie! Gotowiście i na *my*m grobie majówkę sobie z tańcem sprawić wesolą! — I tak się rozkapryszyła, że w końcu zaczęła się domagać, żeby ją wywieziono z domu jej wnuczki do ubogich krewnych dalekich. — Oni lepiej uczczą mą starość, tańczyć będą, ale przy mojem łożu na posłudze serdecznej, a jak po mój śmierci zapłaczą, to znajdzie się czém otrzeć oczy!

Co tu począć z tą babą? Gotowa wydziedziczyć ze złości! Przeleżała się pani Wierzgalska, uderzyła w pokorę, w przeprosiny najczulsze, i trochę udobruchała babkę. Lekcje tańców ustały, a gdy choroba się wlekła i wlekła, coraz się pogorszając, wnuczka czule swe serce obróciła ku Bogu i przeróżne ofiary na intencję chorąj robić zaczęła, żeby zaś ją przekonać, jak gorąco, jak szczerze pragnie jej wyzdrowienia,

nawet szczęście swoje największe dla niej ofiarowała: ukląkłszy przy jej łożu przed obrazkiem Matki Najświętszej, głośno, uroczyście Niebu śluby złożyła, że odtąd przez rok cały, ani w domu, ani za domem, ani ona, ani jej córki tańczyć wcale nie będą.

Niestety! mimo ślubów i ofiar, babka wkrótce umarła, ale czulej swój wnuczek zostawiła w spuściznie kilkanaście tysięcy rubli. Już to nie całkiem wnuczek, bo zaraz na dwie części tej sumy położyli areszt kredytorowie; z trzecią pani Wierzgalska ruszyła do Odessy niezwłocznie, żeby sobie i dzieciom sprawić *piękną* żałobę; lecz wróciwszy, oprócz żałoby, przywiozła całą furę fioków i koków, o których, gdy gruchnęła wieść po dworach obywatelskich i po miasteczku, to przez cztery tygodnie drzwi się nie zamykały w domu *wdowy-sieroty*, w którym tak długo trwała istna wystawa owych wielkich osobliwości na podziw i na zazdrość wszystkim sąsiadkom.

Toż-by się zahulało teraz, aż miło! ale jakoś nie-przyzwolicie, tak rychło po tej babce, co się po niej ręce łamało, lamentując i mdlejąc, rozpoczynać już hece, témbardziej, gdy wiedzieli już wszyscy, a nawet i ksiądz proboszcz, o *tej wielkiej ofierze* na intencję nieboszczki. Ze dwa więc, albo ze trzy miesiące biedna pani Wierzgalska tyle tylko miała pociechy, że się co dzień wyczupurzywszy z córeczkami swojemi, przejeżdżała koczem otwartym po mieście i po przedmieściu, wizytując wszystkich znajomych, co nie-

dziela zaś, strojna jeszcze z większym przepychem, pchała się do presbiterium, na pokaz całutkiej parafii, z najmiłszymi dziatkami, którym podczas processyi ołtarzyki nosić kazala.

Nie wielka stąd jednakże była pociecha! serce więcej pragnęło. Przyszły wakacje, chłopcy ze szkół wrócili... trzebaby im sprawić jakąś rozrywkę... Cóż miłszego w świecie nad taniec?! Ale śluby! śluby nieszczęsne! Co tu począć? ot niechaj znowu się uczą! Sprowadziła znów metra i dalejże płaść z dziatkami! Lekye, to nie zabawa! to są rzeczy bardzo poważne, i ślubom nie ubliżyć nie mogą. Pragnąc zaś, żeby i inne dzieci nie traciły dobrej sposobności do nabycia tak pięknego talentu, żeby im młode lata marnie nie przeszły, z gorliwością największą objeżdżając całe sąsiedztwo, zaklinała wszystkich rodziców, aby, korzystając z jęj metra, do nięj na lekye przysyłali swoje pociechy. I wkrótce dziatek ze dwa tuziny zwerbowała do swego domu, a były między niemi nawet i takie, którym już pod dwudziestkę sięgało, jednak *in gratiam* ślubów, *in gratiam* domu okrytego żalobą, i one *dziateczkami* się stały, i one nie *tańcowały*, lecz tylko się *uczyły*. Ale cóż z tęg nauki?! Panien było nadto, a chłopców... same bębny... trzech tylko nieco starszych, *piętoklaśników*: a ze smarkaczów takich, cóż za korzyść *dziewczątkom*, co już się dawno laleczkami bawić przestały? — Głośnie były wówczas w tamtejszych stronach świetne bale w pewnym ma-

gnackim domu, gdzie wielkie *piękne panie* miały tak zwanych własnych *galopantów* tam jakichś — każda jednego na wyłączne swoje usługi; więc i naszym szlacheciankom, choć się zwały jeszcze dziatkami, chciałoby się serdecznie *galopantów* dostać podobnych; lecz niestety! w Raczkach na kawalerów była istna karystya: jedni za chlebem, drudzy za karyerą, gdzieś się tłukli po świecie, a tańczyć nie było komu! Jeden się tylko ex-biuralista trafił, ale ten, choć był chłopak *nie aby*, wszelakoż na codzienne potrzeby tylu dziatkom wystarczyć nie mógł; galopując przez dwa wieczory, taką tęgą wziął łaźnię, tak się zhasał nieborak, że jak to mówią, ani ręką, ani nogą nie mógł, poruszyć; prawa ręka szczególnie tak się upracowała od dźwigania miłych ciężarów, że gdy mu przyszło jakąś prośbę napisać, naprawdę nie był zdolnym pióra utrzymać. Przestał więc na wieczorki uczęszczać i piękne baletniczki raczkowskie (o doło!) jedyne *galopanta* straciły! Ale za to *uczniaki* coraz to lepszęj nabierali fantazyi, kupowali sobie lornetki, émili papierosami, nawet i do kadryla z niemi w zębach stawali; pociągali wódeczkę i puszczaali się w koper czaki okrutne — słowem: kształcili się wybornie na korzyść i na chlubę rodzinnęj ziemi.

Lekye trwały kilka tygodni, a szło to ku imieninom pani Wierzgalskiej. Imieniny! mój Boże! czyż bez balu obejść się mają? A śluby? ożwało sumienie, i surowa twarz babki groźném widmem w duszy po-

wstała... Śluby?... Cóż po nich, kiedy babka umarła? Jak Bóg Kubie, tak Kuba Bogu. Gdyby przyszła do zdrowia, toby ślub się utrzymał; umarła, to i z ofiary kwita. Wszelakoż poradzić się lepiej proboszcza, poprosić o rozwiązanie.

Ksiądz proboszcz, posłyszawszy o takiej zgrozie, rozsierzdził się okropnie, i nagadał jój co się zmieściło: — Jakto? czyż jójmość dobrodziejka w handel z Panem Bogiem wchodziła? ty mnie to, a ja tobie to. Co jójmości przyszło do głowy?! A zresztą, czyż tu jeszcze ślubów potrzeba, czyż i bez ślubów nie warto po takiej dobrodziejce popłakać, a przynajmniej choć uczciwie *decorum* zachować? Toż to była święta niewiasta! obcy jój żalują, obcy się modlą, a jójmość dotąd mszy jednej dla jój duszy nie poświęciłaś, krzyża nawet prostego na jój grobie nie wzniosłaś! jójmości tylko tańce i tańce w głowie! Małoż to już zgorszenia, żeś z domu, w którym jeszcze czuć kadzidło pogrzebne, zrobiła istną szkołę baletu, że nie tylko własne swe dzieci gubisz lekkomyślnie, ucząc je próżności i zamiłowania w marnych uciechach, ale nadto i cudze nęcisz do tój swawoli i rodzicom ich głowy zawracasz? Nie jedna tam błaznica, nie tylko dobrze czytać i pisać, lecz może i pacierza nie umie, a jużby tylko fikała i fikała, kręcąc długim ogonem i kudłami trzęsąc na głowie. A nie lepiejby to w domu siedziało, z igielką lub pończoszką, przy spiżarni lub kuchni, przy książeczce lub seksterniku? Ale

gdzie tam! z łaski jójmości, wszystko to rwie się do tańca. Byłem wczoraj u Czepskich: jęki, beki, lamenty! Co się stało, dla Boga? Córnie gwałtem chcą tańczyć, gwałtem molestują ojca o lekeye, a on biedaczysko w takich obrotach, że im nawet trzewików nie ma za co dziś kupić. Perswaduje, przedstawia ciężkie swoje kłopoty; ja (mówi) nawet guvernantkę będę musiał odprawić, choć jeszcze nie umiecie, czego potrzeba. — A starsza rezolutnie mu na to: niechaj papa odprawi, bo co nam z tój nauki? kawalerowie z gramatyki ani z *artymetyki* nie egzaminują, i choćbyśmy *byli* mądre jak *Salamony*, to za *munż* nie wyjdziemy, jak będziemy siedzieć za piecem, nie umiając tańcować. — A ja na to: dobrodzieju mój drogi! a puść-że ją w taniec, bądź łaskaw, a zagraj ot tym smyczkiem rzemiennym! — I zdjawszy dyscyplinę z koleczka, wetknąłem mu do ręki. — Posłuchał, i tём wreszcie trafił do przekonania; ale inni ulegli. Dzieci się bałamuca, próżniaczą, rozwydrzają się do ostatka, a szkolne żaki o romansach już myślą! Sodoma i Gomora! Do kościoła mi nawet wnoszą tylko zgorszenie. Nie na modlitwę, lecz na wytrzeszczki chodzą; bo jak tём wystrojone błaznice za processją niosą ołtarzyk, to błazny jak w kadrylu poprzedniemi tańczują, śmiejąc się i mrugając przez szkiełka. Będę musiał kiedyś z ambony zgromić taką rozpustę, a wreszcie dziadka z łaską postawię i każę mu takich urwisów wprowadzać za drzwi, do licha! —

Wszystko to jest sprawa jójmości! To poprzestańże na tém: dość już dyabłu pociechy! Nie wdawaj się w bale publiczne, gdy Bóg dom twój okrył żalobą, gdyś sama dobrowolnie ślubowała Mu rozbrat z tą uciechą światową. A zresztą baluj sobie, jeśli masz tak twarde sumienie; naucz dzieci własnym przykładem, jak się święci pamięć rodziców i dobroczyńców swoich: lecz przynajmniej u księdza aprobaty nie szukaj na bezceństwa takie. Wychodząc zaś ode mnie, podnieś głowę do góry i spojrz na potłuczone okna i na dziury w dachu kościelnym, a jadąc po pod cmentarz, wypędź świnię, co pewno ryją groby twych rodziców i babki, i zaprosz Kurezyckiego, co tam wozi kamienie, choćby do płukania talerzy, a może przy tém kostkę jaką ogryzie i dla głodnej swój dziatwy coś tam z niedojadek waszych po połowie z psami uchwyci. Już to mogłabyś jójmość dużo takich gości zgromadzić... po pod dom twój idzie trakt bity, to widzisz zapewne, jacy to biedni ludzie czasem po nim się wleką; zaprosz i tych!... do nóg upadam!

Srodze się obrazila tą perorą pani Wierzgalska, wszelakoż zawahała się z balem, i po długim namyśle wreszcie postanowiła sprosić gości w dzień swych imienin i sprawić im hulankę, ale samęj z dziatkami nie brać w tańcach udziału i żaloby ciężkiej nie zrzucac.

Bal, bal! zaszumiało po Raczkach na tydzień

przed tą wielką uroczystością. Cały tydzień we wszystkich dworkach prano, prasowano i szyto na leb na szyję, a co było lamentów, co prośb, co wyrzekai, co spasmów, co podstępów, intryg, zabiegów, żeby u małżonka, czy ojca, dostać kwitek do bławatnego sklepu, żeby krawców sprowadzić, o których niemal walczyć było potrzeba, żeby na głowę czupiradło jakieś *wypisać*, choć z Winnicy, lub z Mohyłowa, jeśli już nie z Kamieńca, dostępnego tylko dla najszczęśliwszych...

Nareszcie dzień zabłysnął oczekiwany! Piętoklasiści przekroili mundury na fraki najświeższej mody, posprzedawawszy książki, posprawiali sobie lakierki i białe rękawiczki, i z góry już się w duszy cieszyli spodziewanym tryumfem; ale ba! szkoda było fatygi: poszli w kąć nieboracy na balu, bo Wierzgalska w sekrecie, chcąc *siurpryżę* sprawić panienkom, posłała aż dwie fury do miasteczka powiatowego, skąd usłużny metr tańców przywiózł dla niej aż sześciu *froterów*, geniuszów prawdziwych, których sam był wykształcił, a którzy mieli wszelkie kwalifikacye, na urząd *galopantów* potrzebne.

Bal więc był co się zowie paradny i pełny najświetniejszej świetności. Panie i panny wyglądały jedne piękniej od drugich, ale najpyszniej wystąpiły, najwięcej życia weń wlały, trzy, iż tak rzeknę, królowe.

Pierwsza, pani Fligenfoglowa, *primo voto* Krwaw-

nicka, której pierwszy małżonek, człek pocziwy, ale straszny impetyk i zazdrośny jak Turek, w uniesieniu dzikięj zazdrości zamordował jakiegoś gacha, co się doń pani uśmiechała zanadto słodko; wskutek czego umarł cywilnie, a ona w kilka potém miesięcy nowe śluby zawarła. Druga, pani Ciupińska, właśnie żona owego pana, co to w turmie siedział za długi, których ta swym posagiem bardzo słusznie płacić nie chciała, mając troje dzieciątek i dbając o ich przyszłość pocziwie. — Trzecia wreszcie, panna Duleyńska, której narzeczony najmilszy tego właśnie lata utonął, a ojciec, aferzysta zawzięty, wdawszy się w jakąś spekulację szaloną, zbankrutował nieborak i przepadł gdzieś bez wieści.

Hulano aż do świtu! dwie muzyki grały na przemian, jedna żydowska, a druga z Klawiszyńskich złożona, a nie szczędzono ani jadła, ani napoju. Do północy pani Wierzgalska z dzieciakami swojemi trzymała się, jak mogła, choć jęj, z przeproszeniem, aż łydki drżały, aż coś w piętach wierciło. O północy, po kolacyi właśnie, jak przystąpili do nięj mężczyźni z kielichami, wnosząc huczne przedzrowie, jak zaczęli ręce całować, a klękać, a do stopek się schylać, tak nie mogła się oprzeć i przeszła z aniołkami swojemi raz jeden poloneza bardzo poważnie. O pierwszjęj, znów usilnym ulegając perswazyom, dzieciom pozwoliła przejść się w kadrylu; o drugięj do kadryla sama stanęła, a że w szóstęj figurze, jak wiadomo, galop

wypada, więc jak zaczęła galopować nieboga, tak już zapomniała o całym świecie, i aż do dnia białego tak hulala w wirze polek i walców z dziewczkami i chłopczykami swemi, że tylko białe taśmy u sukien widać było, a basista, ucieszony taką ochotą, przypisywał ją cudownej sile znakomitęj swojej basetli i już - już tylko wyglądał, jak i stara babunia, wstawszy z grobu, *hopki cięć* przyjdzie, a wreszcie w takt wesołęj polki basem zanucił:

Graj córeczkom, graj matuni,
Hopki, hopki po babuni!

Na szczęście, czy na nieszczęście, nie słyszała tego pani Wierzgalska, bo naprawdę babunia snadź też w płasy puścić się chciała: portret jęj, zawieszony na ścianie w ciężkich ramach złotych, pewno skutkiem wstrząśnienia, jakiego doświadczały zręby starego domu, gdzie na raz *cięło hopki* par kilkanaście, nagle zerwał się z gwoźdźia i z trzaskiem na podłogę się zwałił; a to tak przeraziło wnuczkę pocziwą, że, jakgdyby istotnie babkę powstającą z grobu ujrzała, jękla *ach!* i bez zmysłów padła na ziemię, galopanta swojego pociągawszy za sobą.

Zrobił się straszny rozruch i zamęt, i bal taki wesoły zakończył się dość smutnie; bo w młodościach gospodynię odnieść do sypialni było potrzeba. Goście się rozjechali natychmiast, szepcąc pomiędzy sobą, że ten portret babuni nie bez racyi upadł ze ściany, bo, ot Bogiem a prawdą, źle zrobiła pani Wierzgalska,

że tak prędko po śmierci babki z dziećmi swemi tańczyć zaczęła. Patrząc, jaka to wdzięczność?! Najedli się, napili, wyhulali się i ogadali! Tak to zawsze na świecie!

Pani Wierzgalska chorowała dni kilka, tak mocno ten wypadek wzięła do serca, i nawet postanowiła już do końca roku ślubowanego więcej balów nie sprawić, ba, nawet i nie tańczyć zupełnie. Ale że serce miała miękkie, jak z wosku, że, idąc za jej dobrym przykładem, sąsiedzi też zaczęli szpicbaliki wyprawiać, żeby ich drogie dziatki nie zależały pola: więc ta druga połowa rozpaczego postanowienia przyjsię nie mogła jakoś do skutku; musiała tańczyć pani Wierzgalska, kiedy wszyscy w Raczkach tańczyli.

Hulanki te jednakże, w jednych domach świątnie, hucznie i tłumnie, w drugich się odbywały *in promptu*, w kółku bardzo ścieśnioném, przy fortepianie i dwóch świecach stearynowych, a nie brakło i takich, gdzie łożówka świeciła a gitara grała do tańca: tak krawiec kraje, jak mu materyi staje; wielu wezwanych, ale mało wybranych. Każdemu chciało się potańczyć; ale nie każdy, a nawet mało który z obywateli mógł tak liczne grono ugościć, jak, na przykład, pani Wierzgalska, nie każdy był do tyle szczęśliwym, żeby *wszyscy* raczyli jego progi nawiedzać, boć to przecie wiadomo, że są różne stopnie na świecie, różne tytuły, różne prawa dystynkeyi, urodzenia, majątku i t. d.

Tak, na przykład, pani Bursztyńska, matka dwóch z owych piątoklasistów, odebranych ze szkół w tym roku skutkiem braku funduszu, miała jeszcze i córkę, panienkę szesnastoletnią, nie mniej od swoich braci do taneczka ochoczą, i z duszy drogim dziatkom pragnęłaby dogodzić; ale cóż, kiedy bieda laźła we drzwi i okna? a bogatsi sąsiedzi jakoś jedni z góry na nich patrzyli, drudzy darli z nimi koty, nie wiedzieć za co. Chłopców wprawdzie brali na *galopantów*, ale dziewczę nieboże w domu zwykle siedzieć musiało, bo, nie mając na stroje, nie mogło występować na wielkim świecie. Radząc więc tej niedoli, dobra pani Bursztyńska raz w tydzień sprawiała dla swych dziatki wieczorynki u siebie, na które, żeby zwiększyć taneczne koło, zapraszała nawet ekonomówny, nawet panny służące, nawet prowentowych pisarzy, utrzymując, że ma na celu głównie okrzesianie *tęj klasy*. I dzieci były rade tej krzesaninie, szczególnie zaś chłopaki, co sądzili, że w takim kole można sobie pozwolić.

Owóż zbliżamy się do celu tej historii tanecznej. W parę tygodni po wyjeździe pana Zygmunta, Helenka, która z matką lub babką najczęściej na mszy tylko ranniej bywała, raz wniedzielę poszła na sumę, i panowie Bursztyńscy, co zazwyczaj po *ite missa* wybiegali z kościoła i stawali tuż przy drzwiach, żeby w oczy pannom zaglądać, ujrzeni po raz pierwszy *to cudo*; a że znali już dobrze wszystkie buzie z całej

parafii, tém mocniej uderzeni byli widokiem téj ślicznej panny, że nie mogli odgadnąć, skąd się ona tam wzięła? i, jak Bolo onego czasu, tropić ją postanowili. I oni, tak jak Bolo i jego mama, przypuszczali na razie, że to jakaś arystokratka, i sądzili, że rychło po nią zajędzie powóz wspaniały; potem widząc, że pieszo za kościelną bramę wychodzi, pomknęli za nią w ślady, myśląc, że pewno zajdzie do oberży w miasteczku; lecz i w tém się zawiódłszy, przedsięwzięli zdala ją śledzić, aż do punktu, gdzie się zatrzyma. I dotarli celu nareszcie, stanęli u wrót pana Zygmunta. Dalej-że więc do żydów!

— Kto tam mieszka?

— Pan Widzki.

— Co za Widzki?

— Szlachcie brukowy, co u pana Sadłowieckiego służył za ekonomą.

— A taż panna, co tam weszła przed chwilą?

— Nu, ta panna to jego córka.

— Dawnoż tutaj mieszkają?

— A już będzie ze dwa miesiące.

— A sam Widzki, czy w domu?

— Niéma go, do Kijowa pojechał.

Chłopcy aż podskoczyli z radości! taka śliczna ekonomówna! Że téż dotychczas nie wiedzieli o niej zupełnie! Trzeba coś na to radzić, trzeba koniecznie jakoś z nią się zapoznać... I pełni najświetniejszych

projektów powrócili do domu, zawiadomić matkę o swém odkryciu.

A Widzkie wpośród tańczącej drużyny żyły iście jak w grobie, oderwane całkiem od świata, z Bogiem tylko, i troską ciężką, łzawą, sierocą. Po wyjeździe pana Zygmunta, który najuroczyściej prosił matkę i żonę, aby żadna z nich, w razie nawet najdłuższej jego nieobecności, do Kijowa nie przyjeżdżała, pozostawszy bez żadnej rady i opieki przyjacielskiej, zaraz posłały gońca do księdza Anastazego, lecz, niestety, goniec powrócił z wiadomością fatalną, że ten był przez biskupa wezwany, a miejsce jego zajął jakiś wikary! Wiadomość tę niebawem i pan prezes potwierdził, który znowu przybył do Raczek, wiedząc już o przygodzie, jaka Widzkich spotkała, bo Kureczycki doniósł mu o tém. Przybył, pocziwając, z nową propozycją serdeczną, żeby Widzkie raczyły w Arbuzówce zamieszkać, gdzie znajdą wszelkie wygody życia, a razem téż aby przyjęły trzysta rubli odsetków, panu Zygmunтови należnych. Propozycja ta wielce panie Widzkie ujęła, umiały ją ocenić, i szczerze za współczucie prezesowi dzięki złożyły; ale tak od pieniędzy, jak i od Arbuzówki grzecznie się wymówiły. Chciały tylko coś więcej o wikarym posłyszeć, lecz prezes tyle tylko sam wiedział, że rozkaz od biskupa był krótki: zdać parafię i przybyć do konsystorza niezwłocznie. Niezwłocznie téż staruszek usłuchał; Widzkim kłaniać się

kazał, błogosławił ich, Bogu polecił, a z miejsca dać o sobie wieści obiecał.

Prezes głęboko ubolewał i nad losem pana Zygmunta, i nad swoim niepowodzeniem w zacnej chęci, żeby przyjść w pomoc biednej jego rodzinie; lży mu stały w oczach pocziwie, gdy ją zegnał w takim sieroctwie; boleść nieudana, serdeczna, tak żywo w jego twarzy była wryta, że jakkolwiek te panie dość już miały własnej swj troski, nie mogły i na niego patrzeć bez żalu. Odjechał z tą przynajmniej pociechą, że Kurczycki z Łypińskim, skutkiem rady pana Zygmunta, przyrzekli mu powrócić na dawniejsze swoje posady, i nazajutrz istotnie wynieśli się z Raczek zupełnie.

Dla Widzkich był to nowy powód do smutku, bo, choć z wielką pociechą widziały koniec nędzy swoich przyjaciół, trudno przecież im było nie zabołć nad sobą, tracąc ostatnie serca, tak im blizkie i wierne, a dla pana Zygmunta z tyłą planów uroczych, z tyłą słodkich marzeń związane!

Na trzeci dzień przybył marszałek i nie mniej, od prezesa zgryzł się wieścią niedobłą, nie mniej szczerze od niego proponował pomoc przyjazną, mieszkankę i wygodę wszelkie w jednym ze swych folwarków; ale i jego też odmowa spotkała. Na tym więc tylko przestał pocziwieć, że starał się swoją rozmową sprawić jakąś rozrywkę sfrasowanym kobietom i cały im wieczór poświęcił. A nazajutrz

znowu zawitał, znowu siedział do późna, również jak i na trzeci, i na czwarty, i na piąty dzień także, coraz-to więcej zajmując się Helenką, z coraz większym współczuciem wpatrując się w jej lica i tracąc całkiem humor swój złoty, cały rozum, a nawet mowę, ilekroć jej nie było.

A Helenka dość często uchylała się od towarzystwa jego, bo naprzód w tém bolesném usposobieniu, w jakie ją wyjazd ojca i księdza Anastazego wprawił, samotność dla niej była rzeczą najpożądańszą. Mniej cierpiała, gdy mogła pomodlić się, podumać, lub nadmiar swoich uczuć i myśli wylać w listach do Stasia, w listach długich, a rzewnych, przy których (któż jej za złe to weźmie?) Sławocki w jej pamięci wciąż był żywy, obecny, i miał swoją też część w téj spowiedzi duszy dziewiczej. Spowiedź zaś ta, od czasu, jak pan Zygmunt Raczek opuścił, była dla niej tém miłszą, że już w niej bez żadnego przymusu mogła przed ukochanym bratem aż do głębi serce swoje otwierać, nie tając się z żadną boleścią; bo jakaż w porównanie iść mogła z rozstaniem się z ojcem najlepszym? a o tém Staś już wiedział dokładnie, nad tém i sam już bolał; gdyby więc udawała przed nim spokój, jak wprzód, toby mu tém, nie ulgę, ale raczej przykrość sprawiła. Powtóre, ten pocziwy marszałek, któremu była szczerze obowiązana za współczucie w niedoli, a bardziej za rozrywkę, jaką zeń miała nieszczęśli-

wa jój matka, jakoś coraz to mocniej zaczynał ją żenować, a nawet i zatrważać potrosze. Nie była takiem dzieckiem, żeby wreszcie nie zmiarkowała, jak mu wielce jest miła. A choć miłość ta jój nie obrażała, bo marszałek w zachowaniu się swoim był zawsze jak najgłębszej pełny dla niej attencyi, szacunku, czci nieledwie, — nie mogła więc przypuszczać, żeby i to były konkury takie, jak pana Bola; wszelakoż czuła w duszy wielki niepokój, myśląc o tém, jak wreszcie ten stosunek się skończy? Chciałżeby się pocziwiec o jój rękę oświadczyć?... niepodobna! A nawet gdyby mu i przyszedł do głowy pomysł taki szalony, to cóż potem?... Onaż-to go ma przyjąć?... ona?!... A odmowa jakże boleśnie złamie biedne to serce, dla którego ostatni zakwitł w życiu kwiatek uroczy!... I zamyślała się smętnie, i twarzyczka jój bladła, oczy mglily się łzami, i dreszcz zimny ją wtrząsał... Bo nie mogła, biedaczka, być samotną, tak jak pragnęła, nie mogła uwolnić się od towarzystwa natrętnego pana marszałka; bo czy to się dziatwie oddała, którą teraz więcej, niż kiedy, lubiła się zajmować, w duszy uświęconej krzyżem boleści, a więc tém bliższej Boga, mając dziś nieprzebrane skarby mądrości, i tak wiele nauki mogąc dla nich wyciągnąć z przygód własnej rodziny, tyle zaznać rozkoszy mówiąc z nimi o ojcu i o panu Erazmie; — czy to pióro wzięła do ręki, czy nawet chciała służyć matce cierpiącej,

która od rozstania się z mężem coraz to częściej doświadczała fatalnych paroksyzmów nerwowych: skoro tylko się zjawił ten codzienny gość ich natrętny, ona już, ulegając woli matczynéj, musiała, łązy połknawszy, wnet wszystko rzucić, i bawić go koniecznie! Nie mogło być inaczej, bo dla pani Amelii marszałek był prawdziwém bożyszczem, ideałem doskonałości! Wszystko w nim dla niéj było: i rozum, i nauka, i zacność; w nim, od kiedy księża wikarego nie stało, cały świat dla niéj się zamknął... Nadto i pani Widzka, jeszcze dawniej i lepiej nawet niżli Helenka, spostrzegła, co się święci w sercu pana marszałka; a znamy już jéj pańskie wyobrażenia, wiemy, czego oddawna dla swéj córki pragnęła, jak marzyła dla niéj o Bolu, potém znowu o Rawskim, jak nareszcie i Stasia z Fisią w swych rojeniach ongi swatała... Więc się wcale nie dziwmy, że z kolei téż pan marszałek siadł na tronie w brylantowym gmachu jéj marzeń. Mąż ją wprawdzie zrazu przestraszył perspektywą nowych skandalów, to téż, gwoli jego perswazyom, czas jakś usuwała Helenkę z przed oczu podstarzałego gacha; lecz gdy ten ostatniemi czasy dał poznać swój szlachetny sposób myślenia, gdy się przed nią odezwał, nie bez celu zapewne, że nigdy za posagiem nie gonił, i że szczęście swoje na tém zakłada, żeby pojąć za żonę, choćby i najuboższą, lecz poczciwą panienkę, któraby ukształceniem umysłu i przymiotami serca chęciom jego odpo-

wiedziała; odtąd, wiedząc czego się trzymać, nawet wówczas, kiedy pan Zygmunt do grodu był wyjechał za sprawą, ona już nie pozwalała na to, ażeby się Helenka odłączała od towarzystwa, a gdy ten do Kijowa się udał, wówczas jeszcze tém śmieliej poszła drogą upodobaną, wyraźnie zachęciwszy marszałka do codziennych odwiedzin.

Sędzina inne miała zdanie w téj mierze; już-to wprawdzie i ona przyjazném na marszałka okiem patrzyła, i ona umiała w nim ocenić piękne jego przymioty, a zwłaszcza dobroć serca i zacność, któremi okupował drobne śmieszności; i ona też nie była daleką od podobnego wniosku, że mu łatwo przyjść może projekt, żeby się o Helenkę oświadczyć; ale równie, jak i jej wnuczka, której serce znała gruntownie i wiedziała, co się w niém dzieje, projekt ten uważała za dziki i do ziszczenia niepodobny zupełnie. Zrobiła więc uwagę synowej, że lepiej-by się dawniej trzymać metody, że pan marszałek bez potrzeby starą swą głowę może niedorzeczniemi marneniami zawrócić, że wreszcie z tych codziennych jego odwiedzin, miasteczko, nie znające ich wcale, nie mające wyobrażenia, ani o ich przeszłości, ani o charakterze, ani o towarzyskich przymiotach, a widząc w nich tylko szlachtę brukową, prostych ex-officyalistów, łatwo może wziąć pochoch do gorszących jakichś domysłów i bardzo krzywdzących plotek. Ale pani Amelia oświadczyła teściowej stanowczo,

że jest matką Helenki i wie dobrze, co robi. Staruszka więc zamilkła, i tylko zaleciła drogięj swęj wnuczce, jak można najzimniejszą grzeczność z panem marszałkiem, a sama, nieodstępna podczas jego odwiedzin, surowém swém obliczem i posepném spojrzeniem starała się okazać, jak nie rada jest jego konkurom, i choć trochę umitygować efekt zbytniej czułości nierozważnej swojej synowej.

Sprawa ta, jak Helence, tak i jęj babce, sprowadziła wiele zgryzoty i tęp mocnięj czuć dała całą gorycz sieroctwa, cały ogrom ciężkiej niedoli, której końca nie było widać, bo im dalej w przyszłość myśl biegła, w tęp większy mrok i zgrozę wpadała! Pominąwszy bowiem stronę moralną tego ciosu, który spadł na nie, jakże straszne być mogły materyalne jego następstwa! Pan Zygmunt zostawił im sto rubli z dwiestu wziętych za sprawę (chciał był wszystko im oddać, ale ubłagały go przecie, żeby się nie wyzuwał z zapasu) — na długoż to wystarczy *na bruku*, gdzie tylko z gotowego grosza żyć trzeba? a gdy się ten fundusik wyczerpie, gdy się wyprzedadzą z ostataka, w cóż się wtedy obróca?! Helenka pójdzie chyba za guwernantkę? chętném sercem się podda całej nędzy tego zawodu, ale znajdzież taką posadę, by z nięj dochód wystarczył na potrzeby matki i babki? zwłaszcza, że jeśli Józię zechce trzymać przy sobie, to na mniejszą zapłatę przystać będzie musiała; a Józię nieodbitcie zabrać z sobą wypadnie... Ignas,

z łaski księdza Anastazego, do szkół będzie mógł wstąpić, a ona? czyż jój można zaniedbać?! Cóż więc będzie?! Skąd ratunek na taką biedę?! I darmo odpowiedzi na to szukając, ku niebu zwróciła oczy spłakane... Tylko pani Amelia nie traciła jakoś otuchy; bolałać wprawdzie srodze nad rozłąką ze swym Zygmuntem, ale to był jedyny przedmiot jój tęsknoty i troski, i lez jój i modlitwy; bo się zresztą o przyszłość nie trwożyła nie a nie.

Tymczasem jeszcze sroższe cierpienia gotowały się dla nich...

Kiedy młodzi Bursztyńscy powiedzieli mamuni o szczęśliwém swoim odkryciu, kiedy jój opisali, jaka ładna i zgrabna ta *bestyjka* ekonomówna, którą wytropili z kościoła, i kiedy zaczęli się napierać, ażeby ją koniecznie zaprosiła na tańce; *cząstkowa obywatelka*, wielce mądra niewiasta, chcąc dogodzić swoim obywatelskim synom, nie długo się zastanawiała nad rzeczą taką łatwą i błahą, jaką się jój zdawało sprowadzenie jakiegós tam ekonomskiej córki do *obywatelskiego* domu, i to w dodatku na przyjemną zabawę razem z *pańską* rodziną. Gdy więc nadszedł dzień oznaczony, wzięła pióro do ręki i na świstku papieru nakreśliła takie wezwanie:

„Moja pani Widzka! Dowiedziałam się od moich synuf, że aspani masz piekno curkie, która pani-czom strasznie upodobała sie. Nie chowajże jój za piecem, a pozwul rzeby do nas czasem przysła potań-

czyć. U nas co ftorek tańczące wieczorki. Niechaj trochę się otrzy na wielkim świecie w pożądnym towarzystwie. Proszę nie otkładając psyszłać ją zaras”.

Teofila Bursztyńska.

„P. S. Dyszcz szedł taj narobił błota; latego poszylam człowieka z brycko i z kuźmi, żep się nie zadrypała”. — *T. B.*

Zgięła kartkę we czworo i bez adresu dała w ręce parobka, który się wypytawszy należycie paniczów, gdzie ten *wokomon siedzi*, ruszył bryczką dziurawą, starą derą przykrytą, po nową figurantkę do pańskich zabaw.

Zajechawszy przed ganek, zlaźł z bryczki, wetknął batóg w słomę przy koźle, zawiązał na nim lejce i prosto na pokoje się puścił. Wszedłszy tam, trochę biedak się zmieszał na widok tego ładu i wdzięku, jakiego nie znał u swoich państwa, nie mniej jak też i osób zgromadzonych w bawialni, których nie mógł bynajmniej wziąć za ekonomską rodzinę. Zatrzymał się więc w progu i, nie wiedząc, co począć, głębie tylko rozdziawił i stał, drapiąc się w głowę.

— Czego chcesz, mój kochany? — spytała go pani Amelia.

— Przyjechałem *za panną* — odpowiedział parobek.

— Po jaką pannę? — zagadnęła go Widzka zdumiona.

— Taż-bo za ekonomówną!

Pani Widzka zbladła jak chusta, Helenka pokraśniała zmieszana, i sędzinie zachmurzyły się lica i cierpko się usta zacięły, bo na myśl jej przyszła jakaś szykana. Marszałek (bo i on tam był właśnie), szybko z miejsca powstawszy, zbliżył się do posłańca porywczo.

— Jakiś ci tu ekonomówny trzeba? — zawołał, gniewnie iskrząc oczyma.

— A ot pismo, — odrzekł parobek, kartkę wydobywszy z zanadru.

— Do kogo?

— A do samej ekonomowej.

— Do jakiej ekonomowej?

— Do Widzkiej.

Marszałek, w drżące ręce kartkę ujawszy, zmieszany, oszołomiony, bezmyślnie pani Widzkiej ją podał, a ta, nieprzytomna już prawie z tak srogiego upokorzenia, rozwarła ją, rzuciła okiem, jęła, i załamała dłonie, już-już bliska omdlenia. Sędzina z przerażeniem uchwyciła bilet, przeczytała, i cisnąwszy go na stół po przed oczy marszałka, zawołała jakby z wyrzutem:

— Patrz pan, jakieś tu stanęły!

Pani Widzka gorzko płakała, Helenka, drżąc z przestachu i wstydu, ze łzami na płonących jago-

dach, zdumionemi oczyma spoglądała to na posłańca, to na matkę i babkę.

Pan marszałek, kartkę przebiegłszy, stanął jak osłupiały! Przez chwilę ani swych myśli zebrać, ani głosu nie mógł z piersi wydobyć; usta mu się tylko trzęsły zsiniałe.

— Precz! — wybuchnął nareszcie, dygocząc gwałtownie ręką drzwi zgłupiałemu parobkowi wskazując.

Chłop języka w gębie zapomniał, nie mógł pojąć: co się stało? czego płacz? za co tak się gniewają? Zaprosiny do tańca — toż to przecie nie krzywdą. Ścisnął więc ramionami, głową pokręcił i już wziął się za klamkę, lecz jeszcze się zatrzymał i zapytał roztropnie:

— A odpisu nie będzie?

— Odpisu?! — krzyknął marszałek, — a prawda! zaraz ja ci, panbrodzieju, odpiszę! Ruszaj precz i czekaj tam na dworze.

Fornal wyszedł, coś sobie mruczając, a pan marszałek do kobiet się obrócił, pełen czułej atencji.

— Niechże panie tak mocno tej niedorzecznej sprawy nie biorą, panbrodzieju, do serca! Wszystko to śmiechu warte, nie płaczu. Trzeba wiedzieć, kto jest pani Bursztyńska: osoba bez rozumu, bez wychowania, pełna śmieszności i najdzikszych narów, mająca się za coś osobliwego, dlatego, że jest

obywatelką i w posagu wniosła mężowi aż piętnastu *poddanych*, których i dziś jeszcze tak mieni. Znam ją dobrze, bo podczas urzędowania, jako marszałek i jako prezes sądów polubownych, miałem z nią, panbrodzieju, dosyć kłopotu. Ciągłe sprawy a sprawy, i procesa bez końca, to z gromadą, to z sąsiadami. Mąż nieborak zalewa sprawę i mało wie, co w domu się dzieje, gdzie ona rej prowadzi we wszystkiem. Teraz, porwana szalem, który całe Raczkę ogarnął, widząc, jak, panbrodzieju, wszyscy tańczą do upadłego, a nie mogąc sąsiadów ani przyjąć w swym domu, ani liczyć na ich uprzejmość, bo każdemu dogryzła, zbiera na wieczorynki, kto się jęj, panbrodzieju, nawinie a nie wzgardzi zaprosinami. Owóż, nieświadoma rzeczy zupełnie, posłyszawszy gdzieś tylko, że czcigodny małżonek pani trudnił się obowiązkami ekonomicznym, sądziła, że i z panią można też tak postąpić, jak nawykła z córkami ekonomów kollatorskich, po które swych parobków lub dziewczki, nawet i bez kartek, posyła, uważając to za oznakę swęj laski, za honor i szczęście dla nich. Cóż winna, że jęj Pan Bóg nie dał rozumu?

Pani Widzka szlochała, twarz ukrywszy w chusteczce, rozżalając się coraz to bardziej. Helenka, łzawe oczy spuściwszy, ze zwieszoną głową smutna siedziała, a sędzina, z twarzą ponurą, ze spojrzeniem zimnem, surowem, wysłuchawszy cierpliwie eksplikacyi marszałka, rzekła z gorzkim uśmiechem:

— O nie, panie marszałku! to po prostu szykana, umyślna chęć ukłucia i upokorzenia.

— Przysięgam, panbrodzieju! — zawołał pan marszałek, kładąc rękę na sercu, — że nie szykana, tylko, z przeproszeniem, głupota! Myślała, że pannie Helenie sprawi wielką przyjemność, gdy ją do siebie na wieczorek zaprosi, na tańce, za któremi i jęj córunka, i wszystkie panny w Raczkach gotowe-by i w ogień się rzucić, i choćby Bóg wie z kim pójść w płasy.

— Skądże pan wiesz o tych wieczorkach? — zagadnęła sędzina.

Marszałek się uśmiechnął.

— Muszę paniom się przyznać, że mnie bawią niezmiernie komeraże parafialne: więc też niekiedy, tak sobie, dla zabicia czasu nudnego, spytam się, panbrodzieju, którego z officyalistów, co tam słyhać w miasteczku? Otóż raz mój leśniczy, który tu ma siostrę rodzoną, chwalił mi się, że jego córka, goszcząca u swojęj ciotki, bardzo wesoło się bawi, co tydzień u wielmożnych Bursztyńskich tańcząc z paniczami do upadłego; a i ona też w taki oryginalny sposób zaproszoną została. Bo nie możecie sobie panie wyobrazić, jaki to cudak ta baba!

I pocziwiec, chcąc ile można złagodzić nieprzyjemność, jakiej doznały, w sposób najkomiczniejszy opowiedział kilka anegdot z życia pani Bursztyńskiej.

Sędzina się nieco uspokoiła, Widzka płakać przestała, Helenka parę razy uśmiechnęła się nawet i dopiero aż teraz, za zezwoleniem matki, inwitycę wzięła do ręki.

— Tylkoż nie martw się, moje dziecko — rzekła czule pani Amelia — słyszysz, co pan marszałek mówi: że takięj na wpół dzikięj kobiecie nie należy brać za obrazę podobnego wybryku. Jaka głowa, taka mowa.

Lecz tkliwa ta perswazya całkiem była zbyteczną, bo Helenka, przebiegłszy liścik pani Bursztyńskiej, tak się roześmiała serdecznie, jak oddawna już nikt jęj nie słyszał.

— Ach, mateczko najdroższa! — zawołała rozpromieniona, — czegożeśmy się tak zgryzły?! Toż to istna pociecha! to jak ustęp z komedyi Fredry! Proszę-no tylko posłuchać! co za styl, co za myśli, co za ortografia wreszcie: „Dyszez szedł taj narobił błota; latego poszyłam człowieka z kuńmi i z brycko, żep sie nie zadrypała”. Możeż być co dowcipniejszego?!

I śmiała się tak wesoło, tak szczerze biedaczka, że i matka, i babka w tém jęj zawtórowały, a pan marszałek aż zacierał ręce z radości, i aż do łez chychotał, słysząc srebrny śmieszek Helenki.

Aż wtém parobek wetknął głowę przeze drzwi, dopominając się odpisu.

— Zaraz, zaraz! — odparł marszałek, chwilkę

jeszcze zaczekaj. — A potem, zwracając się do Widzkiej: — Czy mi pani pozwoli odpowiedzieć za siebie? Wszakże ja niegdyś z urzędu byłem opiekunem rodzin szlacheckich; więc, panbrodzieju, mam prawo dać moralną nauczkę takiej pani Bursztyńskiej, co głupim swoim szalem zacnym ludziom spokój zakłóca.

— I owszem! — rzekła pani Amelia, mimo rozweselenia, żywiąc jeszcze w sercu mocną urazę.

— A ja myślę — ozwała się sędzina, — że lepijby wcale nie odpowiadać... Przynajmniej, w każdym razie, uważam za niewłaściwe wmieszanie się pańskie w tę sprawę.

Więc się zawiązała żywa utarczka: z jednej strony prośby, z drugiej perswazyje, z trzeciej upór kapryśny, i wreszcie pani Amelia, rada zaimponować jakiéjs tam kollokatorce swą przyjaźnią z panem marszałkiem, rada pokazać jéj, czém była, zdaniem swoim teściową przemogła, i marszałek respons napisał:

„Moja pani Bursztyńska! Przyjaciół mój, pan Widzki, wyjeżdżając na czas przydłuższy, mnie w opiekę oddał swoją rodzinę; stąd więc biore dziś assumpt do responsu na list aspani. Żle aspani drogę wskazano; w domu wielmożnych Widzkich niema zgola nikogo, coby chciał zadrypać się na tańcach z dziateczkami jéjmości; ale w szynku u Berka co-

dzień słyhać huczną kapełę i taneczną ochotę, — tam więc na zawołanie dostać można tancerek dla tych złotych paniczów, co prosto z piątój klasy w życie obywatelskie weszli i tak pięknie je rozpoczęli”.

Uniżony sługa N. N.

Pani Amelia, przeczytawszy taką odpowiedź, wielce się ucieszyła i panu marszałkowi dziękowała za nią najczulėj; Helenka uznała ją za zbyt ostrą i wogóle przykrego doświadczyła po niej uczucia, a sędzina znowu najmocniej obstawała przy swojém zdaniu, żeby pani Bursztyńskiej wcale nie odpisywać; lecz synowa znów się uparła i stało się według jēj chęci: parobek dostał kartkę marszałka i ruszył z nią do domu.

A u państwa Bursztyńskich już się tańce zaczęły i panicze rażno krzesali, w każdym jednak przestanku wybiegali na ganek obaczyć, czy téż panna Widzka nie jedzie, bo już ich niecierpliwiło trochę to marudztwo ekonomówny. Inne były skwapliwsze, stawily się na zawołanie, a jak która chybiła, to mędry z piątój klasy karali ją czułym biletem, takiój treści np.: „Kochano panno Walko! Nie spodziewałem się, żeby panna z giemby cholewę, a ze mnie zrobiła durnia; obiecała psyść, taj nie psyszła. Nie daruję ja tego, i jak pannę Walkę złapię w następny ftorek, to, jak mamy kocham, uszczypnę”. — Nie więc dziwnego, że liczyli na dobry skutek inwi-

tacy matczynj i że nie mogli pojąć, dlaczego ta *bestyjka* tak się opóźnia.

Nareszcie dał się słyszeć turkot w dziedzińcu... wypadli... niema panny ekonomówny! tylko *odpis* z dodatkiem opowieści parobka, o tém, czego był świadkiem. Ma się rozumieć, że list wprzód przeczytali sami, nim do matki odnieśli, bo u nich to się zawsze praktykowało. Przeczytali — i pełni zgrozy, zaperzeni ze złości, wpadli z nim na pokoje.

— Niech-no mama zobaczy, co ten łotr nam odpisał! — krzyknął Rosio (Roch) zaciekle.

— Ja go wyzwę! zabiję! — wrzeszczał Lenius (Oleś) podobnie.

— Ja mu pyski strzepię po prostu! — znowu podchwycił pierwszy.

— Komu? co? za co? jaki łotr? co odpisał? — pytała zaniepokojona matka. — Dawajcież-bo to pismo!

— Niechaj mama posłucha! — zawołał Rosio, i głośno list marszałka wydeklował.

— Któż to śmie tak na Bursztyńskich szczełać?! — wybuchła rozwścieczona mamunia, porywając się z miejsca.

— Co to za pies?! — podchwyciła córeczka.

— A to ten marszałek z Grzybiniec! — odpowiedział starszy synalek.

— Marszałek? ten... ten arystokrata obrzy-

dły! — zagadnęła matka zdumiona, — a on-że czego tu wlał jak Piłat w *krede*?

— Był u Widzkich w gościnie! — odrzekł Leniūs z impetem i powtórzył matce relacyę, z ust parobka powziętą, z dodatkiem, że ten słyszał od ekonomskięj dziewczki, jakoby marszałek prawie co dnia tam bywał.

— Tędy droga! — zaśmiała się dziko Bursztyńska, cała kipiąc ze złości i zawiści najsroźszej. — Rozumiem! domyślam się, jaka to tam opieka! wiem, dlaczego tak się obraził za moją grzeczność! Ujął się za swą kochanką! Śliczne rzeczy! No, proszę! A ja tę paskudnicę, jakby kogo dobrego, zapraszałam do swego domu, na zabawę z dziećmi obywatelskiemi! Szczęście, że nas Bóg *ustrzygł* od takiej *kompanionki*!

— Ach, ach! — jęknęła córunka, załamując ręce rozpacznie; — jabym nie *przyżyła* tego nieszczęścia!

Dopieroż się zaczęła wrzawa okrutna! Obaj młodzi Bursztyńscy, nie mniej jak ich siostrzyczka i trzeci piątoklasista, przesadzali się w najstraszniejszych wymysłach, uraganiach, drwinach, pogroźkach; Bursztyńska im tylko dodawała ferworu, a całutkie grono taneczne, czując się równo z nimi dotkniętém, zgodnym chórem im wtórowało. Tysiące ułożono projektów zemsty za doznaną zniewagę, zemsty na marszałka i Widzkie; lecz że z pierwszym nie tak to łatwo było sobie poradzić, więc głównie na drugie się

zawzięto, przez drugie i pierwszemu dogryźć postanowiono.

Jakoż rychło, bo już nazajutrz, rozpoczął się atak formalny, do którego użyto najpodlejszych fortelów i całego zapasu broni, jaki się tylko znalazł w arsenale mściwej i głupiej złości. Zatrzęsło się całe miasteczko od potwarzy i plotek najdzikszych, najpotworniejszych; dom Widzkich oblepiono paszkwilami najbrudniejszymi, same je zarzucono anonimami, co treścią i stylem mogłyby się tylko równać z owemi płody, jakie się na karczemych szybach trafiają; słowem, puszczone się na nie z zaciekłością psiarni rozartetj, a raczej z wściekłością ludzi głupich a podłych. I dopiero się dla tych nieszczęśliwych męczennic rozpoczęły katusze, o jakich i pojęcia nie miały. Dotychczas swoją boleść niosły jako krzyż święty, teraz je zawleczono pod pręgierz, niewinne i bezbronne, a takie biedne!

Sędzina w niemym bólu usta zacięła, bo i cóż miała mówić, co radzić? ona, której smutne przecucia tak rychło się spełniły, której odrzucone przestrogi co do wizyt marszałka, jako i co do listu, były takie mądre i słuszne?! Wszystko, coby dziś rzekła, byłoby chyba wyrzutem, skargą wobec synowej, co jej rady słuchać nie chciała, co uporem swym nierozsądnym, pańską swoją próżnością, stała się tej napaści główną przyczyną; a ta już i bez tego tak okropnie cierpiała, iż serce się krajało na widok jej

rozpaczy i męki! Nad tém więc już tylko przemyśliwała, gdzie uciec od téj tłuszczy szalonej, i jak od niej się wymknąć, żeby ślady zatrzeć za sobą?... Z Amelią trudno było o tém i mówić, bo ona już nie tylko do rady, lecz nawet i do myśli była całkiem niezdolna; chodziła jak automat, łzami chyba i jękiem świadcząc, że jeszcze żyje, albo w spazmach okropnych rzuciła się na łożu.

Helenka nie jęczała, nie spazmowała, nie skarżyła się, nie wyrzekała; boleść jęj była cicha, potulna, lecz jak morze, a raczej jak jęj dusza, głęboka, bo jęj duszę całą zajęła, i tylko w bladój, smętnej twarzyczce, w oczkach podsiniaych, przygasłych, we łzach, nieposłusznych jęj woli, i w westchnieniach drżących, przeciągłych, na zewnątrz się wykazywała. Co myślała nieboga, czego dla się pragnęła, czego się spodziewała? o tém trudno powiedzieć, bo może nawet sama nie wiedziała tego dokładnie; bo ilekroć nad położeniem swoim zastanawiać się chciała, w głowie jęj się męciło, jak temu, coby patrzył w przepaść bezdenną. Jedno tylko uczucie było najwybitnijszém: uczucie okropnego sieroctwa, braku ojca ukochanego, co sam tylko swoim rozumem, swoją męską energią, mógłby swoją rodzinę wyprowadzić z tego odmetu, w który ją złość ludzka wtrąciła.

Tak zeszły dwa dni, długie jak wieczność, pełne coraz to nowych, najgrubszych, najnikczemniejszych

szykan, aż się wreszcie zjawił marszałek. Zajechawszy przed bramę, ujrzał na niej arkusz papieru, przyklepiony na samym środku, z jakimś wielkim napisem; ciekawy, coby to miało znaczyć, wyskoczył z faetonu, spojrzął i jak w głaz się obrócił! Napis bowiem był taki:

„Na folwarku pasła kury,
Dziś zadarła nos do góry,
I ze szlachtą już nie tańczy,
Bo jasnego pana niańczy”.

Chwilę stał nieprzytomny, odurzony, zdretniały; w oczach mu się męciło, w głowie huczało... wreszcie zerwał plakat nikczemny, poszarpał go, cisnął na ziemię, zdeptał z dziką wściekłością i pędem się rzucił do dworku.

W bawialni było głucho i pusto, tylko się w głębi domu jęk stłumiony i płacz, przerywany śmiechem, rozlegał. Marszałek domyślił się wszystkiego. Westchnął ciężko, brwi zmarszczył, zagryzł wargi drżące nerwowo, i znowu w osłupienie wpadłszy bolesne, stał na środku pokoju, zatopiony w myślach dręczących. Lecz powoli, powoli, rozjaśniło mu się oblicze, wypogodziło się czoło, i nawet jakby uśmiech usta poruszył... Podniósł głowę, i z cicha, w zamyśleniu jeszcze głębokiém, zaczął się po bawialni przechadzać, kiedy niekiedy tylko spoglądając ku drzwiom wewnętrznym, w tęsknym snadź oczekiwa-

niu. I w końcu się doczekał... Weszła pani sędzina, z twarzą chmurną, zbolalą, zmizerowaną, ze spojrzeniem zimnem, surowem, z pliką papierów w ręku.

— Patrz pan, — rzekła po przywitaniu oschlém nad wszelki wyraz, — jak nam srodze odwetowano za ów dowcipny, onegdajszy list pański! Zaprawdę, na złe nam wyszła i opieka pańska, i przyjaźń. Weź pan to, i dowiedz się nareszcie, jak miasteczko i kolokacya cała musi dziś, z łaski państwa Bursztyńskich, zapatrywać się na tak częste pańskie bywanie w domu ekonomowstwa. Wszystko to anonimy, paskzwile, brudy.

— Domyślam się, — odparł marszałek, — bo i sam, panbrodzieju, tu na wrotach znalazłem próbkę tego rodzaju.

— Znalazłeś pan?! na wrotach? — zagadnęła staruszka z gorzką w głosie ironią; — i mimo to jednakże znowu wszedłeś w te wrota?!

Marszałkowi usta zadrżały, czoło się sfaldowało boleśnie, i łza spadła na palające lica.

— Wszedłem — odpowiedział prędko, gorączkowo, urwście; — wszedłem, bo panbrodzieju, wyjechałem dziś z domu z takim postanowieniem, że albo już na zawsze panie pożegnam, albo... — zająknął się i spuścił oczy, — albo — ciągnął dalej po chwili, — ot, starosta albo kapucyn. — Widzę teraz, mój panbrodzieju, że powinien był dawniej to zro-

bić, a nie wybierać się jak ta czajka za morze. Trzeba było z panem Zygmuntom rozmówić się otwarcie... jak już ginąć, to ginąć... Ale... ot przyznam się szczerze... nie starczyło odwagi!... aż dopiero onegdaj mądra pani Bursztyńska dodała mi ostrogi. List był głupi i śmieszny, naśmiałem się też dosyć, jak już panie płakać przestały; lecz wróciwszy do domu, jakem zaczął nad nim rozmyślać, tak w końcu mnie, panbrodzieju, na płacz się zebrało! Zmiarkowałem, że złe się spisał, posyłając odpowiedź, ot poprostu w gniazdo szerszeni dmuchnąłem! Wyrwałem się z opieki, z tytułu marszałkowstwa dawnego, ale ba! nazbyt stara to data! Trzeba paniom opieki, lecz nie takiej zupełnie, a trochę na mocniejszych prawach opartej... Przez dwa dni dręczyłem się, jak dusza w czyście! wiem już teraz, co Madejowe łoże! Sześć razy zaprzęgano mi konie, sześć razy wyprzęgano je znowu! Ani rusz! bo to, panbrodzieju, nie żarty, nie bagatela! to iść jakby na ścięcie! Nareszcie — otóż jestem, i, pani dobrodziejko, polecivszy się Bogu, chcę... dalibóg nie mam odwagi!... chcę... pani się pewno domyśla?... proszę się ulitować nade mną! domyśla się pani... nie prawdą?!

Złożył dłonie błagalnie i zebrząco oczy na nią obrócił.

— Nie wiem, o co panu rzecz idzie, — rzekła z zimną powagą babka. — Wygląda to, jakgdybyś

pan chciał nam się oświadczyć o rękę naszej drogiej Helenki; ale czyż to być może? Czyż podobna, żeby myśl taka przysła panu do głowy?

— Przysła, pani dobrodziejko! Bóg świadkiem! do serca nie do głowy! do serca!

I zapłoniony, jak młodzieniaszek, ze łzą drżąca na rzesach, dłoń na sercu położył, i pokornie głowę pochylił.

— To żal-że mi pana serdecznie! bo znam dobrze mojego syna, i z góry muszę panu oświadczyć, że jakkolwiek może być panu wdzięcznym za pocziwe pańskie intencye, nie zgodzi się jednak na związek niestosowny pod każdym względem. Bo najprzód wiek Helenki i pana, potem ję i pańska pozycya, a wreszcie najważniejsza — miłość wzajemna. Nie ubliżam panu tém, co powiadam; wnuczka moja najszezerzej może pana szanować, może panu sprzyjać najmocniej, ale... daruj pan... kochać pana nie może.

— Tak, pani dobrodziejko! wiem ja to dobrze! — odpowie pan marszałek z westchnieniem, — wszystko to rozważyłem gruntownie! Prawda! pana Helena dziś mnie kochać nie może; bom już dla niej za stary, bo mam dosyć śmieszności, bom do dziewiczych ideałów uroczych tak podobny, jak pięść do nosa! Lecz ja kocham ją taką miłością, że jeśli choć na makowe ziarnko ma w téj chwili dla mnie przyjaźni, jeśli przynajmniej nie ma wstrętu po

mój osoby, to, panbrodzieju, może śmiało oddać mi rękę; już ja w tém, że potrafię ją uszczęśliwić, i z czasem bodaj takie przywiązanie u niej pozyskać, jakiem i najgorętsza miłość pono zwykła się kończyć, gdy się kończy pocziwie. Znam ja dobrze pannę Helenę, pewny jestem, że, raz stawszy się moją, będzie moją duszą i ciałem, będzie sama nad tém pracować, żeby to przywiązanie w sercu swoim obudzić, a ja szczerze jej dopomogę; bo jak ją, tak i wszystkich jej ukochanych, otoczę dostatkami, spokojem, i wszelkiem dobrem, uwolnię od wszelkich trosk i zgrzyzot, od najmniejszej przykrości życia! Niechże pani nad tém pomyśli!

— Właśnie, panie marszałku, myśl ta jest przeciw panu! To, coś pan rzekł, wygląda, jak gdybyś za dobrobyt, jakim nas możesz otoczyć, chciał po prostu kupić Helenkę! Czyż można tak nas krzywdzić? Czyż możesz pan przypuścić, że jest w świecie takie nieszczęście, z któregośmy szczęściem Helenki wykupić się zdecydowali? że jest taka ponęta, za którąśmy zdolni byli na ofiarę ją oddać?

Pan Marszałek się zmieszał i wszystkie swoje myśli pogubił; stał przez chwilę, sam nie wiedząc, co mówić, spuścił oczy i dumał.

— Ha! — zawołał nareszcie, dłonią uderzywszy się w czoło — zawsze muszę baka ustrzelić! nigdy mi mózgownica nie dopisze, jak trzeba! Żebym mógł, panbrodzieju, serce sobie z piersi wyjąwszy, na

dloni je pani pokazać, to-bym lepiej, niż słowem, dowiódł pani czystych swoich intencji. Bóg mnie skarż, jeśliś chciał to powiedzieć, że jak państwo wydadcie za mnie pannę Helenę, to i sami też na tém weale dobrze wyjdziecie; jeśliś myślał w targ z wami wchodzić, jakby mówiąc: dajcie mi swoje dziecko, a z biedy was wyciągnę. Nie miałem, panbrodzieju, tego zamiaru. Wszakże to już oddawna paniom proponowałem, żebyście w moich dobrach osiadły; oddawna było mojem pragnieniem, żeby paniom stać się pożytecznym w czémkolwiek. Odrzuciłyście propozycję serdeczną, dając mi do zrozumienia, że nie mam do tego prawa. To pozwólcie zdobyć to prawo! Pozwólcie, żeby wasze szczęście i spokój stały się dla mnie obowiązkiem najświętszym!

I znowu łzami oczy mu zaszkły, i patrzył tak błagalnie w lica pani sędziny, taki był jakiś biedny, żałośny, taka wielka pocziwość w jego twarzy była wyrta, iż nareszcie dobra staruszka szczerą litość nad nim uczuła; wyciągnęła doń rękę i rzekła już łagodnie, serdecznie:

— Bądź-co-bądź, wierzę w pańskie dobre intencje i dziękuję za nie od siebie. Co zaś do moich uwag, nie bierz mi pan ich za złe; powiedziałam, co myślę, ale moje zdanie jeszcze nie wyrok. Helenka ma rodziców, los jej od nich zależy, a potem nie mniej i od niej samój. Probuje pan, przedstaw matce swoje życzenia, staraj się dać je poznać i ojcu, po-

proś, żeby ci wolno było rozmówić się z moją wnuczką, a jak Bóg da, tak będzie.

Pan Marszałek, uszczęśliwiony, kilkakrotnie rękę jej ucałował, i prosił, i zaklinał ją rzewnie, żeby mu wyrobiła posłuchanie u swój synowej. Sędzina poszła spytać panią Amelię, czy się czuje dość silną do rozmowy w sprawie niezmierniej wagi, i po chwili wróciwszy, oświadczyła mu (o radości!), że wkrótce pani Zygmuntowa wyjdzie do niego.

Jakoż niebawem potem pan Marszałek już pani Widzkiej mógł przedstawić swoje żądanie, i najmniej parę godzin rozmawiał z nią sam-na-sam. Helenki nie oglądał tym razem, bo ta, już od wyjazdu ojca, jakieśmy wspominali poprzednio, samotność przekładała nad towarzystwo, a dziś tém bardziej nie czuła się zdolną do niego. Matka zaś, wiedząc dobrze, ile ucierpiała skutkiem podłych plakatów i anonimów, i jak też u jej łoża umęczyła się srodze, raz przecie zlitowała się nad nią i nie zawołała jej do gościa, który właściwie, z powodu doznawanych dawniej fałszyw, stał się nieszczęsnym sprawcą ich udręczeń ostatnich.

Pan Marszałek wreszcie odjechał. Pani Amelia powróciła do swój sypialni, zapłakana, wzruszona, drżąca, ale z takim wyrazem w licach, że Helenka, na nią spojrzawszy, też zadrżała radośnie i skoczyła do niej z okrzykiem:

— Ach, mamó! czy nie od ojca jaka dobra wiadomość?

Pani Amelia uśmiechnęła się rzewnie, tklwie na nią spojrziała, przytuliła ją do piersi, i głaszcząc po twarzy, rzekła z wielką słodyczą:

— Nie, Helusiu kochana! nie wiadomość, tylko nadzieja, której błogie ziszczenie dziś od ciebie zależy.

— Ode mnie?! — zawołało dziewczę zdumione, z sercem mocno bijącym.

— Od ciebie, moje ty szczęście! od ciebie! — odpowiedziała matka, ściskając i w czoło ją całując.
— Usiądź-no i posłuchaj mnie pilnie.

Helenkę mimowolny dreszcz przejął, bo duszyczka jej zimną napełniła się trwogą i złowrogiem przecuciem. Błada, drżąca, usiadła i oczy pytające obróciła na matkę, która, milcząc przez chwilę, zdawała się namyślać, jak ma rzecz swą zagaić, i nareszcie tak się ozwała:

— Nie prawdaż, moje kochanie, żeśmy tak nie szczęśliwi, jak mało kto na świecie?! Straciliśmy całą fortunę; straciliśmy dobrobyt i drogą niezależność; wytrąceniśmy z koła właściwych nam stosunków; skazani na służebnictwo pełne upokorzeń największych, na tulaństwo i poniewierkę! nareszcie pozbawieni nawet i służby, bez sposobu do życia, bez nadziei ratunku, wyrzuci ze wszystkiego, bez rady, bez opieki najmniejszej!!.. Ojciec twój w takiej smutnej pozycji!... Staś biedny—może o suchym chlebie!... my

tu blizkie nędzy ostatniój, zniesławione, oplwane!... Mnie już siły braknie nareszcie! już czuję zimną rękę śmierci na sercu!... — Rozplakała się i ze łkaniem kończyła:—Ratuj-że nas, Helusiu! ratuj i mnie, i siebie! ratuj ojca, ojca ukochanego!

Helence lzy strumieniem biegły po bladej twarzy; bezwładna, jakby posąg z marmuru, siedziała, załamawszy ręce zdrętwiałe i zwiesiwszy głowę na piersi, tak strasznym, tak okropnym bólem zgnieciona, że nietylko już głosu, ale tehu z nich nawet dobyć nie mogła.

— Ty milczysz! — jęła pani Amelia—ty mnie nie chcesz zrozumieć!... Miałabym się zawieść na twojem sercu?... Helenko! dziecko moje najmiłsze!

— O cóż to, droga mamó, rzecz idzie? — szepnęło biedne dziewczę nareszcie.

— O to, żebyś nie odrzucała szczęścia, jakie Pan Bóg zsyła na ciebie! żebyś i sama sobie zapewniła przyszłość spokojną, i całą swą rodzinę wydzwignęła z przepaści!... Pan Marszałek prosi o twoją rękę!

— Ach, mamó! mamó jedyna! — załkała niešťeśliwa Helenka, do nóg jej się rzucając—kiedyż ja go nie kocham!... ja go nie mogę kochać!... nie mogę!...

— Dziecko moje ty drogie! nie płacz-że tak! nie rozżalaj się bez potrzeby! — uspokajała ją matka, podnosząc i całując niebogę. — Pokochasz, gdy już jego żoną zostaniesz. Człek poczciwy, rozsądny, ukształcony i miły, a w tobie rozkochany nad wszelki

wyraz!... Wierz matce, która przecież nie chce twój zguby, że z nim będziesz szczęśliwa!... Zresztą ja cię nie zmuszam; zrobisz, jak sama zechcesz; bo choć od twojej zgody zawisł i powrót nasz do dawniej towarzyskiej pozycyi, i przyszłość twoich braci i siostry, i spokój twojej babki, i los ojca, i życie matki; nie myśl jednak, że gwałtem chcę po tobie takiej ofiary, żem gotowa cię poświęcić na okup pomyślności ogólnej, a nawet mego życia biednego!... Myślałam, że ci łatwo to przyjdzie, że z wesolém obliczem i z sercem przepełnioném czystą pociechą dłoń swą podasz mężowi, który ci z swą miłością bez granic składa u nóg i piękne imię, i dostatki, i stanowisko obywatelskie, i powrót twego ojca, i byt przystojny całej twojej rodziny, słowem—wszystko, co tylko nasze szczęście może stanowić, i to jeszcze w takim momencie, gdy sieroctwo nasze, nędza i hańba już ostatnich granic dosięgły!... Gdybyś wyszła za niego, ojciec-by nam powrócił, wziąłby w ręce cały majątek, gospodarzyłby dla was, matka i małe dzieci pozostałyby przy nim; a my, to jest ja z wami, moglibyśmy za granicę się udać... Mnie tak potrzebne wody mineralne!... Odżyłabym, odrodziła się ciałem i duszą!... A i Staś-by wszedł znowu w koło obywatelskie i z czasem odpowiednią partję-by znalazł!... Powiedz-że, droga Heleniu, czyż to nie łaska Nieba, gdy ktoś może jednem swém słowem tyle szczęścia, tyle radości zlać na głowy swoich najmilszych? czy

nie zawini srodze, gdy tę łaskę odrzuci?!.. Ja jednak nie nalegam; nie będę ci robiła wyrzutów, gdy nie pójdziesz za moją radą, i konając nawet, nie powiem, żeś mi mogła życie przedłużyć; nie powiem, że umieram zabita ciężkim bólem serdecznym, nędzą i poniżeniem, od których mnie nie chciano obronić!... Leczyć, jak co dnia cię błogosławię, modląc się o twe szczęście gorąco, tak i technieniem ostatniem losy twoje Bogu polecę!...

— Moja droga! moja rodzona! — wybuchła rzewném łkaniem Helenka — proszę-bo tak do mnie nie mówić!... Już ja... o Boże mój! o Boże! — wołała, zanosząc się od płaczu i ręce łamiąc — co ja pocznę, biedna! co pocznę?!... Prawda, że tą ofiarą mogłabym spokój okupić; prawda, że byłabym córką wyrodną, gdybym nie poświęciła się dla was!... ale jakże ja mogę jemu wieczną miłość przysięgać, kiedy ja go nie kocham i nie wierzę w to, żebym go kiedykolwiek mogła kochać! A zresztą, jeślibym się zgodziła, cóżby ojciec na to powiedział?! jakby Staś na mnie patrzył naówczas?!..

I jak gdyby raptem, wśród toni, zobaczywszy deskę zbawienia, podchwyciła skwapliwie:

— Dobrze, mamu kochana! zgodzę się z twoją wolą najchętniej; niech tylko pan marszałek wprzód do ojca napisze, niech od niego słowo uzyska.

— Na cóż to, moje dziecko? — zagadnęła zimno pani Amelia.—Wszak znasz ojca gruntownie i z góry

możesz wiedzieć, co on odpowie. Najpewniej twój wyłącznie decyzji całą rzecz tę zostawi, tak samo, jak i ja właśnie; skoro więc w tém swojego szczęścia nie widzisz (o nasze już się nie troszcz!), to pocóż darmo ojca się pytać? Po co pana marszałka na kłopoty narażać? Ja mu sama mogę odpisać, że nie masz dobrej woli, i koniec... Lepiej prostą idź drogą... na co te kręte wybiegi?!

— Ach, mamol—zawołała z płaczem Helenka — także to do mnie przemawiasz! Tak surowo! tak zimno! tak niemiłosiernie!... Czyliżem zasłużyła na to u ciebie?... Mamol, mamol! ja taka biedna! taka nie-szczęśliwa!... mnie serce pęka z bólu, w głowie się mąci!... Nie umiem sama sobie zdać sprawy z własnych uczuć i myśli!... Wiem tylko, że bez ojca nie wypada nie nam przedsiębrać, że go trzeba spytać o radę. Niech więc tylko odpowie, że nie ma przeciwko temu, że mi wolno zrobić, jak zechcę: a przysięgam tu mamie, że!.. o Boże, dodaj mi siły!... zgodzę się na przyjęcie marszałka!...

— Zapewne! — rzecze matka z gorzkim uśmiechem — bo wiesz o tém, że ojciec, ekscentryczny w swoich poglądach, wyegzaltowany w uczuciach, gdy go spytasz o zdanie, powie, że w takim związku twego szczęścia nie widzi; bo naprzód, jemu może się zdawać, że marszałek dla cię za stary, a potem, że, wydawszy zań ciebie, dopuści się zbrodni największej, bo cię sprzeda po prostu dla swęj własnej ko-

rzyści. Jeśli więc jesteś szczerą w tém, co powiadasz, to i sama napisz do ojca, prosząc o jego zgodę i wręcz mu oświadczając, że marszałek ci się podoba, i że będziesz szczęśliwa, gdy mu rękę swą oddasz.

— Mogę ja to uczynić?! mogę skłamać przed ojcem?!

— Skłamać? alboż to będzie kłamstwo?! Raz— że ja to z ust twych słyszałam, iż pan marszałek jest człowiekiem bardzo przyjemnym, a pocziwym z kośćcami? Powiedz-że, czyś nie mówiła tego?

— Mówiłam... ale...

— Czy też znowu nie prawda, że byłabyś bardzo szczęśliwa, gdyby ojciec rychłej powrócił, gdybym ja odzyskała zdrowie i spokój, gdybyśmy wreszcie wszyscy odetchnęli po tych katuszach, jakie teraz znosić musimy?!

— O! tak, mamol najdroższa!

— A więc, czyżbyś skłamała?

— Dobrze więc! — rzekła Helenka, która, nie widząc już ratunku, na to tylko liczyła, że chyba sam Bóg z nieba cudowną swoją mocą z téj zaguby ją wyrwie; że ojcu, co ją kocha nad życie, ześle dar jasnowidzenia; że w literach jęj listu oczom jego odsłoni cały ogrom jęj poświęcenia, wszystkie jęj lzy i męki, i natchnie go wolą niezłomną, żeby nie dopuścił do téj ofiary. — Dobrze mamol! napiszę, jak sobie życzysz!...

— Dzieckoż moje ty złote! — zawołała pani

Amelia, chwytając ją w objęcia, radosnemi łzami zalana! — w tém dopiero słyszę głos twego serca! to dopiero córka rodzona!... Zrób tak! zrób, moje szczęście, a Bóg ci to nagrodzi!

I całowała, i tuliła ją tklawie, osypując słowy pieszczotliwemi! Nie czuła, jak w niej serce łkało żałośnie! jakie wieńce cierniowe, jakie oplatały jej kiry! I nie widziała, jaka bladeść śmiertelna zalegała jej twarzyczkę, jaka rozpacz patrzyła z oczu, którym łez już wreszcie nie stało!

— Ale na tém jeszcze nie koniec! — ozwała się znowu po chwili. — Trzeba, żebyś i babce powiedziała to samo, żebyś ją przekonała najmocniej, iż chętnie za marszałka wychodzisz.

— Postaram się... spróbuję — szepnęło dziewczę.

— I do Stasia także napiszesz.

— O, nie! — rzekła dreszczem przejęta. — Uwolnij mię, droga matko, od tego!

— Czemuż tak?

— Nie czuję siły! nie potrafię tak pisać, jakby należało z nim mówić w takich okolicznościach...

Matka się zamyśliła.

— No! to mniejsza o Stasia!... Trzeba tylko spisać z listem do ojca. Do marszałka jutro pošlemy. O, jakże on będzie szczęśliwy! jak skwapliwie tutaj przyleci, żeby z ust twych posłyszeć...

— Nie! nie! — wykrzyknęła Helenka, ze zbudzoną nagle całą energią duszy. — Jedyne moje wa-

runek, od którego wszystko zawisło, jest to, żebym aż do ostatniej chwili, to jest, do odpowiedzi ojca, nie widziała się z panem marszałkiem! Żeby on tu wcale nie bywał!...

— Helusiu! — zawołała matka z wyrzutem — zastanów się...

— Już się zastanowiłam! — pochwyciła Helenka, stanowczością niezwykłą matkę w zdumienie wprowadzając. — Dość już mamy jego odwiedzin! dosyć z jego łaski plotek i oszczerstw!

— Właśnie też! — odparła matka. — Niech się teraz dowie ta podła zgraja, na kogo się porwała! Niech wie, kto ta ekonomówna!

A Helenka na to z goryczą:

— Czyż z trąbami mamy to głosić, że pan marszałek oświadczył się o moją rękę?

— Nie bój się! — rzekła matka. — Sami oni natychmiast roztrąbią to po świecie.

— Cóż nam stąd? plotki tylko się wzmogą; ludzie powiedzą o marszałku, że się żeni dlatego, żeby reputację swoją naprawić; jego nazwą głupcem pocziwym, a mnie...

— A to nieszczęście! ale jakże chcesz znowu, żeby on tu bywać zaprzestał, po tém wszystkiém, co zaszło? Powiedzą, że się uląkł, stehórzył przed młokosami!

— Niechaj sobie radzi, jak zechce; ja tylko

blagam mamę, zaklinam, żeby mi wyświadczyła tę jedną łaskę, a zresztą już się zgadzam na wszystko!

Długo jeszcze pani Amelia starała się złamać ten *upór*, lecz nareszcie uleść musiała, gdyż *upór* był niezłomny, a uległość okupowała rzecz nierównie ważniejszą, bo spełnienie prawdopodobne najświetniejszych jęj marzeń, najgorętszych pragnień serdecznych. Trochę tedy zirytowana, ale zresztą szczęśliwa, wnet się do pisania listów zabrała; Helenka zaś, biedna Helenka, uciekła do maluczkiej izdebki, zajmowanej niegdyś przez ojca, a od jego wyjazdu służącej za kapliczkę niby domową, gdzie się cała rodzina zwykle na ranne i wieczorne modły zbierała. Tam się na klucz zamknawszy, rzuciła się na klęczki przed Chrystusem ukrzyżowanym, załamała ręce ostygle, wzniosła oczy splakane, jękla rzewném westchnieniem i zdrętwiała w niemém boleści! I klęczała tak długo, długo! bezwładna i bezwiedna, ani do modlitwy, ani do łez niezdolna; aż póki kilkakrotne, głośne pukanie do drzwi, i kilkakrotnie czule powtórzone jęj imię nie wyrwały jęj z zapomnienia się tego. Poznawszy głos sędziny, wstała śpiesznie, żeby otworzyć, i u progu już się znalazła w objęciach najpocziwszej babki.

— Biedna, biedna moja dziecinko! — zawołała staruszka głosem łzami przejętym. — Jakieżś to próby przeżyła! jak tam krwawo w sercu być musi!... Matka powiada, że przyjmujesz marszałka, że mu

sprzypiasz, żeś rada przezeń sobie i swoim szczęście i spokój wrócić, byle ojciec się zgodził. Prawdaż to?

— Prawda, babciu najdroższa! — wyjąkała nieboga, do jęj piersi tuląc biedną swą główkę.

— Prawda? — zagadnęła sędzina, siadając z nią na sofce. Imnież to, mnież to mówisz, Helusiu?! Wierzę, bo znam twe serce, żeś gotowa siebie poświęcić, byle ukochanych swoich ratować, wierzę nawet, że chętnie tę ofiarę okropną spełnisz; ale wierzyć nie mogę, żebyś bez krwawego bólu z niego wydarła wszystkie złote marzenia, wszystkie drogie nadzieje, wszystkie młode, święte uczucia! nie wierzę i nie pozwolę na to! Masz napisać do ojca, że niby z dobrej woli marszałkowi rękę oddajesz: chwałę ci to, że słuchasz matki i fałszu ci przed ojcem nie zadam. Lecz jak twoja matka do ciebie, tak też ja mam do ojca twojego prawo. Ja mu powiem, że się nie godzi własném dzieckiem frymarzyć! że Bóg za to może nas skarać! że swobodę, dobrobyt, taką ceną kupione, łącznie można znowu utracić, i zmarnieć do ostatka, i zginąć, ze zbrodnią dzieciobójstwa na duszy!

— Babciu droga, babciu najmiłsza! — zawołała Helenka, której znowu łzy rzewne rzuciły się strumieniem, bo serce jęj zdrętwiałe odeszło, ogrzane i uściskiem gorącym, i słowem pełném ognia miłości ukochanej babuni. — Nie rób tego, na miłość Boga!

bo cóż wtedy z mamą się stanie?! Ona w tém już jedynie całe szczęście swe widzi! zawód zabić ją może! Niech więc lepiej sama już zginę, niżbym się miała stać sprawczynią jój zguby!

— Bądź spokojna! Bóg to przemieni! Ojciec wróci niebawem i bez twojej ofiary znajdzie sposób do życia i położy koniec naszym cierpieniom.

— Więc zostawmyż to Bogu! ja napiszę, jakem przyrzekła, a babcia niech zaniecha swego zamiaru; a jeśli Bóg nie zechce przyjąć mojej ofiary, jeśli ją za niepotrzebną uzna, to ojciec i bez tego wszystko odgadnie.

I jak zaczęła perswadować i prosić, jak zaczęła całować ręce swojej babci najmilszej, tak wreszcie i wybłagała u niej obietnicę, że się nie będzie mieszała do tej sprawy żalostnej, lecz tylko niegodnemi modły swojemi biedną wnuczkę Bogu poleci.

Nazajutrz do Kijowa i Gruszek wyprawiono listy wyroczone.

Marszałek, uniesiony aż w siódme niebo wiadomością zachwycającą, że Helenka nie ma nie przeciwiw jego osobie, i że się tylko na decyzję ojca swoje go zdaje, odpisał na arkuszu na cztery strony, szeroko się rozwodząc z wynurzeniem wielkiej wdzięczności za to szczęście, co go niegodzien, i malując w barwach najcudowniejszych owe rajskie rozkosze, jakimi i swą przyszłą, i całą jej rodzinę postanowił otoczyć. Bolał tylko nad koniecznością zaprzestania

odwiedzin, ale ponieważ to był wyrok ubóstwianej panny Heleny, z pokorą przed nim głowę uchylał, obiecując wszakże, że się postara zmitygować podłych oszczerców. Kończył zaś, powiadając, że, jak dusze w otchłani wyglądały Odkupiciela, tak on będzie wyglądał odpowiedzi pana Zygmunta.

A na odpowiedź trzeba było trochę poczekać, bo pan Zygmunt nie mógł tak prędko ani listu odebrać, ani na odebrany odpisać. Miesiąc to już upłynął, odkąd z domu wyjechał, a ledwie jedną tylko odeń mieli wiadomość, w której, w krótkich wyrazach donosił im, że stanął w dobrém zdrowiu na miejscu, że się miewa niezgorzdej, i choć nie brak mu troski i kłopotów rozlicznych, ufa Bogu, że jakoś z nimi sobie poradzi; a prosił, żeby się nie trwożyły, jeśli kiedy przez czas przydłuższy listu odeń nie będzie, bo (powiadał) mam ja tu pisaniny aż nadto, więc po-prześcić musicie na tém, co Staś o mnie wam prześle. Ale i Staś w tę porę miał też dużo zajęcia, bo musiał do półrocznych egzaminów się sposobić, więc tylko parę razy napisał, i to ledwie po parę wierszy.

Czekał więc pan marszałek, pocieszając się listowaniem z panią Amelią, której to, w ostatecznym już braku wszelkiej rozrywki, wszelkiego towarzystwa, przynosiło wielką osłodę na gorycze życia, coraz to sroższe, choć katuszą było Helence, zmuszonej do słuchania tych gruchań naprawdę już siwego gołąbka, powtarzanych co dzień przez matkę.

O, zaiste! pani Amelii trzeba było wiele osłody! bo jakkolwiek nadzieje były świetne i błogie, jakkolwiek uśmiechała się przyszłość, obecność dolegała okrutnie! Zapasik, zostawiony przez męża, wyczerpał się zupełnie, znowu więc fantować się, lub zaspokajać było potrzeba, i pamiątki lepszej przeszłości składać w ręce lichwiarskie. A tymczasem plakaty, anonimy, szykany, roily się bez przerwy. Listów wprowadzie nie otwierano; plakaty, przylepiane na wrotach, sługom nakazano zdzierać i palić; szykan unikano w ten sposób, że nigdzie nie wychodzono z domu: niemniej jednak to wszystko dręczyło nie-szczęśliwe ofiary, które, choć nie czytały paszkwilów, nie słyszały plotek i oszczerstw, przecież dobrze były tego świadome, że ciągle za cel służą złości nikczemnej, codzień to zacieklejszej.

Rychło bowiem ksiądz proboszcz, posłyszawszy potwarze, rozsiewane na Widzkich, naprzód w jednym i w drugim domu ostro skarcił tych głupców, co je za Bursztyńskimi powtarzali bezmyślnie; potem samym Bursztyńskim natarł uszu porządnie; a wreszcie, kiedy, odwiedziwszy biedne kobiety, przekonał się na własne oczy o tych wszystkich napaściach, i z ust pani Amelii wielką powziął nowinę o zamiarach pana marszałka, przejęty jeszcze żywszym współczuciem dla niewinnych, jeszcze sroższym gniewem na ich oszczerców, postanowił z ambony dać ostatnim dobrą naukę! Jakoż pierwszej nie-

dzieli, wzięwszy za temat ósme przykazanie, rozwinął je tak pięknie, kazał z taką wymową, z takim wielkim zapalem, że (jak to zwykle bywa w podobnych razach) każdy z tych, co językiem albo piórem zgrzeszyli, wziął to za osobistą obrazę, za zniewagę publiczną, wszyscy paszkwilarze krzyknęli, że kazanie było paszkwilem! Tak to najpospolicij i z autorami się dzieje: niech tylko dotkną w książce wady jakiej ogólnej, skarżą albo wyszydzą złość ludzką lub głupotę, wnet złościny i głupcy, sprawcy zgorszenia i skandalu, najpierwsi na zgorszenie i skandal krzykną, najpierwsi do kamieni się porwą na owego zuchwalca, co wiedząc, że i oni źle robią, śmiał jednak po imieniu złe nazwać! — Gwałt więc powstał okrutny! Jeszcze zażarciżej rzucono się na Widzkie, nowy skandal zrobiono z marszałkowskich oświadczeń, o których ksiądz, w prywatnej rozmowie oznajmiwszy swoim parafianom, prócz złości, jeszcze zawiść w nich zbudził; a wreszcie i samego proboszcza za cel plotek też wzięto, i gdy ten, chcąc pocieszać strapiionych, zaczął częściej Widzkie odwiedzać, Bursztyńscy z kilku poplecznikami swymi rozgłosili w całej parafii, że on tam na *romanse* zwykł chodzić, że marszałek raz go tam złapał i dlatego rzucił swą lubkę, a oświadczyły nigdy miejsce nie miały! i już nietylko w paszkwilach i plakatach, lecz nawet i w bezimiennym liście do dziekana ośmielili się targnąć na cześć i charakter kapłański!

Więc i ten gość jedyny, i ten niefortunny protektor musiał z placu ustąpić, i w ciągu długich kilku tygodni, od początku napaści aż do Wigilii Bożego Narodzenia, nieszczęśliwe wygnanki tyle tylko знаły świata, co w oknie i co im go swoim przybyciem odsłoniła pani Kurezycka, która, niestety, w najpocziwszej intencji, nowy im cios zadała; od niej bowiem to właśnie posłyszały biedaczki, jak już szeroko rozeszły się dzikie potwarze i co o nich opowiada Jarmusia; od niej się dowiedziały, że prezes, do którego w ostatniej nędzy chciały się już udać z żądaniem, aby im na rachunek odsetków kilkadziesiąt rubli udzielił, przed miesiącem już przeszło za granicę pono wyjechał.

Coraz więc smutniej im było, coraz się opłakańszém życie ich stawało! We dwa tygodnie po wysłaniu listów przez pocztę, gdy jeszcze odpowiedzi od Widzkiego nie było, pan marszałek, który nadto w sekrecie polecił był już dawniej prawnikowi w Kijowie zająć się interesem pana Zygmunta i siebie zawiadamiać o jego biegu, również i odeń wiadomości żadnej nie mając, zniecierpliwiony, postanowił sam jechać, ażeby osobiście wszystko załatwić. Byłby już dawniej to zrobił, ale zaufany zbyt mocno w gorliwość swego jurysty, pewnym był, że niebawem pan Zygmunt wróci. Dowiedziawszy się o tym projekcie, wielce się ucieszyła pani Amelia, napisała znowu do męża, drugi list na Helenę wy-

mogła, i już z lepszą otuchą wyglądała końca swych cierpień. Marszałek puścił się w drogę i... i nazajutrz powrócił, ciężkiego reumatyzmu dostawszy! Nowy cios, nowy powód zgryzoty! Wysłał swego plenipotentą, któremu, oprócz listów, zalecił, aby w razie potrzeby wszelkiej pomocy panu Zygmunтови udzielił, a spytał adwokata owego: dlaczego żadnej o nim wieści nie dawał? Zawiadomił o tém panią Amelię, i znów jęj trochę ulgi tém przyniósł, lecz, niestety, na krótko! Za tydzień plenipotent powrócił z bardzo smutną nowiną, że Widzki gdzieś wyjechał z Kijowa, ale gdzie? o tém i pan Stanisław, zarówno jak adwokat, nie nie umiał powiedzieć.

Tu już boleść biednej rodziny przeszła wszelkie granice, a w pani Zygmuntovej zamieniła się w rozpacz! Nieszczęśliwa kobieta, widząc się zagrożoną zgubą ostatnią, uderzyła znów na Helenkę prośbami, wyrzutami, perswazyami i gniewem, domagając się od niej koniecznie, ażeby, nie czekając na ojca, co rychlęj marszałkowi rękę oddała, i Helenka wreszcie uległa! Lecz że podczas adwentu ślub jęj nie mógł się odbyć, więc jeszcze wyprosiła u matki, aby wolno jęj było dopiero na dzień pierwszy Bożego Narodzenia radość tę dla marszałka zachować. Tydzień, wszak to niewiele, a tymczasem od ojca może nadejść odpowiedź. Dobra matka na to przystała, a babka, wyczerpawszy argumenta już wszelkie, która starała się ją odwieść od takiego postanowienia,

zamilkła i jedynie u Boga zmiłowania błagała, cudu z nieba czekając. O jakżeby się przydał na ten raz najzacniejszy ksiądz Anastazy! ale i o nim ani wieści nie było!

Tydzień, lubo ze łzami, prędko jednak upłynął, szczególnie dla niebogi Helenki! Nadszedł uroczysty wieczór Wigilii... List do pana marszałka już był dawno gotowy, nawet pani Amelia już go chciała posłać przez gońca, co z Grzybiniec przybył z opłatkiem; ale że jeszcze był nie wrócił z poczty posłaniec, wyprawiony tam z rana, więc biedaczka Helenka, co radaby bodaj o kilka godzin odwlec swoje nieszczęście, wyjednała znowu u matki odroczenie do jutra.

O, jakże to bolesny, jak smutny, jak oplakany był wieczór! Pierwszy to raz w swém życiu znękana ta rodzina miała zasiąść do uczty, niegdyś takiej radośnej, takiej uroczystej i świetnej, u stołu, nakrytego grubym obrusem, z ubożuchną zastawą; do potraw, z jakich dawniej nawet ich czeladź nie byłaby zadowolona; w izbie chłodnej, ponurzej, przy łójwce mgławo świecącej w lichtarzyku blaszanym! a co najboleśniejsza, zasiąść w gronie tak uszczuploném, bez Stasia i bez ojca! ach, bez ojca, o którym nie wiedzieli nawet, gdzie się obraca, bo z poczty chłopak powrócił z niezem!

Nie dziw więc, że kiedy błysła pierwsza gwiazda na niebie, kiedy babka uwiadomiła, że już wagę podano, to sieroca ta biedna gromadka pociągnęła do

stołu, jak gdyby do katafalku, przy którym u najdroższych zwłok miała płakać! Nie dziw, że gdy pani sędzina wzięła w ręce opłatki, to jęki tylko i łkania napęliły smutną jadalnię!

Aż wtém nagle dziedziniec zagrzemiał od tętentu i brzęku jakiejś kawalkady, snadź tłumnej, zaparskały konie u ganku, zaskrzypiały drzwi w sieniach, gdzie ruch i szmer wielki się zrobił, i gdy cała rodzina, do samych nieszczęść tylko nawykła, z przestachem i przeecuciem jakimś złowrogiem obróciła oczy ku drzwiom wechodowym, te się raptem rozwarły i w nich ukazał się pan prezes, uśmiechniony, promienny, za nim — stary Sławocki, za nim — Leos, za Leosiem — pan Erazm!.. potem — Staś! a nareszcie — pan Zygmunt!

Mówić-że wam o téj radości, o tym szale uniesień, o tych łzach, co i w niebie błogo byłoby z niemi, o tych niemych, drżących uściskach, o tych długich, rzewnych spojrzezeniach, o tym gwarze uroczym okrzyków, pytań, odpowiedzi, uwielbień, jakim się cały domek napęlił?! Malować-że tę ucztę, gdzie czarny chleb i ryby, jakby one ewangeliczne, zdawały się mnożyć cudownie, aby wszystkich nasycić?! i wszystkich nasyciły, wszystkim tak smakowały (nawet i prezesowi), jakby je królewscy zaprawiali kuchmistrze!... Wybaczcie, bo się zdolnym nie czuję do oddania téj sceny, pełnej takich wzruszeń głębokich, takiej wielkiej, świętej błogości! lecz kto bolał,

kto cierpiał, kto katuszą serca własnego umiał zmierzyć i pojąć całą nędzę sieroctwa Widzkich, ten pewno i bez moich opisów zdoła również pojąć ich radość.

Ale nie tu jój koniec. Gdy się wreszcie powoli rozmowa uszykowała, pan Zygmunt opowiedział swoją historię, świadczącą, jak są dziwne drogi Opatrzności Najwyższej! Fikreki, jemu głównie przypisując swoje wygnanie, z szatańską zawziętością postanowił na nim się zemścić, i póty wypytywał, szperał, szpiegował, póki się nie domacał tej sprawy, skutkiem której-to niegdyś starszy Widzki ucierpiał i majątek cały postradał. Nikezemnik ów znalazł dowody, jakoby i na panu Zygmuncie jakiś ciężki kryminal, a stąd też i jemu kazano się stawić przed sądem. Ale po ścisłym rozpatrzeniu procesu, do którego pan prezes, co sam po to umyślnie do Kijowa się puścił, najbieglejszych użył prawników, okazało się, że nietylko był on czystym zupełnie, lecz nadto, że i połowa mienia musi być mu zwrócona, gdyż brat jego w swój antreprzyzie, na całym niepodzielnym majątku nie miał prawa kaucyi dawać, bez zgody współdziedzica, a tej zgody wcale nie było; dobadano się po obdukeyi, w Kalinkach i w powiecie, dokąd właśnie pan Zygmunt musiał jeździć z Kijowa, że fatalny dokument, którym przeciwnicy jego walczyli, był aktem podrobionym zdradziecko.

Wszelakoż do połowy Kalinek już pan Widzki nie mógł powrócić, bo tak się interesa złożyły, że ją koniecznie wypadało odprzedać; co zdawszy na jednego z sąsiadów, ułożył się z panem prezesem o zarząd generalny dóbr jego, gdzie też zaraz po świętach miał się installować z całą rodziną. Szczęsnopolski, co także do Kijowa przybył niezwłocznie, jak tylko o wyjeździe tam pana Zygmunta wieści z Raczek odebrał, uwolnił go od słowa, niegdyś warunkowo danego; bo w szlachetnej swój duszy, pełnej uczuć obywatelskich, przyznał całą mu słusność, skoro odeń posłyszał, co go do Stefanówki wiodło. My już o tém wiemy po części: pan Zygmunt chciał pracować na takim polu, gdzieby mógł jak największy społeczeństwu przynieść pożytek; a więc, porównując Szczęsnopole ze Stefanówką, widział jasno, że w pierwszych dobrach sam już dziedzie temu podola, mając zwłaszcza tylu officyalistów, ukształconych po swojej myśli, pracowitych, zdolnych i zacnych; w drugich całkiem inaczej: tam wszystko od początku trzeba było zaczynać, wszystko z posad przerabiać, lub na nowo budować; tam mógł i gospodarstwo według swojego rozumienia urządzić, i zebrać takich ludzi, jakichby tylko zechciał, i założyć tę wielką szkołę uczeiwości i pracy, w której-by serce, rozum i obyczaje swoich podwładnych kształcił; tam nareszcie, razem z majątkiem, i sam dziedzie mu się przedstawiał jako piękny ma-

teryał, który pod jego wpływem tak rychło, tak cudownie się zmienił, i tak wiele wróżył na przyszłość, a bezeń musiałby zmarnieć tak, jak i ten majątek, przez co dla społeczeństwa podwójna byłaby strata. Nadto zaś ten Sadłowiecki już tak wiele dlań zrobił, takie święte długi nań włożył, że nawet zapomniawszy o sobie, wypadałoby mu się wywdzięczyć. Szczęsnopolski nie mógł nie uczeić tak szlachetnych pobudek, bo i sam téż dobro powszechnie nad własne cenił; ustąpił więc pierwszeństwa panu Sadłowieckiemu, i Widzki z tym ostatnim uroczystą zawarł ugodę, której jednym z głównych warunków było to, że prezes nie ma prawa przed końcem lat piętnastu pełnomocnictwa odjąć, chybaby Szczęsnopolski z dwoma arbitrami swego wyboru uznał słuszność jego pretensyi, oraz, że z całego dochodu tylko dziesięć tysięcy rubli wolno prezesowi brać co rok na swój własny użytek, resztę pozostawiając na podźwignięcie zrujnowanych dóbr stefanowieckich.

Domyśla się pewno czytelnik, że pani Zygmuntowej nie w smak poszedł ten układ; wszelakoż nie brała go do serca, sądząc, że się to jeszcze zmieni, skoro tylko mąż jój się dowie o intencjach pana marszałka; a zresztą dziś jój radość była tak wielka, że przy niej zapominała nawet o tak srogiem zmartwieniu, jak ubóstwo nakrycia do stołu, szczupła ilość i ordynaryjność jadła. Trudno jednak utaić, że powoli w jój duszy zbudziła się trwoga nie lada, że po-

wstała smutna wątpliwość na konto ziszczenia się świetnych projektów; a przyczyną tego był Erazm!

Przy herbacie, do późnej nocy ciągnęła się miła gawędka. Helenka, nieodstępna od ojca, wisząc u drogiego ramienia, kiedy Ignas i Józia do kolan się jego tuliły, kiedy matka i żona patrzyły weń, jak w tęczę, miała przecież i takie chwilkę, w których jasne jój oczy, co tak długo we łzach tonęły, dziś promienne znowu wszystkimi blaski, zbiegały się z oczyma szczęśliwego pana Erazma i czytały w nich wszystko, czém dla niej przepełniona była ta dusza, co się ku niej z nich rwała promieniami świętych zachwyty. A wtedy szkarłat krasiał jój lica, serce bujało, jak ptaszyna w blaskach słonecznych, nadzieja odradzała się w duszy, główka się pochylała ku ramieniu ojca ukochanego, ku téj najwierniejszj podporze i obronie, którą Bóg jój tak w porę wrócił!... Gdyby później o kilkanaście godzin, już by było po wszystkim!... I bladła na samo to wspomnienie, i dreszcz ją na skroś przechodził śmiertelny! — Czasem rozbijała się grupa; mieszały się osoby; młodzież wesoło gawędziła w kółku osobném; parę razy, na krótki moment, pan Erazm i Helenka znaleźli się tylko we dwoje, a wtedy, w kilku słowach zwyczajnych, powiedzieli sobie tak wiele, że się sami potem dziwili, jak cudowną jest mowa ludzka, która duszy tak dobrze służy! jak jest wielka ta dusza, która mowy użyć tak umie!

A wszystko to nie uszło wzroku pani Amelii, jakkolwiek tylko mężem i Stasiem zdawała się całkiem zajęta; mogła-ż więc nie czuć smutnej obawy, ona, co bardzo dobrze rozumiała główną przyczynę tej boleści, z jaką Helenka na ofiarę z siebie przystała?! Skoro tedy pan prezes, jako też i Sławoccy, udali się na stancję, a Staś i Leosław w bawialni na kanapach posłać sobie kazali, ona, pozostawszy sam na sam z mężem, spytała go natychmiast, czy odebrał listy, nam znane? A gdy się dowiedziała, że ten o niczym nie wie, sama zdała mu sprawę ze wszystkiego, co zaszło, i trwożnie zagadnęła, co o tym myśli?

— Dzieciństwo! — rzekł pan Zygmunt z uśmiechem. — Żał mi tylko starego!... Że mu też taki nonsens mógł przyjść do głowy!

— Ależ bo i Helenka jest za tym! — Podchwyciła pani Amelia z trwogą niezmierną w sercu.

— Helenka?! — ze zdumieniem zawołał Widzki. — A! toby mię bardzo trapiło! Miałaby tak upaść w tych ciężkich próbach? Lepsze miałem o niej wyobrażenie; nie przypuszczałem, żeby chciała sercem frymarzyć, i nigdy nie pozwolił jej na to!

Widzka, już blizka płaczu, zaczęła mu przekładać, jakieby stąd dla nich przyszły korzyści, jaka świetność, jakie honory; lecz, niestety, na próżno! Pan Zygmunt perswadował łagodnie, lecz był nieugięty w postanowieniu i wreszcie swą serdeczną wymową potrafił zreflektować małżonkę, która przecie pojęła,

że jeśli można było usprawiedliwić ofiarę z tak drogiego dziecięcia dla ratunku od strasznej nędzy, a może i od zguby, to dzisiaj, dla próżności ją zrobić, byłoby zbrodnią, wołającą o pomstę.

A więc, kiedy nazajutrz pan Erazm, z ojcem się stawiając, uroczyste o rękę panny Heleny poprosił, chętnym sercem został przyjęty, nie tylko już przez pana Zygmunta, ale i przez panią Amelię, która, błogosławiąc swą córkę, aż zadrżała ze świętej zgrozy, z lic jej wyczytawszy to jasno, jakieby jej szczęście wydarła, gdyby świętny swój zamiar tak spełniła, jak chciała, jeśli by temu sam Pan Bóg nie przeszkodził cudowną sprawą!

Po Trzech Królach ksiądz Anastazy, który też Fikreńkiemu zawdzięczał niespodziany swój wyjazd, wróciwszy od biskupa jako proboszcz już i kanonik w Stefanówce, w rzesisto oświeconym i przybranym w kwiaty kościele związał ręce szczęśliwej pary; a w dworku arbuzowieckim, gdzie pan Zygmunt zamieszkał, mimo prośby swjej żony i nalegań prezesa, nie chcąc osiąść w pałacu, — odbyło się cichutkie, lecz prawdziwe, wielkie wesele.

EPILOG.

Na tém-by już i skończyć można było te szkice, gdyby dzieje rodziny Widzkich były jedynym [za przątnienia naszego celem, albo, gdyby Helenka i pan Erazm rolę bohaterów tam grali; można i należałoby nawet je skończyć, bo od sceny ostatniej, do tej chwili, gdy to piszemy, tak nie wiele ubiegło czasu, tak nie wiele było wypadków, iż doprawdy, nie mamy czém się dłużej zajmować, chyba tylko starym zwyczajem, kilka słówek jeszcze poświęcić prezowskiej, Jarmusi, Fikręckiemu, Fisi, Bolowi, Kubusiowi, Rawskiemu i wszystkim, których losy mogą obchodzić przynajmniej choć jednego z czytelników naszych łaskawych: ale, że to nie romans, że nam nie szło tu o to, czy też *Numa wyjdzie za Pompiliusza*, tylko o rzeczy, zdaniem naszym, nieco ważniejsze; chcemy więc, zamiast sprawozdania krótkiego, w jakiej pozycyi pozostały w chwili ostatniej figury wyżej wspomniane, wziąć się na taki sposób, na jaki dotąd nikt

pono przed nami się nie brał, oprócz chyba Wiktora Hugo, co w olbrzymiej swojej *Legendzie Wieków* skreślił obraz ludzkości *po spełnieniu się czasów...* chcemy przenieść się w przyszłość, nie o całe jednak stulecia, ale tylko o lat dziesiątek, i tam dopiero skończyć długą już i bez tego gawędę.

Wybaczenie! bo ci ludzie, którzy wam już może obrzydli, są to dzieci moje rodzone, choć nie krew krwi, nie kość mych kości, lecz więcej, bo myśl myśli i duch mojego ducha! Nosilem je tak długo, tak miłośnie w sercu i w głowie! żyłem z niemi, cierpiałem, pracowałem, ufałem! w ich ręce zdałem sprawę tak świętą, sprawę wielu tysięcy nieszczęśliwych moich klientów, którym idzie o życie, i bardziej niż o życie, bo o powrót do czci straconej, do zamożności, do wiary, o prawdę, o światło, i miłość!... Jakże więc rozstać się z niemi? jak opuścić wpół drogi?! Gdybym chciał, nie potrafię, nie zdołam! Myślę o nich, śnię, marzę, a z myśli, snów i marzeń, sama przez się powieść się składa; bo dusza tak się z temi urojeniami zrosła, że wierzy w nie, jak w jawę, w rzeczywistość żywą i dotykalną.

Jeszcze więc cierpliwości choć chwilkę, czytelnicy moi kochani! Słusznie się jej mogę domagać, bo i sam wiele ustępstw dla was zrobiłem, bo z tego, co się w sercu zebrało na widok strasznej nędzy stanu służebniczego, na myśl o zaniedbaniu, wzgardzeniu, sponiewieraniu jego, a razem i o tych szkodach,

jakie stąd społeczeństwo ponosi, — mógłbym, nie cztery, lecz dziesięć sporych tomów napisać, i jeszcze bym nie wyczerpał wszystkiego! A przecież po przestając już na tém, pozwalając, żebyście w duszy dośpiewali sobie tój pieśni, i z całą rezygnacją gotując się zawczasu do przyjęcia zarzutów, jakie słusznie mogą mnie spotkać za to, że dał obraz nie pełny, że tło jego niezmiernie mało mieści scen i postaci, a i w tych braknie jeszcze tylu rysów wybitnych. Bo cóż na to odpowiem? Święta prawda, i koniec! bo sam codzień na bożym świetle spotykam się z figurami, z faktami i z opiniami, które jak raz przystają do tych moich szkiców społecznych, gdzie jeszcze mnogie grupy biedaków bezdomnych wprowadzić-by potrzeba; ale, nie chcąc dłużej was nużyć jednym ciągle przedmiotem, pozostawiam komu innemu eksploatacyą tój bogatej kopalni z zarządami generalnemi, z fabrykami różnych rodzajów, z uczonymi agronomami i technikami, ze spółkami rolniczo-przemysłowemi i z dzierżawcami, i drobnymi właścicielami, a więc z nieprzebranemi skarbnami typów i sytuacji z życia officialistowskiego; pozostawiam to wszystko g'woli waszjej miłości, a za to posłuchajcie mię chwilę: niech wam powiem pokrótce, co się stało w dziesięciu latach, które myślą przeżyłem.

Wprzód jednak to co było na jawie, w niedalekiej przeszłości, a raczej niech się przeszłość zleje z przyszłością, jak przyczyna ze skutkiem.

Marszałek, najpoczeiwszy marszałek, nie przeżył już ostatniej, a bodaj czy nie pierwszej w życiu, miłości, czyli, mówiąc własnemi jego słowy: nie mógł już strawić ostatniego harbuza. Odmowa, którą Widzki mu posłał, jakkolwiek osłodzona szacunkiem i przyjaźnią, tak go zgryzła okrutnie, że to łożo, które był zalegał, z reumatyzmem w drodze złapanym, stało się dlań łożem śmiertelném; jakoś w pół roku potem Bogu ducha oddał nieborak; znalazł *chatkę zaciszną*, zaciszniejszą nawet od owęj, co ją sobie na palach chciał wśród stawu zbudować. Mówiono, że reumatyzm uderzył mu na serce; ale my co innego myśleć możemy.

Jarmusia, po wyjeździe swęj jaśnie pani, tak upadła na duchu, a raczej, tak zaczęła bać się prezesa, choć ten jęj ani czynem, ani słowem nie objawił swoj jęj niechęci, iż pobyt w Stefanówce stał się dla nięj istną katuszą; bo czeladź, która dotąd miała od nięj tyle przykrości, co tyle wycierpiała z łaski jęj *oszczędności* i plotek, co musiała tak tańczyć, jak ona jęj grywała, teraz się zbuntowała zupełnie, stawiała się zuchwale i tysiąc najwymyślniejszych codzień wyrażała jęj szykan, a nie było się komu poskarżyć, gdyż prezes niby tego nie widział, a ona wolałaby dostać sto kijów, niż do niego nieść swą skargę, niż się przed nim ukazać, — tak jęj dziwnie złowrogiem nawet zdawało się jego milczenie tajemnicze i zimne! Psim węchem przeczuwała coś złego, zwłaszcza, gdy

Sadłowiecki raz z księdzem, potem znowu sam jeden odbył podróż do Raczek, o czém ona dopiero wtedy wieść dokładną powzięła, kiedy stamtąd Kurczycki i Łypiński powrócili, bo pierwój nadaremno pytała się o to furmana, który jęj na odpowiedź (o zgrozo!) tylko język pokazał! Była pewną, że rychło téż i Widzki się zjawi, i krew stygła jęj w żyłach na myśl, co się z nią wtedy stanie? jakie będzie jęj życie! Już chciała ze Stefanówki uciekać, gdy ją doszła pogłoska o wyjeździe pana Zygmunta i o tęg propozycyi, jaką w Szczęsnopolu otrzymał, więc się trochę uspokoiła i czekała, rychło-li prezes za granicę już ruszy, skąd niebawem powinien nowy rządcą nadjechać, co go jaśnie pani ma przysłać. Wtedy będzie inaczej! wtedy czeladź niegodna dobrze weźmie za swoje, *powywiesza języki*, ale nie na szykanę! bo już-ciż jaśnie pani pewno temu rządcy nakaze, aby Jarmusińską szanował, ten zaś, wiedząc, co Jarmusińska znaczy, sam będzie o jęj łaskę się starał.— Prezes wreszcie wyjechał, wrzekomo za granicę, ona pozostała na miejscu, aby ze sługami drzeć koty, nieustannie im grożąc spodziewaném przybyciem rządcy, i zbierać różne plotki po okolicy, tak dla własnej uciechy, jako téż i dla swęj pani, do której miała pisać o *wszystkiem*, skoro tylko adres dostanie, a znając bardzo dobrze jęj gusta, wiedziała, czém jęj może sprawić przyjemność. A cóż to była dla nięj za radość, kiedy doszły jęj uszu owe skandale

z Raczek! jak chyżo tam się sama puściła, żeby wnet w samém źródle wieści zaczerpnąć! jak często tam się dowiadywała! jak pocziwie pełnych ubolewań parę anonimów Widzkim posłała! jak wreszcie skrupulatnie, z jaką gorliwością przykładną, roznosiła po bożym świecie bezeceństwa o nich wszelakie!—Toż się pani ucieszy! to mi gratka! — myślała sobie, — śliczny-ż prezent za to dostanę! O, gdybyż prędjęj adres odebrać! gdyby rządcą wreszcie przyjechał! ,

Aż tu nie rządcą, tylko prezes się zjawił! Tak rychło! gdzież on bywał? co robił?! choć ty zgiń niéma skąd się dowiedzieć! I znów trwoga okropna skroś jęj serce przejęła i złowrogie przezecucia budzić się w niém zaczęły... Niestety! nie daremne! ach! bo to równa się śmierci! Widzki przybył do Stefanówki! Widzki stał się panem wszechwładnym w całych dobrach prezesa! Niéma więc tam co robić Jarmusi... Dwa dni jeszcze chodziła jak widmo, jakby zmora, gorzkim myśłom oddana, śród radosnego chóru, jakim brzmiał dwór stefanowiecki, nie odgryzając się już weale i nie grożąc czeladzi, drwiącej z nięj bez najmniejszej litości; tylko po całych nocach, zamknąwszy się na rygle, krzątała się w swojej kwaterze, a nad czém, o tęg tylko chyba mógł Ostępowicz wiedzieć, który do dnia, ukradkiem, saneczkami do nięj dwakroć przyjeżdżał. Na trzecią noc, o pierwszych kurach, przed próg jęj pocichutku zajechała budka żydowska i wkrótce ją uwio-

zła z pałacu, z jednym tylko tłumaczkiem, zawiniątkiem, szkatulką i trzema torebkami sporemi. Wykradła się nieboga, wprzód wykradłszy swe kufry przy pomocy mądrego Jasia. Wykradła się, to jest wykraść się chciała, ale zaledwie dostała się do parku, gdy raptem jakby całe piekło runęło na nią, taki straszny wrzask różnych najdzikszych głosów rozległ się naokoło, przy okrzykach: Jarmusia! Jarmusia! gdy tymczasem bałwany śniegu z téj i owéj strony w sanie leciały. Domyśliła się zausznica, co to się święci, domyśliła się, że to czeladź w dowód czulój wdzięczności tak ją żegna serdecznie, honoruje tak świetnie: uszy więc przytuliwszy, zaklinała tylko furmana, żeby prędzej pomykał, i wreszcie ogłuszona, zasypana śniegiem, odetchnęła swobodniej, ujrzawszy się śród pola, gdzie już zaledwie niektóre wybitniejsze okrzyki dochodziły jój uszu. Nie przestała jednak nalegać o najspieszniejszą jazdę, aż póki nie stanęła w miasteczku, o milę od Stefanówki. Tam przez dwa dni kryła się w jakiejś norze, lękając się pogoni, o której nikt nie myślał, a na trzeci dalej ruszyła do jednego z miast powiatowych, gdzie, najawszy mieszkanie tuż pod kościołem, na dewocyi osiadła odpoczywać po ciężkich trudach. Kilka lat przepędziła na bożej chwale: co dzień bywała na mszy, co kilka dni u spowiedzi, co święto chodziła z tacką, co piątek rozdawała kopiejkę na ubogich, a na zaduszki dwie, co odpust kupowała *ofiarki*,

miała pełniutką torbę książek do nabożeństwa, pisanych i drukowanych, mnóstwo szkaplerzy i obrazków, kilka różańców, kilka flaszek wody święconej, kilka palm, mnóstwo wianuszków, trzy gromnice, z kwartę popiołu, dosyć kredy, mirry, kadzidla i złota (to ostatnie, lubo i nie wszystko święcone, było przecież dla niej wielką świętością); wychowywała sieroty, których do roku zwykle się kilka u niej przerzuciło; bo jakoś na nie poezciwego trafić nie mogła, — żadna się nie znalazła, coby długo wytrwać zdołała w ciągłym poście i biczowaniu na chwałę Pana Boga; — żyła w ściślejszej przyjaźni z panią organiściwą, do której codzień po mszy po nowinki biegła, i ze starym żydem, Chaimem, przez którego w całym kahale wielką praktykę miała, dając na tygodniówki grosz poezciwie zdobyty; a zresztą z nikim nie wchodziła w bliższe stosunki, poprzestając na znajomości z kościółką, a raczej z kruchty, gdzie zwykle, chcąc obrzydzić sobie i drugim ten ziemski, *grzeszny* padół, pobożnie trzęsąc głową, opowiadała jednym plotki zasłyszane od drugich; żyła w odosobnieniu z jedną tylko kucharką, oraz z faworytem pieszczonym, którym bywał zazwyczaj (nie myślcie, że gołąbek, piesek, lub kotek, nie!) śliczny, jak go nazywała, *wieprzuczek*! Co rok kupowała prosiatko, pieściła je, myła, czesała, nosiła, jak rodzone dziecko, na rękę, kładła je nawet z sobą do łóżka, jeść dawała ze swego talerza, a wreszcie — rys charakterystyczny, jak

mniemam, — zabijała i jadła! — W pierwszym roku odwiedził ją parę razy siostrzenice, Ostępowicz, co zawsze w skarbie stefanowieckim służył; lecz raz upomniany surowo za to, że się trzyma jęj wrogów, powtórnie znowu stamtąd się zjawił, i to jeszcze z nowiną, że mu tam tak dobrze, jak w niebie. Za to cio-ciunia, rozgniewawszy się srodze, wypędziła go za drzwi, wzbroniła nadal wstępu do swego domu i przysięgła na przenajświętsze rany, że mu i złamanego szeląga nie zapisze, a wszystko po swojej śmierci odda na kościół.

Ostępowicz więc bywać u Jarmusi zaprzestał i z rezygnacją na rzecz kościoła wyrzekł się spadku swojego; ale i kościół nie wiele stąd skorzystał, tyle tylko, że u ołtarza został po niej między wotami język ze srebra lany. Bo jakoś w końcu piątego roku pobożnego życia, Bóg jęj zesłał okropną próbę: paraliż ją naruszył i odjął jęj nogi, ręce i język! Trudno opisać, ale łatwo zrozumieć, jaką to dla niej straszną było katuszą. Przeleżała tak ze dwa miesiące, na opiece kucharki, która, mszcząc się za dawne krzywdy, dręczyła ją wszelkim sposobem, szydząc z niej bez litości, że już ani polajać, ani wybić nie mogła, i nieraz porzucając samiotkę w najsmutniejszej pozycji od obiadu do późnej nocy. A nie było nikogo, coby za nią się ujął, coby jęj pożałował choć trochę, bo już całe miasteczko trzęsło się od jęj intryg i plotek, i pani organiścina, z jęj łaski wzię-

wszy dobre ciągi od męża, ożogiem wypędziła ją z domu. Chaím tylko pocziwy zlikwidował wszystkie rachunki, popłacił, pozabierał zastawy, i pieniądze własną ręką przeliczywszy przy niej najskrupulatniej, w worku safianowym na szyi jęj zawiesił; ale już tygodniówki całkiem ustały.

W takiej więc oplakaniej pozycji, ledwie jednym palcem mogąc poruszyć, ledwie kilka słów wybełgotać, nieszczęśliwa Jarmusia, czy to uczuwszy jakiś wyrzut sumienia i odjęcie języka biorąc za karę bożą, wymierzoną za grzechy jego, czy to brak mowy za największe mając nieszczęście, jednej stariej żebracze, co pamiętna ofiar piątkowych do jęj domku zajrzała, dała jakoś do zrozumienia, że pragnie srebrne wotum złożyć na ołtarz, i gdy jęj sprowadzono złotnika, polecila ukuć ze srebra i oddać na ofiarę — swój język!

Niestety! Bóg nie przyjął ofiary i jeszcze cięższy krzyż jęj zesłał. Jednej nocy wpadli złodzieje, i wszyściuteńko, ale to wszyściuteńko, w całym znaczeniu słowa, Jarmusińskiej zabrali! Została w jednej tylko bieliźnie! Wtedy owa stara żebraczka, zlitowawszy się nad nią, wzięła ją pod swoją opiekę; sprawiła jęj łubiany wózeczek, i w tym włócząc ją po odpustach, łachmanami okrytą, litość w dobrych ludziach budziła, z której też korzystała i sama.

Łatwo przewidzieć, jaki byłby koniec sprytnego Jarmusi, gdyby smutna wieść o niej nie dobiegła do

Widzkich, i gdyby ci byli tak mściwi, jak to sobie ona wyobrażała. Ale pan Zygmunt, usłyszawszy o jej nieszczęściu, niezwłocznie posłał po nią Ostępowicza, z opatrzeniem wszelakiem; kazał ją wziąć do Stefanówki, umieścił w pokoiku osobnym, w świeżo zbudowanym domu ochrony, i nie tylko otoczył najtroskliwszą opieką, ale sam do niej się udał z proboszczem i zapomnieniem swój krzywdy. Ujrawszy go, Jarmusia rozplakała się bardzo żałośnie, i później, ilekroć ją odwiedził, łzami go zwykle witała; ale trudno było odgadnąć, czy to były łzy skruchy, czy tylko upokorzenia?... Plakiwała wprawdzie i wtedy, gdy jej ksiądz Anastazy, który codziennie wizytował ochronę, z serca niósł słowo pociechy, i o skrusze, o zgadzaniu się z wolą bożą nauczał; ale i któż wie, co się w jej duszy działo? Dopiero w parę lat potem, gdy usilne starania Stasia, który już wtedy słynął jako jeden z najznakomitszych lekarzy, przywróciły jej władzę i mowę, pierwszy ruch, jaki uzdrowioném ciałem zrobiła, było upadnięcie do nóg Widzkiemu, pierwsze słowa, jakie wyrzekła — dzięk za przebaczenie! Wszelakoż już z ochrony nie wyszła i nigdy nie użyła języka na intrygi i plotki; milcząca, zatopiona w myślach, albo w modlitwie, dokonała dni swoich na usługę starców i kalek.

Fikręcki, zawiedziony w swój zemście, głośny wszędzie z podłości, z pół roku się tułał bez miejsca, różnemi sposobami wydłużając pieniądze u zo-

ny, i u każdego, kogo tylko mógł *puścić w trąbę*. Nareszcie, mając tego zamało, wdał się w bardzo brudne roboty, w skutek których rok cały musiał w turmie biedak wysiedzieć, darmo raz po raz na ratunek żony wołając. Darmo, bo już była daleko, bo i jego ktoś *puścił w trąbę*, zabrawszy ją razem z pieniędzmi i wszelkiem dobrem. Wtedy nieboraczysko wyebrał u swych dawnych znajomych jakąś nędzną posadę przy wiejskiej gminie, i rozpił się do ostatka. Nie długo tego było; raz, gdy pijany przejeżdżał po pod krzyżem, i gdy chłop go wiozący zdjął czapkę i pobożnie się zęgnął; nasz filozof zaczął drwić z niego i bluźnić najstraszliwiej przeciw obrazom i krzyżom i przeciw samemu Bogu. A pragnąc ostatecznie skonwinkować prostaczka, że krzyż nie jest czém inném, jak tylko martwém drewnem, oszalały z opilstwa, raptem wyskoczył z wozu, i, porwawszy drag jakiś — o zgrozo! zaczął walić w krzyż z całej siły, wołając: patrz, głupcze! niechże twój Bóg się broni! I Pan Bóg się obronił. Od krzyża, co już trochę nadpróchniał, wstrząśnięta potężnemi ciosami dragą, oderwała się figura Zbawiciela, i Fikręcki ugodzony nią w głowę, padł bez zmysłów krwią brocząc. — Wzięto go do szpitala, skąd po długiej kuracyi wyszedł zdrowy, ale z obłąkaniem umysłu.

Pan prezes, urządziwszy swe interesa, pełen najlepszych myśli, z sercem lekkim, radosnym, jak nigdy jeszcze w życiu nie było, wreszcie za granicę się

puścił, tego tylko żałując, że nie mógł, jak był zamierzył, zabrać z sobą Jarmusi w upominku dla swojej pani. Ale za to dla Bola wziął list pana Zygmunta, list taki piękny, wzniosły, pocziwy, na jaki tylko taka dusza czysta a wielka, uświęcona taką miłością, takim pragnieniem dobra, zdolna była się zdobyć, w jednej z najuroczystszych chwil ziemskiego istnienia, kiedy po za nią zamykała się kolej ciężkiej troski i bólu. Było tam przebaczenie zupełne, ale dane w sposób tak delikatny, z takim oszczędzeniem miłości własnej korzającego się winowajcy, jak gdyby ten doń z łaską przychodził, nie zaś u niego ją szukał. Nie pisał, że przebacza, ale że dziękuje za radość, jaką uczuł w swęj duszy, odebrawszy tłumaczenie się Bola, w którym znalazł dowód wyraźny, że się po jego sercu można było wiele spodziewać. Bo na prawdę wielce się cieszył i tém, co sam z listu wyczytał, i tém, co mu pan prezes opowiedział z całą szczerością, nie tając ani sceny gwałtownej z matką, ani zamiaru oświadczenia się o Helenkę, i długo się rozwodząc nad reformą swojego syna, który takie piękne uczucia wyjawiał mu w rozmowie, i tak czule strzegł go w chorobie, tak pocziwie wpływał na młodsze dzieci. — Cieszył się, jakby własny syn jego ze złej drogi na dobrą wchodził; cieszył się, bo jak pragnął własnego syna widzieć zacnym i pożytecznym obywatelem kraju, tak téż i wszystką młodzież, a témbardziej taką, jak Bolo, mogącą na stanowisku

swojem albo wiele zrobić dobrego, albo téż nieczém nie okupioną społeczeństwu krzywdę wyrządzić; cieszył się, bo ujawszy w swe ręce zarząd włości prezesa, biorąc się do téj pracy z takim wielkim zapalem, z takim namaszczeniem kapłańskim, jak gdyby szło tu, nie o majątek, lecz o sprawy Bóg wie jak święte, i ufając, że dobrze wywiąże się ze swego zadania, nie mógł już obojętnie o tém pomyśleć, komu się owoc jego trudów dostanie, i w co się téż obróci. A w takim usposobieniu ducha pisząc swoją odpowiedź, włożył w nią całe serce pocziwe, wypowiedział wszystkie nadzieje, odmalował cudny ideał prawdziwego obywatela, jakiby w Bolu pragnął widzieć uosobionym, i błagał go i zaklinał na największe świętości, aby raz już poczuwszy w sobie tak chwalebne popędy, starał się je rozwijać coraz-to dzielniej, i dorównał temu wzorowi, jaki on mu w liście swoim przedstawił, mając sam przed oczyma piękne jego wcielenie w osobie Szczęsnopolskiego. O tym także ostatnim pisał bardzo szeroko, chcąc młodzieńca żywym przykładem tém dowodniej przekonać i podniecić do emulacyi. A skreślił téż i obraz uroczy Jadwigi Szczęsnopolskiej, jedynaczki młodzieuchnej, nieodrodnej od swych rodziców, którą bliżej już poznał, niż przy pierwszém spotkaniu; ta bowiem przepędziła dni parę w arbuzowieckim dworku, jako družka Helenki, którą zacny jój ojciec od ołtarza prowaodził, gdy matka w tenże sposób panu Erazmowi

służyła. Chciał przez to Szczęsnopolski uczyć pana Zygmunta, w którym się rozmiłował niezmiernie, gruntownie go zbadawszy za bytności swojej w Kijowie; chciał też i Sławockiemu dowieść swego affektu. Nie wiemy, co pan Zygmunt miał w myśli, gdy malując w liście do Bola cudny obraz panny Jadwigi, malowidło swe zdobił w takie barwy świetne, urocze, taką wspaniałą aureolą otaczał, jak gdyby ona była jego własną kochanką, lub wspomnieniem ideałów jego młodzieńczych. — Może, sądząc, że Fisia zajrzy do jego pisma, chciał i ją, tak jak Bola, zachęcić do pięknego współzawodnictwa, dać jej świętą naukę, jaką być-by powinna dziewczica-obywatelka; a może... może tylko się starał czarodziejstwem tego obrazu oddziaływać na wrażliwy umysł młodzieńca, i zaćmić w nim świetlaną, ale skromną postać Helenki? powtarzamy, nie wiemy; dosyć, że wizerunek panny Jadwigi, jako wierna kopia oryginału, wyszedł z pod jego pióra areydzieniem prawdziwem. W końcu przesłał Bolowi od całej swój rodziny pozdrowienie serdeczne, i życzenie szczęścia w pocziwnej pracy; lecz o zmianie losu swój córki ani słowa nie wspominał, bo i prezes o to go prosił, i sam mniemał, że lepiej milczeniem to pominąć, bojąc się, by ta smutna wiadomość nie zgasiła w nim rychło szlachetnego zapału, nie wtrąciła go w zimną apatję, lub znowu na dawniejszą nie pchnęła drogę.

Pan Sadłowiecki zastał jeszcze swego syna

w Krakowie, oddanego pracy gorliwej, i zapoznanego z całą intelligencją tamtejszą.

Przybycie ojca wielce Bola uradowało, bo się od niego spodziewał wiadomości o Widzkich, i o nich też spytał na wstępie. Nowina o powrocie pana Zygmunta i o stanowisku przezeń zajętem wprawiła go w zachwyt prawdziwy; list pochwycił, drząc ze wzruszenia, i przebiegł go tchem jednym, i głęboko był przenikniony jego treścią pocziwą a rozumną; ale się trochę zasępił, jak gdyby się zawiódł w oczekiwaniu, nie tam wyłącznie o Helenie nie widząc. Pan Zygmunt się omylił, gdy sądził, że kreśląc obraz panny Jadwigi, przez to sprawi na nim wielkie wrażenie, że zdola od swój córki jego myśli odwrócić; przeciwnie: jedno tylko uczucie, jakie cały ten świetny ustęp w sercu Bola obudził, był to żal, że gdy poznał pannę Helenę, nie był takim, jak się czuł dzisiaj, a ona w towarzyskiej pozycyi nie stała tak, jak stoi panna Jadwiga! Nie przeto, żeby myślał o wielkiem wianie, ale, że byłby wolnym od tych przeszkód atalnych, które przesady świata postawiły na jego drodze, a z temi i w najszcześniejszym razie, jakąż walkę zaciętą należałoby stoczyć! — Tak więc ta Szczęsnopolska, która w liście Widzkiego tyle miejsca zajęła, przeszła prawie niepostrzeżona, a dusza stęsknionego młodzieńca całkiem się zaprzętnęła tém właśnie, co usunąć od niej myślano!... I smutno i sieroco w nią było... Pocieszył się jednakże pro-

pozycją pana Zygmunta, aby raczył go czasem choć króciuchnym listem nawiedzić, czém da dowód, że również i od niego wieści mieć pragnie. Myślał, że kiedyś, kiedyś, jak się już trochę urobi na wzór ideału Widzkiego, jak się w korespondencyi swojej tém wykaże, czém się stał, to nareszcie może w niej znajdzie, czego dzisiaj pragnął daremnie.

Spytał ojca o Sławockiego. — Już powrócił, — była odpowiedź. — I cóż?! — z trwogą zagadnął. — Zawsze-ż bywa u Widzkich? — Bywa... — odrzekł prezes zmieszany, i wnet na inny przedmiot chciał skierować rozmowę; lecz się Bolo nie dał zbić z toru, i coraz to nowemi pytaniami ojca zarzucał, aż wreszcie tak go niemi przyparł do ściany, iż się nieboraczysko o mało już nie zdradził samą miną pełną zakłopotania. Na szczęście, ktoś przeszkodził dalszym wybadzaniom; pan Sadłowiecki miał czas nabrać więcej odwagi i ułożyć jakąś historję, żeby nią uspokoić młodzieńca, a kłamstwa nie popełnić jawnego. Dość się zręcznie z tego wywiązał, przynajmniej choć w połowie, bo i nie skłamał i z prawdą się nie wydał, ale nie zmniejszył złowrogiego przeżucia Bola, który, lubo nie myślał, aby już dlań Helenka była całkiem straconą, wszelakoż, wiedząc o powrocie Erazma, nie mógł już dłużej dawniej żyć otuchy, i gorzko się, gorzko zadumał!...

Co widząc, Sadłowiecki, niezwłocznie do Widzkiego list wysłał, opisując mu wszystko najwierniej

i prosząc, aby szukał sposobu, jak zapobiedz nie-szczęściu? jak ustrzedz zrozpaczonego Bola, kiedy się już dowie o fakcie, żeby się nie zawrócił na dawną drogę, albo nie wszedł na jeszcze gorszą. Sam zaś dalej się puścił do swęj godnej małżonki, cò zięmę przepędzała w Nicei.

Tam go czekała tarapata jeszcze gorętsza. Jak tu swęj pani całą prawdę powiedzieć? Jak wyznać, że Widzkiemu oddał zarząd majątku, i to na lat piętnaście?! Jak wyjawić, że ta nieodwołalność była własnym jego pomysłem, również jak i fatalne zręczenie się dochodów, z wyjątkiem jakichś nędznych dziesięciu tysięcy rubli, pomysłem machiawelskim, na to wymarżonym jedynie, żeby pani przeszkodzić, w razie gdyby zechciała wygryźć pana Zygmunta i po dawnemu rujnować majątek. Toż to się równa śmierci taka nowina! Zdaleka, zwłaszcza, gdy jeszcze miał przy swoim boku Widzkiego, pan prezes czuł się bardzo odważnym; sądził, że łatwo, z należytą męską powagą, powie żonie, co zrobił dla naprawy jęj dawnych błędów i dla dobra swych dzieci; ale im bliższą była chwila wyroczna, tém mniej w sercu *kurażu*, o który wciąż napróżno upominał siebie nieborak! I skończyło się na tém, że z Wiednia, nie do Nicei, tylko do Paryża drogę obrócił, gdzie, spędziwszy parę tygodni, zjadłszy kilkanaście dobrych objadów, odbywszy kilka konferencyj z potęgami kulinarnemi (wszystko to był dowód słabości ducha,

moralnego zdrętwienia), ruszył prosto do domu, i dopiero aż z nad granicy przez list zawiadomił swoją panią o haniebnych owych układach.

Łatwo pojąć, jakim piorunem wieść ta była dla jasnie pani! W pierwszej chwili nieboga blizką była szaleństwa! Potem tak się rozchorowała, i to wcale na seryo, że ledwie najbieglejsi lekarze, wyczerpawszy całą swą wiedzę, potrafili ukoić straszne jej cierpienia nerwowe. Potem wpadła w jakiś stan apatyczny, w czarną melancholię nieledwie. Wreszcie się z odrętwienia nagle ocknąwszy, napisała wściekle gwałtowny list do pana prezesa, zwać go po prostu idyotą, waryatem, i grożąc, że jeśli tego nędznika (to jest pana Zygmunta) nie wypędzi natychmiast, to pójdzie pod kuratelę, którą ona prawnie nad nim postawi, a nawet go odda do czubków.

Prezes, już znowu odzyskawszy Widzkiego, a z nim dawną powagę i odwagę, rozum i spokój, odpisał bardzo energicznie i mądrze, faktami swojej pani dowodząc, że nad nią-to właściwie kuratelę trzeba było rozpostrzecz, co też właśnie uczynił, zdawszy w ręce najzacniejszego z ludzi zrujnowany przez nią majątek. Wreszcie prosił ją mocno, żeby, zaniechawszy próżnych awantur i skandałów, siedziała sobie za granicą spokojnie, korzystając z ośmiu tysięcy rubli, które co rok dostanie na bieżące swoje potrzeby, z Fisją, Dolem i Linką. Bolo osobno tysiąc pięćset rubli będzie pobierał; a on sam poprzerstanie na półtysiącu.

Odebrawszy taką odpowiedź, prezesowa zrazu natychmiast chciała wracać do kraju, żeby na seryo w kuratelę oddać małżonka, jako obłąkanego; lecz zasięgnawszy rady biegłych prawników, musiała się wyrzec tego zamiaru, i bezsilna schyliła głowę pod smutną koniecznością; napisała tylko do męża, aby już nigdy nie śmiał jej się pokazać! aby się nie spodziewał, że ją kiedykolwiek w domu swym ujrzy! aby całkiem zapomniał, że ma żonę nieszczęsną, której życie zatrul swoim szaleństwem, a o dzieciach tylko pamiętał, które przy marnych owych ośmiu tysiącach mogą zginąć w nędzy ostatniej!

Prezes rad był z układu; pieniądze regularnie porysował, załączając zwykle półroczne sprawozdanie sumienne z interesów swych majątkowych, których stan coraz to się poprawiał. Prezesowa, wierna pogroźce, nigdy na listy jego nie odpowiadała; dzieciom nie wzbraniała pisywać, a pono często gęsto sama im dyktowała *postskrypta* ze skargami na ciężką biedę, jaką znosić musiały, i z przymówkami o pomoc; te zaś nie zawiodły ich nigdy. W drugim roku dostały prezent z dwóch tysięcy rubli na książki, w trzecim z trzech, a w czwartym z czterech; bo też i dochody rosły w odpowiednim stosunku!

Bolo nareszcie dowiedział się o losach wymarzonej swojej kochanki; bo jak z razu czuł do niej tylko pociąg namiętny, tak później w bujnej tylko imaginacyi wyniósł ją na jedyną panią swój duszy, głową, nie

sercem, zapragnął ją posiadać. Poznawszy, jaką krzywdę jej wyrządził bezmyślnym swoim szaleń, chciał niejako się podnieść w przekonaniu swém własnym, szal ten w prawdziwą miłość przeistaczając; a tu w pomoc mu przyszły, z jednej strony szlachetne poczucie się do obowiązku, żeby wynagrodzić tę krzywdę, z drugiej zaś miłość własna upokorzona i młodzieńcza ambicja: wzgardzono umizgami brudnymi, to niechże czysta miłość szczęścia spróbuje. I zdawało mu się, że naprawdę kocha Helenkę taką czystą, wielką miłością ducha, jakiej ona jest godną i dla jakiej tylko jedynie być-by mogła dostępną, a tak ze krwi gorącej i z umysłu rozognionego powstało to uczucie, które, pod wpływem rozbudzonych władz ducha wstrząśniętego do głębi, przybrało taki piękny charakter, i tak podziało zbawiennie na moralną jego reformę. Nie przeczymy, że gdyby w tym szczęśliwym nastroju mógł widywać pannę Helenę, i na nowym tym gruncie wejść z nią w bliższe stosunki, to możeby istotnie pokochał ją *z duszy i z serca*; lecz oderwany od niej, straciwszy ją dla zmysłowego szaleń, szalał za nią tylko imaginacją, a więc słusznie ją zwiemy wymarzoną jego kochanką.

Gdy zaś tak jest, to nie dziwny się wcale, że wiadomość o jej zamężciu nie była nazbyt silnym ciosem dla jego serca; témbardziej, że ją dostał ledwie po roku, a więc miał dosyć czasu, wiedząc już o powrocie pana Erazma, oswoić się z tą myślą, że He-

lenkę może utracić. Nadto zaś, w miarę jak się kształcił i rozwijał moralnie, coraz się większym wstydem przejmował na wspomnienie swojej przeszłości, a szczególnie zajścia z Helenką; więc, jakkolwiek pragnął gorąco stanąć przed nią w nowej postaci, nie mógł wszakże sobie wyobrazić, skąd zaczerpnie odwagi na pierwsze z nią spotkanie. — Gdy więc prezes, który powoli starał się dosyć zrzecznie odjąć mu na Helenkę wszelkie widoki, zapytany o nią raz jeszcze, odpowiedział w końcu: już po niej! już od roku jest za Sławockim, a od miesiąca matką! — Bolo uczuł się tylko znowu upokorzonym, może nawet boleśniej niżli w dawniejszem przejściu, lecz miał za to czém się pocieszyć; zapomniał o tém zupełnie, jak się to dawno stało, fakt spełniony odnosił do obecnej jakoby chwili, rachował swoje trudy poczwie z myślą o Helence podjęte, badał stan swojej duszy, skarby wiedzy i enoty, i widział się skrzywdzonym, odepchniętym niesłusznie: więc, jak niegdyś pilno mu było oczyścić się co rychlej, podnieść się, szlachetnością, nikczemność, bogactwem umysłowych zasobów dawną nędzę okupić i przebłagać Helenkę, tak teraz w rozdrażnionym jego umyśle powstał projekt zemsty szlachetnej. Pamiętał, jak wielbiła wszelką pracę pocziwą, g'woli powszechnemu dobru niesioną; rzekł więc sobie: ja się takim blaskiem otoczę, takie imię zdobędę, że kiedyś, albo chlube uczuje, wiedząc, czém była dla

mnie, albo zboleje serdecznie, że mnie samocheąc dla innego straciła!... Sam Sławocki mnie uzna, sam zasługom moim hołd złoży, i przed nią będzie musiał nieraz cześć oddać temu, kogo dawniej traktował z tak złośliwem lekceważeniem. A wówczas... ha! zobaczymy! byle tylko zbliżyć się do niej, co koniecznie musi nastąpić, bo powrócę kiedyś do domu i u pana Zygmunta, który wtedy rad mi już będzie, pewno i z nią się spotkam. — I skażona dawna natura w nim się odzywała głosem syrenim, na który usypiały w duszy dobre skłonności, a żądze rozbudzone na nowo, jak huryski Edenu, w jego sercu igrały. — I kto wie, w coby się był obrócił, przy dłuższem roznamiętnieniu takim, gdyby go zostawiono samemu sobie, gdyby nie zaczęły wpływy towarzystwa, w którym żył teraz, a przedewszystkiem, gdyby nie wpływ pana Zygmunta, który, do niego regularnie pisując, nie przestawał w nim podtrzymywać pięknej, zaczętej ambicji, wciąż mu stawiając przed oczy obowiązki obywatelskie i ucząc go zarazem, jak się im poddawać. W czasie zaś, gdy pan prezes go uwiadomił o zameżczeniu Helenki, Widzki przysłał mu, pełny myśli głębokiej, religijny obrazek, którym bardzo szczęśliwie na chwiejny jego umysł podziałał. Był to wizerunek serca ludzkiego, skąd Chrystus, jak przekupniów z kościoła, wyganiał sprośne żądze w postaci czartów, gdy anieli tymczasem oczyszczali je skrzętnie, wymiatając zeń gady i ropuchy ohydne,

i z brudów oskrobując ściany wewnętrzne. Przysłał go pod pozorem, jakoby chciał mieć taki sam na płótnie, w rozmiarach do ołtarza stosownych, bo właśnie go przeznaczał do nowego ołtarza w stefanowieckim kościele. — „Przy pomocy bożej — powiedział, — udało mi się tutaj już nie w jednym sercu to sprawić, że w nie wstąpił Zbawiciel z aniołami swojemi i wygnał zeń złe żądze; mam nadzieję, że jeszcze wiele innych Bogu pozyskam; to niechże ten obrazek ich uczy, że każde z nich świątynią i przybytkiem jest Pańskim, który tylko przez namiętności w jaskinię się łotrów obraca.”

Bolo długo w zadumie wpatrywał się w ten obraz, który się w oczach jego mienił cudownie i w duszy się odbijał, aż mu wreszcie się zdało, że ta cała scena mistyczna ożyła i w żywym jego sercu miejsce zajęła, i w obliczu Chrystusa ujrzał rysy Widzkiego, a w anielskich licach — lica Helenki. I zadrżał... Dobył listy pana Zygmunta, które chował z poszanowaniem, i przez parę godzin pilnie je czytał, potem zaraz się udał do jednego z pierwszych malarzy i poprosił go o kopię obrazka, w dwóch egzemplarzach, dodając, że do drugiego miał dostarczyć kartki fotograficznej, z której chce mieć portretowaną twarz jednego anioła. Domyślacie się, czyj to portret miał w myśli. Jakoż dostał go wkrótce, uprosiwszy prezesa o fotogram całej rodziny Widzkich, i za parę miesięcy już nad biurkiem w swym

gabinecie zawiesił piękny obraz olejny, w którym się rozmiłował tak wielce, że nieraz całemi godzinami nie odrywał oczu od niego, w zamyślenie wpadłszy głębokie. Odtąd już, choć nie przestał marzyć o zemście, pragnął tylko zemsty szlachetnej, i nawet w powracających czasem chwilach rozdrażnienia żywszego, chwilach upadku ducha, jeśli mu się roilo, że Sławocka mogłaby się nim zająć, to już wcale nie myślał korzystać z jej słabości, tylko odwetować wspańałości, podnosząc ją tak samo, jak i ona jego podniosła; albo nawet zupełnie unikać jej widoku, a natomiast gdzieindziej swoje serce obrócić, znaleźć kogoś takiego, coby pod każdym względem stał z nią duchem na równi (tu mu pomimowoli na myśl przychodziła panna Jadwiga) i przekonać ją wreszcie, że i bez niej będzie szczęśliwym, i że zdoła szczęście zapewnić temu, kto, tak samo jak ona, nie widzi go po za obrębem ideałów cnoty publicznej i domowej.

Szedł więc dalej piękną swą drogą; jeszcze jeden rok spędził za granicą, pracując nad swém naukowém ukształceniem, a potem, w skutek rady pana Zygmunta, do Pruszkowa (Proskau) się przeniósł, żeby się zapoznać z postępowém gospodarstwem, na czém stracił znowu dwa lata dobrowolnej swojej baniecy.

Z matką się ani razu nie widział, a nawet ani listów od niej nie miewał, ta bowiem, gdy wzywany przez nią po kilka razy, aby do niej pośpieszył

i wszedł w koło arystokratyczne, gdzie mógłby sobie znaleźć partyę stosowną, nie usłuchał jej nalegania, rozdrażniona takim uporem, rozgniewana za głupią manię literacką, i jego też, jak męża, wyrzekła się zupełnie. Z Fisią tylko ciągle korespondował, szczerze nad tém pracując, aby w nią i w młodsze swoje rodzeństwo nowo poślubione przelać zasady.

Kubuś, biedny nasz Kubuś, o, w jakże dziwnym nastroju ducha owe święta przepędził, podczas których takie się ważne dlań spełniły wypadki! Powrót w progi domowe Widzkiego i Erazma, jakkolwiek był dlań szczęściem niewysłowioném, jednakże cios ostatni zadawał i téj, jak ją mienił, grzesznej nadziei, co z za łez uśmiechała mu się niekiedy, że w nieszczęściu Helenki on jej na coś przydać się może; w gruzy walił te cudne gmachy, które, jeśli nie mimo wiedzy, to pewno, że mimo woli, piętrzyły się w jego marzeniach. Nie wątpił, owszem pewnym był tego, że Sławocki, wolny już od kłopotów, nie będzie długo zwlekał ziszczenia drogich pragnień swjej duszy; a gdy panna Helena cudzą żoną się stanie, — to, jak mniemał w świętej prostocie serca, — jego miłość, jakkolwiek nieprzystępna żądzy najmniejszej, wtedy będzie już świętokradzką, grzeszną, zbrodniącą! Więc się wyrzec jej trzeba, wyrzec się tego światła swjej duszy, zgasić je, choćby w wiecznym mroku utonąć! Dolo-ż moja! gorzko płakało serce!.. a choć wolne od egoizmu, chętne do poświęcenia,

tém się pocieszało pocziwie, że Helenka będzie szczęśliwą; jednak tak w niém sieroco, tak żałośnie było, tak pusto, że nawet już i wdzięczne wspomnienie Józi na nic mu się nie zdało! A tu jeszcze i Staś i Leos, szczęśliwi, weseli, pełni żartów i śmiechu, ochoczo się w drogę sposobią, mając jechać na święta razem z panem Zygmuntem, i z tym bożym wybrańcem, z najszczęśliwszym z ludzi, Sławockim! Namawiają z sobą téż i Kubusia... O, jakżeby chętnie pojechał! jakby wiele dał za to, gdyby mógł z nimi jechać! lecz, niestety, nie może, choć nie mówi dla czego. Sądzi, że mu prezes stoi na wstręcie, i powiedzieli o tém Widzkiemu; Widzki więc z panem Sadłowieckim pogadał, i tak rzeczy ułożył, że ten ni by przypadkiem zastał raz Kubusia u niego. Biedny chłopiec strasznie się zmieszał, nie przeto, że by dziś jeszcze miał się lękać prezesa, lecz mu jakoś wstyd się zrobiło owój bójki z paniczem, choć sam nie mógł sobie zdać sprawy, jaki był powód tego wstydu i jak mu należało się znaleźć w oném starciu fatalném. Nadto zaś, przypuszczając, że Sadłowiecki gotów napaść nań z góry za zuchwały jego postępek, wzdrygał się, myśląc o przykrém zajściu, i to jeszcze wobec Widzkiego. Ale jakże się zdziwił, kiedy prezes powitał go bardzo uprzejmie, jak gdyby nie o niczym nie wiedział; powinszował mu szczerze pięknej chęci do nauk, i rozmawiał z nim długo, wypytując przyjaźnie, jak żyje, czém się głó-

wnie zajmuje i jakie ma zamiary na przyszłość? Nie zmniejszyło to wprawdzie udręczenia Kubusia, który wobec dawnego pana czuł się zażenowanym, związanym równie w mowie, jak w ruchach, i jakby okradzionym z przytomności umysłu; wszelakoż przekonało go wreszcie, że mu od prezesa nie już nie grozi. Ale cóż stąd? tém gorzej! bo potem jeszcze mu trudniej było odrzucać propozycję swoich kolegów!.. Jednakże ją odrzucił, bo nie śmiał z *grzeszném* swoim uczuciem stanąć wobec Helenki; odrzucił, choć tak pragnął widzieć jej szczęście, pokrzepić swoją duszę zetknięciem się z tém gronem, skąd mu przyszło tyle dobrego; tak pragnął, iż złorzeczył temu uczuciu, przez które tak się dźwignął wysoko, i gotów byłby oddać za to połowę życia, gdyby mógł na Helenkę spojrzeć spokojnie, ze czcią tylko i uwielbieniem... Wymówił się pod pozorem, że chce matkę odwiedzić, której już bardzo dawno nie widział; więc koledzy dłużej nie nalegali, podwieźli go tylko do Żytomierza, skąd już sam ciągnął dalej ku Lubarowi, szukać onego dworu, gdzie biedna jego matka za klucznice służyła.

Bo istotnie serdeczny chłopak, nie mogąc się odważyć na wycieczkę do Widzkich, nie był zdolnym znieść myśli o tém straszném sieroctwie, w jakim by sam w Kijowie pozostał! Potrzebował koniecznie jakiegós duszy kochanej i kochającej, do którejby wolno mu było odezwać się z swym żalem, potrzebował

ramienia, któreby utuliło z tklivością biedną jego głowę stroskaną: a któż tkliwszy, kto więcej kochający nad matkę?! Wspomnił sobie tę chwilę, gdy go u wrót turemnych pochwyciła w objęcia, wspomnił tełzy gorące, co z jęj oczu biegły mu na twarz, i to bicie serca gwałtowne, które słyszał na własne uszy, gdy płakał, do jęj piersi przypadłszy. — Do matki więc, do matki!

I znalazł ją nareszcie! Służyła za trzydzieści rubli, z dodatkiem półsetka płótna i dwóch par butów, a mieszkała w lichęj komórecie obok izby czeladnej. Zastał ją, jak w kożusku, w butach juchtowych, z głową owiniętą starą chuściwą, pod piekarnią osypkę przyrządzała dla wieprzy. Nie poznała go zrazu i z przestraczem w tył się cofnęła, kiedy chłopak pocziwy chciał ją ująć za rękę, żeby pocałunek oddać synowski. Dopiero, kiedy z głębi duszy zawołał:—Matko!—wtenczas palce zgrabiałe, palające od mrozu, oblepione grysem i plewą, skwapliwie o kożuszek otarłszy, porwała go w ramiona, z jękiem, co miał radośne wykrzyknienie oznaczać, i rąk mu swych nie dając, z głośnym płaczem, w głowę, w lica i usta całowała swoją pociechę...

— Idź-że, idź, moje dziecko, do chaty! ogrzej się tam przy piecu, a ja tylko wieprze nakarmię i przybiegnę do ciebie! Nie mam kim się wyręczyć; bo gospodyni to *ladaszczyca*, nie dopatrzy niczego, i najczęścięj jeszcze coś *ściągnie*; a za wszystko ja odpowiadam. Idź, synu, idź, kochanie!

Ale Kubuś wołał pozostać, póki matka nie skończyła swojej roboty, i dopiero z nią razem do izdebki się udał. Tutaj nowe uściski, pocałunki, lzy słodkie i zapytań bez końca. Lecz zaledwie się rozgadali, a już trzeba było przerwać miłą rozmowę; gospodyni przysłała *wybrać* dla czeladzi wieczerzę, i nieboga klucznica, zostawiwszy syna samego, do spiżarni poszła z kluczami. Wróciła, pocałowała syna, pogłaskała po twarzy, usiadła koło niego, ujęła go za ręce i, z tklivością patrząc mu w oczy, rzekła:

— Gadajże teraz! opowiadaj mi wszyściuteńko.

I Kubuś był posłuszny; lecz zaledwie zaczął swą powieść, znów przeszkoda! przyszły dojarki, oznajmując jejmości, że już krowy czas doić! Znów więc Kubuś został sam jeden, i to na parę godzin! Przyszła wreszcie z obory, przeziębła, posiniąta i drżąca, chciała ogień rozpalić, żeby ogrzać się trochę i syna poczęstować ciepłą herbata; lecz nie minął i kwadrans, a już znowu odejść musiała, zawezwana do pani! I tak ciągle do późnej nocy, bo choć już krzątania gospodarska ustała, to raz po raz ze dworu goniec jakiś przybiegał, to od pani, to od panienek, i staruszka nieboga dreptała i dreptała bez końca, przyczem Kubuś zaobserwował, że czasem, powróciwszy do swojej komórki, coś z pod poły wydobywała i, oglądając się na drzwi, zamykała śpiesznie do szafki, albo w piecyk wstawiała.

Skończyły się wreszcie zajęcia: syn pozostał

z matką sam na sam; buchnął jasny ogień w kominie, samowarek zasyczał, gawędka się raźniej zaczęła; ale cóż, gdy przez ścianę w izbie czeladnej taki gwar, taki hałas, grube żarty i śmiechy ciągle się rozlegały, że nieraz niepodobna było się słyszeć. Kluczarska próbowała wrzawę uciszyć; raz ostrzegła czeladź łagodnie, drugi raz nakazała surowo, trzeci, zniecierpliwiona, jęła sama krzyczeć i łajać, ale tyle tylko zyskała, że jej grubiaństwem z drwinkami na to odpowiedziano. Mało brakło, żeby się Kubuś nie wmieszał do tej sprawy z kulakiem, bo w nim krew zakipiała gorąca, gdy posłyszał, jak czeladź jego matką pomiata! Matka go powstrzymała, perswadując, że nie warto się gniewać, bo to rzeczy zwyczajne: — cóż robić? taka to nasza dola!

W końcu jakoś i czeladź uciszyła się przecie, to jest chrapać zaczęła; więc już mogli swobodnie i spokojnie pogwarzyć. Staruszka zaszczepnęła drzwi z zewnątrz, zasłoniła okno serwetką, i nuż wydobywać z szafeczki i z piecyka do herbaty różne przysmaki: potrawę z kury, kaszkę zapiekana, kilka ciastek ptysiowych, parę łyżek konfitur, kęs szwajcarskiego sera, garnuszek śmietanki i z pół kieliszka rumu w buteleczce aptecznej.

— Skądże to u kochanej mamy tyle łakoci? — zagadnął z niepokojem Kluczarski.

— Dziecko-ż ty moje drogie! — odszepnęła mu matka, na drzwi się oglądając, — dla ciebie i z pod

ziemi dostanę! Uprosiłam kamerdynera, to mi trochę tam zgarnął z pańskiego stołu. . Na jutro obiecał więcej.

Kubusiowi boleśnie ścisnęło się serce pocziwe, łzy zakręciły się w oczach, twarz gorący oblał rumieniec... Więc go matka raczy *kradzioném*! I usta mu zadrzały, już gotowe z żalem zawołać: — Matko, matko! czyż się to godzi?! — Ale się pomiarkował, nie chcąc ranić jej serca, tego serca kochającego, co dlań i z pod ziemi radę byłoby dostać; pomyślał: niech już jutro! Westchnął tylko nieborak i, dławiąc się, razem ze łzami połykał te przysmaki nieśczęsne, które matka z taką czułością sama w usta mu kładła.

— Czego ty taki smutny, mój synu? — pytała go troskliwie.

— Jakże mam być wesół, widząc, jak biedna mama chodzi tutaj jak w jarzmie, w takiej biedzie i poniewierce!

— Zachciałeś! — zawołała ze śmiechem, — taka to nasza dola! już przywykłam do tego. Dzięki Bogu i za to, że człek jeszcze może pracować i ma kawałek chleba. — Ale!... nie przysyłaj ty mnie pieniądze!... ja wiem, że masz pocziwe serce, ale na cóż mnie tego? ja stara, lada czém się obejść; tobie więcej potrzeba; a nie trzeba, to składaj. Ożenisz się, da Pan Bóg dziatki, to się zapasik przyda. A jak mnie już siły nie stanie, jak nie będę mogła zarabiać:

no, to wtedy będziesz już musiał dać mi kącik, kęs chleba i jakiś tam łachman na plecy; za to dziatki ci niańczyć, albo choć pierze skubać będą!... Ale gadajże wreszcie, jak się tobie powodzi? gdzie służysz? czy dobrego masz pana?

Więc Kubuś ją opowiadać swoją historię: zaczął od Arbuzówki, pod niebiosa Widzkich wynosząc i z serdeczną wymową malując swoją miłość i wdzięczność dla tych ludzi nieocenionych. Staruszka słuchała go z wielkim zajęciem, nie mogąc się nacieszyć, że mu Pan Bóg takiego dobroczyńcę nadarzył. Lecz jakże się zmartwiła, dowiedziawszy się w końcu, że już Kubuś służbę porzucił i na starość poszedł znów do szkół! W głowie się nie mieściło niebodze, na co mu ta nauka? i jak człowiek przy zdrowych zmysłach, będąc tak już dobrze usposobionym, mając drogę otwartą choćby do ekonomstwa, a więc i do fortuny, mógł się wyrzec tego wszystkiego dla jakichś tam gruszek na wierzbie?! Zasmucił się tym Kubuś; przykro było mu widzieć, jak poziomo, jak materyalnie, matka jego na świat ten patrzy! Nie zrażając się jednak, starał się dać jęj poznać, o co mu idzie; ale długo napróżno tłumaczył jęj swoje pragnienia, i dopiero wtedy trochę ją skonwinkował, gdy dowiedział, że po kilku leciech pracy gorliwój, jak już przejdzie szkołę agronomiczną, będzie mógł dostać posadę najmniej na 300 rubli, do czego by drogą służbową nawet i za lat dziesięć nie doszedł.

— Daj to, Boże! — westchnęła: — ale jakżeż to długo czekać!... A jak, nim się wyuczysz, nim kawalek chleba dostaniesz, ja sierota tymczasem zerwę ręce i nogi? w cóż się wtedy obrócę? gdzie swą biedną głowę przytulę?!

— Nie myśl o tém, mamó kochana! — odrzekł Kubuś, garnąc się do nięj, — ja ci nie dam zginać! a broń Boże nieszczęścia, to wnet wszystko porzucę, żeby ciebie ratować!

Matka uściśnęła go czule.

— Niech-że ci Bóg pomaga!... Może to tak i lepiej... Tyleś mi o tym Widzkim nagała, a mówisz, że i on ci tego nie gani, owszem jeszcze zachęca; mówisz, że sobie znalazł taki obowiązek porządny; więc gdy łaskaw na ciebie, to pewno, jak skończysz te szkoły, da ci służbę w tym samym skarbie.

I gwarzyli tak jeszcze długo, bo aż do godziny drugiej z północy. Kubuś wszystko wygadał, co tylko miał na sercu, opisał swoje życie w Kijowie, swe zajęcia, rozrywki, sprzeczki z pocziwym Stasiem, żarty i igraszki z Leosiem; mówił i o *gnieździe jaskółczém*, i o moście zwodzonym, jednym słowem: o wszystkiém... lecz zamileczał zupełnie o swém zajęciu z prezesowiczem, bo nie chciał skandalicznej sprawy dotykać, gdzie Helenka była wmieszana; zamileczał i o swojej miłości, i o swojej boleści, bo spostrzegł, że się zawiódł w nadziei! że to serce matki pocziwój, które niegdyś tak mocno biło pod jego gło-

wą, do którego tak śpieszył ze spowiedzią żalowaną, już go dzisiaj nie pojmie! Matka była też matką, co i przed trzema laty, równie dobrą, równie go kochającą; ale on już był innym, choć też nie mniej, lecz owszem więcej, niżli wtedy, ją kochał!... Westchnął więc:— *doloż moja* boleśnie, i łzą krwawą oczy mu zaszczyły, na myśl o tém sieroctwie ducha, który nie miał gdzie złożyć krzyża swoich udręczeń, i musiał bez podpory, bez ulgi, iść z nim dalej, smutny, zbolący!

— Spać już czas! — rzekła nareszcie, — drugie kury już piał; trzy godziny najwięcej na spoczynek zostało.

Więc się pomodlili i legli. Matka chciała koniecznie, żeby Kubuś zajął jój łóżko, lecz on na to za nie nie przystał; przyjął tylko poduszkę i pod burką na szlabaniku do snu się ułożył. Jednak mimo znużenia, snu nie zaznał téj nocy; tak był mocno przejęty położeniem swój matki, tak strapiiony własną boleścią, której nie mógł przed nią wynurzyć, że nie tylko na takiem łożu, lecz nawet i na puchach łabędzich, powiek-by zamknąć nie zdołał.

Przed dniem, i to na parę godzin, już się matka zerwała, już się krzątać zaczęła, bolejąc, że przedświętne pilne zajęcia nie dadzą jój synem się nacieszyć, że on biedak się znudzi i zamęczy u niej w gościnie. Chciała go do kamerdynera namówić, który, jak zapewniała, będzie grzecznym dla niego; sam

wprawdzie dość zajęty na służbie, lecz ma żonę i córkę, a te będą rade gościowi. Kubuś wołał [pozostać w samotności u matki i czytaniem się bawić, oczekując na krótkie chwile urywané ciągle rozmowy. I tak zeszło dni kilka aż [do wigilii, przez które się dosyć nasłuchiwał i napatrzył biedny [chłopczyśko, by pojąć, jakim piekłem ta służba była, którą jego matka na chleb zarabiała powszedni. Przysmaków już nie jadał, bo uprosił matkę zaraz nazajutrz, żeby ich nie nosiła ze dworu, choć nie łatwo mu przyszło, z należytą delikatnością, dać jój pojąć, co ma przeciwno temu; nie łatwo ją przekonał, że gdy kamerdyner daje nie swoje, tylko pańskie, skrycie zarwane, to popelnia po prostu kradzież, której i ona uczestniczką się staje. Staruszka dowodziła uparcie, że się to przecież nie wynosi na sprzedaż, ani do szkatułki nie składa, lecz tylko się spożywa, więc i grzechu w tém niema; lecz wreszcie ustąpiła synowi, choć ze łzami nad tém biadała, że karmiąc go z *drugiego stołu*, chyba głodem zamorzy. A Kubuś i z drugiego stołu jeść nie chciał, ale proponował, żeby kupić u włościan trochę śpiżnianych zapasów, z których on sam będzie gotował, wyręczając matkę, co nie ma czasu. Ona się znowu o to sprzeczać zaczęła, dowodząc, że kupować nie trzeba, że nie zrujnuje *skarbu*, jeżeli z pańskiej śpiżarni, którą ma pod kluczem, garsć mąki i kęsiólek słoniny na swój użytek weźmie; ale i w tém wreszcie uległa, a potem się bardzo

cieszyła, spożywając z Kubusiem przyrządzone przez niego potrawy. Tylko się na wigilię pospierała raz jeszcze: na wieczerzę, według zwyczaju, pójść musiała do dworu, by zasiąść u wspólnego stołu z *pannami* i z tymi z oficyalistów, co na dworskim wikcie służyli, chciała więc i Kubusia wziąć z sobą, na co, jak zapewniała, państwo jój pozwolili; ale Kubuś do towarzystwa wcale nie był usposobionym: prosił więc, by mu wolno było samemu i tę świętą ucztę sporządzić z prowizyi, własnym kosztem nabytą.

— Ej, daj pokój! — odpowiedziała matka, — szkoda czasu i trudu. Już jak nie chcesz jeść ze wszystkimi, to ja ci tu przyniosę, i to z pańskiego stołu. Kamerdyner da chętnie; a toż przecie nie kradzież: tyle nagotowali, że i za trzy dni nie zjedzą! Jak nie rozchwytają lokaje, to albo psom oddadzą, albo rzucą w pomyje.

— Niech już zrobia, jak zechcą, droga moja mateczko! — prosił Kubuś z pokorą, ręce matki całując, — a my, choć nie we własnym domu, to przynajmniej o własnym chlebie zasiądzmy do tej uczty rodzinnej. Wszak tak milój być-by powinno... nie prawdaż, mamó serce?!

— Prawda, prawda! — zawołała ze łzami. — Niechże już i tak będzie, mój ty gagatku!

I tak było istotnie: staruszka nie we dworze w usta nie wzięła, zachowując cały apetyt do synowskiego stołu; a gdy z ukochanym swoim Kubusiem zasia-

dła do sprawionej przezeń wigilii, gdy z nim łamiąc opłatek, posłyszała czule życzenia, żeby kiedyś pod jego dachem, wolna od trosk i trudów, mogła chleb swój pożywać, to się rozplakała nieboga tak błogiem, słodkimi łzami, jakich oddawna już jój oczy nie znały! I czule dziękowała później synowi za pociechę, jaką jój przyniósł; bo, jak powiadała, od śmierci męża po raz pierwszy taką radosną, taką szczęsną miała wigilię.

Trzy dni jeszcze Kluczarski ze swą matką przepędził, dni świąteczne, a zatem od zatrudnień wolniejsze, mógł więc już bez przeszkody nacieszyć się jój towarzystwem; na czwarty, nie chcąc dłużej i jój w obowiązku zawadzać, i siebie dręczyć przykrym widokiem tych codziennych katuszy, jakie ona znosiła, padł jój do nóg z miłością, prosząc o błogosławieństwo, i podjęty do serca, upieszczony, ocalowany, oświecony łzami macierzyńskimi, pożegnany po trzykroć i polecony Bogu, z powrotem do Kijowa wyruszył.

Biedny! szukał pociechy, szukał pokrzepienia dla duszy, a znalazł tylko smutek i znękanie jeszcze straszniejsze!... To spotkanie się z matką było dla niego takim okropnym ciosem, z jakim się tylko jego nieszczęśliwa miłość porównać mogła... Dziwna rzecz! dwie najkrwawsze boleści przez tych właśnie mu przysły, których zwykł za największych dobroczyńców swoich uważać. Oni go odrodzili moralnie;

przez nich i czuć, i myśleć nauczył się pocziwie; przez nich poznał cnotę i mądrość; przez nich ledwie że nie z bydlęcia stał się przecież człowiekiem, przyszedł do samowiedzy; im-to dzięki nareszcie, poznał obowiązki synowskie i matkę czcić i kochać zaczął pocziwie, nie instynktem wrodzonym, ale sercem świadomym siebie. Ale przez nich-to także i ta miłość mu przyszła, która go dziś strąca ze szczytów, gdzie się wyniósł tak chyżo, która go dziś łamie i kruszy na dnie czarnej, strasznej przepaści! Przez nich, nawykły do oglądy światowej, do warunków bytu, dotąd mu obcych, do wyobrażeń wznioślejszych, do zasad uczciwości nieskazitelnej, dziś w tej matce, tak ukochanej, cóż znajduje? cóż widzi? Oto tylko prostaczkę, łajacą się z czeladzią, gderającą od dnia do nocy, z umysłem nieokrzesanym, z sercem zmateryalizowanym, skażonym, która go nawet pojąć nie umie, która, zamiast się cieszyć z jego zmiany moralnej, z jego chęci podniosłych, za złe mu je uważa; która wreszcie, chcąc miłości swęj dowieść, karmi go kradzionymi przysmakami!... A taka biedna, biedna!... Dawniej obojętnym był na to: a teraz, z łaski Widzkich, na ten widok serce mu pęka! teraz całą mocą swęj duszy pragnąłby ją wyrwać z tej nędzy; ale cóż, gdy ci Widzey rozbudzili w jego umyśle takie pragnienie, do ust mu przyłożyli czarę z takim napojem, że umrze, gdy się od niej oderwie, ledwie jęj skosztowawszy!... Ha! chociażby i umrzeć, ale

matkę trzeba ratować! Pożegnać trzeba świetne plany, brylantowe marzenia; przykuć się do ciężkiego jarzma na nowo, zapomnieć o wyższych celach, i chleba, chleba już tylko szukać, żeby matkę nakarmić, żeby ją od tak strasznej poniewierki obronić!...

W takim usposobieniu stanął w *gnieździe jaskółczym*, nie rychło, bo z niewielkim zapasem grosza, który musiał oszczędzać, przebył mil ze dwadzieścia, trochę pieszo, trochę się przysiadając na fury, ciągnące w tamtą stronę powoli. Widok ukochanej stancyjki, która istnym rajem dlań była, w której tyle przemarzył, tyle złotych snów wysnił, tyle zaznał wzniosłych rozkoszy, poruszył go do głębi; oczy gorącemi łzami mu zalał i zachwiał rozpaczliwe postanowienie. Nie czuł biedny chłopak w sobie dość mocy na to samobójstwo moralne. I straszna w jego sercu rozpoczęła się walka, w której długo się mიაł po izdebce dawno wystygłej, nie czując przejmującego chłodu, aż nareszcie się rzucił za jedyne szanice dla duszy bojującej z przeciwnościami i padł na kłęczki przy łóżku Stasia, przed obrazem Matki Bolesnej, otoczonej wieńcem portretów całej rodziny Widzkich, i wszystkie swoje myśli, wszystkie uczucia zlał w gorącą, niemą modlitwę... Po godzinie rozmowy z Bogiem powstał nieco silniejszy, z ukojoną troską serdeczną. Postanowił nieborak przepołowić swoją ofiarę: zrzec się szkoły agronomicznej, ale jeszcze rok, rok tylko jeden, z nauk i towarzystwa

Stasia korzystać, a tymczasem dla matki prosić o protekcję pana Zygmunta, który, dowiedziawszy się o jej niedoli, najpewniej coś potrafi dla niej obmyśleć,—nie jałmużnę, lecz tylko obowiązek uczciwy.

Tak się w duszy uspokoiwszy, zakrzątnął się nareszcie około materyjalnej strony. Przyniósł drew, rozpalil w piecu, samowarek sobie nastawił, a dobrze się ogrzewszy przy ogniu i herbacie, chciał i resztę ciężaru złożyć z biednego serca, to jest, podług zwyczaju, bolesne swe uczucia rzucić w piosnce na papier, lub (nie mając na świecie powiernika innego) złożyć je w pamiętniczku, prowadzonym skrycie od dawna. Otworzył więc kuferek i wydobył spory pakiecik, złożony z kilkunastu zeszytów. Usiadł z nim przy stoliku, rozwinał go, śpiesznie przerzucił po jednemu wszystkie seksterna, i z przestachem niezmiernym do kuferka znowu przyskoczył... Brakło ostatniego zeszytu!... Wszystko do dna przewrócił i w boleści ręce załamał, bo straconych kartek nie znalazł!... Po chwili, jakby sobie coś przypomniawszy, w drżące ręce chwycił, jedną po drugiej, wszystkie książki ze stołu, i po kartce przeglądał, i trząsł niemi zawzięcie; potem pobiegł do półek, tom po tomie pilnie rozpatrzył, i z rozpaczą padłszy na sofkę, głośnem zaniósł się łkaniem.

Bo też i było czego! W dzień wyjazdu swoich kolegów, kiedy ci byli na kwaterze pana Zygmunta, on tymczasem, rad samotności, zasiadł był do pa-

miętniczka, by weń wpisać to wszystko, co przeboleł w dniach tych ostatnich, odkąd sobie powiedział, że kochając dłużej Helenkę, poślubioną już Erazmowi, dopuści się zbrodni największej, — i tak się w gorzkich myślach zatopił, tak się zaabsorbował tém zajęciem upodobaném, że dopiero wtedy się ocknął, kiedy już Staś i Leosław zjawili się w izdebce. Złapany na gorącym uczynku, zerwał się jak oparzony, i nie mając już czasu do kuferka schować kajetu, naprędce ukrył go w jakiejś książce, na stoliku leżące. W ślad za tém zaczęły się wybory w drogę, i Kubuś, zaprzątiony niezmiernie, wpośród gwaru i krzątani, zupełnie o seksternie swoim zapomniał, a Staś ową nieszczęsną książkę, gdzie było to *corpus delicti* (doloż moja!) wziął z sobą!

Miał więc słuszny powód do płaczu nieszczęśliwy nasz Kubuś! Staś niechybnie znajdzie pamiętnik, a znalazłszy przeczyta!... może ojcu pokaże!... może nawet — pannie Helenie! I *grzeszna* jego miłość, ta zbrodnia, to świętokradztwo, wyda się wobec tych ludzi, którzy go przygarnęli nędznego, osypali łaskami, na to, aby on im się tak wypłacił! aby śmiało podnieść oczy z myślą tak zuchwałą na najmilsze dziecko swych dobroczyńców! on, włóczęga, kajdaniarz, syn klucznicy, prostaczki, takiej biednej, takiej spowiewieranej i upośledzonej we wszystkiém!

Zerwał się jak szalony, i znów z gorączkową zapalecywością, cały drżący febrycznie, zaczął szpe-

rać po wszystkich kątach, za wszystkimi sprzętami, pod łózkami, stołami, za piecem i na piecu, jak gdyby, przerażony ogromem okropnego swego nieszczęścia, rozpaczliwie bronił się wierze w możność i rzeczywistość jego; lecz, niestety, napróżno!

Teraz więc już wszystko skończone! Sam Bóg widać chce tego, żeby, nie odkładając, obowiązek spełnił synowski. Już mu ani myśleć o Widzkiem, opiekunie biednej staruszki, ani marzyć o Stasiu, drogim nauczycielu swoim! Już mu nigdy, ach nigdy, nikogo z tej rodziny nie widzieć, ani panny Heleny, ani tego aniołka — Józi!... Znow padł na twarz w modlitwie, i długo, długo płakał rzewliwie, Bogu na ofiarę składając wszystko, co mu w życiu najdroższém było... Nazajutrz miał się puścić kędys daleko, żeby przepaść bez wieści dla swych dawnych przyjaciół i dobroczyńców, i znalazłszy służbę ekonomiczną, biedną matkę przygarnąć.

Jak mu zeszła noc ta fatalna, nie łatwo to opisać. Wśród strasznego zamętu uczuć, dopiero aż o świcie zapłakane zamknął powieki, i snem parogodzinym trochę siły pokrzepił. — Ocknąwszy się, zląkł się dziennego blasku; nie przypuszczał, żeby tak późno było, i tém skwapliwiej zaczął składać tłumoczek, chcąc spełnić co najrychlej desperackie postanowienie. Niebawem był już gotów; wdział burkę, wziął tornister na plecy, kostur pielgrzymi w rękę i ostatniem jeszcze spojrzeniem po izdebce

potoczył... i spotkał się z obliczem Przenajświętszój Bogarodzicy w wieńcu tych drogiech ludzi, dla których chciał zaginać bez wieści!... I serce w nim rozmiękło, i ze łkaniem rzewliwém na kolana się rzucił, żeby jeszcze w modlitwie pożegnać się z nimi na wieki.

A wtém skrzypnęły drzwiczki i od progu głos dał się słyszeć:

— Czy tutaj pan Kluczarski?

Kluczarski zerwał się z pośpiechem... Przed nim stał z grubym pakietem listonosz. Kubuś spojrzał na adres... pismo było pana Zygmunta!

— Doloż moja! — jęknął w duchu nieszczęsny chłopak, przerażony jak zbrodzień, przytrzymany właśnie w tej chwili, gdy sądził, że się wymknie z ręki sprawiedliwości. I stał błądny i niemy, nieprzytomny, zdrętwiały, aż póki mu listonosz, przypomniawszy swoją należność, przytomności nie wrócił. A gdy znowu sam został, długo jeszcze, bezwładny, oczyma osłupiałemi w kopertę się wpatrywał, nie mając dość odwagi, aby pieczęć jęj złamać... Nareszcie przeżegnał się z ciężkiem westchnieniem, przetarł łzawe powieki, i z wolna drżącą ręką pakiet otworzył — i omal nie padł trupem na miejscu! Był to jego sekstern nieszczęsny!... lecz przy nim i list pana Zygmunta. Zajrzał weń, pełen trwogi śmiertelnej... łzy strumieniem buchnęły, twarz się rozpromieniła... Przebiegł parę okresów, i nogi się pod nim ugięły, osunął się na klęczki, i łkając, na kolanach,

jak modlitwę najuroczystszą, czytał cudowne słowa dobroczyńcy swojego, przed którym chciał był uciec w rozpacz.

Staś istotnie znalazł pamiętnik, przeczytał i zabolął serdecznie nad niedolą Kubusia, którego naprawdę kochał jak brata. Zabolął, ale razem się zdumiał i wzniosłością uczucia, i bogactwem fantazyi, i siłą, i urokiem wysłowienia poetycznego, co wszystko najdziwniejszą było dlań niespodzianką i tém żywszém współczuciem przejęło go dla duszy takiej pięknej i czystej, a takiej rozżalonej, biednej, sierocjej! Na razie sam nie wiedział, co począć? Czy pokazać ojcu te kartki, czy zamilcząć o nich zupełnie? I po długim namyśle postanowił wreszcie pokazać; bo najprzód szło mu o to, żeby jakąś pociechę na tę wielką boleść wynaléźć, żeby w jakibądź sposób to strapione serce ukoić, które może się strawić skrytą swoją męczarnią; ufał zaś, że u ojca najpewniej znajdzie na to radę skuteczną. Powtórę, chciał go zarazem przekonać, jak wysokie zdolności w tym młodzieńcu się kryją, i jak szczerą opieką otoczyć go wypada, żeby z niemi nie zmarniał bez pożytku dla społeczeństwa.

Pan Zygmunt, który także dzisiaj więcej niż kiedy kochał poczciwego Kubusia, i za jego zapal do nauk, i za serce szlachetne, jakiego wielokrotnych doznał dowodów, pełnych poświęcenia bez granic, za pobytu swego w Kijowie, głęboko się poruszył,

tajemnicę jego poznawszy, i pierwszą jego myślą było: jak ratować nieszczęśliwego chłopca od apatyi, w którą wpaść może, pozbawiony podniety, jaką dotąd miłość mu była, wielka, wzniosła i czysta, już dzisiaj, jego zdaniem, i występna, i nieczna! Jak zapobiedz smutnym następstwom, które taka boleść głęboka może ciągnąć za sobą, w głębi serca zamknięta, bez téj nawet pociechy, jaką zwierzenie się poufne cierpiącemu przynosi?! Myślał długo, rozważał, a nareszcie się chwycił energicznego środka: postanowił sam stać się piérwszym powiernikiem Kubusia, i z ojcowskiém uczuciem wyciągnąć do niego ramiona. Jakoż, nie odkładając, list do niego wysłał serdeczny, który we łzach, na klęczki pocziwego chłopaka rzucił, a był następujący:

„Synu mój ukochany! — Wolno mi tak cię nazywać, najpocziwszy panie Jakóbie, bo się z ducha mojego narodziłeś i pokochałeś mnie sercem synowskiém, i do dzieci mych przyrosłeś świętém bratniém uczuciem. — A więc synu mój drogi! z rodzicielską miłością śpieszę dzisiaj do ciebie, ażeby cię ukoić w srogiej twojej boleści, którą długoś taił przede mną, a której-bym, jak widzę, z ust twoich nigdy nieusłyszał, a więc i nie wiedział o niej zupełnie, gdyby istny cud boży tajemnicy twojej nie dał mi poznać. Czysta, piękna twa dusza ukochała piękno duchowe, co się jój objawiło w méj córce; ukochała miłością tak wzniosłą i świętą, iż się przez nią stała

tém czystsza, tém piękniejszą i wyższą i w nowego człowieka przerodziła ciebie, mój synu, i popchnęła cię drogą ku wysokim celom wiodącą, z której, jeśli nie zboczysz, to ich pewno osiągniesz. A zboczyć ci nie wolno!... Posłuchaj! Woli bożej nie było, żeby miłość twoją nieziemską uwięczyła ziemską szczęśliwość; kto inny posiadał tego anioła, co twą duszę ze snu rozbudził; ale widzę z własnych słów twoich, żeś o takim szczęściu nigdy nie marzył, i że dzisiaj nad tém bolejesz, iż sądzisz, że ci odtąd nie wolno nawet taką świętą miłością kochać téj, która komu innemu wieczną wiarę przysięgła. Zaprawdę, dziś uczuciem kochanka, choćby i przenaiejzystszym, kochać już jęj nie powinienes; ale kochać ją musisz za to życie duchowe, do którego cię powołała, za ten ogień niebieski, którym serce twoje przejęła, za te skarby poezji, które ci w niém złożyła, a raczej za to wszystko, co przez nią, chociaż mimo jęj wiedzy, Bóg dla ciebie uczynił. A więc nie wyrzekaj, nie bolęj, nie rozpaczaj, mój synu; ta *umarła*, mówiąc słowy poety, ziemskim życiem dla cię nie żyła; tyś ją kochał jako Anioła-Stróża; mimowoli tylko serce twe czułe, widząc tę jasną duszę w pięknej ciała osłonie, łączyło z nią ideę niby ziemskiej kochanki; więc zapomnij o tém złudzeniu, i czcuj ją w swęj pamięci już jedynie jako Anioła Stróża, który cię nie odstąpi aż do końca twego żywota. A jeśli bez serdecznego bólu nie potrafisz dokonać téj przemiany w swoich uczuciach,

jeśli to oczyszczenie musi koniecznie w ogniu cierpien się odbyć: to niechże cię ten ogień nie spali, niech nie obróci w popiół szary, zimny i martwy. Bądź mężnym, mój ty synu kochany! Pamiętaj, że wielkie dusze w boleściach się hartują i wychodzą z nich z nową mocą i z tryumfem chwalebnym. Tego téż czekam od ciebie. A poznawszy dziś jeszcze lepiej znakomite twoje zdolności, nie chcę już cię wiązać bynajmniej dawném swoim życzeniem co do szkoły agronomicznej; wybierz zawód upodobany, a ja cię w nim z serca pobłogosławię. Żeby zaś ci ułatwić nabycie wiadomości potrzebnych, z niewymowną pociechą, że to mogę uczynić, rzekam się dziś dla ciebie praw mojego Ignasia do stypendyum naukowego, które wskutek méj rady ustanowił zacny książdz Anastazy. Odtąd, aż do skończenia nauk, będziesz pobierał na potrzeby swoje po dwieście rubli. Tylkoż, proszę, nie dziwacz! nie unosi się zbytnią ambicyą, nie wstydź się tego daru, bo on nie jest jałmużną, ale tylko wynikiem pocziwego pojęcia obowiązków społecznych. Wszakże ja sam przyjąć go chciałem dla mojego Ignasia, w czasie, kiedy nie mogłem własnym kosztem go wychowywać; a dziś, jeśli na ciebie swoje prawo przelewam, to tylko stawię jedno dziecię za drugie, bo jeszcze raz powtarzam, żeś mi jest i zostaniesz na zawsze ukochanym mym synem z ducha“.

W *postscriptum* były jeszcze te słowa: „Prócz

mnie i Stasia nikt o tajemnicy twojej nie wie i nikt od nas wiedzieć nie będzie; a jeśli sam nie zechcesz, to nawet i przed tobą żaden z nas ani słówka o niej nie wspomni. Pamiętnik ci odsyłam. Strzeż go pilnie, żeby czasami nie wpadł w ręce nieczyste, bo może być sprofanowanym, a z nim i twoja miłość, i ta, którą w niej ubóstwiłeś. — Wszyscy cię pozdrawiają najczuliej. Helenka o modlitwę i o bratnie błogosławieństwo prosi. Ślub dziesiątego stycznia”.

Właśnie był to dziesiąty! Kubuś w poetycznej swój duszy, tym wrażliwszej, że podniesionej przez ostatnie silne wstrząśnienia i przez pismo pana Zygmunta, musiał uznać wyraźne w tym cudowne zrządzenie boskie,¹ że list ten nadszedł w chwili takiej stanowczej, że nie tylko zapobiegł postawieniu kroku rozpaczliwego, nie tylko jasną przyszłość znów mu odsłonił, lecz razem dał mu wiedzieć o dniu tym świętym, dniu wyrocznym dla jego serca; wezwał go do modlitwy i nakazał ofiarę, ofiarę i z tej odrobiny ziemskości, jaka się mimowoli łączyła z idealnym uczuciem, które odtąd już tylko miało zostać cześcią religijną.

Powstał więc, zrzucił z pleców tłómaczek, i już nie w świat szeroki, tylko do kościoła się udał, gdzie się jeszcze spodziewał nabożeństwo zastać codzienne. Tak też było istotnie; ale zaledwie próg kościelny przestąpił, w oczach mu się zaćmiło, zakręciło się w głowie, zatoczył się i padł z jękiem na klęczki,

wzrok osłupiały w katafalku utkwivszy, co stał wpośrodku nawy, żalobnym otoczony przepychem. Trafił na jakieś egzekwie wspaniałe, i w pierwszym rzucie myśli straszną wróżbę w tym ujrzał, wróżbę dla tej, za której szczęście właśnie modlić się przyszedł!... Lecz po chwili przypomniał słowa listu pana Zygmunta, co ją nazwał *umarłą*, i znowu, w poetycznym nastroju ducha, wziął to za dowód cudownej ręki bożej, kierującej tą sprawą. Uznał w tym, nie złowrogą zapowiedź, lecz upomnienie niebieskie, że od dzisiaj Helenkę jakby za umarłą mieć winien; opłakać, Bogu zlecić w modlitwie, wdzięczną myślą wspominać z dni ubiegłych aż do tej chwili, żyć w tej górnej dziedzinie światła, chwały i cnoty, w której był uniesiony czarodziejskim jej wpływem, ale już serce od niej oderwać i ku innym celom obrócić, inną, większą przejąć się miłością, miłością powszechnego dobra i piękna.

O jakże się modlił gorąco! ile rzewnych łez wylał! jakich szczytnych wzruszeń doświadczył! jak wysoko duchem się wznosił! Ucichły rekwalne hymny poważne, zgasły światła jarzące, wyludnił się kościół powoli, zdjęli nawet katafalk, a Kubuś jeszcze klęczał zatopiony w modlitwie, póki mu dziadek kościelny, pobrzękując kluczami, nie przypomniał, że czas już odejść.

Powrócił do domu, smutny jeszcze i łzawy, jak gdyby po pogrzebie naprawdę; ale z żalem spokoj-

nym, poddania się i rezygnacyi pełnym, złagodzonym przez błogie zadowolenie, jakie się czuje po spełnieniu wielkiej ofiary. On już spełnił największą, lecz go jeszcze jedna czekała. Pamiętny ostrzeżenia, jakie Widzki mu przesłał, lękając się, aby istotnie czasem jego dzienniczek nie dostał się w ręce nieczyste, wnet rozpałił w piecyku, wydobył drogie swoje szpargały, i z heroizmem prawdziwym rzucił je w płomień! Rzucił i przypadł do ogniska na kłęczkach, i ręce załamawszy rozpacznie, osłupiałe oczy utkwiał w tych kartach, które z dzikim szelestem szamotały się w ogniu, jak żywe, i falą płomienistą miotane, to się rozwijały, to znów zwiły, odsłaniając mu różne ustępy, chyżo popielejące i pędem rozgrzanego powietrza z dymem się unoszące w lufty komina. Biedny chłopak, z trupią błądzą w twarzy, z gorączkowym ogniem w źrenicy, patrzył na to z taką boleścią, jakby z tym rękopisem żywe jego serce gorzało! Nieraz drgnął i rzucił się całą postacią, jakby chciał w ogień skoczyć i ratować skarby swych wspomnień, wychwycić ukochańszą jakąś karteczkę; ale się wnet powściągał, i wytrwał aż do końca: aż wreszcie z brylantowych snów i marzeń młodzieńczych, z kwiecica uczuć i myśli, garść popiołów została. I lży mu stoczyły się po białych licach; zdało mu się, że tak i serce jego w popiół się obróciło!... Lecz zabrzmiały mu w duszy uroczyste słowa Widzkiego: „Niech cię ogień próby nie spali, niech

nie obróci w popiół, szary, zimny i martwy! Wielkie dusze hartują się w boleściach i wychodzą z nich z nową mocą i z tryumfem chwalebnym”. Więc powstał, spojrział w niebo, dumnie wznosił piękne czoło i uczył się tryumfującym.

Ale nie koniec na tém. Wypadało jeszcze odpisać na list pana Zygmunta, co też było próbą nielada, i tę jednak zniósł mężnie. Długo wprawdzie walczył sam z sobą, długo bił się z myślami, nim do odpowiedzi się zabrał; ale odpowiedział tchem jedynym, wydobywszy z duszy całe bogactwo swych moralnych zasobów. Nie dotykał przeszłości, nie przeproszał za swe zuchwalstwo; dzięki tylko składał serdeczne za wszystkie dobrodziejstwa, jakich doznał od niego, a zwłaszcza za ostatnie, najwyższe. Dalej, błogosławiąc go za pieniężną pomoc do nauk, oświadczył, że nie myśli bynajmniej rzucać dawnych zamiarów względem szkoły rolniczej, że się najchętniej temu zawodowi poświęci, a sądzi, że i przy specjalnem ukształceniu agronomiczném, może również wszechstronnie swe zdolności rozwijać, jak i gdyby wyłącznie literaturze się oddał. Wreszcie całej rodzinie przesyłał zapewnienie uczuć najtkliwszych, a Sławockim powinszowania i gorące życzenia szczęścia, jakiego pragnął, i jakiego ze wszech miar są godni.

Oddawszy list na pocztę, nieco wolniej odetchnął, choć jeszcze miał dość ciężką troskę na sercu... Lada dzień spodziewał się powrotu Stasia... Jakież będzie

spotkanie? jakże spojrzeć mu w oczy?! jemu, bratu panny Heleny, którą on śmiał pokochać, marzyć o niej i pisać!... Nieraz zadrżał na to wspomnienie, i trwożnie, jak delikwent dekretu, oczekiwał téj nowój próby. I doczekał się wreszcie! Nogi pod nim zdrętwiały, gdy ujrzał na dziedzińcu sanki pocztowe, a z nich wysiadających ukochanych swoich kolegów! nie mógł z miejsca się ruszyć, żeby wybiedz na ich spotkanie; pot zimny na czoło mu wystąpił! A Staś już był na schodach, już we drzwiach, już u niego na szyi! I ścisnął go, całował tak pocziwie, tak szczerze, z takiem uniesieniem serdeczném, jakby brat, jak przyjaciel najlepszy, najwierniejszy na świecie! Kubuś topniał w jego objęciach, ale nie śmiał w twarz go całować; wolałby jego rękę do ust swoich przycisnąć, do nóg jego wolałby upaść!... Więc tylko do ramienia głową mu przylgnął, i tuląc go drżącym uściskiem, zanosił się od płaczu, który seree Stasia pojęło i lżą cichą uczeło.

Leos nie mógł zrozumieć tych wylewów czułości; i on kochał Kubusia, i on rad był go witać, ale witał wesolo, z żartami i ze śmiechem. Rychło téż zaczął mu opowiadać, jak się *weselisko* odbyło, powtarzając raz po raz:

— Żałuj, żeś z nami nie był!

Staś chciał temu przeszkodzić, w inną stronę zwrócić rozmowę, bo sądził, że ten przedmiot Kluczarskiego zrani boleśnie; ale z wielką pociechą spo-

strzegłszy, że ów chciwie słucha gawędy i sam się dopytuje o wszystko, — wziął na siebie rolę opowiadacza, a znając nastrój ducha biednego chłopca, umiał w taki sposób zdać sprawę z *pogrzebu ziemskiej jego kochanki*, iż mu tém rzeczywiste, choć smutne, sprawił zadowolenie.

Po téj ostatniej próbie, przebytej z nadzwyczajnym spokojem, który dowiódł najlepiej, jak już wielkiego hartu jego serce nabrało, Kubuś z nowym zapalem do nauki się rzucił. Postawiony równo ze Stasiem w lepszych warunkach bytu, już zaniechał kucharskiej i lokajskiej swój służby, już wszyscy trzej najęli wspólnym kosztem jakiegoś chłopca, a jadło brali w dobrej garkuchni; mogliby i mieszkanie wziąć inne, ale *gniazdo jaskółcze* miało dla nich tyle uroku, iż się wszyscy zgodzili, aby go nie opuszczać samocheąc. Kubuś wszakże oświadczył, że rychło będzie musiał z kolegami się rozstać, bo napisał do matki, prosząc, aby niezwłocznie porzuciła swą służbę i przy nim zamieszkała w Kijowie. Leos przeciw temu zaprotestował, powiadając, że jedno nie przeszkadza drugiemu, i zaraz tego dowiódł faktycznie, podawszy piękny projekt, żeby pani Kluczarska osiadła w tym samym domu na dole, gdzie były do najęcia dwie izdebki z kuchenką, i sprobowała się zająć stołowaniem studentów, których oni ze Stasiem swym przykładem zachęca. Staś przyklasnął wnioskowi, i Kubuś po namyśle na to się zgodził, poczem

w parę tygodni już miał matkę pod tymże dachem, na swój czulej opiece, spokojną i szczęśliwą zupełnie; bo półroczne stypendyum, które Staś mu przywiózł od ojca, prawie całe oddał w jej ręce, książek tylko sobie kupiwszy i nieodbite opędziwszy potrzeby; mogła więc gospodarna staruszka zaprowadzić zaraz kuchenkę i przy niej niezależnym cieszyć się bytem, prócz Leosia i Stasia mając jeszcze podobnych stołowników ze sześciu.

O! cóż to za pociecha była dla Kluczarskiego, co za radość niewysłowiona! Jakże błogosławił tę dobroczynną rękę, dzięki której nie tylko mógł bez troski, swobodnie, wszystkie chwile poświęcić kształceniu się własnemu, ale nadto i matkę wyrwać z nędzy i poniewierki, mieć ją blisko przy sobie, czuć nad nią z miłością, szukać przy niej wytchnienia po całodzienniej pracy, i wpływem swjej rozmowy rozumnej, swoich uczuć szlachetnych, a czasem i czytaniem pouczającym, oddziaływać nieznacznie na jej umysł i serce, podnosić ją do siebie, stawać się dla niej coraz zrozumialszym, coraz miłszym i ukochańszym! Jakże się wielce za to dobrodziejstwo czuł dłużnym, jakie obowiązki wysokie w duszy swojej ślubował! Toż i nie dziw, że z jednej strony broniąc się od miłosnej udręki, z drugiej, mając w pamięci swoje śluby pocziwe, przy zdolnościach niezmiernych, przy namietnym zamiłowaniu w umysłowych zajęciach, nadzwyczajnym postępie w rozmaitych gałęziach

wiedzy i Stasia, i Leosia zdumiewał; nie dziw, że w półtora roku przeszedł wszystko, czego mu brakło do pełnego kursu gimnazyalnego, po niemiecku czytywał prawie bez pomocy dykcyonarza, a po francusku nawet mówił niezgorzėj; nadto zaś, tylę dzieł pożytecznych pochłonał, tyle skorzystał z naukowych i literackich gawęd z towarzyszami swymi, z prelekcij uniwersyteckich, na które w drugim roku uczęszczał, i z ciągłej korespondencyi z Widzkiem, iż nie jeden złoty młodzieniec byłby godzien szczerzej pochwały, gdyby z dłużiej i świetnej edukacji swojej takie skarby mógł wynieść.

Co do sprawy serdecznój, Kluczarski nie zdołał o niej zapomnieć; ale boleść, wciąż żywa, była w nim uroczysta i cicha, i nadzwyczaj korzystnie na charakter jego wpływała, dając mu wczesną ale piękną dojrzałość, i młodzieńca dwudziestotrzyletniego w poważnego męża zmieniając, w męża, z sądem bystrym i trafnym, z uczuciem bardzo żywem, głębokiem, lecz wytrawnem i stałym.

Otóż we dwadzieścia miesięcy po przybyciu swem do Kijowa Kubuś wreszcie się udał do szkoły agromicznój. Matkę pozostawił na miejscu, byt jej zabezpieczywszy poświęceniem połowy stypendyum swojego i oddawszy ją pod opiekę przyjaciół, z których jeden, a mianowicie Rawski, potrzebował jeszcze dwa lata, drugi trzy — na skończenie nauk poświęcić. Zostawmyż ich oddanych pracy gorliwej,

pewni pomyślnego jój skutku, a spojrzmy, co nasz Widzki porabia.

Widzki, osiągnąwszy nareszcie cel swych marzeń najmilszych i pragnień najgorętszych, zostawszy generalnym rządcą rozległych włości, obdarzony najzupełniejszym zaufaniem prezesa i szeroką prawną plenipotecją, z energią i z zapalem wnet zabrał się do dzieła, z miłością i poświęceniem całą duszę w nie włożył, z góry za zasadę przyjąwszy (niestety! czemuż inni o tém zapominają?), że ma swoje trudy poświęcić, nie jakiemuś panu Sadłowieckiemu, ale w nim społeczeństwu właściwie, że ma zachować i w kwitjącym bycie postawić, nie prywatne czyjeś tam mienie, ale w niém część powszechnego dobra. Więc nie dziwy, że cudów dokazywał prawdziwych, zwłaszcza zyskawszy czynną pomoc Szczęsnopolskiego, który, jakeśmy już mówili, pokochał go serdecznie i wielki dla niego powziął szacunek.

Zacny ten obywatel, widząc jego usiłowania, pojmując ich moralne znaczenie, sam mu zaproponował nieograniczony kredyt w swój kasie, z którego korzystając rozsądnie, pan Zygmunt w ciągu jednego roku ponaprawiał szkody dawniejsze, w drugim zaś pootwierał nowe źródła pięknych dochodów, i dalej szedł już o własnych siłach, coraz się w nie wzmagając. Starych oficyalistów pozostawił wszystkich na miejscu, tylko im znacznie pensye popodwyższał i emeryturę zapewnił, wydawszy wprzód

ogólne instrukcyę, ściśle określając obowiązki służbowe, a za najpierwszy stawiające warunek sumienność i gorliwość. Z Nehresznym i Palukiewiczem nadto jeszcze sam na sam zamknąwszy się na parę godzin, każdemu z nich z osobna wytłómaczył gruntownie, czego po nich wymaga i czego się spodziewa, a ostrzegł po przyjacielsku, grzecznie i delikatnie, co ma za złe z przeszłości i czego nadal radzi unikać. Ostępowicza, który szczególnie potrzebował opieki, z leśniczowstwa przeniósł do kancelaryi, gdzie z czasem zebrał kilku młodych ludzi dosyć porządných i kształcił ich pocziwie nieustannym swym wpływem, a temu i mądry Jasio uleż nareszcie musiał, podnieć i zachęć mając w swoich kolegach. Łypiński przeszedł na kassyera, czemu rad był serdecznie, a jego miejsce zajął nowy ekonom, którym był ów ambitny pan Tryfonowicz, znany nam z dysputy w Raczkach; każdy zaś z ekonomów dostał do pomocy pisarza. W ten sposób zarząd ekonomiczny, licząc w to i leśniczego, powiększył się aż o dziesięciu ludzi, z niezmierną ogłędnością zgromadzonych powoli, do czego głównie pan Szczęsnopolski stosunkami swemi dopomógł. Nie były to anioły, ani nawet ludzie nieskazitelni, ale pan Zygmunt ideałów szukać nie myślał: owszem, miał to za punkt honoru, żeby właśnie słabych podźwigać i reformować, i Bóg mu dopomagał w tej pracy. A praca to była olbrzymia! Nie z gabinetu, nie z miękkiego fotelu Widzki

rzędy sprawował; ale sam osobiście we wszystkie szczegóły wglądał, sam wszystkie kontrolował czynności; a najpoczeiwszy ojciec nie strzeże tak troskliwie konduity swych synów, jak on strzegł officyalistów swoich. Każdy z nich mógł być pewnym, że żadne nadużycie, bodajby i najmniejsze, przed nim się nie utai; żaden błąd, opieszałość, lenistwo, jego oka nie ujdzie; a że każdy cenił tę służbę, gdzie i teźniejszość, i przyszłość była dobrze zabezpieczona, gdzie naczelnik był przyjacielem podwładnych: wszyscy więc na pazury się brali, żeby sumiennie obowiązek swój spełniać i śmiało patrzeć w oczy Widzkiemu, który z siebie samego dawał przykład najlepszy, jak należy służbę pojmować i odbywać. To też z dziesiątka ludzi nowo zawerbowanych, dwóch tylko było wydalonych po roku, jako niepoprawnych zupełnie, trzech uległo naganie, danéj po ojcowsku we cztery oczy, innych napomknienie najlżejsze wprowadzało zaraz na drogę, z której się w pierwszych czasach trochę zbijali, skutkiem dawnych narowów.

Sadłowiecki, jak wiemy, z za granicy rychło powrócił i osiadł w Stefanówce szczęśliwie, żeby się delektować swojém *coup d'état* genialném, które tak znakomite rezultaty wydało. Nie chciał jednakże siedzieć, założywszy ręce próżniaczko, lub się bawić wyłącznie kulinarnym kunsztem szlachetnym, w praktyce i teorii; domagał się koniecznie, żeby Widzki i jemu dał też jakieś zajęcie, i nareszcie je dostał.

Pan Zygmunt, uważając za krzywdę dla powszechnego dobra obojętność niektórych panów na bieg spraw majątkowych, o których często gęsto nie mają najmniejszego wyobrażenia, raz je zdawszy na rządów, niekoniecznie sumiennych, — zmuszał go regularnie co miesiąc do ścisłego przeglądania głównych swoich czynności, i przy każdym spotkaniu kładł mu w uszy to wszystko, co godnego było uwagi; nadto zaś w bezpośrednie jego zawiadywanie oddał wydział dobroczynności, do której bardzo zręcznie umiał mu podszeptywać piękne projekta. Krzątał się więc pan prezes ochoczo, starając się, o ile zdołał, naśladować Szczęsnopolskiego, z którym teraz dopiero w coraz bliższe wchodził stosunki, bo się dawniej prawie nie znali, mieszkając o kilkanaście mil od siebie; a na zimę co rok, dla wytchnienia po trudach, do Petersburga, Warszawy, lub Berlina robił wycieczki, dokąd zwykle podówczas i Bolo do niego przyjeżdżał.

Tak ubiegły cztery lata, w ciągu których na gruncie nie nadzwyczajnego nie zaszło; aż wreszcie pan Sadłowiecki, powróciwszy z Berlina, przywiózł do domu — Bola.

Nowina ta piorunem rozbiegła się po okolicy i wszystkie w pańskich domach poruszyła umysły, bo o panu prezesowiczu już od roku dość głośno było; już nie tylko wojażerowie, od wód przybywający, przywozili o nim różne pogłoski, ale nawet w dziennikach kilka razy o nim pisano, jako o nabywey

nader szacownych rzeźb i obrazów, słowem, jako o protektorze piśmiennictwa i kunsztów, który razem z zamięłowaniem poświęca się studjom ekonomicznym. A że wówczas już, dzięki rządowi pana Zygmunta, dobra stefanowieckie uchodziły za jeden z najpiękniejszych majątków, więc pan Bolesław, jako przyszły dziedzic połowy tego złotego jabłka, jeszcze świetniej wyglądał z drukowaną swą chwałą, i przybywszy w rodzinne strony, mocno zaintrygował wszystkie córki i matki *wysokiego polotu*. Tu i owdzie czekano, rychło-li się zjawi z czolobitnością i już nań sposobiono wniki misterne; lecz bohater wielkiego świata z pierwszą wizytą się wybrał nie do pańskich pałaców, tylko do folwarcznego dworku, pierwszym hołdem uczcił Widzkiego, wprzód się jednak wywiedziawszy ostrożnie, azali w Arbuzówce nie ma pani Sławockiej? Wobec Widzkich pewnym był siebie, bo ciągle listowanie z panem Zygmuntem znacznie w nim złagodziło przykre wspomnienie owęj awantury miłosnej, ale względem Helenki, jakżeśmy już mówili, teraz więcej niż kiedy poczuwał się do wstydu.

Ma się rozumieć, że jak pan Zygmunt, tak też jego żona i matka, które dobrze wiedziały, jak się zmienił złoty młodzieniec, przyjęły go serdecznie i z tak wyborynym taktem, iż gotów był pomyśleć, że nie tylko nie mają najmniejszego doń żalu za haniebną sprawkę dawniejszą, ale, że nawet zapomnieli

o niej zupełnie. Był więc wesół, swobodny, mówił pięknie i rozumnie i wywarł nader miłe wrażenie, już nie tylko na panią Widzką, ale i na jej męża, i na panią sędzinę. Ze dwie godziny w Arbuzówce zabawił razem z panem prezesem, który rósł jak na drożdżach, widząc, jak szczerze pan Zygmunt się cieszył z Bola, a odjeżdżając prosił swojego *Mentora* (tak nazywał Widzkiego), aby raczył co rychlej zajrzeć do Stefanówki i światłym swoim sądem ocenić różne jego nabytki naukowe i artystyczne, przywiezione z podróży.

Widzki ochoczo jego prośbie zadosyć uczynił i wnet się zawiązały pomiędzy nimi najściślejsze stosunki; gdyż Bolo już się teraz na prawdę kształcić przy nim zamierzył, i w długich pogadankach poważnych zdawał mu wierną sprawę z wiadomości ekonomicznych, za granicą skrętnie zebranych, starając się od niego dowiedzieć, w jaki sposób zużytkować je można.

Potem się pan Bolesław do Hrabiego N. wybrał, do tego, co go to niegdyś znudził, dawszy mu do czytania różne książki. Teraz szukał go chętnie, bo pilno mu było pochwalić się skarby swojemi przed kimś, co je zdoła ocenić. I tam też, jak u Widzkiego, przyjęty był serdecznie i zdobył towarzysza bardzo pożądanego.

Wreszcie zajrzał jeszcze do kilku domów, które dawniej z matką nawiedzał; ale te jako dziś mu nie

przypadły do smaku, więc się tylko kiedy niekiedy zmuszał do téj pańszczyzny. Zresztą cały czas swój przepędzał to na upodobanych umysłowych zajęciach i na gawędzie z hrabią, to na pracy gospodarskiej z panem Zygmuntem.

Tak tedy pan Bolesław swoje wiejskie życie urządził i rychło stał się ulubieńcem bliższych i dalszych, domowników i obcych.

Pozostali tylko Sławoccy. Często o nich myślał Bolesław, i wiele dalby za tę przyjemność, gdyby mógł jakoś zejść się z panem Erazmem, ale nie miał odwagi stanąć wobec pani Heleny; aż wreszcie traf szczęśliwy i w tém dobrze usłużył. Raz, kiedy pan prezesowicz, przyjechawszy do Arbuzówki, gwarzył sobie z panem Zygmuntem, w kancelaryi jego zasiadłszy, weszła tam niespodzianie drzwiami od sieni, z ogrodu wracająca pani Helena, a tuż za nią pan Erazm. Helenka jedno dziecko miała w objęciach, zawisłe na jój szyi miłośnie i różaną twarzątką tulące się do niój z pieszczotą, drugie, starsze, wiodła przy sobie, szczebiotliwe, radośne—i ślicznie tak jój było z macierzyńskiej chluby urokiem. Pan Bolesław powstał zmieszany, zbladł, i jakby z wyrzutem na Widzkiego oczy obrócił, nie wiedząc, jak postąpić na razie. Helence zapłonęły lica żywszym rumieńcem, cień leciuchny przykrości przemknął po jasnym czole, ale wnet się oświała, i z największą swobodą zbliżywszy się do gościa, powitała go słowem serde-

czném, jak gdyby i z jój także pamięci przeszłość znikła bez śladu. Dłoni mu nie podała jednakże, bo dzieci uwięziły obie jój ręce. Bolesław się zapłonił, i w milezeniu pokłon jój oddał, pokłon taki głęboki, pełny takiej czci, skruchy i pocziwego sromu, że pan Erazm, widząc to, do ostatka wnet złożył z serca swoją niechęć dawniejszą i szczerze, z całej duszy, dłoń mu uściśnął. Uścisk to był wymowny i Bolesław zrozumiał całe jego znaczenie; śmiej więc spojrział w oczy Sławockim i do słowa przyszedł nareszcie, choć jeszcze nie z zupełną swobodą. Ale zaraz pan Zygmunt, który także na chwilę czuł się trochę zażenowanym tém drażliwém spotkaniem, pośpieszył mu na pomoc i zagaił żywą rozmowę, z którą się do bawialni wszyscy przenieśli. Tu oboje Sławoccy jeli się wypytywać gościa z wielkiem zajęciem o rzeczy, które mu czas za granicą zajmowały, i rychło ośmielili go i rozechmurzyli zupełnie; rad był bowiem, że mógł wykazać, jak jest niepodobnym do tego Bola, co im niegdyś był znany z tak niekorzystnej strony.

Wkrótce Sławocka z dziećmi wyszła do drugiego pokoju, pana Zygmunta zawezwano do kancelaryi, i pan Erazm z dawnym rywalem pozostali sam na sam.

— Panie!—zawołał Bolo, przystąpiwszy do Sławockiego, — musim się szczerze rozmówić, bo ja takiej pozycyi wobec pana nie zniosę. Z przeszłości mamy z sobą smutne rachunki; zgładźmyż je, albo zapomnieniem zupełném i wzajemnym szacunkiem,

jeżeli nie przyjaźnią, albo... jeśli pan wolisz—umówmy się o czas i miejsce, w którym-bym mógł krwią swoją satysfakcyę dać panu.

Pan Erazm wyciągnął doń rękę serdecznie.

— Pierwszy wniosek piękniejszy—odpowiedział z pogodą w licach, — i za nim téż wotuję. Mojem zdaniem, ci ludzie, którzy wzajem się krzywdzą, przedewszystkiém największą społeczeństwu krzywdę wyrządzają, społeczeństwu więc i restytucyę winni; a nie wiem, co za korzyść komu stąd przyjdzie, jeśli z nas którykolwiek głową nałoży. Lepiej więc zajścia nasze dawniejsze starajmy się pracą pocziw, w zgodzie i miłością podjętą, wynagrodzić o ile można.

— A więc zgoda i praca! — zawołał pan Bolesław z zapalem, mocno ściskając rękę pana Erazma. A po chwili dodał półgłosem, ale z uroczystą powagą: — Niechaj zginę w hańbie ostatniej, jeśli kiedy z myślą niegodną ośmielę się spojrzeć na pańską żonę. Przysięgam, że ujrawszy ją dzisiaj, takie-m uczuł wrażenie, jakbym patrzył na obraz Rafaela Madonny z dzieciątkiem i świętym Janem. Przeszłość umarła i pogrzebiona już na zawsze!

Zyskał więc pan Bolesław w ten sposób jeszcze jedno serce, lecz, chociaż nieraz Sławockiego w swoim domu przyjmował, sam jednak w Elżbietówce nigdy nie bywał, tłómacząc się przed swoim gościem, że wobec jego żony nie może się uwolnić od przykre-go wspomnienia, które dlań jest prawdziwą katuszą.

Tak minęło z półroku, przez które Widzki, z Bolesławem ciągle przestając, miał już czas dobrze zbadać jego charakter i przekonać się, jak gruntowną była jego reforma. Zaczął więc go namawiać usilnie, żeby się z panem Szczęsnopolskim poznał nareszcie, który właśnie w tym czasie powrócił był z podróży, wraz z całą swą rodziną. Prezes także był za tém, dowodząc, że nie tylko się godzi, ale nawet trzeba koniecznie hołd powinny mu złożyć, pominawszy już inne względy, bodajby za tę pomoc pocziwą, jakiej ku podźwignieniu ich majątku udzielił.

Bolesław przystał na to ochoczo; ale, że Sadłowiecki na podagrę mocno zaniemógł, więc uprosił pana Zygmunta, żeby towarzyszył jego synowi, nie wątpiąc, iż paniezza z takim mentorem jak najlepsze spotkanie przyjęcie. — Jakoż nie omylił się bynajmniej. Widzki umiał tak dobrze zaprezentować swego pupilla, tak mu zręcznie dał pole do popisu z tém wszystkiém, co w nim było najzacniejszego, że nie tylko rodzicom, ale nawet córce podobał się niezmiernie.

Podobał się, ale i sam téż nachwalić się nie mógł tych ludzi, jakim równych, jak mówił, nie spotykał dotąd na świecie, i ze szczerą wdzięcznością ścisnął rękę pana Zygmunta, że przez niego zawiązał te nieocenione stosunki.

W ciągu kilku miesięcy kilka razy jeździł do Szczęsnopola, to z ojcem, to znów z Widzkim, albo z panem Erazmem, każdym razem mówiąc z coraz

większym zachwytem o tój rodzinie, aż nareszcie pan prezes musiał prosić pana Zygmunta, aby spytał pana Szczęsnopolskiego, zali pan Sadłowiecki może go obligować dla syna o ten wysoki zaszczyt, iżby wolno mu było ubiegać się o rękę pięknej panny Jadwigi.

Pan Zygmunt, który marzył o tём oddawna, chętnym sercem posłannictwa się podjął, a że pan Szczęsnopolski wierzył w jego słowo, jak w ewangelię — więc go wypytawszy o wszystko, co o panu Bolesławie chciał wiedzieć, dał przychylną odpowiedź, i wkrótce po dopełnieniu przez prezesa form etykiety, młodzian uszczęśliwiony najlegalniej zaczął konfektury.

W pół roku już miał słowo od panny, którą kochał bez szalu, ale wielką, czystą miłością, pozyskawszy wzajem jój serce. Wszakże Widzki to sprawił, że jeszcze pan Bolesław musiał wytrzymać calutę rok próby, nim przed ołtarz mógł stanąć z piękną oblubienicą.

A nim ten rok upłynął, naprzód Staś, co już dawniej skończył był kurs medycyny, zwiedził obce kraje z wielkim pożytkiem i otrzymał stopień doktora, z którym powróciwszy do domu, zaczął praktykować bardzo szczęśliwie i wkrótce zdobył wziętość niezmierną w okolicznych domach magnackich, a szacunek i wziętość wpośród klasy ubogiej. Zbyteczna jest powiadać, że pan Bolesław nie omieszkał i z nim

się zaprzyjaźnić. — Dalej, Kubuś podobnież świetnie kursa swe odbył, poczem pana Zygmunta w liście spytał o radę, gdzie ma praktykę zacząć? Naturalnie, że Widzki już oddawna miał zamiar umieścić go przy sobie, nie śmiał jednakże samowolnie tego uczynić, bojąc się dotknąć pana presowicza. Musiał go wprzód wybadać, a traf bardzo szczęśliwy dobrze mu w tём dopomógł. Właśnie w tym samym czasie, w jednym piśmie rolniczém ukazał się długi artykuł, pełny bardzo trafnych poglądów i głębokiej nauki, którym się pan Bolesław tak mocno zajął, iż go przed panem Widzkim dość się nie mógł nachwalić i z niezmierném zaciekawieniem końca jego wyglądał, żeby się o nazwisku autora dowiedzieć. Dowiedział się nareszcie! Autorem był Jakób Kluczarski, którego śliczny wierszyk w jakimś literackim dzienniku przyszedł z tą samą pocztą! Pan Bolesław, zdumiony, wnet się puścił do Arbuzówki, chcąc u pana Zygmunta znaleźć rozwiązanie dziwnej zagadki, bo dotychczas losy Kubusia były całkiem mu obce; równie prezes, jak Widzki, nie chcąc serca mu jętrzyć przypomnieniem smutnej przeszłości, nigdy z nim nie mówili o tym *nędzniku*, co niegdyś tak zuchwale śmiał na jego skórę się targnąć, a Kluczarski, w ciągu lat kilku, ani razu na miejscu swojej zbrodni nie postął; bo i środki na to nie pozwalały, po połowie z matką dzielone, i nie chciał budzić w duszy uczucia, które z niemałym trudem ukolysać mu przyszło. Teraz

więc pan Bolesław, raz pierwszy od fatalnych wypadków spotkawszy się z imieniem dobrze sobie pamiętném, spytał pana Zygmunta: co się stało z owym Kluczarskim, który był w Arbuzówce pisarzem? Widzki mu opowiedział całą historię, nie szczędząc słusznie należnych pochwał ulubieńcowi swemu; a gdy panicz, mimo urazy, nie cofał swego zdania o wysokich zdolnościach młodego agronoma, podziwiał jego zapał do nauki, jego wielką wytrwałość i uznawał zasługi, wtedy uradowany Widzki ośmielił się napomknąć o swoich względem niego projektach.

— Prześlicznie! — rzecze na to Bolesław, takich właśnie ludzi nam trzeba!

— Nie wiem tylko, — odparł pan Zygmunt, — czy się biedny chłopak odważy.

— Fraszka to! — podchwycił pan Bolesław. — Niechaj pan mu napisze, że już tego panicza dzisiaj niema na świecie... Wszak prawda, drogi panie? — dodał z uśmiechem: jestem dziś *nowy człowiek* z twój łaski.

Widzki mu dłoń serdecznie uściśnął, a za parę tygodni już Kluczarski był w Arbuzówce.

O! z jakim-że uczuciem zaczęli młodzian do nóg się rzucić dobroczyńcy swojemu! z jak świętymi łzami wdzięczności całował drogie ręce matki jego i żony!... Z jaką chlubą ci ludzie do serca go tulili, widząc w nim taką dziwną, cudowną zmianę! Wpływ Leosia i Stasia dał mu weale niezgorszą towarzyską

ogładę, nauka i poezja wyrazistém swém piętnem naznaczyły jego oblicze, a przebyte bóle serdeczne powlekły je uroczym, idealnym jakimś odcieniem.

Ignas wtedy był w szkołach, a Józia kształciła się przy siostrze: Kubuś więc z troskliwością najczulszą pytał o nich pana Zygmunta, równie jak o Sławockich.

— Ignas dzielnie się uczy! będzie z niego pociecha! — odpowiedział pan Zygmunt, — a Józję i Helenkę z Erazmem ujrzysz rychło na własne oczy... Wszak musimy do nich pojechać? Masz ochotę?

— I jaką! — odparł Kubuś uradowany, z lekkiem jednak splonieniem.

— A więc za dni parę pobiegniem:

I pobiegli istotnie. Biedny, biedny Kluczarski!... z jakąż trwogą serdeczną do Elżbietówki się zbliżał! z jaką mocą gwałtowną w duszy jego zawrzało echo walki niegdyś przebytęj! Jak drżał na myśl, że widok *tęj umarłéj*, *tęj świętęj*, którą od lat już kilku miał za taką naprawdę, wspominając o niej ze czcią spokojną, może dzisiaj go przejąć dawném *grzeszném* uczuciem, bodaj na jedną chwilę!... Biedny, biedny! Zaledwie bryczka przed ganek się wtoczyła, już w progu, jasna, cudna, świeża jak zorza, uśmiechniona radośnie, zjawiała się... Helenka! Kubuś stanął, jak wryty, osłupiały, olśniony!... Helenka? czyż to ona?! Czyż ubiegłych lat kilka przeszło dla niej bez śladu? a raczej, czyż jęj więcej świeżości, więcej

wiosennego wdzięku przydały... Stał i patrzył, pełny zdumienia, przerażony lecz oczarowany tém cudowném spojrzeniem, co od ojca w momencie wprost ku niemu pobiegło, i ciekawe, badawcze, niby ucieszone, a trwożne, w twarz mu uderzyło całym swym blaskiem.

— Otóż tobie i Józia! Pan Kluczarski, Józienku! nie poznajesz?... — ozwał się Widzki.

— Pan Kluczarski! — dźwięknął radośnie srebrny głosik dziewczęcia. — Witam pana! witam serdecznie! O, jakże się Erazmowstwo ucieszą! — I drobna biała rączka, drżąc, wybiegła ku niemu.

Józia! echem radośném odbiło się w sercu Kubusia. Józia! ta Józia, którą niegdyś nosił na ręku w leśnych, trudnych wycieczkach, którą bawił bajkami i piosneczkami swemi, którą śmieszył, udając żyda lub pijanego chłopca, którą zwał swą przyłepką! ten aniołek uroczy, ten sobowtór Helenki! Józia, co mu pisała, że go kocha, choć on nie dobry!...

Tak istotnie, Józia to była, lecz w skończonym piętnastym roku...

Ujął rączkę podaną, lecz jój nawet uściskiem za serdeczny uścisk nie śmiał zapłacić; zapłoniony tylko, zmieszany, ze łzą słodką w źrenicy, korny pokłon oddał dziewczęciu.

Weszli; wybiegł pan Erazm.

— Poznawaj! — rzecze Widzki.

— Pan Kluczarski! — krzyknie Sławocki, i już

ścisnąć, całować, a cieszyć się jak bratu, a wołać: — patrz, Helenko! co za gościa tu mamy!

— Pan Kluczarski! — nowy głos zabrzmiał, i Kubuś w duszy na twarz się rzucił, jak na wołanie z nieba, oczu podnieść nie śmiejąc. — Witam pana! witam szczęśliwa, jak przyjaciela, jak brata najpoczciwszego!

Spojrzał wreszcie; pani Helena stała przed nim radośna, ale dziwnie dostojna i czeigodna, jak święta, ręce do niego wyciągnawszy obiedwie. Więc je ujął w swe dłonie, lecz padł razem na klęczki i do ust je przycisnął, słodkimi się łzami zalawszy, ale ze czcią taką głęboką, uroczystą, pokorną, jakby w nich pacyfikał święty całował.

I naprawdę, pokój zupełny duszę jego ogarnął; biedny chłopak już był uratowany. Helenka, dawna jego Helenka, dziś się całkiem w Józię przeniosła, w Sławockiej nie było jój zupełnie.

Pozostało jeszcze spotkanie z panem Bolesławem konieczne; odbyło się ono u Widzkich, na pociechę pana Zygmunta, który musiał serdecznie ucieszyć swego pupilla, widząc, jak on życzliwie i jak szczerze ścisnął tę rękę, co go niegdyś chłostała. Wprawdzie to i Kluczarski był w podobnej pozycji, ale zawsze-ż przy podobieństwie było w tém i różnicy nie mało... Uścisnęli się, trochę zapłonieni obadwaj, bo nie mogli nie wspomnieć nieszczęsnego zajścia swojego, ale jak tym razem, tak też i nigdy,

ani czynem, ani najmniejszym słowem, żaden z nich nie okazał tego po sobie, żeby w sercu chował urazę, żeby pamiętał nawet o tém jaźściu haniebném.

W parę miesięcy potem, prezes, pisząc do żony, wzywał ją uroczyście na wesele swego infanta, i pani prezesowa przybyła. Musiała wszelką niechęć umorzyć, wszystkim i każdemu krzywdy przebaczyć, bo czyż mogła odmówić sercu macierzyńskiemu takiej wielkiej pociechy, czyż mogła nie błogosławić syna osobiście i dotykalnie, gdy ten miał wieść przed ołtarz bogatą dziedziczkę! Przybyła więc po chlubę, po upojenie się dumą, lecz, niestety, jakież upokorzenie czekało ją w téj chwale! Nietylko musiała schylić głowę przed Widzkiem, uznać w nim prawdziwe narzędzie Opatrzności, dobroczyńcę, który swą pracą zabezpieczył jój mienie, swoim wpływem jój syna, ostatniego prawie urwisa, w pocziwego zmienił obywatela i ożenił tak świetnie; ale nadto u Szczęsnopolskich, w tłumie godowników weselnych, przyszło jój się ocierać o zgraję officialistów, wpośród których (o zgrozo!) był i *nedznik* Kluczarski, — przyszło całą rodzinę Widzkich, a z nią i Sławockiego, widzieć otoczoną takim szacunkiem, takimi honorami szczególniejszemi, jakie nawet jój samój, matki pana młodego, a więc i panny młodej, wcale nie spotykały! Przyszło wreszcie tego doczekać, żeby nie ksiądz biskup przynajmniej, lecz ten *brutal zuchwały*, wikary, czy tam proboszcz stefanowiecki, tak wielkiemu panu ślub dawał!

I wszystko to zniosła nieszczęsna! ale w tydzień po ślubie już się znowu w podróż wybrała, zaklinając drogiego Bola, żeby i on z młodą małżonką za granicę za nią pośpieszył. Cóż stąd, kiedy Bolesław nie mógł być jój posłusznym; bo ani jego żona, ani też jój rodzice o tém słyszeć nie chcieli! Sama więc tylko, z Fisją, Dolem i Linką, wyjechała do Rzymu, unosząc taki ciężar na sercu w skutek ostatnich zniewag, jako też oglądania Jarmusi, która jeszcze podówczas niemą paralityczką była, że, pomimo téj wielkiej chwały, jaka przez alians syna na dom Sądłowieckich spłynęła, mimo świetnego bytu, w jakim stał jój własny majątek, wpadła w jakąś niemoc, trudną do określenia: zżółkła, wynędzniała, wyschła jak szkielet, i oddana zapamiętałój aż do szalu dewocyi, we dwa lata niespełna zakończyła smutne dni swoje. Pokój jaśnie wielmożnym jój ceniom! Pau Bolesław bardzo się szczerze opiekuje młodszym rodzeństwem, i może robi z nich coś dobrego, kiedy Fisję swemi listami zreformował do tyła, że mogła już na seryo Stanisława pokochać, a nawet i wzaajemność jego pozyskać. Młody doktor wprawdzie się broni i walczy z tą nierozsądną, jak ją zowie, miłością, bo mu szlachetna duma nie pozwala zamarzyć o małżeńskim związku z córką magnata, bo mu dotąd pamiętny jest ów skandalik wołyński i myśli, i wrażenia ówczesne; ale z łaski prezesa, Bolesława i matki, rzeczy dzisiaj tak stoją, iż kto wie, czy niebawem

pani Sadłowiecka nieszczęsna nie przewróci się w grobie, bo jak nie panna Fisia może zostać żoną *ekonomczuka*, który wprowadzie już dzisiaj, dzięki funduszowi z Kalinek z procentami znacznymi i z dochodem lekarskim, jest sam także dziedzicem bardzo pięknej wioseczki, zawsze jednak nie przestał być synem officyalisty.

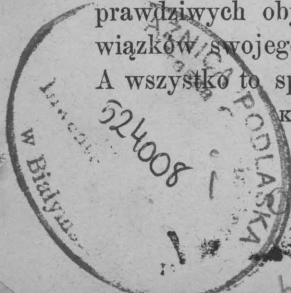
Kluczarski we trzy lata po swym powrocie, gdy już się naleźycie oswoił pod kierunkiem pana Zygmunta z praktyką ekonomiczną, objął zarząd Szczawinie, które Leosć poczciwy chciał postawić na takiej stopie, na jakiej Szczęsnopole i Stefanówka stały, na co Widzki chętnie się zgodził, a nawet sam Kubusia do niego wyprawił. Poczém wkrótce młody agronom, ośmielony i wsparty radą i wdaniem się Rawskiego, pojął tę, w której widział drugą Helenkę, przez którą przez trzy lata swojej służby przy Widzkim tyle zaznał radości, a razem i boleści, takie walki sam z sobą musiał toczyć na nowo, iż nieraz już był gotów z Arbuzówki uciekać, albo prosić pana Zygmunta, żeby sam go wygnał haniebnie. Kochał bowiem i widział, że wzajem był kochanym, a mimo podniesienie swoje moralne, nie śmiał zamarzyć o tém, żeby godzien był kiedy córkę dobroczyńcy swego zaślubić. Na szczęście, Leosć poznał stan jego duszy, wymógł na nim zeznanie i sam się za niego oświadczył. Było trochę mitręgi z racyi pani Amelii, która tak żywo jeszcze pamiętała Ku-

busia z czasów jego pisarstwa, a znała już i jego matkę niebogą, zamieszkałą przy nim, od kiedy z instytutu powrócił i wyborną dostał posadę; ale wreszcie pan Zygmunt i sędzina, i Staś, i Leosć, i Sławocey, i sama-ż Józia, zdolali ją ubłagać, że przyjęła za syna tego niegdyś prostaczka, który dzisiaj już słynął jako człowiek prawy i zacny, jako zdolny i pięknie ukształcony agronom, a wreszcie jako pisarz z wybitnym talentem. Więc ksiądz Anastazy czcigodny, już od roku jubilat, miał tę jeszcze pociechę, że długiemu dziecięciu najmilszego Zygmunta, którego niegdyś nosił na rękę, związał dłonie z młodzianem, co przez niego był wyrwany prawie z przepaści i na jego funduszu edukację skończył tak chlubnie.

Wszystkim więc było dobrze i błogo, a nawet pani Amelia zgodziła się ze swoim losem, przestała się użalać na zawód służebniczy, przekonawszy się wreszcie, że prawdziwa zaćność, rozum i praca na każdym stanowisku zyskać muszą uznanie i cześć u prawych ludzi.

Tak więc, dzięki Widzkiemu, tyle dusz się dźwignęło, tyle się przymnożyło dobra i szczęścia! Sąsiedzi Stefanówki, Szczawinie, już zaczynają pojmo-
wać swe obowiązki, i powoli z officyalistów, pogardzonych, słusznie albo niesłusznie, przechodzą na prawdziwych obywateli, przez święte poczucie obowiązków swojego stanu i wielkiego onych znaczenia. A wszystko to sprawił jeden officyalista!

KONIEC TOMU TRZECIEGO.



524 008

XIX^{sz.} w.

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0532683